

ZESZYT TRZYDZIESTY DRUGI

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1973

ZESZYT TRZYDZIESTY DRUGI

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1975

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 255

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600-MAISONS-LAFFITTE

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
opracował

ŚWIADECTWO SMRKOVSKIEGO

Smrkovsky był bardzo zaprzyjaźniony ze znanym włoskim działaczem komunistycznym Davide Lajolo, niegdyś redaktorem mediolańskiej mutacji *Unità*, obecnie redaktorem popularnego tygodnika partyjnego *Giorni-Vie Nuove*. W *Giorni* ukazał się we wrześniu 1971 roku, wywołując sensację na całym świecie, pierwszy i jedyne po inwazji wywiad ze Smrkovskym. W *Giorni* również został ogłoszony w marcu 1974 roku list Dubczeka do wdowy po Smrkovskym. Okazuje się teraz, że przed śmiercią Smrkovsky postanowił nagrać na taśmie swoje wspomnienia w formie odpowiedzi na pytania przygotowane i stawiane przez Ondreja Petra. Taśmę otrzymał Lajolo z testamentarnym poleceniem rozpoczęcia druku w rok po śmierci autora. *Giorni* przyniosły pierwszy odcinek w numerze z 26 lutego 1975. Tytuł brzmi *Le memorie di Smrkovsky dettate prima di morire*, wydaje się jednak że bardziej niż na miano „pamiętników” czy „wspomnień” tekst Smrkovskiego „zdjęty” z taśmy zasługuje na nazwę „świadcstwa”.



Pierwszy odcinek zaczyna się od fermentu we władzach naczelnych partii, który ujawnił się już na posiedzeniu KC w październiku 1967 roku. Novotny usiłuje grać na zwłokę, przyłącza się do ostrych krytyk pod adresem rządu. Ta koncesja nie wystarcza, mnożą się żądania rozdzielenia funkcji prezydenta republiki i generalnego sekretarza partii. Atmosfera staje się coraz bardziej napięta, zbuntowani boją się represji ze strony Novotnego. W siedzibie KC Dolansky i Strougal, w obawie przed aparatami podsłuchowymi, unikają rozmów ze Smrkovskym. Novotny próbuje kolejnego manewru. Wzywa na Zamek Smrkov-

skiego, dla którego w ciągu ostatnich dwóch lat nie miał nigdy ani chwili czasu. Wzywa go tuż przed grudniowym plenum, przedstawia mu swój projekt zmian w prezydium i kierownictwie partii. Według tego projektu Smrkovsky miałby wejść do prezydium partii. Cel manewru jest jasny, chodzi o skaptowanie Smrkovskiego, który bez wahania odpowiada, że na powierzchowną reorganizację jest już za późno, że nie przeskoczy się problemu separacji dwóch najwyższych w państwie funkcji. Novotny może zachować fotel prezydencki na Zamku, musi natomiast ustąpić ze stanowiska pierwszego sekretarza. Novotny zdaje się odnosić z pewnym zrozumieniem do argumentów rozmówcy, chce usłyszeć konkretne propozycje. Smrkovsky proponuje Lenarta, aktualnego premiera, na pierwszego sekretarza. Kto obejmie premierowstwo? Smrkovsky prosi o czas do namysłu. Ale nazajutrz już Novotny wycofuje się ze skłonności (prawdziwej czy pozornej) do kompromisu: „starzy towarzysze” przekonali go, że nie powinien ustępować. Grudniowe plenum nic nie załatwia, Novotny „wszystkimi czterema łapami wkopuje się w ziemię”. Rośnie napięcie. W drugi dzień świąt Smrkovsky otrzymuje ważną wiadomość. Członek KC i minister rolnictwa Mestek, człowiek Novotnego, wygadał się komuś po wizycie na Zamku, że było wielkim błędem wypuszczenie z więzienia Smrkovskiego i jemu podobnych, ale na szczęście są już gotowe nowe nakazy aresztowania, oraz że Novotny zamierza się bronić, stawiając na wojsko i milicję ludową. (W tym miejscu Ondrej Petr pyta, czy Novotny mógł liczyć na poparcie sowieckie. Smrkovsky odpowiada, że Czerwonienko — ambasador sowiecki — cedił słowa na wagę złota, widać jednak było jego niechętny stosunek do zbuntowanych; Breżniew przyjechał na krótko, rozmówił się w cztery oczy z Novotnym, powiedział *eto wasze dzieło* i wrócił do Moskwy).

Chociaż Smrkovsky nie mówi tego wprost, łatwo się domyślić że otrzymana przez niego wiadomość stała się dla zbuntowanych ostrogą do przyspieszonego działania. Na plenum KC w pierwszych dniach stycznia 1968 Novotny zostaje zmuszony do dymisji. Wybuchą targ o następcę. Obie strony godzą się wreszcie na Dubczeka, co wskazuje że jego kandydatura wyłoniła się jako kompromisowa. Dubczek broni się rękami i nogami, trzeba go za włosy ciągnąć do akceptacji. W dziesięć dni po plenum styczniowym zapada w prezydium osobliwa decyzja: na zebraniach i masówkach partyjnych wolno informować o przebiegu plenum, lecz bez wymieniania nazwisk protagonistów i bez wtajemniczania audytorium kto się po jakiej stronie opowiedział.

Ondrej Petr przechodzi do pytania o Husaka. Smrkovsky

jakby na nie czekał. Już 16 stycznia podejmuje w sprawie Husaka interwencję u Dubczeka. Stanowisko pierwszego sekretarza partii słowackiej objął wtedy po Dubczeku Bilak, Smrkovsky sądzi więc, że na fali zmian Husak i Novomesky winni dostać zezwolenie na powrót do czynnego życia politycznego. (Tu *flash-back*. W latach 1964-65 Smrkovsky zabiegał u Novotnego o rehabilitację Husaka i Novomeskiego. Jego starania zaszyły tak daleko, że Novotny gotów był wraz z rehabilitacją ofiarować Husakowi fotel wiceministra sprawiedliwości. Co prawda Husak zastrzegał się z góry, że może być tylko wiceministrem pierwszym a nie drugim czy trzecim, były to jednak opory do przezwyciężenia. Gorzej, że domagał się również oficjalnej audiencji na Zamku w związku z ewentualną nominacją. Novotny kategorycznie odmówił, a potem przy jakiejś okazji powiedział Smrkowskiemu: „Nie zwracaj mi więcej głowy Husakiem”). Dubczek jest tego samego zdania co Smrkovsky. Upoważnia go do rozmów w Bratysławie. Smrkovsky zjawia się w sekretariacie słowackim u Bilaka. Przekonuje go, dochodzą razem do wniosku że Husaka należy wskrzesić do życia politycznego na odcinku rządowym. (Co nastąpiło w kwietniu, gdy mianowano go wicepremierem rządu czechosłowackiego). W rok później, na posiedzeniu KC, Bilak oświadcza że Smrkovsky odwiedził go w Bratysławie w poszukiwaniu poparcia przeciw Dubczekowi. Obecny na posiedzeniu Husak milczy.

Prezydentem republiki zostaje wybrany w marcu generał Svoboda, mimo że wielu chciało widzieć na Zamku właśnie Smrkowskiego. Jak do tego doszło, dlaczego sam Smrkovsky aprobuje w końcu kandydaturę Svobody? W styczniu Svoboda pracuje wciąż jeszcze w Wojskowym Instytucie Historycznym, w bliskim sąsiedztwie Ministerstwa Lasów i Wód, czyli resortu Smrkowskiego. Zaczynają się codzienne wizyty generała u ministra. Svoboda w niczym się nie orientuje, nie zna ludzi na *wierchuszce*, wszystko cierpliwie opukuje w indagacji. W lutym porusza się już swobodnie w stołecznych kołach partyjnych i rządowych, odwiedzając równocześnie co znaczących dygnitarzy na prowincji. W marcu, kiedy wiadomo że Novotny nie utrzyma się nawet na Zamku, Smrkovsky coraz częściej słyszy w środowisku partyjnym o kandydaturze towarzysza Svobody. Nie sprzeciwia jej się, przypuszczając zapewne że siwowłosy generał jest w jakimś stopniu jego wychowankiem.

W kwietniu Czernik staje na czele rządu, a Smrkovsky obejmuje przewodnictwo parlamentu i wchodzi do prezydium partii. Na jego osobie koncentruje się niezycliwy stosunek „niektórych

krajów sprzymierzonych” do nowej polityki czechosłowackiej. Petr pyta o debiut Smrkovskiego na polu międzynarodowym.

4 maja Dubczek, Czernik, Bilak i Smrkovsky jadą do Moskwy. Zasiadają do stołu obrad. Po przeciwnej stronie Breżniew, Kosygin, Podgorny, Susłow oraz funkcjonariusze partyjni z Katuszewem na czele. Są to obrady *sui generis*. Rozmówcy sowieccy przywdziewają natychmiast togi oskarżycieli, zmuszają gości z Pragi do wysłuchania swoistej Białej Księgi, która składa się z donosów i wycinków prasowych dostarczonych władcom Kremla przez czeskich i słowackich „konserwatystów” (za pośrednictwem ambasadora Czerwonienko). Goście z Pragi wychodzą ze skóry by zminimalizować obfity materiał oskarżycielski, opowiadają o milionach rozentuzjasmowanych ludzi na obchodach święta pierwszomajowego. Gospodarze ziewają, nie interesuje ich entuzjazm tłumów. Interesuje ich za to bardzo działalność dwóch nowopowstałych w Pradze klubów: klubu bezpartyjnych i klubu b. więźniów politycznych. Sytuację delegacji czechosłowackiej pogarsza jeszcze fakt, że Bilak podziela sowiecki punkt widzenia. Rozmowy toczą się nie czwórka przeciw czwórce, lecz piątka przeciw trójce.

Czernik, jako szef rządu, prosi o pożyczkę w wysokości 400-500 milionów rubli na modernizację przemysłu i przeprowadzenie stopniowych zmian w aparacie przemysłowym. Zaznacza z góry, że jeśli Moskwa nie mogłaby się na tak wysoką pożyczkę zdobyć, Praga chciałaby jej poszukać na Zachodzie, naturalnie na zasadach czysto handlowych, bez żadnych uwarunkowań politycznych. Zabiera głos Kosygin, niechętnie obiecuje rozpatrzenie prośby. Lecz nie poprzestaje na tym, ciągnie dalej. Dla kogo Czesi zamierzają produkować towary konsumpcyjne? Na eksport? Zachód ich nie potrzebuje i w przyszłości nie będzie potrzebował. Więc chodzi pewnie o rynki zbytu w krajach socjalistycznych i w ZSSR: Czechosłowacja zaopatrywałaby je, posłużąwszy się kapitałem inwestycyjnym otrzymanym z Zachodu. Ale także ZSSR i kadeele są zainteresowane w czechosłowackim przemyśle inwestycyjnym, a nie konsumpcyjnym. „Było jasne że sowiecka polityka handlowa wobec nas ma charakter rozmyślnie polityczny, z bardzo wyraźnym celem na oku: zniszczyć wszystkie szanse naszej niezależności i suwerenności, podporządkować nas w pełni własnej polityce”. Delegacja wraca do Pragi „tak rozczarowana, że nie czuje się na siłach z czystym sumieniem powiadomić opinię publiczną o wynikach wizyty”.



W drugim odcinku (numer z 5 marca) Ondrej Petr wraca jeszcze do moskiewskiej wizyty. Czy z podejrzliwego i krytycznego stosunku gospodarzy do gości można było pośrednio choćby wyczuć, że w razie czego ZSSR nie cofnie się przed interwencją zbrojną? Smrkovsky odpowiada przecząco: do godziny w pół do dwunastej w nocy 20 sierpnia 1968 nie zdarzyło mu się usłyszeć od towarzyszy sowieckich i kadeelowskich nic takiego, co pośrednio choćby zawierałoby pogrozkę interwencji.

Wizyta w Moskwie nie pozostaje bez wpływu na plenum majowe. Uchwały są kompromisem. Jak go należy dzisiaj oceniać? Powinien być być bardziej szeroki, czy bardziej ograniczony? Był w ogóle wskazany? Istniała jakaś alternatywa? W długim wywodzie Smrkowskiego ważny jest punkt wyjścia: tyle lat gromadzone i tłumione niezadowolenie ludowe rozpała się z dnia na dzień, zbliża się do temperatury wybuchowej; równocześnie brak wciąż gwarancji, że „deformacje” przeszłości zostaną szybko i należycie naprawione; nie wolno zatem wykluczać, że ten stan rzeczy wykorzystają przeciwnicy „komunizmu jako takiego”, ślepi nawet na widmo wojny domowej. Na plenum majowym zapada uchwała o „największym niebezpieczeństwie ekstremizmu z prawa”. Smrkovsky i towarzysze domagają się również napiętnowania „ekstremizmu z lewa” (czyli „dogmatyków”, „konserwatystów”). Ich oponenti odmawiają. Kompromis jest w praktyce ustępstwem przywódców „nowego kursu”. Lekkomyslnym, bo wkrótce oni sami będą atakowani jako „ekstremiści z prawa”. W tym sensie wizyta w Moskwie zaciążyła nad majowym plenum i jego rezultatem w postaci jednostronnej formuły „wróg to ekstremizm prawicowy”.

Kompromisowa jednostronność uchwał majowego plenum rozkołysuje w społeczeństwie falę niepokoju i zawodu, którą Smrkovsky uważa dziś za uzasadnioną. Jej wyrazem — zbyt, według Smrkowskiego, radykalnym — miał się niebawem stać manifest *Dwa tysiące słów*.

O manifestie dowiaduje się Smrkovsky od wściekłego Zimjanina, członka sowieckiego KC, redaktora *Prawdy*, b. ambasadora w Pradze. Smrkovsky czyta go i natychmiast wzywa rząd, by się wypowiedział przeciw jego konkluzjom. Rząd, mimo wysiłków Czernika, nie daje się przekonać. Smrkovsky wprasza się na posiedzenie rządu, ostrzega przed ciężkimi konsekwencjami. Nazajutrz rząd stawia się w pełnym składzie na posiedzeniu parlamentu, Czernik wygłasza „dobre przemówienie”, parlament przyjmuje je jednogłośnie do wiadomości. Smrkovsky, Dubczek, Czernik i Slavik spotykają się z autorami i sygnatariuszami manifestu. Robią im wymówki, w odpowiedzi słyszą że zaszło

„straszne nieporozumienie”, że intencją manifestu było pomóc a nie bruździć przywódcom „nowego kursu”. Po tym spotkaniu Smrkovsky pisze do *Prace* artykuł zatytułowany *Tysiąc słów*. Udaje mu się też rozładować zawczasu demonstrację studencką, przygotowywaną pod hasłem wystąpienia z Paktu Warszawskiego. Rośnie w kraju zaufanie do nowego kierownictwa, ale rośnie jednocześnie napięcie międzynarodowe.

W czerwcu wyrusza do Moskwy delegacja parlamentarna, aby odwzajemnić wizytę delegacji Najwyższego Sowietu w Czechosłowacji. Na jej czele stoi Smrkovsky. Delegacja objeżdża ZSSR, Smrkovsky opowiada na zwołanych zebraniach „o problemach naszego kraju, wszędzie kładąc nacisk na naszą niepodważalną wiarę w dobre braterskie stosunki ze Związkiem Sowieckim”. Aż tu któregoś dnia, po powrocie ze Stalingradu do Moskwy, delegacji przydzielają nowego przewodnika w osobie Zimjanina. W samolocie do Rygi Zimjanin zgłasza pod adresem Smrkowskiego postulat: słuchaczom sowieckim należy zaoszczędzić opowiadań o sytuacji w Czechosłowacji, to znaczy o projektach określanych jako „proces demokratyzacji”; nie są oni przygotowani do słuchania takich rzeczy, istnieje zatem obawa że wywoła się niepotrzebny zamęt w ich głowach. Smrkovsky obiecuje dostosować się do postulatów Zimjanina. Ale już wkrótce musi obietnicę złamać. Po powrocie delegacji do Moskwy odbywa się konferencja prasowa z udziałem osiemdziesięciu dziennikarzy sowieckich. Pytania dziennikarzy są ostre, zaczepne, prawie wrogie. Smrkovsky odpowiada twardo i niedwuznacznie. Pada na przykład oskarżenie, że Czechosłowacja dąży do rozszerzenia swoich stosunków z państwami kapitalistycznymi, że zabiega w nich o pożyczki. Smrkovsky reaguje pytaniem: „Związek Sowiecki przyjmuje pożyczki od Zachodu? Przyjmuje. Więc — zamawia u Renault czy Fiata całe fabryki, godzi się na inwestycje japońskie. I ma rację. Czemu więc zarzucacie nam że chcemy robić coś podobnego, chociaż na skalę nieporównanie mniejszą?”. Gazety sowieckie pomijają konferencję milczeniem.

Breżniew zaprasza delegację na ucztę pożegnalną. Atmosfera jest serdeczna, deklamuje się bez przerwy o braterstwie, leją się nawet łzy. Pod koniec Breżniew odwołuje Smrkowskiego na rozmowę w cztery oczy. Nie ukrywa niezadowolonych z biegu wypadków w Czechosłowacji. Wdaje się również w oceny personalne, nie podoba mu się szczególnie Dubczek. Pochlebnie natomiast wyraża się o samym Smrkowskim. Owszem, w krajach bloku, przede wszystkim w NRD, z przekąsem mówiło się dotychczas o Smrkowskim i Smrkovsky miał prawo czuć się tym dotknięty, niech więc wybaczy, takie omyłki czasem się przy-

trafiają, biorą się po prostu ze skąpej informacji. Nie wolno tak traktować starego komunisty, który niemal czterdzieści lat życia oddał całkowicie partii. Jednym słowem propozycja, niezbyt nawet zawoalowana, zajęcia miejsca Dubczeka i poprowadzenia polityki w duchu rad i dezyderatów sowieckich. Dla Smrkovskiego jest to szok. Decyduje się grać w otwarte karty. Bierze w obronę Dubczeka, z zapałem upewnia Breżniewa że proces dojrzewania nowego sekretarza jest błyskawiczny, że w niedalekiej już przyszłości stanie on pod każdym względem na wysokości zadania. (O tej rozmowie w cztery oczy nie opowiedział Smrkovsky po powrocie do Pragi nikomu, z wyjątkiem żony. Po namyśle doszedł do wniosku, że wtajemniczenie Dubczeka mogłoby go „wtrącić w stan nerwowy i zrodzić w jego głowie Bóg wie jakie podejrzenia”. Kiedy jednak w sierpniu aresztowano przywódców „nowego kursu”, i nie wiadomo było jaki będzie ich los, Smrkovsky wypowiadał się Czernikowi w baraku internowanych na Rusi Zakarpackiej, prosząc go o powiadomienie o wszystkim Dubczeka, jeżeli nadarzy się po temu sposobność. Kiedy zaś całe kierownictwo wróciło z Moskwy do Pragi, okazało się że Czernik nie zrelacjonował Dubczekowi rozmowy Breżniewa ze Smrkovskym. Zrobił to dopiero sam Smrkovsky, w obecności Czernika i Svobody).

Nadchodzi słynny List Warszawski. Trudno go nazywać zaproszeniem, jest raczej czymś w rodzaju wezwania do raportu, i to wezwania „zredagowanego w taki sposób że każdy poczułby się obrażony”. Na wniosek Czernika postanawia się, że prezydium partii nie może opuścić terytorium Czechosłowacji. Ten wniosek poprzedziła analogiczna postawa słowackiego KC, którą w Pradze referuje Bilak.

W dwa tygodnie później spotkanie w Czernej nad Tisą. Wybiera się ją jako miejscowość nadgraniczną: delegacja czechosłowacka nie opuszcza terytorium swego kraju, delegacja sowiecka wraca codziennie wieczorem w salonkach na terytorium ZSSR, co prawdopodobnie pozwala jej utrzymywać stały kontakt z pozostałymi uczestnikami Konferencji Warszawskiej.

Wyjazd delegacji czechosłowackiej do Czernej przykuł uwagę całego społeczeństwa. Ogłoszono manifest, którego autorem był Pavel Kohout. Manifest wyrażał delegacji pełne zaufanie, ustalając w czterech punktach nieprzekraczalne granice pertraktacji: socjalizm, sojusz z ZSSR, suwerenność, wolność. W Czernej zażądali posłuchania u Dubczeka przedstawiciele okolicznego powiatu, ale przyjął ich Smrkovsky. Przynieśli opracowane w tom petycje z podpisami wszystkich mieszkańców powiatu, solidaryzujące się z treścią manifestu.

Pertraktacje toczą się w Domu Kolejarzy. Obie delegacje mieszkają w pociągach złożonych z wagonów sypialnych i salonek: pociąg czechosłowacki na wąskim torze, pociąg sowiecki na szerokim. „Nie mogę zapomnieć — opowiada Smrkovsky — jak w Czernej przychodzili do nas różni ludzie i zaklinali nas na wszystkie świętości, żebyśmy uważali na te tory, bo w przeciwnym razie możemy się ni stąd ni zowąd znaleźć po tamtej stronie granicy. Sądzę że ta nieufność stanowi ważny składnik sposobu myślenia naszego narodu, i przyszłe wydarzenia nie mogły go nie pogłębić”.

Smrkovsky kondensuje cztery punkty manifestu w dwóch, nadając im charakter podstawowych mandatów delegacji: obrona styczniowych wytycznych, sformułowanych w *Programie działania partii*; niedopuszczenie do zerwania z ZSSR. Breżniew, w przemówieniu inauguracyjnym, atakuje te dwa mandaty: jego zdaniem kierownictwo czechosłowackie poddaje pertraktacje presji opinii publicznej, sfantatyzowanej przez nacjonalizm.

Prezydium sowieckie — w którym brak trzech członków, Polianskiego, Mazurowa i Kirilenki — jest zwarte. Nie można, niestety, powiedzieć tego samego o stronie czechosłowackiej. „Nowy kurs” prezentują Dubczek z punktu widzenia partii, Czernik z punktu widzenia rządu. Popierają ich Smrkovsky, Kriegel i inni. Natomiast Bilak, Kolder i Svestka przyłączają się do argumentów sowieckich.

Drugiego dnia późnym popołudniem zabiera głos Szelest. Oskarża kierownictwo czechosłowackie o drukowanie ulotek, kolportowanych na Rusi Zakarpackiej i nawołujących do oderwania się od ZSSR. Dubczek zrywa się z miejsca i oświadcza, że jeżeli pertraktacje mają się toczyć w takim tonie, to delegacja wraca do Pragi. Zrywa się również Smrkovsky i powtarza to samo obecnemu na sali ambasadorowi Czerwonienko. Delegacja opuszcza salę, ale Smrkovsky nie pamięta już dzisiaj czy cała. Smrkovsky, po wyjściu z Domu Kolejarzy, spaceruje samotnie wzdłuż toru. Podbiega do niego nagle funkcjonariusz sowiecki, prosząc do wagonu sypialnego Dubczeka. Smrkovsky zastaje tam Breżniewa, Kosygina, Podgornego, Susłowa i zdaje się (nie jest tego pewien) Szelesta. Czwórka sowiecka rozplątuje się w przeproszeniach, przyznaje że Szelest przeholował. Dwie godziny upływają na odpężaniu atmosfery.

Nazajutrz — w środę — atmosfera poprawia się rzeczywiście, ale Breżniew skarży się na jakieś dolegliwości. Dubczek proszony jest do jego wagonu sypialnego. Reszta obu delegacji przechadza się mieszanymi grupkami po Czernej. Smrkovsky i Svoboda z Kosyginem i Podgornym. W południe Dubczek wychodzi od Breż-

niewa, zwołuje swoich. Pertraktacje mają być zakończone. Delegacja sowiecka proponuje nic nie mówiący komunikat, oraz uchwałę która wyznacza na sobotę w Bratysławie spotkanie ze wszystkimi pięcioma partnerami Paktu Warszawskiego. Delegacja czechosłowacka odlatuje do Pragi, a stamtąd w piątek jedzie do Bratysławy. W stolicy Słowacji nie odbywają się już żadne pertraktacje, natomiast na wniosek delegacji sowieckiej każda ze stron wybiera dwóch przedstawicieli, pierwszego sekretarza partii i jego zaufanego współpracownika, dla zredagowania w węższym gronie Deklaracji Bratysławskiej. Nie dotyczy ona Czechosłowacji, lecz zasad działania partii komunistycznych w krajach socjalistycznych na arenie międzynarodowej.

Ondrej Petr cofa się jeszcze do Czernej. Twierdziło się potem wielokrotnie, że w Czernej obie strony zawarły układ, który został przez Czechosłowację pogwałcony: na czym ten układ polegał i co w nim zostało pogwałcone? Smrkovsky odpowiada, że po odsianiu ogromnej masy krytyk drugo- i trzeciorzędnych można sprowadzić żądania sowieckie do sześciu konkretnych punktów. Nie jest istotne w jakiej kolejności je się wymieni. Kategoryczne żądanie usunięcia Kriegla ze stanowiska przewodniczącego Frontu Narodowego. Żądanie usunięcia Cisarza z dwóch zajmowanych przez niego stanowisk: sekretarza KC i sekretarza prezydium partii. Zakaz przywrócenia partii socjaldemokratycznej. Rozwiązanie Klubu Bezpartyjnych i Stowarzyszenia Byłych Więźniów Politycznych. Kontrola środków masowego przekazu. Ostatni punkt nastęrcza największej trudności: delegacja sowiecka żąda przywrócenia cenzury, delegacja czechosłowacka zobowiązuje się wezwać dziennikarzy do „autodyscypliny”. Co do reszty: „Na wszystkie żądania konkretne daliśmy odpowiedź pozytywną, we wszystkich punktach uzgodnionych respektowaliśmy układ, albo — gdy w grę wchodziło coś co wymagało czasu — potwierdziliśmy decyzję dotrzymania układu”. Mimo to, już po tygodniu Breżniew zaczyna codziennie telefonować do Dubczeka, pytając dlaczego układ nie jest przestrzegany. Dubczek cierpliwie wyjaśnia co musi mieć aprobatę sierpniowego plenum, a co kongresu partyjnego. Wyjaśnia na wiatr: w pierwszej chwili pojawia się w reakcji sowieckiej jak gdyby cień zrozumienia, potem Moskwa systematycznie i z uporem powtarza wersję o pogwałceniu przez Czechosłowację układu.



W trzecim odcinku (numer z 12 marca) Smrkovsky przyznaje, że żądania sowieckie — zwłaszcza personalne — były tylko pretekstami: Moskwa, nie mając się czego uczyć, stara się przy-

najmniej usankcjonować samą zasadę wtrącania się na każdym kroku do czeskich spraw. Petr pyta czy definitywne stanięcie na gruncie wersji o pogwałceniu układu przez Czechosłowację dowodzi, że dopiero po Czernej kierownictwo sowieckie zdecydowało się na interwencję zbrojną i przygotowywało dla niej usprawiedliwienie, czy też decyzja zapadła już może wcześniej? Smrkovsky nie jest pewien co do samej decyzji, natomiast za bezsporne uważa że wariant inwazyjny był już przez ZSSR i piątkę z Paktu Warszawskiego dyskutowany i brany w rachubę wcześniej. Powołuje się tu na świadectwo tłumacza Gomułki (Erwina Weita): w Warszawie „Żiwkow i inni” domagali się interwencji zbrojnej. Według Smrkowskiego jest dość prawdopodobne, że w kierownictwie sowieckim nie było jeszcze stuprocentowej jednomyślności na temat inwazji, że chciano najpierw usunąć pewne przeszkody. Petra intryguje ostatni szczegół w związku z Czerną: była tam mowa o fałszywych listach Szymona Wiesenthala, o składach broni „odkrytych” w Sokołowie i o tym podobnych rzeczach? Była: w formie aluzyjnej delegacja sowiecka bez przerwy powoływała się na prowokacje w rodzaju Sokołowa, albo na wyssane z brudnego palca brednie. Przy sposobności Smrkovsky wspomina, że podczas wizyty czechosłowackiej delegacji parlamentarnej w Moskwie poskarżył się Breżniewowi na ambasadora Czerwonienko i na Udalcowa: „Towarzyszu Breżniew, ci dwaj przedstawiciele Związku Sowieckiego oddają bardzo złą przysługę naszej przyjaźni, nie informują was dobrze”. Po czym wyraźnie dał do zrozumienia, że byłaby wskazana zmiana. Breżniew spojrzał na niego i nic nie odpowiedział.

Nadchodzi wtorkowy wieczór 20 sierpnia. Prezydium partii od obiadu obraduje nad przygotowaniem do XIV Zjazdu. Do godziny w pół do jedenastej nikt z obecnych nie podejrzewa w najmniejszym choćby stopniu, że w powietrzu wiszą dramatyczne wypadki. O tej godzinie wzywają Czernika do telefonu. Wraca po dziesięciu minutach roztrzęsiony, opada na krzesło obok Smrkowskiego, mówi co się stało. Jest w takim proszku, że Smrkovsky nie znajduje słów na określenie jego stanu. W analogiczną prostrację wpada Dubczek, obaj nie mogą wykrztusić zdania. Wreszcie zaczyna się konwulsyjna dyskusja wstępna. Trwa przeszło godzinę. Wszyscy są zgodni, że trzeba zająć stanowisko i podać je do wiadomości publicznej. Uprzedza się środki przekazu, że wkrótce zostanie wydane ważne obwieszczenie; radio nadaje natychmiast tę zapowiedź. Ale czas mija, a o uzgodnioną konkluzję nie łatwo. Zdenek Mlynar otrzymuje polecenie zredagowania komunikatu. Pomagają mu Kriegl i Smrkovsky. Kolder, Bilak, Jakes i inni usiłują grać na zwłokę. Dubczek prze-

bąkuje o dymisji, reszta odrzuca tę hipotezę. Czernik też histeryzuje. Interweniuje Smrkovsky: dość tego gadania, wszyscy się już po kilka razy wypowiedzieli, a ponieważ Bilak i towarzysze są przeciw potępieniu inwazji w komunikacie, niech zadecyduje głosowanie. Siedmiu za komunikatem, czterech przeciw. Nie głosuje wezwany pilnie Svoboda, gdyż nie jest członkiem prezydium. Po głosowaniu wypowiada się za komunikatem Sadovsky, który również nie należy do prezydium, i prosi o wciągnięcie tego do protokołu. Za komunikatem głosuje Piller, co będzie miało swoje znaczenie w przyszłości.

Tekst komunikatu zostaje rozdany oczekującym niecierpliwie dziennikarzom. Ktoś otwiera radio. Po zapowiedzi odczytania uchwały prezydium transmisja zostaje przerwana w centrali radiofonicznej. Po kwadransie telefon z centrum peryferyjnego na Strachowie: Hoffman, członek KC i minister komunikacji, sabotuje nadanie komunikatu (nazywając go „fałszywym”). Smrkovsky każe „chłopcom na Strachowie” nadawać. Wiedeń łapie przypadkowo transmisję ze Strachowa, komunikat rozchodzi się na cały świat. Svestka, redaktor organu partyjnego *Rude Pravo*, poleca wstrzymać maszyny rotacyjne w trakcie drukowania komunikatu. Pracownicy redakcji i drukarni zwracają się telefonicznie do Smrkovskiego. Ignorować Svestkę, drukować!

Salę obrad opuszczają Indra, Jakes, Kolder i inni. Czernik jedzie do siedziby rządu. Zostają w gmachu KC Smrkovsky, Dubczek, Kriegel, Spacek, Mlynar i Slavik. Budzi się miasto, korytarze gmachu KC zapętniają się ludźmi z ulicy, na wszystkich ustach to samo wezwanie pod adresem Dubczeka i towarzyszy: „Oszałełście, czekacie aż was aresztują? Uciekajcie, ukryjemy was!”. Szóstka odmawia. W stronie lotniska rużyńskiego słychać miarowy huk motorów. Czwarta nad ranem. Około piątej zjawiają się na ulicach najpierw samochody, potem czołgi, w końcu wozy pancerne. Ciężki czołg nacelowuje lufę działa na gmach KC. Z wozów pancernych wyskakują spadochroniarze i zajmują rogi gmachu. Inni spadochroniarze wdzierają się do środka z gotowymi do strzału pepeszami, już im towarzyszą przewodnicy czescy, agenci MSW. Dubczek i towarzysze, oraz ich najbliżsi współpracownicy, zostają zgromadzeni w gabinecie pierwszego sekretarza. Spadochroniarze sporządzają spis obecnych. Nikomu nie wolno wyjść, nawet do klozetu, bez eskorty. Wpada pułkownik sowiecki, szuka „towarzysza Svestki”. Smrkovsky odpowiada: „To wasz człowiek, szukajcie go sami”.

Stopniowo nadciągają zewsząd pod gmach grupy młodzieży studenckiej, we wzorowym ordynku i ze sztandarami narodowymi. Śpiewają hymn narodowy. Smrkovsky stoi przy otwartym

oknie z młodym porucznikiem sowieckim. Studenci chcą się zbliżyć do gmachu, spadochroniarze na warcie strzelają w powietrze, ale jeden w kierunku pierwszego szeregu: zabija młodego chłopca. Porucznik odpędza wszystkich od okien i każe je zamknąć. Smrkovsky podchodzi do telefonu, żąda połączenia z ambasadorem Czerwonienko. Przyskakuje spadochroniarz, rozbija kolbą aparat. Podobnie kończy się próba Dubczeka zatelefonowania do Czernika. Wszystkie kable zostają przecięte, lub wyszarpane z muru.

Okolo ósmej lub dziewiątej wraca pułkownik sowiecki, który szukał Svestki. W asyście „ochotników” czeskich z MSW. Wywołują obecnych po nazwisku: Dubczek, Kriegel, Smrkovsky, Spacek. Wprowadzają ich do sąsiedniego pokoju. Rewizja, idzie oczywiście o broń. Smrkovsky oddaje szczyryk, zwracają mu go. Jeden z czeskich „ochotników”, za którym stoją sowieccy kagebiści, oświadcza że za dwie godziny zacznie się rozprawa przed trybunałem rewolucyjnym pod przewodnictwem „towarzysza Indry”. Smrkovsky wybucha, Dubczek go mityguje. Każdemu z czwórki zostaje przydzielony anioł stróż, wysoki oficer KGB. Wlecz się czas. Okolo drugiej wymarsz. Na jednym z mniejszych dziedzińców gmachu KC czekają dwa wozy pancerne: do pierwszego ładują Dubczeka i Kriegla, do drugiego Smrkowskiego i Spaceka. Wozy ruszają, Smrkovsky przez szparę obserwuje trasę. Dokąd wiozą? Wygląda na to, że do Rużynia. Ale do więzienia, czy na lotnisko? Na lotnisko. Ładują ich do jednego z „Antonów”, którymi w nocy przywieziono czołgi. Ktoś z czwórki odważa się zapytać: dokąd? Odpowiada pułkownik sowiecki: „Towarzysze, dowiedziecie się o wszystkim podczas przelotu”. Tuż przed odlotem zostaje zabrany Dubczek, lecą więc w trójkę. Ładują o zmroku, na hangarze napis: Legnica. Postój w budynku komendy policji, przypuszczalnie w oczekiwaniu na dalsze instrukcje. Rozsadzają ich przy oddzielnych stolikach, każdego z aniołem stróżem. Pułkownik Nikołajew, anioł stróż Smrkowskiego, jest rozmowny i filozoficznie usposobiony. „Towarzyszu Smrkovsky — powiada, — musicie się pogodzić z losem, w polityce tak bywa. My nic nie możemy poradzić, robimy to co nam każą, ale wy musicie się pogodzić z losem”. Przy sąsiednim stoliku Kriegel i jego anioł stróż dogadują się do wspólnej przeszłości: brali udział w hiszpańskiej wojnie domowej. Więc przechodzą w rozmowie na hiszpański, a potem ucinają sobie partyjkę szachów. O trzeciej w nocy ładują ich do nowiutkiego „Tupolewa”. Ładownie o świcie, w nieznanej okolicy. Po lepszym rozejrzeniu się dokoła wszyscy trzej — Smrkovsky, Kriegel i Spacek — odgadują równocześnie: Ruś Zakarpcka. Jeszcze trzydzieści kilo-

metrów samochodami, każdy innym, oczywiście z eskortą. Celem podróży okazuje się obóz koncentracyjny. „Wołga” Smrkovskiego zatrzymuje się za zoną, przed małą, otoczoną drutem kolczastym willą. Smrkovsky zastaje w niej Czernika. Przy powitaniu Czernik wybuch płaczem, wciąż powtarza że wszystko skończone, że już nigdy nie wrócą, że nie pozwolono im nawet pożegnać się z rodzinami. W południe dobry obiad zakrapiany winem, usługuje funkcjonariuszka KGB. Po obiedzie okrzyk z podwórza: „Towarzysz Czernik do telefonu!”. Czernik pędzi i zaraz wraca, szalenie podniecony: „Josifek (zdrobniałe imię Smrkovskiego), rozmawiałem z Saszą (zdrobniałe na rosyjską modłę imię Dubczeka). Sasza rozmawiał z Breżniewem, ma jechać do Moskwy, mówi że ktoś musi z nim pojechać, ja jadę”. Żegnają się, Smrkovsky prosi to i to powiedzieć Dubczekowi, gdyby się mieli więcej nie zobaczyć.

Całą dobę spędza sam. Potem wiozą go na lotnisko i pakują do samolotu. Lądowanie, Smrkovsky rozpoznaje Wnukowo. Ale samochód z lotniska, zamiast do Moskwy, skręca w przeciwną stronę. Czterdzieści kilometrów jazdy, domek położony w lesie i otoczony drutem. Smrkovsky zastaje w nim Bohusa Simona. Przynoszą im kolację, usługuje funkcjonariuszka KGB. Smrkovsky przygląda jej się uważnie, powiada: „My się znamy, prawda?”. Dziewczyna w panice: „Nie znam was, nie znam was!”. Smrkovsky teraz wie skąd ją pamięta: to ona zajmowała się czeską delegacją parlamentarną podczas czerwcowej wizyty w Moskwie, w willi dla gości zagranicznych. I teraz też dopiero robi odkrycie, że personel przydzielony do gości i delegacji zagranicznych w Moskwie jest na służbie KGB.

Mija znowu doba, w sobotę po obiedzie wiozą ich do Moskwy. Ale nie na Kreml. Do siedziby KC, na czwarte piętro. Zjawia się Spacek. Umieszczono go w willi pod Moskwą razem z Krieglem, przywieziono tutaj tylko jego.

Całą trójkę wprowadzają do sali obrad. Czekają tam Breżniew, Podgorny i Kosygin. Obie trójki witają się uściskiem dłoni i zasiadają do stołu obrad naprzeciw siebie. Posiedzenie otwiera Breżniew. Stała się rzecz straszna (mówi), wkroczyliśmy do Czechosłowacji żeby wam pomóc. Z dalszych wywodów Breżniewa Smrkovsky i jego dwaj towarzysze dowiadują się, że w Pradze toczy się XIV Zjazd. Proszą o gazety, otrzymują tylko sowieckie. Odsuwają je na bok, nie zaglądając nawet. Rozmówcy sowieccy odslaniają im mimowoli ciekawsze jeszcze wiadomości: w Pradze strajk, cały naród stawia czoło interwencji zbrojnej, najeźdźcom nie udało się stworzyć nowego rządu, Svoboda i inni

towarzysze znajdują się w Moskwie, niebawem rozpoczną się pertraktacje na Kremlu, potem wszyscy wrócą do Czechosłowacji. Smrkovsky: „Oznacza to że nie jesteśmy już więźniami, i że znowu reprezentujemy republikę czechosłowacką?”. Breżniew nie odpowiada, ciągle mówi o Silhanie i pyta co to za jeden. (Profesor Venek Silhan, wybrany przewodniczącym XIV Zjazdu z mandatem pierwszego sekretarza pod nieobecność Dubczeka). Breżniew: musicie wrócić do Pragi, zlikwidować XIV Zjazd i poprowadzić politykę prawdziwie komunistyczną. Smrkovsky replikuje, że jeśli wróci do Pragi, to poprowadzi politykę zgodną z własnym sumieniem i z wolą narodu. Trójka sowiecka wpada w furję, szczególnie Kosygin: „Jak możecie tak mówić, wy którzy jesteście starym komunistą!”. Smrkovsky: „Myślę dokładnie to co mówię, i właśnie dlatego że jestem starym komunistą; bardziej niż kiedykolwiek zamierzam teraz prowadzić politykę zgodną z moim sumieniem”. Nowy wybuch furii, Breżniew jest tak wściekły że zaczyna się zwracać do Smrkowskiego per „ty”. W pewnej chwili Smrkovsky powiada: „To wy, towarzysze, zniszczyliście odwieczną przyjaźń łączącą nasze narody. Już przed wiekiem nasz naród stworzył doktrynę słowianofilską i kultywował miłość do Rosji, a od pięćdziesięciu lat kultywuje miłość do ZSSR. Mieliście w naszym narodzie najwierniejszego przyjaciela, w ciągu jednej nocy zniszczyliście to wszystko”.

Breżniew macha ręką: lepiej dać temu tematowi spokój. Smrkovsky zgadza się z nim i dodaje, że historia osądzi kto ma rację i kto ponosi odpowiedzialność za tragiczne wydarzenia. Trójka sowiecka proponuje przeniesienie się na Kreml. Przed bramą gmachu KC wartownicy salutują trójkę czeską. Dla Smrkowskiego nieomylny to znak, że jest znowu uważany za przewodniczącego parlamentu, a nie za byle jakiego więźnia.



Czwarty i ostatni odcinek (numer z 19 marca) zaczyna się od przewiezienia Smrkowskiego i jego dwóch towarzyszy do willi rządowej. Tam pozwalają im umyć się i ogolić, oraz zaopatrzyć ich w czystą bieliznę. Potem na Kreml, do skrzydła oddanego do dyspozycji Svobodzie. Pełno już w nim ludzi: Dzur, Kucera, Jakes, Lenart, Mlynar, Czernik. Nie ma natomiast Dubczeka, leży chory w łóżku. Mlynar opowiada o najświeższych wydarzeniach w Czechosłowacji, zwłaszcza o XIV Zjeździe. Obecni są partyjni funkcjonariusze sowieccy, ale nie przeszkadzają rozmowom.

Przed przystąpieniem do pertraktacji grupa czechosłowacka otrzymuje propozycje sowieckie. Uważa je za absolutnie nie do przyjęcia. Opracowuje własne kontrpropozycje, wybiera trzyosobową delegację w składzie Smrkovsky (przewodniczący), Lenart i Svestka. Jest już późno, dziesiąta wieczorem, delegacja jednak udaje się do Ponomarewa. Smrkovsky zawiadamia go, że propozycje sowieckie są nie do przyjęcia. Ponomarew odpowiada, że dla ZSSR nie do przyjęcia są kontrpropozycje czechosłowackie. Lenart i Svestka popierają bez zastrzeżeń Smrkowskiego. Odbywa się wstępny targ. Dokument sowiecki otwiera deklaracja, że wojska Paktu Warszawskiego wkroczyły do Czechosłowacji by zapobiec kontrrewolucji i zaofiarować swą pomoc w duchu internationalizmu. Smrkovsky i towarzysze odrzucają ją kategorycznie, Ponomarew zgadza się na skreślenie. Delegacji czechosłowackiej udaje się wprowadzić dwie jeszcze poprawki. W jednym z paragrafów mowa o tym, że wojska okupacyjne pozostaną na terytorium Czechosłowacji; pod naciskiem delegacji zostaje dopisane słówko „czasowo”. Druga poprawka polega na włączeniu dodatkowego paragrafu, który stwierdza że styczniowa polityka demokratyzacji będzie kontynuowana. Ale nawet z tymi poprawkami dokument sowiecki jest dla delegacji czechosłowackiej nie do podpisania. Ponomarew: „Jeśli nie podpiszecie go teraz, podpiszecie go za tydzień; jeśli nie podpiszecie go za tydzień, podpiszecie go za dwa tygodnie; jeśli nie podpiszecie go za dwa tygodni, podpiszecie go za miesiąc”. Mówi to skandując z naciskiem słowa, daje do zrozumienia że strona sowiecka ma czas. Smrkovsky referuje wreszcie przebieg rozmowy z Ponomarewem, Lenart i Svestka potwierdzają w pełni jego relację. Wszyscy, nie wyłączając Jakesa, aprobują postawę delegacji.

W tym miejscu dygresja. Nie ma się czym chwalić (wyznaje Smrkovsky), lecz w imię prawdy trzeba powiedzieć, że wszyscy czechosłowaccy uczestnicy pertraktacji płakali. Ataki płaczu zaczęły się jeszcze w Pradze na wiadomość o inwazji, a w Moskwie stały się nagminne. Płakał także Bilak? Tego Smrkovsky nie pamięta, natomiast pamięta dobrze własny niepohamowany wybuch szloch; razem z nim szlochali Dubczek i Czernik.

Trudno dziś z niezbitą pewnością ustalić, czy grupa czechosłowacka zachowała spójność i w następnej fazie, gdy nie ma innego wyjścia jak przyjąć za podstawę do rokowań dokument sowiecki. Można chyba mówić o solidarności „dubczekowców”, gorzej z pozostałymi towarzyszami: wciąż znikają, wdają się w pokątne komeraże z sowieckimi funkcjonariuszami partyjnymi.

Osobny rozdział stanowi Frantisek Kriegel, podówczas jeszcze przewodniczący Frontu Narodowego i członek prezydium KC.

Przywożą i jego na Kreml, ale nie do skrzydła zajmowanego przez rząd: na odwach policji kremłowskiej. Tam udaje się do niego Smrkovsky w asyście Spacka z tekstem umowy. Strona sowiecka pozwala na tę wizytę, bo i jej zależy na podpisie Kriegla, chociaż nie zgodziła się na jego udział w pertraktacjach. Mimo że czasu jest mało i strona sowiecka nagli, Kriegel czyta tekst umowy bardzo spokojnie i powoli, wracając niekiedy do poprzednich stronic, i oświadcza w końcu że nie podpisze. Smrkovsky i Spacek tłumaczą mu jak sprawy stoją, podkreślają że w sumie nie udało się osiągnąć żadnych istotnych ustępstw i odmaszerowują do skrzydła rządowego. Ktoś z grupy czechosłowackiej (Smrkovsky nie pamięta kto) domaga się przeprowadzenia Kriegla; strona sowiecka nie robi trudności. Kriegel zostaje przeprowadzony, zasiada wśród swoich towarzyszy, znowu czyta tekst umowy i znowu oświadcza że jej nie podpisze; po czym wyjaśnia dlaczego. Svoboda zwraca się do niego aroganckim tonem, jak generał do szeregowego. Kriegel odpowiada ostro, że nie jest chłopackiem którego można strofować. Svoboda wpada w zupełną już furję, mówi o poczuciu odpowiedzialności, o groźbie hekatomb w Czechosłowacji. Kriegel ponawia swoją odmowę, spędza jeszcze chwilę wśród towarzyszy i zostaje odprowadzony na odwach.

Tegoż dnia wieczorem pertraktacje wkraczają w stadium końcowe. Uczestniczy w nich także Dubczek, dotąd leżący w łóżku w sąsiednim pokoju. Zjawia się na sali obrad błady po ataku serca, z zabandażowaną głową (zemdlął w łazience i uderzył się o kant umywalni). Brak natomiast Indry, który od momentu zasłabnięcia Dubczeka też skarży się na przypadłości sercowe, usunął się z rokowań i podobno położył się do łóżka.

Przed ostatnim posiedzeniem wchodzi na salę operatorzy filmowi i dziennikarze. Trzaskają aparaty, skrzypią pióra, po czym przedstawiciele filmu i prasy zostają wyproszeni. Pierwszy zabiera głos Breżniew. Odpowiadają mu Dubczek i Czernik. W powietrzu wisi zerwanie, gdyż strona sowiecka odgrzebuje stare oskarżenia z Czernej. Interweniuje Svoboda: w ten sposób do niczego nie dojdziemy, lepiej wziąć brulion układu i pertraktować punkt po punkcie, słowo po słowie. Svoboda dodaje że jest optymistą, że jeśli zebrani przyjmą zaproponowaną przez niego metodę rokowań, wszystko potoczy się jak po maśle i wojska sowieckie, w dniu swego wycofywania się z Czechosłowacji, będą przez tłum obsypywane kwiatami. Strona sowiecka potakuje i przyklaskuje. Dyskusja kończy się o północy podpisaniem umowy. Przywódcy czechosłowaccy podpisują kolejno, każdy musi na głos oznajmić: podpisuję lub nie podpisuję. Notariuszem jest Czernik. Wszyscy

podpisujący mają większe czy mniejsze wahania, nie są entuzjastami układu, ale przeważa chęć położenia kresu pertraktacjom. Smrkovsky waha się najdłużej, wreszcie podpisuje.

Po podpisaniu pozostają jeszcze dwie-trzy godziny do odlotu. Zebrani stoją w małych, przemieszanych grupkach czechosłowacko-sowieckich i rozmawiają. Do Smrkovskiego podchodzi nagle Lenart i zawiadamia go, że w jednym z przyległych salonów kremlofskich „oczekują towarzysze Ulbricht, Gomułka, Kadar i Ziurkow, prosząc na kieliszek”. Smrkovsky ma zorganizować spotkanie, przynajmniej jeśli chodzi o „dubczekowców”. Ale odpowiada bez chwili namysłu: „Towarzyszu Lenart, powiedzcie tym panom że ich nie chcemy w ogóle widzieć, a coś tu dopiero mówić o kieliszku. Nie przyjdziemy”. O swojej odpowiedzi powiadamia Dubczeka i Czernika. Obaj reagują krótkim „dobrze zrobiliście”. Dzięki temu incydentowi Smrkovsky i towarzysze dowiadują się o pobycie Ulbrichta i towarzyszy w Moskwie, i o ich zakulisowym udziale w pertraktacjach.

Omawia się kwestię powrotu do Pragi. Svoboda chce zatelefonować do Pragi i poruczyć służbie zamkowej zorganizowanie przejazdu z lotniska do miasta. Sprzeciwia się temu strona sowiecka: wszystko zorganizuje ambasador Czerwonienko. Naturalnie chodziło o to, by nikt w Pradze nie wiedział o powrocie grupy czechosłowackiej. I naturalnie nastąpił on późną nocą.

Przed podpisaniem umowy strona sowiecka obiecała „zwrócić” Krieglą, który umowy nie podpisał i nie był obecny na sali. Teraz Dubczek informuje Smrkovskiego, że przywódcy sowieccy odmawiają „zwrotu” Krieglą i zamierzają go zatrzymać u siebie. Smrkovsky mówi o tym Czernikowi i obaj podchodzą do Svobody, rozmawiającego właśnie z Breżniewem. W wyniku szybkiej konsultacji wyłaniają się dwie czteroosobowe delegacje do dodatkowych pertraktacji w sprawie Krieglą: z jednej strony Svoboda, Smrkovsky, Dubczek i Czernik, z drugiej Breżniew, Podgorny, Kosygin i Susłow. Delegacja sowiecka wyjaśnia dlaczego chce zatrzymać Krieglą: ponieważ on jeden układu nie podpisał, będzie po powrocie rzucał swoim towarzyszom kłody pod nogi i odgrywał rolę *gieroja*. Delegacja czechosłowacka odparowuje że to jej sprawa, i że bez Krieglą nie wróci do Pragi. Delegacja sowiecka ustępuje. Na lotnisku, po przemarszu przed frontem kompanii honorowej, jeden z towarzyszy sowieckich powiada: „Wasz Kriegl jest już w samolocie”. Smrkovsky każe to sprawdzić urzędnikowi ambasady czechosłowackiej w Moskwie. Tak, Kriegl jest już w samolocie, więc można się żegnać i jechać.

W Pradze „kwartet” (Dubczek, Smrkovsky, Svoboda, Czernik) podejmuje natychmiast niewdzięczny trud przekonywania

partii i całego narodu o konieczności podpisania układu i unieważnienia XIV Zjazdu. Smrkovsky odcina się od pozostałych trzech stanowczością i otwartością swoich wystąpień. Im więcej podoba się Czechosłowackim słuchaczom, tym mniej podoba się ambasadorowi Czerwonienko. W pierwszej połowie września Czernik jedzie do Moskwy dla omówienia konkretnych szczegółów i wzajemnych zobowiązań układu. Po jego powrocie odbywa się na Zamku narada w trójkę: Svoboda, Dubczek i Czernik. „Z tego faktu wywnioskowałem, że jedną z dyrektyw przywiezionych przez Czernika z Moskwy było wyeliminowanie mnie z kwartetu i stopniowe pozbawienie wszystkich sprawowanych funkcji”. Jego wniosek potwierdza się jeszcze jaskrawiej w listopadzie: na naradę z przywódcami sowieckimi w Kijowie jadą Svoboda, Dubczek, Czernik, Strougal i Husak; Smrkovsky dowiaduje się o niej z telewizji po powrocie delegacji Czechosłowackiej do Pragi. Rośnie znaczenie Husaka, rośnie też jego arogancja. Dzień po dniu, rozłożona na raty, pogłębia się izolacja Smrkowskiego w poinwazyjnym kierownictwie.

Opracował Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Józef LEWANDOWSKI

PODRÓŻ ZA MIEDZĘ

Za miedzę — to znaczy na Słowację. Jeździłem tam wielokrotnie i w istocie rzeczy, mimo dzielących gór, tylko tam miałem uczucie, że oto przekroczyłem miedzę, wpadłem na chwilę do sąsiada. Pomijając Związek Sowiecki, gdzie miałem dobrych przyjaciół, ale gdzie ani na chwilę nie opuszczało mnie poczucie, że każdy mój krok jest śledzony, także w Czechach poczucie wspólnoty rozciągało się na intelektualistów, co prawda przewodzących społeczeństwu, lecz stanowiących warstwę elitarną w morzu codziennego szwejkostwa. Takich uczuć odrębności nie doświadczałem na Słowacji.

Moje kontakty ze Słowakami dość długo ograniczały się do spotkań w Pradze. Pierwszy mój wyjazd za miedzę, na Słowację, miał miejsce w ostatnich dniach lipca lub w pierwszych dniach sierpnia 1964 roku — byłem w Pradze i wskoczyłem na jeden dzień do Bratysławy by doręczyć Miłoszowi Ruppeldtowi napisany w pośpiechu artykuł na dwudziestą rocznicę Powstania Słowackiego. Jak wiadomo, było ono przez dłuższy czas wyklęte, jego przywódcy i dowódcy siedzieli w więzieniu. Teraz powstanie zrehabilitowano, uznano za świętą tradycję, ludzi wypuszczono na wolność i zapowiedziano uroczyste obchody z udziałem nie tylko czechosłowackich notabli, ale i Chruszczowa. Czechosłowacja w tych latach była w stanie podskórnego wrzenia, i opozycjoniści starali się by obchody rocznicowe przeobraziły się w manifestację sił demokratycznych. O napisanie artykułu okolicznościowego prosił mnie Mnaczk, podówczas naczelny redaktor pisma *Kulturny život*, które odgrywało dużą rolę polityczną jako skupisko tendencji zwanych wtedy rewizjonistycznymi.

W Bratysławie wręczyłem maszynopis Ruppeldtowi, z Mnaczką zamieniwszy tylko pozdrowienia, i szybko udałem się do G., łączniczki Husaka jeszcze z okresu okupacji. Przesiedziałem u niej

kilka godzin, dzielących mnie od pociągu do Pragi i stamtąd do Warszawy. Czyli za pierwszym razem niewiele widziałem i w niewielu rzeczach się zorientowałem. Ale nawiązane wówczas kontakty nieoczekiwanie nabrały trwałego charakteru.

Późną jesienią zawiadomił mnie Ruppeldt, już nie pamiętam za czym pośrednictwem, że niebawem nadejdzie dla mnie zaproszenie do udziału w zjeździe Słowackiego Towarzystwa Historycznego, który ma się odbyć w czerwcu 1965 roku. Wniosek w tej sprawie złożył Husak, formalnie asystent Zakładu Historii Prawa Słowackiej Akademii Nauk.

Sprawy czechosłowackie wciągały mnie wówczas coraz bardziej. Z rozwojem wydarzeń w Czechosłowacji wiązałem duże nadzieje. Należałem do pokolenia, dla którego „październik” 1956 roku był wielkim wydarzeniem, kształtującym późniejsze postawy życiowe. W okresie „października” dokonano w Polsce bardzo dużo. Ta suma praw i wolności, jakie sobie w 1956 roku wywalczyli Polacy, była ciągle przedmiotem nieziszczalnych marzeń w innych krajach tzw. demokracji ludowej, nie mówiąc o Związku Sowieckim. Do Polski przyjeżdżali intelektualisci z kadeelów, by odetchnąć panującą u nas atmosferą, otrzeć się o zakazane gdzie indziej prądy umysłowe i idee. Tradycja „października” przez długi czas paraliżowała ciągoty władz do ponownego wzięcia za „mordę” społeczeństwa — władze były skompromitowane chwilą niemocy, a społeczeństwo zasmakowawszy w wolności, nawet tej małej, ograniczonej, nie kwapiło się do posłusznego wkładania głowy w jarzmo. Zaciskaniu pętli na jednym odcinku towarzyszyło przerywanie zapór na innym. Ten stan dziwnej stagnacji trwał mniej więcej do prowokacji marcowej 1968 roku, gdy władze przeszły do stanowczego, brutalnego ataku.

Oglądani z zewnątrz byliśmy przedmiotem zawiści, ale sami powodów do radości mieliśmy niewiele. Władza była skompromitowana, miała jednak przewagę organizacji; ruch październikowy zaś dużo zdziaławszy i ciągle będący ożywym źródłem tradycji, nie potrafił stworzyć ani organizacji ani ideologii, to jest czynników cementujących społeczeństwo i pozwalających działać w sposób celowy. Opór społeczeństwa przeciwko ofensywie neostalinizmu był żywiołowy — wiadomo było, że to czego chcą władze jest złe, i co do tego wszyscy się w Polsce zgadzali, ale o co należy walczyć, czego chcieć — nad tym mało kto się zastanawiał.

Specjalny niepokój budził ruch moczarowców, zapowiadający nową wszechwładzę policji politycznej. Panował stan ogólnej nieumożności, nadwątlały się zapasy energii w działaniu.

Dla mnie źródłem otuchy był rozwój wydarzeń w Czechosłowacji. Zdawałem sobie sprawę, że dzieją się tam sprawy wielkie. Z ruchem rewizjonistycznym w Czechosłowacji zetknąłem się — tak mi się wówczas wydawało — przypadkowo, z racji moich zainteresowań naukowych. Teraz widzę, że przypadkowości było w tym mało: mnie ciągnęło do tamtejszych rewizjonistów, a dla nich miałem pewną wartość jako ktoś z Polski, uczestnik ruchu „październikowego”. Moi czechosłowaccy koledzy chętnie by się kontaktowali z kimś bardziej niż ja „reprezentatywnym”, bieda w tym że nasi „reprezentatywni” zupełnie nie interesowali się tym, co się dzieje w Czechosłowacji.

Zaangażowaniu politycznemu podporządkowałem również sprawy naukowe; pociągało mnie porównanie struktur społecznych Polski i Czechosłowacji między dwiema wojnami światowymi. Badania te uważałem za bardzo ważne przede wszystkim z punktu widzenia historii Polski, dla zrozumienia elementów typowości i wyjątkowości w naszych dziejach najnowszych. Nie udało mi się moich badań skończyć, w pewnym momencie przerwała je emigracja, ale i to co zdążyłem opublikować jakieś tory w Polsce przetrzało.

Perspektywa spędzenia kilku dni na Słowacji była więc dla mnie przyjemna i ze względów politycznych i naukowych, a zaproszenie dowodziło, że moje wysiłki znajdują na Słowacji zrozumienie.

Ruppeltd pisał do mnie jesienią, tymczasem mijała zima, zbliżała się wiosna, a jego zapowiedź się nie potwierdzała. W marcu wyjeżdżałem na kilka miesięcy do Związku Sowieckiego z inicjatywy Jabłońskiego i wątpiłem, czy wezmę udział w projektowanym zjeździe. Nie podejrzewałem moich słowackich kolegów o złą wolę czy bałaganiarstwo, myślałem po prostu, że osoba wnioskodawcy spowodowała przeciwdziałanie władz — stalinowcy w Czechosłowacji przeszli w drugiej połowie 1964 roku do kontrofensywy! mało kogo co prawda posadzono, ale wielu ludzi straciło zajęcia.

Ku mojemu zaskoczeniu w połowie kwietnia, już w Związku Sowieckim otrzymałem wiadomość że zaproszenie dotarło wreszcie do Warszawy, że organizatorzy oczekują mnie w Bańskiej Bystrzycy 16 czerwca 1965, w dniu otwarcia zjazdu. Tak się składało, że akurat wracałem na krótko do kraju, by wygłosić referat na sesji Instytutu Historii w Warszawie, poświęconej problemom środkowo-europejskim, mogłem więc podjąć wysiłki by mój wyjazd do Bańskiej Bystrzycy doszedł do skutku. Dużej nadziei nie miałem — przecież przyłożenie w paszporcie zagranicznym stempelka „ważny na terenie Czechosłowackiej Repu-

bliki Socjalistycznej” zajmuje normalnie 6 tygodni. Ku mojemu zdziwieniu — udało się! Widocznie nie budziłem wielkiej zawiści. Nikt jej nie odczuwał z powodu tygodniowego wyjazdu na wojewódzką imprezę w powiatowym mieście, wyjazdu niezbyt atrakcyjnego ani turystycznie ani materialnie.



Czechosłowacja nie była w Polsce — do stycznia 1968 roku — zbyt popularna. Zaraz po wojnie zaznaczył się co prawda jakiś przypływ uczuć słowiańskich na linii Warszawa-Praga, odwiedzano się wzajemnie, dużo tłumaczono i wystawiano, ale okres ten szybko przeminął. Przywódcy nadal ślinili się w objęciach, coraz jednak rzadziej — Stalin niechętnym okiem patrzył na wzajemne kontakty przywódców demokracji ludowych. A i takiej choćby przyjaźni na pokaz nie było w społeczeństwach. Gazety pisały o obopólnej przyjaźni, w rzeczywistości panowało obopólna pasywna niechęć. W Polsce miano za złe Czechom i Słowakom ich słowianofilizm, wyrażający się aktualnie w przymi- laniu się do Rosjan, ale i reżymowców irytowało to, że Czesi sprytniej niż Polacy potrafili sobie zaskarbić łaski „wielkiego brata”, co bez wątpienia było faktem — przywódcy sowieccy przez długie lata uważali Czechosłowację za najpewniejsze ogniwo „obozu”. Odwiedzających Pragę Polaków szczególnie irytowały złożone tablice na murach, sławiące poległych w powstaniu w maju 1945 roku. Powstanie Praskie wydawało się czymś nieprawdziwym, propagandą lub bluffem. Uporczywie nie chciano zrozumieć wzajemnego uwarunkowania losów, prostej prawdy że nie ma wolnej Polski bez wolnej Czechosłowacji i odwrotnie.

Owszem, rodacy jeździli do Pragi, przywoząc do kraju obuwie i bieliznę, a tam sprzedając wódkę i papierosy, zazdroszcząc Czechom o wiele wyższej stopy życiowej i lepiej zaopatrzonych sklepów, na tym jednak znajomość czechosłowackich realiów się wyczerpywała. W społeczeństwie dominowało przypuszczenie że w Pradze, a tym bardziej w Bratysławie, nic godnego uwagi się nie dzieje, bo dzieć się nie może. Ruch umysłowy w Czechosłowacji? — bajki, panie dzieju. Iluż to mógłbym wyliczyć profesorów, docentów i pisarzy, którzy z nieukrywaną dumą podkreślali, że nic w języku czeskim nie potrafią przeczytać! Charakterystyczny przykład: ulubiony temat historiografów w PRL to międzynarodowy wpływ polskich powstań w XIX wieku. Szukano go wszędzie i wciąż, rejestrując każdy drobny przejaw rezonansu polskich wydarzeń. A tymczasem nikt, dosłownie nikt, z naszych peerelowskich prominentów naukowych nie dostrzegł,

że największy wpływ powstania wywarły właśnie w Czechach i na Słowacji. Nie dostrzegł tego Jabłoński; pół biedy jeszcze w zestawieniu z Kieniewiczem, którego jako specjalistę okresu specjalnie informowałem, wypożyczając mu nawet książki z mojej biblioteki.

Pamiętam jak Jurek B. próbował zachęcić do wydania w Polsce „Dialektyki konkretności” Karela Kosika. Miał imponujące stosunki w branży wydawniczej, nie potrafił jednak przełamać bariery obojętności. Jego rozmówcy chętnie drukowali odwilżowe publikacje sowieckie, nie interesowali się czeskimi.

Trochę zyczliwiej traktowano Słowaków. Ci, którzy się z nimi stykali, chwalili ich styl życia, zwłaszcza umiejętność picia, brak skomplikowania i wyrachowania. Ale były to sympatie, powiedzmy sobie szczerze, na nieco niższym pięttrze. Istnienia słowackiego ruchu intelektualnego nie podejrzewano.

Czesi nas też nie lubili. Nie podejmuję się odpowiedzi na pytanie, co i dlaczego drażniło Czechów — wolałbym na ten temat wysłuchać czeskiej opinii, niż snuć własne rozważania. Czesi Polaków nie lubili, ale w latach sześćdziesiątych krąg ludzi w Pradze sympatyzujących z Polską był szerszy i ciekawszy, niż krąg czechofilów w Warszawie. Ku Polsce były zwrócone spojrzenia tych wszystkich, którzy sympatyzowali z „październikiem” i chcieli go u siebie. Polonofilstwo miało tam również swoją głębszą, historyczną tradycję, zarówno tę o której już mówiłem, z 1830 i 1863 roku, jak i nowszą. W stronę Polski tradycyjnie były zwrócone oczy tych, którzy chcieli przezwyciężyć kompleks rodzimego drobnomieszczaństwa. U nas do Powstania Praskiego odnoszono się pogardliwie. A Powstanie na pogardę nie zasługiwało. Było walką. Że nie było masowe? — to nie umniejsza zasług tych, którzy walczyli. Duży wpływ na nie wywarło Powstanie Warszawskie. Podjęli je w Pradze podporucznicy ostatnich przedwojennych promocji, studenci, inteligentni robotnicy. Rzucili wyzwanie gnuśności własnego społeczeństwa. Ot, jak gdyby podchorążowie listopada. Na marginesie — pokolenie powstańców to pokolenie późniejszych, czołowych działaczy praskiej wiosny 1968 roku.

Również odradzający się ruch słowacki miał dla Polski dużo sympatii i liczył na to, że sympatie te będą dostrzeżone i odwzajemnione. Słowaccy intelektualiści bardzo liczyli na pomoc swych polskich kolegów. Było mi przykro, że jadąc na zjazd reprezentowałem tylko i wyłącznie siebie.

W Warszawie czechofilów nie było. Nie było nawet Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Czechosłowackiej — co stanowiło wy-

łom w ogólnej strukturze biurokratycznej. Ponieważ jednak Czechosłowacja była „przyjacielem”, gazety musiały odwalać pańszczyznę tej przyjaźni i dość łatwo znajdowałem łamy dla jej krzewienia.

Pierwszy mój postój był w Bratysławie. O przyjeździe nie informowałem nikogo, bo nawet nie miałem na to czasu. Zresztą, znając słowacką gościnność, nigdy bym tego nie uczynił. Już na miejscu zadzwoniłem do Ruppeldta. Po godzinie siedziałem przy długim stole w piwnicy literatów w towarzystwie pisarzy, dziennikarzy, muzyków, fajnych kumpi, których widziałem po raz pierwszy i których w większości nie dane mi było więcej widzieć. A o tych, z którymi więzi przetrwały próbę czasu — wspominać nie mam prawa, by nie przysparzać im nowych, dodatkowych zmartwień w ich i bez tego niewesołym życiu.

Zatrzymam się tylko przy osobie Miłosza Ruppeldta — temu już nikt i nic zaszkodzić nie może. Miłosz był niewątpliwie jedną z najciekawszych postaci słowackiego życia kulturalnego i politycznego owych lat. Potomek starej rodziny ewangelickich pastarów, należał do dziedzicznego słowackiego patrycjatu. Jako młody chłopiec wstąpił do ruchu oporu w czasie II-ej wojny. W 1943 roku, na zlecenie wyższych władz, sporządził elaborat o układzie sił politycznych i społecznych na Słowacji; ten memoriał po dzień dzisiejszy jest przedmiotem ciągłych analiz naukowych, choć był dziełem dwudziestoletniego chłopca. Przekradł się z nim via Madryt do Londynu, gdzie zaprzyjaźnił się z Clementisem, który później mianował go szefem swojego gabinetu. Od aresztowania uchroniło go to, że był akurat na placówce w Indiach. Wróciwszy stamtąd, nie trafił co prawda do piekła, ale czyścić go nie ominął. Pozwolono mu wreszcie pracować w dziennikarstwie, jako bezpartyjnemu popychadłu. Wbrew intencjom władz i na tym polu wysunął się na czoło słowackiej publicystyki. Zналиśmy się od roku i sam właściwie nie wiem, dlaczego nasz dość przypadkowy kontakt nabrał cech trwałości.

W czasie popijawy w klubie literatów Miłosz jak zawsze błyszczał dowcipem, ale wyczuwało się w nim gorycz i zmęczenie. Piliśmy dużo. Po zamknięciu piwnicy przenieśliśmy się gdzieś indziej, a później do rana błakaliśmy się po mieście. Miłosz co chwila przystawał, by opowiadać mi niezapisane, tragiczne dzieje: Tu mieszkali Żydzi, tu była szkoła do której chodziłem, tu była kancelaria adwokacka Clementisa, tu na poddaszu mieszka wdowa po nim. Patrz jak się dawne czasy rozplývają... Wyszliśmy nad Dunaj. Była powódź, wody wielkiej rzeki podchodziły pod grzbiet wałów ochronnych, grożąc zalaniem miasta. Z trudem

znosiłem atmosferę smutku. Jechałem do Czechosłowacji z nadzieją. Znałem jej intelektualistów, miałem kontakty z robotnikami. Wiedziałem jak wielką pracę wykonali intelektualiści czechosłowaccy dla przezwyciężenia psychiki „małego czeskiego człowieka”, myślącego tylko o własnym dobrobycie i widzącego świat przez pryzmat kufła piwa. Przebywając w Czechosłowacji czułem że warto działać. Miłosz tej nadziei nie miał i był zdecydowanym pesymistą. Nie demonizował siły reżymu, ani nie liczył się z sowiecką interwencją. Bał się przede wszystkim tego, że ruch w Czechosłowacji i gdzie indziej jest bez perspektyw. Jak dotychczas — tłumaczył mi — i wy w Polsce i my tutaj potrafiliśmy tylko powiedzieć czego nie chcemy. Wszyscy deklarujemy, że chodzi nam o uzdrowienie systemu i że działamy dla jego dobra. To nieprawda, czasem taktyczny chwyt, częściej jednak rezultat powierzchowności myślenia. To co uważamy za błędy ustroju jest jego treścią. Ustrój bez swoich wad nie może się obejść. A więc będziemy się beznadziejnie szamotać, czasami coś wskóramy, nie przeczę że są pewne osiągnięcia, ale nadziei wielkiej nie mam — stalinowcy lepiej wyrażają prawidłowości ustroju i to oni muszą w perspektywie historycznej wziąć górę.

Zbijałem jego argumenty, bo bardzo potrzebowałem optymizmu. Teraz po latach widzę jak naiwne były moje myśli, i jak powierzchowne. Moich argumentów Miłosz nie atakował, po prostu nie brał ich pod uwagę.

Później widzieliśmy się jeszcze kilka razy, ale ten nocny spacer przez milczące miasto kamieniem tkwi w pamięci. Dwa lata później otrzymałem z Bratysławy list w czarnej obwódce: 4 września 1967 roku zmarł w wieku lat 44 wybitny pisarz i publicysta Miłosz R. Zadzwoiłem do przyjaciół. Przypuszczenia potwierdziły się. Samobójstwo. To było we wrześniu. Opowiadają, że to w ogóle był trudny moment dla wielu. Ale trudne momenty mijają. Nie wiadomo skąd przyszły radosne wieści o buncie w czechosłowackim politbiurze w styczniu 1968 roku. Pierwszy list, który otrzymałem z Pragi zawierał wyrazy bólu z powodu braku Miłosza. Potem wszystko zaczęło się gmatwać. Praska wiosna była próbą wyzwolenia się przy jednoczesnym uznawaniu zwierzchniej roli Związku Sowieckiego, czyli próbą — nie tylko zresztą w tym — jednoczesnego stania na głowie i na nogach.

Wydarzenia 1968 roku należą już do historii. Czytam rozprawy i rozprawki im poświęcone, niektóre lepsze, inne gorsze, prawdy i półprawdy o wydarzeniach i ludziach. W czasie tej krótkiej wiosny ludzie przemówili pełnym głosem. Chciałbym i ja utrwalić pamięć przyjaciela, jednego z tych, którzy w warun-

kach niewoli podcinali jej korzenie. Wierzę że, Słowacy nie zapomną o Miłoszu.



O godzinie czwartej nad ranem odprowadziłem Miłosza do domu i wróciłem do hotelu. O piątej miał przyjechać do hotelu profesor Gosiorovsky, by mnie zabrać samochodem na miejsce obrad. Gosiorovsky był Słowakiem w pierwszym pokoleniu — jego ojciec, sproletaryzowany szlachcic spod Wadowic, przywędrował przed I wojną na Słowację w poszukiwaniu chleba i osiadł w samym jej sercu, w Turczańskim Świętym Marcinie. Syn jednak polskim już nie władał, i mimo że kiedyś dogadał się do pokrewieństwa z Natalią Gąsiorowską, miał raczej wątpliwości z Polską.

Rozmawiało nam się łatwo. Obydwaj byliśmy samoukami, *homines novi* w nauce, ludźmi o skomplikowanych drogach życiowych, ponadto mieliśmy szereg wspólnych przyjaciół, a nawet kilku wspólnych wrogów. Mój rozmówca był związany z ruchem komunistycznym od bardzo młodych lat. Nie wiem ile uzasadnienia a ile prowokacji było w twierdzeniu Novotnego (w 1964 roku), że Gosiorovsky oraz inny czołowy słowacki uczony Ondrej Pavlik ponoszą w dużej mierze odpowiedzialność za błędy i wypaczenia w walce przeciwko odchyleniu prawicowo-nacjonalistycznemu na Słowacji. Rudolf Hoffman z dziecięcą szczerością serca bronił Gosiorovskiego. Niewątpliwie atak ze strony Novotnego był spowodowany tym, że Gosiorovsky i Pavlik odgrywali dużą rolę w ruchu rewizjonistycznym na Słowacji i cieszyli się tam dużą popularnością.

Z Gosiorovskim widziałem się po raz ostatni w grudniu 1968 roku w Warszawie, już po inwazji. Został do nas przysłany przez Husaka dla nieoficjalnego sondażu sytuacji i nastrojów. Jego przyjazd był polskim władzom nie na rękę i nikt z tzw. czynników nie chciał z nim rozmawiać. Dla odcięcia go od niepożądanych kontaktów umieszczono go nie w hotelu, lecz w pałacu zjazdowym PAN-u w Jabłonie, odległej od śródmieścia o półtorej godziny jazdy autobusem i tramwajem.

Przyjechawszy do Warszawy, Gosiorovsky poprosił swego cicerona o kontakt ze mną. Ten jednak, mimo że pracowaliśmy w tym samym pokoju ufał że nie wie o kogo chodzi. Nie wiem, czy czynił to na polecenie rządzących instytutem „młodych-silnych”, czy też bezpośrednio na polecenie władz bezpieczeństwa. Zresztą, czy to takie ważne?

Nazajutrz, przechodząc koło Ogrodu Saskiego, zobaczyłem w tramwaju znajomą twarz. Tego samego dnia siedzieliśmy u nas

na Bielańskiej i zalewaliśmy robaka. Gosiorovsky był pierwszym człowiekiem „stamtąd”, z którym rozmawiałem po inwazji. Mówiliśmy o tym, jak wielką szkodę wyrządził Czechom i Słowakom rusofilizm. Rusofilizm ten był dobrze znany, pisano o nim w Polsce z odrazą, w Rosji z emfazą (na przykład Erenburg). W Czechosłowacji rusofilizm budził nadzieje u rewizjonistów, nadzieje dość komiczne, że proces demokratyzacji nie wywoła sowieckich podejrzeń i wrogości. Ostatnie lata poczyniły w rusofilstwie wyłomy, ale nadal tkwił w społeczeństwie, rozbrajając je w obliczu niebezpieczeństwa agresji sowieckiej.

Oto przebieg inwazji, tak jak ją widział mój rozmówca: W jasną noc sierpniową o godzinie czwartej nad ranem zadzwonił telefon. Wyrwany ze snu Gosiorovsky burknął: „Kto się wygłupia?”. Usłyszał zapłakany głos koleżanki: „Wkroczyli!”. Nie znalazł nic sensowniejszego, niż ponownie burknąć: „Nie wygłupiaj się!”. Ale w międzyczasie docierające z oddali niejasne hałasy skonkretyzowały się. Nadciągały samoloty, zbliżały się czołgi. Reszta rodziny obudziła się. Siedemnastoletnia córka z przerażeniem spytała: „Co, Niemcy?” i zemdląła. To że mogą wkroczyć Rosjanie nie przychodziło dziewczynie, ponoć nad wiek rozwiniętej, do głowy.

— Wiesz, czego się najbardziej boję? — ciągnął — że zostaną wznowione zajęcia na uniwersytecie, i że studenci w czasie seminarium zapytają mnie, czy postępowanie ks. Tisy i „ludaków” w marcu 1939 roku, gdy pod naciskiem Hitlera zdecydowali się na rozczłonkowanie Czechosłowacji, też nie było „postępowaniem wymuszonym przez sytuację” (tak skomentował Svoboda zgodę na sowiecką okupację).

Nadal jednak wierzyliśmy w grudniu 1968 roku, i on i ja, że być może sowiecka ingerencja w sprawy czeskosłowackie ograniczy się do tego pułapu który osiągnęła, że społeczeństwo zachowa — dzięki swej fenomenalnej solidarności — wewnętrzną niezależność. Perspektywy Czechosłowacji wciąż rysowały się jaśniej niż Polski.

Gosiorovsky, jako rektor uniwersytetu w Bratysławie, potwierdził wcześniejszą ofertę swej uczelni objęcia tam przeze mnie profesury. Dyskutowaliśmy tylko, czy ma to być katedra historii Europy Wschodniej czy też Polski, no i czekaliśmy odpowiedniego momentu dla załatwienia sprawy z władzami polskimi. Przeszło niewiele miesięcy i sprawa sama przez się upadła. I człowiek się zmienił i rzeka była inna.

Ale wróćmy do samochodu, wiozącego nas wczesnym rankiem do Bańskiej Bystrzycy. W samochodzie znajdowała się jeszcze jedna osoba, prorektor uniwersytetu, prawnik. Poprawny, wielce

troszczący się o swój wygląd, bezbarwny. W rozmowie prawie nie brał udziału i wydawało się, że niewiele ma do powiedzenia. Gdy w 1968 roku w komunikatach prasowych poczęło pojawiać się nazwisko robiącego zawrotną karierę państwową Jana Colotki, nie od razu uświadomiłem sobie o kogo chodzi. Czy doprawdy słowacka wiosna musiała szukać poparcia ludzi aż tak bezbarwnych? Colotka był — o ile pamięć mnie nie zawodzi — kolejno premierem Słowacji, wicepremierem republiki, przewodniczącym zgromadzenia ustawodawczego. Natomiast nie zdziwiłem się, gdy Colotka okazał się pionkiem Husaka w brudnej grze przeciwko Smrkovskiemu — tu był na miejscu.

Smrkovský, jeden z wielkich inspiratorów „czechosłowackiej wiosny”, był drzazgą w oku i Sowietów i Husaka. Pierwsze ataki przeciwko niemu były zawołowane — chciano ponoć tylko, by stanowisko przewodniczącego parlamentu objął jakiś Słowak, dla uniknięcia dominacji Czechów. Ale jednocześnie wyłaniał się problem kim go zastąpić. Husak myślał początkowo że zastąpi go Laco Novomeský, ale poeta czy to był rzeczywiście chory, czy też nie zamierzał być pionkiem w tej grze, dość że odmówił. Husak zwrócił się do Gosiorovskiego, który również odmówił. Colotka nie miał cienia tego autorytetu co poprzedni kandydaci, piastował już jednak wysokie stanowisko i uchodził za człowieka z ekipy Dubczeka. A przede wszystkim był gotów do odegrania brudnej roli. W 1965 roku, na zjeździe historyków, Colotka żadnej roli nie odgrywał, nie przemawiał, nikt nań nie zwracał uwagi i w ogóle znikł z horyzontu. Zresztą, kto wie w jakim celu przyjechał?



Zjazd miał dość duże znaczenie naukowe. Wiązało się ono ze szczególnym znaczeniem badań historycznych w ówczesnym stadium rozwojowym narodu słowackiego. Słowacy są typowym narodem niehistorycznym. Podobnie jak Białorusini i Macedończycy, a do pewnego stopnia Ukraińcy i Litwini, stanowili oni na przestrzeni wieków masę etniczną, pozbawioną państwa, kontynuacji w historii politycznej, bez własnej nauki i warstwy intelektualnej. Kultura słowacka przez długi czas nie miała siły przyciągania.

W rezultacie Słowacy tracili na rzecz Węgier swą szlachtę i rodzącą się inteligencję, i to od najniższego szczebla urzędniczego poczynając. Powstawała sytuacja znana nam dobrze z polskich okrain: pasący gęsi lub krowy był Białorusinem lub Litwinem, ale nauczwszy się pisać i wdziawszy buty stawał się Polakiem, i to na ogół Polakiem z neofickim zacierzowaniem. Gdy w 1918

roku Słowacja weszła w skład Czechosłowacji, w kraju liczącym ponad półtora miliona Słowaków tylko 3 tysiące „inteligentów” przyznawało się do swej narodowości, w tym połowę stanowiły wiejskie akuszerki, kilka setek wiejskich (przeważnie) księży, nauczycieli itd. Lekarzy, adwokatów, inżynierów — można było zliczyć na palcach, czasami na palcach jednej ręki.

Początki światowego życia narodowego datują się od przełomu XVIII i XIX wieków, kiedy pod wpływem niemieckiego romantyzmu wiejscy księża przystąpili do pielęgnowania gwary wiejskiej i podnoszenia jej do rangi języka literackiego. Niezależność od Węgier w 1918 roku nie była zdobyta przez Słowaków — brakowało sił i świadomości narodowej w masach, — lecz uzyskana przez Czechów, co odbiło się na położeniu Słowaków w Czechosłowacji. Pierwsze pojawienie się Słowacji i Słowaków na arenie międzynarodowej w okresie ofensywy hitleryzmu zostało głęboko kompleksy, które wyleczyła chyba dopiero popularność Dubczeka.

Nauka historyczna zjawiała się tu późno, przez długi czas ograniczała się do wyciągów z dzieł węgierskich, i dopiero na pewnym etapie rozwoju mogła się zabrać do stworzenia systematycznego wykładu dziejów ojczystych. Tu właśnie, na Słowacji, szczególnie wyraźnie było widać jak dalece historia jest niezbędna dla pełnego istnienia narodu, dla jego kształtowania się.

Pierwsza promocja sekcji historycznej Uniwersytetu Komeńskiego otrzymała u progu lat pięćdziesiątych zadanie stworzenia instytutu historii. Jednego z nich, Holotika, mianowano dyrektorem, Tibenskiego, Kropilaka i Mesarosza — zastępcami, Ratkosza i Liptaka — kierownikami działów. Na to posunięcie ówczesnych władz można patrzeć rozmaicie, również od strony humorystycznej, zwłaszcza że pierwsze prace, pisane w okresie stalinowskim, były pełne niezamierzonego komizmu. Z perspektywy czasu jednak wszystko to wyglądać musi inaczej. Okazuje się, że ten sposób nominacji naukowej był w rezultacie nie gorszy niż nepotyzm, umizgi do żon profesorskich i „nasze” krajowe partyjne nominacje. Większość młodych historyków słowackich pokazała klasę. Tibensky i Mesarosz są autorami dwóch tomów dziejów Słowacji, a prace Liptaka i Ratkosza stoją na europejskim poziomie. Bodajże jeden tylko Holotik okazał się zerem naukowym, co pchnęło sympatycznego ponoć ongiś młodzieńca na drogę jawnej kolaboracji z sowieckimi okupantami.

Dla oddania atmosfery zjazdu w Bańskiej Bystrzycy należy dodać, że większość aktywnych uczestników stanowili moi rówieśnicy z rocznika 1923, co ułatwiało konwersację przy kawie i palinice. Starsi uczestnicy byli rzadkością.

Jako polski przedstawiciel byłem w sytuacji nieco uprzywilejowanej. W Czechach było wówczas dużo tęgich uczonych, ale naukę czeską reprezentował ktoś tęgi tylko fizycznie. Wygłosił przemówienie powitalne, nie zupełnie zresztą na temat, i odsunął się na bok. Zdaje się, że umiejętność mówienia nie na temat była jego dużą zaletą — na zjeździe padało dużo cierpkich słów pod adresem Pragi, a sytuacja wymagała udawania, że się jej nie słyszy. Węgierska delegacja liczyła bodajże pięć osób, ale nikt z nich nie wygłosił nawet powitania — Węgrzy tylko notowali skwapliwie, wymieniając po cichu między sobą uwagi. Zaproszonych historyków sowieckich Moskwa nie wypuściła, a proponowanych przez Moskwę Słowacy nie chcieli u siebie gościć.

Na zjeździe spotkałem się z Husakiem, było to nasze pierwsze spotkanie. O Husaku mało na świecie wiedzano przed latem 1968 roku — jego kariera przebiegała na Słowacji, a już to samo usuwało go w cień. Husak był typowym *homo novus*. Syn zwrotniczego, na dodatek z wielodzietnej rodziny, tylko uporczywości, a tej mu nie brakowało, zawdzięczał ukończenie gimnazjum i studiów uniwersyteckich. Skończył prawo. Upadek Czechosłowacji zastał go na posadzie jednego z aplikantów w kancelarii adwokackiej Clementisa, która była sztabem ruchu komunistycznego na Słowacji.

W czasie wojny trzydziestoletni Husak wysunął się na jedno z czołowych miejsc w słowackim ruchu komunistycznym. Ruch ten miał — przynajmniej w porównaniu z naszą PPR — dość silne oparcie w masach, zwłaszcza gdy klęska Hitlera stawała się coraz bardziej dostrzegalna, lecz nie miał ludzi wykształconych. Dzieląc tę rolę z Novomeskym, stał się Husak intelektualistą ruchu. Później, w 1944 roku, był w kierownictwie powstania, choć odgrywał rolę mniejszą, niż tego chce kolportowana przez jego zwolenników legenda. Natomiast mało mówiono o jego działalności w latach 1945-1950 — ta strona biografii nie nadawała się do eksponowania, wyglądało na to, że Husak chciał by zapomniano jak żelazną ręką wprowadzał stalinizm na Słowacji, deptał własne przyrzeczenia, niszczył siły demokratyczne. Przyznaję jednak, że wówczas nie zwracałem na to większej uwagi, wydawało mi się, że odkupił grzechy późniejszym zachowaniem się, zwłaszcza postawą w śledztwie. O tym krążyły legendy, sam zresztą dość dużo i chętnie opowiadał jak go torturowano. Jako jeden z nielicznych nie załamał się, nie przyznał, nie obciążył innych.

Temu ponoć zawdzięcza ocalenie: nie można mu było wytoczyć procesu pokazowego. Proces był tajny, skazano go na doży-

wotnie więzienie, ułaskawiono w 1960 roku. Wszystko to odbywało się po cichu.

Dla mnie nazwisko to zaistniało w 1963 roku, w rozmowie z Rudolfem Hoffmanem. Otaczał on Husaka bezkrytycznym uwielbieniem i spełniał rolę jego praskiego reprezentanta. W tym momencie Husak był dla dużej części społeczeństwa słowackiego człowiekiem-sztandarem, powoływano się na niego zastępowało i ideologię i organizację. Trochę to niepokoiło, przypominało naszą krajową wiarę w Gomułkę.

Mój sceptycyzm nie przeszkadzał temu, że za pośrednictwem Rudolfa nawiązałem z Husakiem kontakt; korzystając z dostarczonych mi tą drogą materiałów, opublikowałem w prasie tygodniowej oraz w czasopismach naukowych kilka artykułów, w których nazwisko Husaka pojawiło się po raz pierwszy nie tylko w Polsce, ale chyba w ogóle poza granicami Czechosłowacji. Husak zajmował się wówczas gorliwie działalnością przypominającą sowiecki *samizdat*, nazywał swoje dzieło „podziemnym wydawnictwem komunistycznym” i chciał bym mu pomóc szmuglować ten *samizdat* za granicę. Takich możliwości nie miałem, zresztą nie tylko słowacki ale i czechosłowacki *samizdat* nie wzbudzał wówczas zainteresowania u korespondentów prasy zachodniej, którzy długo, przeraźliwie długo, nie mogli się zorientować, że w Czechosłowacji coś się dzieje. Gdy w dwudziestą rocznicę wybuchu Powstania Słowackiego ukazał się tom wspomnień Husaka, przesłał mi go z serdeczną dedykacją i datą rocznicy: 29 sierpnia 1964 roku.



Husak miał atrybuty gracza politycznego w dużym stopniu. Wiedziałem, że zaraz po wyjściu z więzienia przystąpił do działania. Nie wiem czy miał wówczas jakąś koncepcję, jakąś ideologię, ale miał na pewno potrzebę udziału w życiu politycznym. Konsekwentnie odrzucał proponowane stanowiska wiceministra i ministra, bo nie zadawały go, bo ich przyjęcie pozbawiłoby go swobody działania, oderwało od Słowacji, a poza tym nie odpowiadało jego ambicjom. Zdawałem sobie sprawę, że potrafił dokonać dużej sztuki — stać się czynnikiem politycznym nie zajmując oficjalnie żadnego stanowiska, być przywódcą opozycji utrzymując się w ramach partii. (O tym, że udzielał mu swego poparcia i ochrony Dubczek, wiedział mało kto).

Zastanawiam się natomiast, jakie wówczas zrobił na mnie wrażenie jako człowiek. Staram się nie zapominać, że piszę po upływie niemal dziesięciu lat. Przez ten czas wiele się zmieniło.

Wiem teraz to, czego wówczas nie wiedziałem, a co natrętnie wciska się do wspomnień. W międzyczasie nie tylko Husak stał się inny, ale i ja się zmieniłem i na moje ówczesne wcielenie spoglądam z dystansem i ironią.

Najłatwiej by mi było napisać, że od razu wydał mi się nie-sympatyczny, że przeczuwałem jego zamiary, że ostrzegałem innych. W takim ujęciu byłoby nieco prawdy i znacznie więcej nieprawdy.

Nasza pierwsza rozmowa toczyła się w towarzystwie Gosiorovskiego, byłego dygnitarza a teraz naukowca Edo Frisza, oraz czołowego dziennikarza słowackiego Juraja Fabiana. Rozmowa nie kleiła się. Husak w stosunku do swoich słowackich kolegów przybierał ton zwierchnika, a ci skądinąd rozsądni ludzie przyjmowali to w pokorze. Z boku wyglądało to komicznie. Próbowaliśmy rozładować sytuację, ale z nie najlepszym skutkiem. Mniej więcej po roku przeczytałem artykuł Eugena Loebła na jakąś rocznicę urodzin Husaka. Loebł podkreślał jego nieumiejętność nawiązywania kontaktów z ludźmi, zawierania przyjaźni. Loebł tłumaczył to pracowitością. Być może; mnie się raczej wydawało, że Husak nie ma poczucia humoru i dystansu wobec samego siebie, co na jedno zresztą wychodzi. (Loebł był — według wyznania samego Husaka — jednym z jego nielicznych prawdziwych przyjaciół. Do czasu. Po wkroczeniu wojsk Paktu Warszawskiego Loebł opuścił Czechosłowację).

Późniejsze rozmowy, bez udziału osób trzecich, wypadły lepiej. O czym rozmawialiśmy? Przede wszystkim o sytuacji w Czechosłowacji i o perspektywach jej rozwoju. Mój rozmówca rad by był wszystko burzyć, nie zostawiając kamienia na kamieniu, ja zaś dostrzegałem sukcesy działania organicznego. Z dużą chyba dozą naiwności klarowałem mu, że dla Czechosłowacji reżym Novotnego jest nadzwyczaj wygodny: skompromitowany, nie ma siły wzięcia społeczeństwa „za hals”; a przecież to właśnie Husak miał wygrać na upadku Novotnego i wprowadzić zamordyzm! Wbrew światoburczym deklaracjom rewizjonistycznym, zamiary Husaka nie były zbyt radykalne. Husak gloryfikował stan wolności obywatelskich w Polsce, ten stopień demokratyzacji jaki osiągnęliśmy zupełnie zaspakajał jego pragnienia. Nie od razu zrozumiałem sens tych wypowiedzi; wydawało mi się, że jest to rezonans propolskich sympatii, jakie rozsiewał zdecydowany polonofil w jego otoczeniu, Hoffman, który świadomie przedstawiał swoje marzenia za stan faktyczny. Polska była jego „utopią”.

Nieco bardziej zaskakujące były sympatie Husaka do Węgier. Myślałem, że pragnie przeciwstawić się antywęgierskim uczuciom

Słowaków, widzę jednak, że jego tyrady były skierowane do uszu węgierskiej delegacji na zjeździe i w rezultacie — Kadara.

Najtrudniej było mi zrozumieć jego stosunek do Związku Sowieckiego. Mało kto, nawet w Czechosłowacji, nawet wśród żywiących uczucia słowianofilskie, nie zdawał sobie sprawy, jak daleko posunęło się odejście Związku Sowieckiego od głoszonych ideałów, mało kto nie rozumiał wstecznej roli ZSSR w Europie Środkowej i Wschodniej, mało kto nie rozumiał w szczególności jak dalece „pomoc, przyjaźń i przykład” ciąży na życiu politycznym i gospodarczym Czechosłowacji. Do tych „mało kto” należał Husak. Przy każdej krytyce skierowanej w stronę „starszego brata”, przy każdym dowcipie, twarz jego robiła się pochmurna, kamienna. Przypisywałem to taktyce, podobnie jak i niesmaczne zapewnienia w oświadczeniu, napisanym po wyjściu z więzienia, że zawsze był przyjacielem ZSSR.

Teraz, odtwarzając sobie nie tyle przebieg ile atmosferę rozmów, zastanawiam się czy nie była w tym zdecydowana już wówczas linia polityczna: jeśli Czechosłowacja ma tylko pozory niepodległości, to o jej problemach zarówno politycznych jak i personalnych decyduje się w Moskwie, i z tym trzeba się liczyć, jeśli się chce uprawiać realną politykę.

Na zjeździe przemawiałem dwukrotnie — raz na otwarciu, drugi raz w toku obrad. Krytykowałem przesadne uwarunkowanie klasowe ruchów społecznych, a w szczególności przypisywanie pionierom słowackiej świadomości narodowej w XVII i XVIII wieku rodowodu burżuazyjnego. Tamtejsi historycy jeszcze nie zupełnie wyzbyli się bełkotu stalinowskiego na temat tzw. narodu burżuazyjnego...

Husak wystąpił nazajutrz po moim przemówieniu, solidaryzując się z moimi тезami. „Któż to wymyślił tę bzdurę, narody burżuazyjne i narody socjalistyczne? I jakie są podstawy tego podziału? — pytał ze zjadliwą ironią. — I skąd wiadomo jaki naród jest jeszcze burżuazyjny, a jaki już socjalistyczny? Czy o tym ma decydować gremium idiotów w Komitecie Centralnym?”.

Ostrzegł też przed upajaniem się własną, narodową przeszłością. „Mówimy faszyzm i nie zdajemy sobie sprawy, że mówimy o różnych ustrojach. Bardzo dobrym miernikiem jest tu stosunek do kwestii żydowskiej. Był faszyzm na Węgrzech i był faszyzm na Słowacji. Ale Żydzi uciekali ze Słowacji na Węgry, nie odwrotnie”.

Przemówienie Husaka było efektowne, tezy słuszne, ale coś w nim samym irytowało salę. Husak używał w stosunku do

historyków tonu osoby uprawnionej do pouczenia i instruowania. Zresztą, nie dla wszystkich był prorokiem czy sztandarem.

Ujawniło się to, gdy zaraz po Husaku zabrał głos młody, zadziorny historyk i dobry mówca, Ludo Haraksim. Uczepił się zrećznie passusu o wstecznej roli Słowaków w „Wiośnie Ludów” 1848 roku. „Engels? Zdanie Engelsa o Słowakach ma być na powrót dyrektywą metodologiczną? Engels pisał wówczas z pozycji niemieckiego nacjonalisty! Ba, był prekursorem niemieckiego nacjonalizmu. Bo jego słowa o Słowakach i innych południowych Słowianach, nie mających prawa istnieć, równie dobrze mogłyby wyjść spod pióra Alfreda Rosenberga lub Goebbelsa”.

Zdanie Haraksima było dla mnie lekkim szokiem i dało mi do myślenia. W Polsce eksponowano raczej drugą stronę poglądów Marksa i Engelsa, tj. polonifilizm i madziarofilizm. Oczywiście teksty znałem i wiedziałem, że dla słowackich lub czeskich wyznawców marksizmu stanowić muszą nieprzyjemny orzech do zgryzienia. Sam traktowałem ten „brak prawa do istnienia” jako swego rodzaju przenośnię. W Bańskiej Bystrzycy ujawniło się, że niekoniecznie trzeba je traktować jako metaforę, że można je pojmować dosłownie i poważnie.

Myślę teraz, po latach, że słowa te zasługują na więcej uwagi, niż im dotychczas poświęcano. Przypomnijmy sobie w najogólniejszym zarysie tło, w którym ta wypowiedź powstała. Sukcesy rewolucji węgierskiej w „Wiośnie Ludów” miałyby wielkie znaczenie dla rewolucji w Austrii i w Niemczech, przede wszystkim mogłyby zniszczyć zlepek Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego i ukształtować narodowe państwo niemieckie. Co by to jednak dało małym, biednym narodom? Węgrzy walczyli o niezależność od Wiednia dla siebie i o prawo uciskania — bardziej bezwzględnie niż czynił to Wiedeń — Serbów, Chorwatów, Słowaków, Rumunów itd. Południowi Słowianie nie byli tym zachwyceni choć przez pewien czas liczyli na dobrą wolę Budapesztu. Engels był tu nie tylko prekursorem nacjonalizmu niemieckiego, był też swoistym prekursorem „doktryny Brezniewa”, o czym niech pamiętają wszyscy, którzy rozpyływają się nad młodym Marksem i starym Engelsem, czy na odwrót.

Wracam do Husaka. Atak Haraksima był nie do odparcia. Husak zabrał raz jeszcze głos i równie wymownie, ale już w innej tonacji, tłumaczył że jest również dobrym Słowakiem, a Ludovita Stura, przywódcę w okresie Wiosny Ludów, uważa za najwybitniejszą postać dziejów słowackich. Nie było to przemówienie bardzo budujące. Nigdy nie lubiłem ludzi płaszczących się. Z drugiej jednak strony to kajanie się świadczyło o refleksie polityka, o umiejętności składania ofiary ze swej ambicji. Przy-

pomniała mi się historia sprzed kilku miesięcy, którą znałem z zapisów protokularnych. W 1964 roku Husak, widocznie upojony popularnością, wystąpił na jakimś zebraniu partii w Bratysławie i stwierdził, że aparat państwowy składa się z półanal-fabetów i wymaga gruntownej wymiany. Stwierdzenie słuszne lecz niepolityczne, szybko więc zostało wykorzystane przez Novotnego i Bilaka. Husakowi zagrożono wydaleniem z partii. Złożył publiczną samokrytykę. Czego tam nie było! I że syn biednego kolejarza, i że liczne rodzeństwo, i że zawsze kochał Związek Sowiecki, i że czuje się nieodrodną częścią aparatu partyjnego, w którego szeregach walczył przeciwko reakcji tj. przeciwko Partii Demokratycznej. Skruczę przyjęto, co pozwoliło osłaniającemu go Dubczekowi zamknąć sprawę naganą z ostrzeżeniem.

W polityce mafijnej przyjaźń i moralne zobowiązania nie istnieją. Można zrozumieć, że Husak w sojuszu ze swoimi byłymi wrogami — Bilakiem, Salgoviczem, Sztrougalem — tępi swych byłych przyjaciół politycznych. Trudniej zrozumieć opiekę, którą otacza swych niedawnych osobistych wrogów — Vaclava Krala, Bogusza Gracę, tegoż Holotika. (Ale nie wszystkich: podejrzewam, że Haraksim cieszy się mniejszymi względami). A Rudolf Hoffman ponoć bez pracy, podobnie jak Vilem Preczan, bez pomocy którego nie powstałaby książka Husaka „Svedectvi”.

Starcie z Haraksimem zirytowało Husaka. Opuścił zjazd, choć przekonywaliśmy go, by tego nie robił. Rozstaliśmy się serdecznie Jeszcze jesienią 1968 roku wymienialiśmy listy. Koperty z nagłówkiem „Pierwszy sekretarz KC KPS” wzbudzały duże zainteresowanie polskiej milicji, o czym świadczyły ślady wielokrotnego otwierania. Ale gdy latem 1969 roku przyjechał do Polski, należeliśmy już do zupełnie przeciwnych obozów.

Jeszcze wcześniej, w 1966 roku, doznałem uczucia niesmaku, gdy Husak sterując Fabianem i naiwnym Rudolfem Olszovskim, rozpętał na Słowacji demagogiczną kampanię przeciwko czeskim tutorom oraz osobom nie dość słowackim w ruchu demokratycznym. Pamiętam jak zgnębiony Rudolf Hoffman rozkładał ręce: „To przecież nie może być kampania antysemicka, przecież Fabian sam jest Żydem, żona Husaka również, a jeśli chodzi o ewangelików, to i ja pochodzę z ewangelickiej rodziny!”.

Wszystko co piękne musi się kiedyś skończyć. I nasze rozmowy przy winie i wycieczki w góry otaczające Bańską Bystrycę. W ostatnim dniu zrobiliśmy jeszcze wypad do Slovenskiej Lubczy, pięknego starego miasteczka na skłonie góry. Siedzieliśmy w ogrodzie u teściów Mira Kropilaka. Piętrowe miasteczko for-

teczne przypominało o tysiącletniej niewoli tego narodu, o najazdach tureckich, tu się zatrzymujących. Tylko najeźdźcy się w tym biednym kraju zmieniali...

O świcie samolot zawiózł mnie do Pragi, skąd po dwudniowym pobycie pojechałem do Moskwy, by tam grzebać się w bibliotekach i wykłócać się o każdy prohibit.

Józef LEWANDOWSKI

Bogusław MIEDZIŃSKI

WSPOMINAJĄC SAWINKOWA

Jak wiadomo, próba porozumienia z rządem Denikina, podjęta w końcu roku 1919, dała rezultaty negatywne. Dopóki trwały powodzenia tego ostatniego, socjalistyczno-liberalna część antybolszewickiego obozu rosyjskiego była odsunięta od wpływów na rzecz skrzydła reakcyjnego, które niewątpliwie dążyło do restauracji monarchii Romanowych pod hasłem jedyne i niepodzielne imperium rosyjskie. Po klęsce Denikina wpływy lewego skrzydła w Komitecie Narodowym rosyjskim w Paryżu wzrosły. Uznano tam za błąd nieustępliwe stanowisko Denikina i Sazonowa wobec postulatów Polski. Jasne się zresztą stało, że jedyną nadzieję zwycięstwa nad bolszewikami daje armia polska, i jedynie przy niej zorganizowane być mogą wszelkie inne działania pomocnicze. Zjawili się więc w Warszawie dwaj delegaci komitetu paryskiego, Czajkowski i Sawinkow. Obaj reprezentowali zarówno poważne wpływy w społeczeństwie rosyjskim, jak i wybitne wartości indywidualne. Borys Sawinkow w szczególności, stary rewolucjonista, jeden z twórców i przywódców partii socjal-rewolucyjnej, człowiek nieustraszonej odwagi, doskonały organizator — widział i usiłował zwalczać od początku błędy tzw. kiereńszczyzny, tak samo jak później błędy prawicowo-generalskiej polityki Denikina i Wrangla. Spotkał go też nielada zaszczyt, mianowicie uznany został przez bolszewików za wroga nr 1.

Sawinkow i Czajkowski zgłosili się do Piłsudskiego, i na pierwszej audiencji miała miejsce długa i zasadnicza rozmowa. Nie było już tym razem ze strony rosyjskiej żadnej kwestii co do pełnej i nieograniczonej niepodległości i suwerenności Rzeczypospolitej, bez żadnego odsyłania tej sprawy do przyszłej Konstytuancy rosyjskiej. Sprawa przyszłych wzajemnych stosunków polsko-rosyjskich ujęta została jako normalne zagadnienie dyploma-

tyczne, z wyrażeniem nadziei całkowicie pokojowych, przyjaznych i ewentualnie sojuszniczych stosunków. Uznana też została obustronnie zasada, że obalenie rządów bolszewickich leży w interesie obu narodów oraz Europy jako całości. Następnie, że jedyną drogą prowadzącą do tego celu jest rozbicie armii czerwonej, na bagnietach której opiera się władza bolszewików. Ze strony rosyjskiej zadeklarowana została gotowość zorganizowania pod naczelnym dowództwem polskim ochotniczych oddziałów rosyjskich, zwerbowanych wśród młodzieży rosyjskiej na terenie Rzeczypospolitej, jeńców z armii czerwonej, których znaczna ilość wcielona została do niej przymusowo; oraz wśród uchodźców z Rosji, znajdujących się w krajach sąsiednich i w Turcji. Deklarowali też przedstawiciele rosyjscy gotowość wykorzystania swych wpływów w Zachodniej Europie celem zdobycia dla Polski jak najwydatniejszej pomocy materialnej (ta ostatnia oferta nie była pozbawiona praktycznego znaczenia; wpływy rosyjskie — we Francji szczególnie — były dość poważne i w ciągu roku 1919 działały raczej przeciw interesom Polski).

To wszystko było już niewątpliwie wielkim postępem w porównaniu z niedawną przeszłością. Gdy jednak zostały wysunięte ze strony Piłsudskiego dalsze kwestie — mianowicie wschodnich granic Rzeczypospolitej oraz niepodległości Ukrainy — zarysowały się poważne trudności. Jeśli nawet Sawinkow i Czajkowski osobiście, czy nawet w imieniu swoich stronnictw, gotowi byli przyjąć granicę odpowiadającą z grubsza późniejszej granicy Traktatu Ryskiego, to nie ukrywali że stronnictwa prawicy będą stawać pod tym względem ciężki opór; że wprawdzie skłonne są już zrezygnować z pretensji do Lwowa i Małopolski wschodniej, ale sprawa Wileńszczyzny i Wołynia nie będzie tak łatwa. Największe trudności wywoła jednak ich zdaniem zagadnienie niepodległości Ukrainy; twierdzili też, że wśród socjalistycznych i liberalnych stronnictw rosyjskich panuje przekonanie, że maksimum ustępstw ze strony rosyjskiej byłoby tu ograniczone do przyznania ziemiom ukraińskim pełnej autonomii narodowej i kulturalnej, pod warunkiem *sine qua non*, że Ukraina pozostanie w ścisłej unii państwowej z Rosją, ze wspólnotą celną, finansową oraz w dziedzinie obrony i polityki zagranicznej.

Piłsudski ze swej strony nie pozostawił żadnej wątpliwości co do tego, że kwestionowanie praw Rzeczypospolitej do Wileńszczyzny, Wołynia oraz łączącego te ziemie pasa Polesia stawia poza wszelką dyskusją, przypominając jedynie treść swej odezwy wileńskiej. Nie zamierza też zmienić swego stanowiska w sprawie niepodległości Ukrainy, z tym tylko że ludności ziem ukraińskich pozostawione zostanie oczywiście prawo uznania z kim i w jakim

stopniu zechce się związać układami sojuszniczymi czy federacyjnymi. Piłsudski zwrócił uwagę w tej rozmowie, że walka z bolszewikami w warunkach jakie się zarysowały w danej chwili (abstynencja Stanów Zjednoczonych, polityka Anglii pod rządami Lloyd George'a, wykluczająca jakąkolwiek pomoc ze strony brytyjskiej) nie będzie sprawą krótką ani łatwą; że zarówno z punktu widzenia wojskowego, jak i politycznego, pozyskanie ludności ukraińskiej dla czynnego współdziałania w wojnie z bolszewikami posiada ogromne znaczenie.

Kończąc tę rozmowę, Piłsudski pozostawił Sawinkowowi i Czajkowskiemu przełamanie oporów ze strony prawicowego skrzydła ich obozu. Zalecił im jednak pośpiech, zwracając uwagę że walna rozprawa z armią czerwoną jest sprawą niedalekiej przyszłości.

Zgodnie z przewidywaniami Czajkowskiego i Sawinkowa przyjęcie warunków Piłsudskiego wywołało burzę wśród antybolszewickich Rosjan, zarówno w Paryżu jak w Warszawie. Przez kilka miesięcy trwały debaty i rozprawy w obu środowiskach, zanim zapadła zgoda i nastąpiło w Warszawie podpisanie odnośnego układu, od czego uchyliły się tylko najskrajniejsze prawicowe grupy rosyjskie. Zawiązał się w Warszawie Komitet Narodowy rosyjski, do którego weszli działacze polityczni nie tylko socjaliści i demokratyczni, ale również umiarkowani i prawicowi, z przewagą nawet tych ostatnich. Rozpoczęto werbunek i organizację oddziałów rosyjskich pod polskim dowództwem; na ich dowódcę wyznaczony został przez Komitet gen. Peremykin; przewodnictwo Komitetu objął Gorłow. Sawinkow, najszczerzy bodajże i najbardziej przekonany zwolennik układu polsko-rosyjskiego, objął z ramienia Komitetu rolę jak gdyby ministra spraw wojskowych i łącznika między Komitetem rosyjskim a władzami polskimi, zarówno wojskowymi jak cywilnymi.

W ciągu tych miesięcy, gdy zdawało się że uzgodnienie wśród Rosjan nie nastąpi, spytałem kiedyś Komendanta czy nie prościej byłoby tworzyć po prostu formacje rosyjskie przy wojsku polskim, do których na pewno znajdzie się sporo ochotników, niezależnie od układów politycznych. Komendant odpowiedział mi na to: „Sprawa ta jest dla mnie ważna nie tylko ze względu na wojskowe znaczenie, które nie będzie znów wielkie i nie tylko ze względu na stosunki polsko-rosyjskie; ale na stosunki międzynarodowe. Z zagadnieniem uznania naszej wschodniej granicy sprawa nie będzie łatwa. Dotychczas mamy do czynienia z niezwykle solidarnym trzymaniem się przez Zachód wierutnego nonsensu jakim jest twierdzenie, że wszystko co leży na wschód od

- ściśle etnograficznego obszaru polskiego jest rosyjskie. Tej tezy trzymają się dotychczas Stany Zjednoczone, Anglia i Francja. Trwa to pomimo, że bolszewicy uznali rzeczywisty stan rzeczy zarówno przez unieważnienie wszystkich układów rozbiorowych, jak i przez nieukrywaną gotowość — mniejsza w tej chwili o to czy szczerą czy nie — do daleko idących koncesji granicznych dla nas. Natomiast biali Rosjanie grali dotychczas na ignorancji Zachodu, podtrzymując tezę swoich praw do wszystkich ziem nie polskich etnograficznie, choćby ludność rosyjska na nich wynosiła znikomy procent. Zależy mi więc aby postawić opinię publiczną Zachodu wobec faktu, że zarówno biała jak czerwona Rosja uznają prawa Rzeczypospolitej do Kresów, zostawiając nam kwestię ułożenia stosunków na tych terenach. Oczywiście główne znaczenie będzie miała sprawa, czy bolszewików pobijemy czy nie. Ale jeśli ich pobijemy, to przy zarysowujących się obecnie stosunkach europejskich będzie miało swoją wagę uznanie zarówno przez Rosję czerwoną jak białą, że uprawnienie Rzeczypospolitej nie tylko na sile bagnetów się oparły”.

W ciągu roku 1920 miałem ciągłą styczność z całą galerią działaczy rosyjskich, cywilnych i wojskowych. Byli między nimi ludzie bardzo ciekawi, o bardzo rozległej skali typów i charakterów. Przewodniczący Komitetu rosyjskiego Gorłow, były dyplomata, człowiek niezmiernie gładki, świetnie wychowany, opanowany i taktowny, wypowiadający się zawsze z pozorami całkowitej szczerości, za którą jednak nigdy bym grosza nie dał; jedna z najwpływowszych w Komitecie osobistości, pani Lubimowa, żona b. gubernatora wileńskiego i zastępcy gen. gubernatora warszawskiego, wykwintna i czarująca, dyplomatką pierwszorzędna. Wśród wojskowych gen. Peremykin, przypominający mi zawsze szekspirowskiego chudego Kasjusza o żółtawej cerze i skośnych oczach; ten nie potrafił nigdy ukryć nieufności i niechęci do Polaków. Obok niego esauł Jakowlew, młody, urodziwy pułkownik, typ doskonałego oficera bojowego, na pewno szczerze pragnący bić się z bolszewikami niezależnie od tego co potem nastąpi. Najciekawszą postacią był niewątpliwie Borys Sawinkow. był to człowiek wybitnej inteligencji, wykształcony i czytany, autor ciekawej książki „Koń błady”, wydanej pod pseudonimem Ropszyn. Łączył niewątpliwie talent polityczny wysokiej klasy na poziomie męża stanu — z odwagą i gotowością do największego ryzyka osobistego; był doskonałym mówcą, bynajmniej nie agitatorskiego typu, mówił rzeczowo i oryginalnie, sięgając zawsze do najtrudniejszej strony tematu. Poza tym był świetnym *causeur*-em, jego opowiadań z własnych przeżyć, jak na przykład historia Azefa, słuchało się z zapartym tchem. Budził z cieka-

wienie i sympatię. Gdy jednak patrzyłem w jego twarz, w której rysach wyraźne były ślady krwi tatarskiej, uderzała mnie jedna cecha, wykluczająca bezwzględne zaufanie: jego oczy były nieprzejrzyste, nigdy nie można było w nich nic odczytać i nigdy się nie miało pewności, czy naprawdę można polegać na jego oświadczeniach. Nie myślę w tej chwili o jakimś szalbierstwie, ale sądziłem zawsze, że jeśliby chodziło o rację stanu i narodowy interes, zawsze gotów byłby znaleźć obejście dla najszczerzych pozornie swych zobowiązań.

Natomiast jego bliski przyjaciel i współpracownik, Fiłozofow, należał do typu — używając terminu co najmniej o jedno pokolenie wcześniejszego — „zapadników”, tzn. Rosjan nie tylko dążących do najściślejszego związania Rosji z zachodem Europy i naśladowania zachodnio-europejskich metod polityki państwowej, ale i psychicznie odpowiadających obyczajom zachodnim. Na jego lojalności, na jego słowie, można było na pewno polegać. Sawinkowa cenilem bardzo wysoko i miałem do niego nieklamaną sympatię. Gdy jednak pytano mnie czy można bezwzględnie polegać na lojalności Sawinkowa, odpowiadałem — w rozmowach najbardziej poufnych — że gdyby Sawinkow przy takiej czy innej zmianie okoliczności chciał w stosunku do nas dokonać jakiejś wolty, na pewno przyszedłby do mnie przedtem Fiłozofow, aby zawiadomić, że z powodu stanu zdrowia czy innych spraw osobistych zmuszony jest wycofać się ze współpracy.

Wkrótce też podpisany został układ z Komitetem Narodowym rosyjskim, załatwiający zagadnienie przyszłej granicy polsko-rosyjskiej według linii odpowiadającej mniej więcej późniejszemu Traktatowi Ryskiemu na północy, zaś naszemu układowi z ukraińskim rządem atamana Petlury na południu.

W myśl instrukcji starałem się o jak najściślejsze stosunki z Rosjanami, z Sawinkowem przede wszystkim. Moim stałym łącznikiem z nimi był Karol Wędziogolski. Brał on żywy udział w rewolucji rosyjskiej, zarówno w jej pierwszej fazie przed przewrotem bolszewickim, jak i później, już w organizacji walki z bolszewikami po stronie obozu demokratycznego i socjalistycznego. Zarówno z Sawinkowem, jak i z całym szeregiem rosyjskich przywódców demokratycznych i postępowych, był w stosunkach zażyłej przyjaźni. Jeszcze przed ich przybyciem do Warszawy wysyłany był przez Komendanta dla najpoufniejszych z nimi pertraktacji do Paryża.

Niezależnie od pertraktacji formalnych, prowadzonych przez przedstawicieli MSZ i Naczelnego Dowództwa z Komitetem Narodowym rosyjskim — staraliśmy się wówczas o wytworzenie podłoża wzajemnego zaufania przez obcowanie osobiste i towa-

rzyskie. Niejeden długi wieczór spędziliśmy na rozmowach z Sawinkowem i jego przyjaciółmi. Rosjanie interesowali się niezmiennie zarówno osobą Komendanta, jako i mało znanym im okresem jego działalności po rewolucji 1905 roku, jego nową koncepcją walki o niepodległość Polski i metodami jej realizacji. Okres Związków Strzeleckich, następnie Legionów i POW, zaciekał ich niezmiennie. Sawinkow jako stary konspirator szczerze podziwiał nasze osiągnięcia, jeżeli chodzi o POW, szczególnie w drugim okresie wojny. Stworzenie w warunkach wojennych, pod władzą tak groźną i tak sprawnie działającą jak niemiecka, organizacji liczącej kilkanaście tysięcy ściśle zorganizowanych członków, promieniującej na dalsze dziesiątki tysięcy; utrzymanie tej organizacji w pełnej dyscyplinie; rozciągnięcie sieci organizacyjnej na obie strony frontu, z zasięgiem obejmującym Petrograd, Moskwę, Kijów, a nawet Kaukaz; utrzymanie na tym obszarze łączności i aktywności przy wszystkich niebywałych przemianach, jakie następowały — to wszystko wydawało się największemu w Rosji specjalście od organizacji podziemnej czymś niewiarogodnym.

Skoro już jestem przy tym temacie, chciałbym powiedzieć słów parę o ostatnim akcie życia Sawinkowa. Tym bardziej, że moja osobista opinia o jego powrocie do Rosji sowieckiej w roku 1924 krąco odbiega od zwykle spotykanej oceny tego faktu.

Jak wiadomo, nasze zwycięstwo z roku 1920, mimo całkowitego pogromu armii czerwonej, rozpoczętego nad Wisłą, a zakończonego nad Niemnem, nie dało nam bynajmniej wolnej ręki dla przeprowadzenia tych planów maksymalnych o dalekosiężnej historycznej perspektywie, z którymi nosił się Józef Piłsudski przed rozpoczęciem walnej rozprawy. Zwycięstwo militarne dało w rezultacie przekreślenie planów Lenina kolejnej rozprawy z Polską w momencie przez siebie wybranym. Zmusiło go również do zrzeczenia się marzeń o rozszerzeniu rewolucji komunistycznej na całą Europę. Polsce przyniosło ono dwa dziesiątki lat bezpieczeństwa i pokoju. Nie stało się natomiast podstawą do przeprowadzenia federacyjnych projektów, z oderwaniem Ukrainy od imperium rosyjskiego i ograniczeniem Rosji włącznie z jej eksperymentami socjalnymi do warunków, w których przestałaby ona wisieć jak ciągła groźba nad resztą Europy, a zatem i świata.

Stało się tak nie tylko dlatego, że Piłsudski po zawarciu zawieszenia broni, a wkrótce i pokoju Ryskiego, stracił w ogromnej mierze swój wpływ kierowniczy na politykę państwową Rzeczypospolitej, który dawało mu głównie jego stanowisko Naczelnego Wodza, a nie Naczelnika Państwa; jako Naczelnik Państwa — w ówczesnych warunkach — był on odpowiedzialny przed Sej-

mem, który był władzą suwerenną i którego nakazy i decyzje obowiązywały bezapelacyjnie Rząd, pozostawiając Naczelnikowi Państwa raczej formalne uprawnienia przy powoływaniu i zwalnianiu Rządu; z chwilą zakończenia wojny nastąpiła doniosła zmiana w grze sił wewnętrznych: Sejm sięgnął natychmiast po pełnię swych uprawnień, on też zawierał pokój i decydował o jego politycznych stypulacjach.

Działyły jednak względy głębsze, niż prawno-konstytucyjny podział kompetencji, niż układ większości parlamentarnej. Zbyt małe okazały się jeszcze siły patriotyczne i niepodległościowe wśród narodu ukraińskiego, zbyt nikła ich prężność organizacyjna. Z drugiej strony — wśród narodu polskiego zabrakło również gotowości do sięgania po zbyt wielkie cele. Trzy miesiące niepowodzeń wojennych, rozdmuchiwanym tak starannie przez opozycję polityczną, zaciążyło też niepospolicie. Pragnienie najszybszego przejścia do życia pokojowego, do bezpieczeństwa, zapanało niemal powszechnie, nie wyłączając tej części społeczeństwa i tych stronnictw politycznych, które dotychczas stanowiły bezwzględne oparcie dla polityki Piłsudskiego. Niepodobienstwem było wówczas żądać od narodu wysiłku ponad jego możliwości, oraz ewentualnego ponownego ryzyka wojennego. Absolutny brak zrozumienia dla spraw Europy Środkowej i Wschodniej ze strony mocarstw zachodnich musiał też być brany pod uwagę.

Anulowanie zawartych z jego inspiracji układów, takich jak układ z Petlurą, czy z Komitetem Narodowym Rosyjskim, było niewątpliwie dla Piłsudskiego sprawą niezmiernie ciężką stało się jednak nieodpartą koniecznością.

Kontrahenci tych układów rozumieli jednak stan rzeczy, a w szczególności nie żywili żalu do Piłsudskiego, zdając sobie sprawę z tego, że decyzje inne niż te które nastąpiły nie leżały w jego mocy. Dał temu wyraz w rozmowach ze mną między innymi i Borys Sawinkow, opuszczając Polskę i wyjeżdżając do Paryża. Rozstaliśmy się przyjaźnie. Przez kilka lat jeszcze Sawinkow utrzymywał stałą łączność ze mną, z Ignacym Matuszewskim i z szeregiem wojskowych i cywilnych przyjaciół z okresu wojennego. Sawinkow prowadził z Paryża w dalszym ciągu swą akcję anty-bolszewicką. Ani przez chwilę nie tracił nadziei, że rządy sowieckie mogą się załamać, że może dojść do groźnych rozłamów i walk wewnętrznych i że naród rosyjski może w odpowiednim momencie zerwać się do czynu i zrzucić jarzmo sowieckie. Sawinkow utrzymywał dość żywą łączność ze swym krajem; emisariusze jego udawali się tam dość często i wracali z raportami zwykle optymistycznymi. Niektórzy z nich, z pole-

cenia swego szefa, zgłaszali się do mnie w Warszawie, nawet wtedy — po roku 1922 — kiedy opuściłem już służbę wojskową i byłem posłem do Sejmu. Jeszcze na kilka miesięcy przed sensacyjną, a tak dla jego ludzi tragiczną podróżą Sawinkowa do Moskwy, jeden z najbardziej zaufanych jego emisariuszy zapewniał mnie, wracając z Rosji do Paryża, że upadek ustroju bolszewickiego jest nieunikniony i to w niedługim czasie; było to w okresie buntu Zinowiewa. Cały szereg wybitnych dyplomatów, Rosję dobrze znających, przewidywał wówczas to samo. Wydaje mi się pewne, że taki a nie inny stan rzeczy przewidywał Sawinkow.

Wierzę też, że ani przez chwilę nie zmienił swego stanowiska wobec komunizmu i wobec władców Kremla, których uważał za wrogów narodu rosyjskiego. Nie był też Sawinkow typem karierowicza, który rezygnował ze swoich przekonań za cenę udziału w rządach, zgubnych dla swego narodu. Jakże więc tłumaczyć sobie fakt, że w tej właśnie sytuacji i w tym momencie zaofiarował nagle bolszewikom swój powrót do Rosji i oddanie się w ręce ich sądu? Gdy fakt ten nastąpił, przypomniałem sobie z naszych rozmów warszawskich temat, do którego Sawinkow wielokrotnie powracał: historię 11 listopada i objęcia rządów w Polsce przez Piłsudskiego. Znał on wcale dobrze stosunki polityczne w Polsce; orientował się że Piłsudski i jego obóz, w latach bezpośrednio poprzedzających wojnę i w czasie wojny, nie reprezentował bynajmniej większości społeczeństwa polskiego; że, przeciwnie, Narodowa Demokracja i Roman Dmowski ze swoim Komitetem Narodowym znajdowali posłuch bez porównania większy; że zwycięstwo Entente'y musiało w oczach polskiej opinii publicznej być uważane za zwycięstwo Dmowskiego i jego obozu. Jak się więc to stało, pytał mnie Sawinkow, że Piłsudski po przybyciu z Magdeburga wziął w swoje ręce władzę, bez żadnego niemal sprzeciwu, że utrzymał się przy niej pomimo że był zmuszony do tak niepopularnego kroku, jak oddanie rządu w ręce lewicy, podczas gdy cały kraj pragnął rządu „ogólnonarodowego”? Gdy wskazywałem w odpowiedzi na to zarówno na osobistą popularność Więźnia Magdeburgskiego, jak i na fakt że zastał on w kraju oparcie o zdyscyplinowaną organizację, obejmującą cały kraj i gotową do jednolitego działania na jego rozkaz, czego obóz Dmowskiego nie miał — Sawinkow pytał czy nie sądzę, że gdyby Dmowski i Komitet Narodowy byli na miejscu w Warszawie a nie w Paryżu, sprawy poszłyby innym torem; czy nie było dominującym elementem w sytuacji to, że Piłsudski właśnie, a nie Dmowski, znalazł się w krytycznym dniu na miejscu, w stolicy kraju.

Połączenie powyższych przesłanek dyktowało mi następujące rozwiązanie zagadki „poddania się” bolszewikom przez ich wroga „Nr 1”, Borysa Sawinkowa. Sądziłem mianowicie, że był to niezwykle śmiały i ryzykowny manewr taktyczny z jego strony, obliczony na to, aby w momencie upadku władzy bolszewików znaleźć się na miejscu, w Moskwie, i właśnie w bolszewickim więzieniu. Należało się przecie spodziewać, że pierwszym krokiem powziętym przez wolną ludność stolicy, będzie otwarcie więzień i wyniesienie z nich na rękach ofiar bolszewickiego prześladowania. I któż wówczas będzie najpopularniejszą, najbardziej godną objęcia władzy postacią, jeśli nie nieubłagany wróg bolszewików, o nazwisku tak powszechnie znanym jak nazwisko Sawinkowa? Z chwilą zaś kiedy władzę w swe ręce ujmie, będzie na pewno umiał ją utrzymać i nie powtórzy drugiej kiereńszczyny. Dodać tu muszę jedną jeszcze przesłankę, bynajmniej nie drugorzędną w planach Sawinkowa. Anty-bolszewicka emigracja rosyjska była już wtedy niezmiernie skłócona i rozbita; było co najmniej trzy ośrodki, które na wypadek upadku rządów sowieckich planowały objęcie wyłącznej władzy w swe ręce; był skrajnie prawicowy i reakcyjny ośrodek berliński; był też Kiereński, który wciąż jeszcze nie rozumiał swych błędów i pretendował do władzy, gdyby mu znowu w ręce wpadła. Było rzeczą pewną, że w razie kryzysu w Rosji, gdyby rzeczywiście władza wypadła im z rąk i znalazła się na ulicy, odbędzie się natychmiast wyścig po nią do Moskwy w nadziei, że kto pierwszy ten lepszy. Sawinkow zaś uważał, że powrót reakcyjnych rządów i próba ewentualnej restauracji caratu byłyby wręcz nieszczyściem; tak samo jak powrót kiereńszczyny, głoszącej wielkie hasła, ale niezdolnej do ich czynnej obrony.

Gra Sawinkowa mogła być — zdaniem moim — poprzedzona tajnymi rozmowami z rządem bolszewickim, podjętymi w momencie kiedy Sawinkow dał wiarę raportom i relacjom przewidującym rychły upadek bolszewizmu. W rozmowach tych Sawinkow mógł zaofiarować swą rezygnację z dalszej walki — a był on doprawdy uważany przez bolszewików za najgroźniejszego z ich wrogów, szukając z ich strony tylko jednego zapewnienia, że w zamian za uznanie ich władzy i oddanie się w ich ręce, nie zostanie na śmierć skazany. Najdłuższy nawet termin więzienia był mu obojętny, jeśli wierzył w niedaleki upadek bolszewików. Przeciwnie, dawał mu właśnie uprzywilejowane miejsce: ich ofiary i więźnia.

Oczywiście nasuwa się myśl, czy Sawinkow mógł polegać, że bolszewicy odnośnego przyrzeczenia dotrzymają. Ale przecież Sawinkow był szalonym ryzykantem, dla którego sam fakt życia

nie znaczył wiele, jeśliby miało to być życie bez znaczenia i bez nadziei.

Zastanawia mnie również niezmierna ostrożność zarówno w listach do przyjaciół, wysłanych w chwili przekraczania granicy sowieckiej, jak i w zeznaniach na procesie sądowym. Nigdy Sawinkow nie powiedział że zmienił swe przekonania, lub uznał wartości ideologii komunistycznej, bądź też bolszewickiego systemu rządzenia. Nie zadeklarował żadnej upokarzającej „samokrytyki”, czy „samopokajania”. Mówił tylko, że jako członek narodu rosyjskiego i jego sługa doszedł do przekonania, że naród ten najwidoczniej uznał obecny system rządzenia i podporządkował mu się; a skoro tak, to miejsce poszczególnych jednostek jest dzielić życie i losy tego narodu.

Zdawało się początkowo, że Sawinkow wygrał swą ryzykowną stawkę; nie został skazany na śmierć; wyrok był stosunkowo łagodny — 10 lat więzienia. Odbывał swą karę w Moskwie na Łubiance. Po kilku miesiącach ogłoszono jednak w komunikacie urzędowym, że Sawinkow wyskoczył z okna trzeciego piętra więziennej klatki schodowej i zabił się. Przypuszczać wolno, że mogło to nie być samobójstwo. Bolszewicy wyzyskali oczywiście propagandową wartość „kapitulacji” najniebezpieczniejszego i najwybitniejszego ze swych przeciwników. Nie jednemu z nich jednak mogło przychodzić na myśl, że nie była to kapitulacja rzeczywista i szczerą, i że bezpieczniej będzie położyć kres życiu człowieka tak niebezpiecznego.

Gdy omawiałem z przyjaciółmi moją hipotezę, najczęstszym argumentem przeciwko niej było, że Sawinkow musiał się być podzielić choćby z najbliższymi, najbardziej zaufanymi i oddanymi mu ludźmi swoim pomysłem. A to przecież nie nastąpiło, wszyscy byli jego postępkami całkowicie zaskoczeni. Wywołał on wrażenie wstrząsające, spowodował upadek ducha w otoczeniu Sawinkowa. Nie podzielałem tego argumentu. Sawinkow był całkowicie świadomy ogromnego ryzyka swego planu; nie spodziewał się też, aby ktokolwiek z tych właśnie najbardziej oddanych i zaufanych przyjaciół zajął stanowisko inne, niż negatywne i odradzające. Wiedział też, że warunkiem *sine qua non* powodzenia była absolutna tajemnica; co więcej — przewidywał, że bolszewicy będą bacznie obserwować jaką będzie reakcja emigracji, a w szczególności grupy Sawinkowa, na jego krok. Gdyby zauważyli w niej najmniejsze wahania i najmniejszy ślad, że jego krok był planowany, cała gra mogłaby się nie udać. Nie było dla niego nic bardziej pożądanego, niż jawny dowód w zachowaniu się jego przyjaciół, że zostali zaskoczeni, niż głos potępienia a nawet oburzenia z ich strony. Sawinkow znał dobrze przebiegłość bolszewi-

ków, i sam w taktyce był bardzo przebiegłym i konsekwentnym graczem.

Jeśli zaś chodzi o argument wywołania demoralizacji i upadku ducha we własnym obozie na emigracji, nie był on dla mnie również przekonujący. Historia okresu 1920-24 przekonała Sawinkowa, że nie należy pokładać żadnych nadziei na obalenie władzy bolszewickiej przez działania emigracji z zewnątrz, a już na pewno że połączone z tymi działaniami stale nadzieje na jakąkolwiek akcję w tym kierunku ze strony mocarstw zachodnich są absolutnie płonne, że zatem upadek bolszewików może nastąpić tylko w drodze wewnętrznej masowej rebelii, umożliwionej przez rozłam i konflikt wewnątrz partii komunistycznej i jej rządzącego aparatu. Przypominam, że w tym okresie istotnie nie brak było poważnych po temu przesłanek. Konflikty wewnętrzne narastały i zaczęły już doprowadzać do morderczych rozrachunków wewnętrznych. Wiadome też już było, że Lenin jest ciężko chory, że lada chwila może nastąpić jego śmierć, walka o następstwo po nim, jedna z głębokich i krwawych „smut”, mogących się zakończyć otwartą rewoltą wynędzniałej i rozgoryczonej ludności wielkich miast rosyjskich.

Nie mogę powiedzieć, abym był stuprocentowo pewny wyrażonych powyżej supozycji; sądzą jednak, że są one daleko bardziej zgodne z charakterem indywidualnym postaci Sawinkowa, niż przypuszczenia że się nagle załamał i popełnił po prostu zdradę wobec swoich przekonań, swego sumienia i całego zastępu swych wieloletnich przyjaciół i towarzyszy w walce z białym, a następnie czerwonym caratem.

Bogusław MIEDZIŃSKI

W. MASŁOWSKI

POLSKA KRAJOWA KASA POŻYCZKOWA (PKKP) (wyjątek z obszerniejszej pracy)

Jesienią 1915 roku armie niemieckie i austriackie zajęły całą „Kongresówkę”, która przez długi szereg lat była pod zaborem rosyjskim. Podzielono się zdobytymi ziemiami tak, że większa ich część dostała się Niemcom, a mniejsza Austrii. Warszawa stała się siedzibą Gen. Gubernatora Beseler’a. W Lublinie urzędował najpierw Diller i Kuk, a później Szeptycki. Strzeżono pilnie granicy między dwoma okupacjami, co było jeszcze jednym powodem wrogości społeczeństwa do władz okupacyjnych. Na wschodzie granica biegła wzdłuż Bugu i także pilnowano jej troskliwie, uniemożliwiając stykanie się z Polakami na Zabuzu. Tam panowała wszechwładnie Komenda Ober-Ost’u, prowadząc wśród mieszkańców tych ziem wrogą atmosferę i propagandę przeciw Polakom.

Po austriacko-niemieckiej proklamacji w dniu 5 listopada 1916 roku, zawierającej przyrzeczenie odbudowania niepodległego Królestwa Polskiego, Niemcy w konsekwencji (za zgodą Austrii) powołali do życia Polską Tymczasową Radę Stanu w październiku 1917 roku, w nadziei że ona im ułatwi werbunek rekruta do wojska polskiego pod niemiecką komendą. Rada Stanu odrzuciła sugestie niemieckie i rozwiązała się. Na jej miejsce Niemcy powołali Radę Regencyjną dnia 12 września 1917, którą wyposażyli w prawo powoływania rządu. Wprawdzie zakres władzy tej instytucji był szerszy niż Tymczasowej Rady Stanu, oddano bowiem pod jej zarząd sądownictwo i szkolnictwo, ale kontrola i stałe ograniczenia jej działalności, wstrzymało wielu polskich polityków od udziału w jej pracach. Sytuacja stała się krytyczna, gdy na tle werbunku rekruta polskiego Niemcy, nie rezygnując ze swoich intencji politycznych i wojskowych, aresztowali w re-

zultacie Józefa Piłsudskiego razem z jego szefem sztabu Kazimierzem Sosnkowskim, i wywieźli ich do Magdeburga.

Rada Regencyjna rzekła się swych atrybucji i rozwiązała się w dniu 14 listopada 1918 roku a władzę przekazała Józefowi Piłsudskiemu, który wrócił z kazamat niemieckich w dniu 10 listopada 1918 roku. Odtąd Piłsudski występuje jako Naczelnik Państwa i Naczelnny Wódz Wojska Polskiego.

Tyle z historii ogólnej.

Przejdę teraz do właściwego przedmiotu mojej pracy.

Obie władze okupacyjne, po zajęciu Kongresówki jesienią 1915 roku wprowadziły swoje waluty. Niemcy — marki niemieckie, Austriacy — korony. Obok nich w Kraju krążyły nadal ruble carskie, do których ludność przywiązywała większą wartość i zaufanie, przyzwyczajona do nich w okresie poprzednim i sądząc że Austria i Niemcy to tymczasowość, a Rosja i tak powróci.

Ten stan różnolitości walutowej wpływał na stosunki pieniężne ujemnie i stał się przyczyną uciążliwego chaosu, niepokojącego społeczeństwo w ciągu kilku lat następnych.

Władze okupacyjne próbowały, co pewien czas, ustalać relację marki niemieckiej i korony do rubla, wymagając jej przestrzegania. W ustalonym kursie, marka niemiecka i korona miały uprzywilejowaną wartość w stosunku do notowań giełdowych. Jednak w dalszym ciągu, w transakcjach prywatnych, neglizowano zarządzenia władz. Rzeczywista przeciętna relacja ustaliła się na wysokości 2 marki za rubla. Kurs jednak ulegał fluktuacjom.

Zdawały sobie sprawę z tego walutowego zamieszania zarówno społeczeństwo polskie, jak i władze okupacyjne; należało podjąć jakąś bardziej radykalną decyzję. Wtedy to po obu stronach powstała myśl powołania instytucji emisyjnej. Pierwsze polskie sfery gospodarcze w roku 1915 podjęły inicjatywę i przedstawiły władzom niemieckim projekt stworzenia banku akcyjnego o kapitale 10 milionów rubli, z prawem do emisji banknotów w wysokości 80 milionów rubli, traktując je jako prawny środek płatniczy na obszarze Królestwa, okupowanego przez oba zaborcze państwa.

Życie przynosiło jednak coraz to inne wydarzenia, w świetle których, projekt polski stawał się mniej korzystny dla władz okupacyjnych. Dnia 5 listopada 1916 roku proklamowano oświadczenie dwu cesarzy o zamiarze odtworzenia niezawisłego Królestwa Polskiego, co w skutkach spowodowało definitywne odrzucenie projektu polskiego. Władze niemieckie skłeciły własny plan, oparty przede wszystkim o ich polityczne intencje.

Pierwsza koncepcja niemiecka przewidywała włączenie Królestwa, pod względem administracji pieniężnej do Kasy Pożyczkowej Ober-Ost'u. Z czasem przeważał pogląd warszawskich władz — szczególnie na tle tak doniosłego aktu politycznego (5 listopada) — powołania Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej, wzorowanej na podobnych instytucjach w Niemczech, z tym że obdarzono ją dodatkowymi atrybutami emisyjnymi. Oczywiście nie było mowy o rublach, PKKP miała emitować marki, które przewano „Markami polskimi”, umieszczając na banknotach — zredagowanych w języku polskim — Białego Orła, oraz następujący napis: „Rzesza Niemiecka przyjmuje odpowiedzialność za zapłatę biletów Kasy Pożyczkowej w markach niemieckich po cenie nominalnej”. Banknoty podpisywane były przeważnie przez przedstawiciela administracji cywilnej Gubernatorstwa — von Kries'a (od niego przewane przez ludność „banknotami kriesowskimi”), oraz przez Ueberschaer'a lub V. Conrad'a. Pieniądze te wydrukowano w odcinkach $\frac{1}{2}$, 1, 2, 5, 10, 20, 50, 100 i 1000 marek polskich, z datą 9 grudnia 1916 roku. Zamiana ich na mkp. edycji po 11 listopada 1918 roku, nastąpiła w czasie od 1 grudnia 1923 do 31 maja 1924 roku, natomiast z dniem 30 listopada 1923 straciły moc prawnego środka obiegowego (Ustawa z 1923 r.). Funkcje Kasy ograniczały się do udzielania kredytów i przyjmowania wkładów, na które przede wszystkim liczono, by wspomogły wysiłek wojenny Niemiec. Emitowano banknoty pod ścisłą kontrolą gubernatorstwa, a druk ich odbywał się w Berlinie. Najważniejszą jednak funkcją Kasy pozostały wypłaty rządowe.

Statut nadano PKKP dnia 9 grudnia 1916 roku, lecz działalność jej rozpoczęła się dopiero w kwietniu 1917 roku.

Ludność przyjęła z nieufnością nową walutę, która spowodowała nawet podwyższenie się kursu rubla w obrotach prywatnych (240 mkp za 100 rb.). Do tego także przyczyniła się wątpliwość w dobrą wolę Niemiec, wyrażoną w tak ogólnie zredagowanej gwarancji na biletach. Władze okupacyjne zdały sobie w końcu sprawę z tego błędu i starały się go naprawić przez dodatkowe oświadczenie w Dzienniku Rozporządzeń; ale rubel nadal pozostał powszechnym pieniężnym środkiem obiegowym.

Dopiero dnia 19 czerwca 1918 roku władze niemieckie wydały rozporządzenie, które regulowało pozycję wierzyciela. „Może on i ma prawo odmówić przyjęcia rubli przy spłacie należności”. Od tego czasu marka polska praktycznie nabrała charakteru prawnego środka płatniczego na całym obszarze okupacji niemieckiej.

W tym miejscu należy stwierdzić, że Niemcy istotnie potraktowali gwarancję poważnie i stworzyli zabezpieczającą rezerwę w Banku Rzeszy, proponując odrodzonej Polsce jej zwrot do takiej wysokości, do jakiej zostały mkp. przejęte w dniu 10/11 listopada 1918 roku.

Jednocześnie Niemcy ogłosili, że PKKP jest instytucją tymczasową, ograniczając jej okres istnienia do momentu powstania Królestwa Polskiego. Zygmunt Karpiński, w swej pracy (patrz Źródła), stara się udowodnić ten aspekt, powołując się na dokumenty archiwalne, raporty niemieckich pełnomocników Kasy z dn. 9 i 13 października 1918 roku. Rozwazyły one ustosunkowanie się przyszłego rządu niezawisłego Królestwa Polskiego do Kasy i zapewniały władze centralne w Berlinie, że zapewne intencją tego rządu będzie zastąpienie jej przez inną instytucję emisyjną.

PKKP nie była jedyną instytucją dostarczającą banknoty na terenie ziem okupowanych. W Lublinie otwarto oddział Banku Austro-Węgierskiego, który czuwał nad koroną, a funkcje jego były podobne do PKKP. Wspomniałem już, że zorganizowano Kasę Pożyczkową na zajętych ziemiach wschodnich z zadaniem opieki i emisji Ost-marek i Ost-rubli. Druk ich odbywał się w Berlinie.



W dalszym ciągu opisu historii PKKP i przejęcia jej przez powstające Państwo Polskie, Zygmunt Karpiński — autor kilku prac ekonomicznych — między innymi pisze o animozji dwóch ministrów Skarbu: J. Englicha i Stanisława Karpińskiego (pierwszych dwu ministrów Skarbu w rządzie Paderewskiego w czasie od 16 stycznia 1919 do 9 grudnia 1919 gdy każdy z nich zarządzał tym ministerstwem przeciętnie trzy miesiące), którzy z początku byli serdecznymi przyjaciółmi, a w końcu przeobrazili się we wrogów. Opis Zygmunta Karpińskiego budzi pewne zastrzeżenia, szczególnie wobec zajęcia dość jednostronnego stanowiska i nadmiernego wybielania Stanisława Karpińskiego, jako następnego ministra Skarbu po J. Englichu. Podobne jednostronne stanowisko Zygmunt Karpiński zajął w swej broszurowej rozprawie „W sprawie waluty”, opublikowanej już 17 lutego 1919 r., w której wychwala pomysł J. Englicha za wprowadzenie „Lecha” i stara się tę koncepcję nawet uzasadnić teoretycznie, podczas gdy w napisanej monografii w 1966 roku w Polsce Ludowej potępia pomysły J. Englicha i przyklaskuje Stanisławowi Karpińskiemu za tradycyjną nazwę „Złotego”. Przytaczam tę kontrowersję w celu odtworzenia ówczesnej atmosfery i tła przy poko-

nywaniu tak olbrzymich trudności gospodarczych. Kłótnia kosztowała Skarb wiele milionów i opóźniła znacznie ujednolicenie waluty krajowej.

Teraz może warto wspomnieć, że gdy Stanisław Karpiński objął prezesurę Banku Polskiego w roku 1924, mianował Zygmunta Karpińskiego jednym z dyrektorów Banku. Przypuszczam, że nie można Stanisława Karpińskiego posądzać o nepotyzm, gdyż Zygmunt Karpiński był niewątpliwie znawcą spraw finansowych, zresztą na tym stanowisku pozostawał przez wiele lat, nawet po odejściu z prezesury Banku Stanisława Karpińskiego.

Początki animozji rozpoczynają się z chwilą przejścia PKKP przez władze polskie. L. Biliński — trzeci z kolei minister Skarbu w rządzie Paderewskiego (1. 8 - 9. 12. 1919) — we „Wspomnieniach i dokumentach” opisuje ten historyczny fakt w sposób następujący: „... w nocy z dn. 10 na 11 listopada 1918 roku, późniejszy minister Skarbu J. Englich (6 dni wcześniej minister Skarbu w rządzie Rady Regencyjnej Świerzyńskiego — mój przypisek) objął przemocą Kasę Pożyczkową w posiadanie Polski; nie było czasu na rozprawianie się o powyższą sprawę prawną (ma na myśli zabezpieczenie niemieckie — mój przypisek); sporządzono jedynie akt przejścia chwilowych aktywów i pasywów przez Polskę i stwierdzono podpisami J. Englicha i naczelnika Kasy Pożyczkowej — Theussner’a, że całość emisji marek polskich wynosiła 850 milionów, zabezpieczonych w Berlinie” (880.157.867 mkp i 50 fenigów — mój przypisek). A dalej pisze tak: „Dokument ten nie znajdował się w ministerstwie Skarbu w chwili, gdy ja się tą sprawą zająłem; okazało się że dostał się w posiadanie późniejszego min. Skarbu Stanisława Karpińskiego, może z woli jego poprzednika J. Englicha. Rozumie się samo przez się, że St. Karpiński na moją prośbę zwrócił natychmiast dokument. To żądanie związane było z zapowiedzią przyjazdu do Warszawy Theussner’a w celu wdrożenia dalszych pertraktacyj na temat PKKP i przejścia zabezpieczenia berlińskiego przez rząd Polski”. Natomiast Zygmunt Karpiński dorzuca: „Z polecenia polskiego ’komisarza rządowego’ Józefa Englicha, zarząd Kasy objął Stanisław Karpiński, jako ’przewodniczący’, a Z. Chamiec jako zastępca”.

Relacja L. Bilińskiego wydaje się odtwarzać fakt prawdziwie. Odpowiada ona ówczesnym nastrojom Kraju; dała ona w ręce Theussner’a doskonałe usprawiedliwienie wobec własnych władz — „poddania” Kasy Polakom. Przy tym należy zaznaczyć, że w ręku L. Bilińskiego był protokół tej nocnej eskapady Englicha z rewolwerem w ręce. Dalsze pertraktacje, z punktu widzenia prawa, nastąpiły w okresie późniejszym i przeszły przez różne

stadia, a ostateczny zwrot funduszy zabezpieczających, nastąpił dopiero w 1922 r., kiedy marka niemiecka zdeprecjonowała się.

U żadnego z wymienionych autorów, i w innych źródłach, nie znalazłem wyjaśnienia legalnej pozycji Englicha w czasie odbierania PKKP. Największym prawdopodobieństwem jest, że rząd Rady Regencyjnej Wróblewskiego spowodował akcję Englicha. Rząd, który starał się podtrzymać autorytet Rady Regencyjnej, nie uznawanej już przez Polską Komisję Likwidacyjną w Krakowie i oczywiście przez rząd Daszyńskiego w Lublinie. Chwytano się więc wszelkiego rodzaju kart w rozgrywce o władzę. Stąd, zapewne, Franciszek Josse, min. Skarbu u Wróblewskiego, wysłał Englicha na podbój PKKP, jako „komisarza rządowego” z szerokimi pełnomocnictwami. Po zajęciu Kasy, Englich mianuje swego przyjaciela Stanisława Karpińskiego, byłego dyrektora Banku Towarzystw Spółdzielczych w Warszawie, przewodniczącym zarządu PKKP. J. Englich, przed objęciem teki min. Skarbu w rządzie Świerzyńskiego, także piastował stanowisko dyrektora podobnego banku, ale w Poznaniu.

Opis zajęcia Kasy, podany przez Zygmunta Karpińskiego, brzmi następująco: „Dnia 11 listopada 1918 roku o godz. 1-ej, PKKP stworzona i rządzona przez władze okupacyjne niemieckie od 26 kwietnia 1917 roku przeszła w ręce polskie”. Na potwierdzenie tego faktu przytacza, że wziął szczegóły z dokumentów archiwalnych Narodowego Banku Polskiego. Opis przedstawia się raczej sztucznie i z lekka pompatycznie, wywołuje wątpliwości. Przy tym nasuwa reminiscencję innego faktu historycznego, mianowicie bardzo oficjalne przejęcie dawnego Banku Polskiego przez Rosjan w 1886 roku [zorganizowanego przez ks. Drucki-Lubeckiego, a w końcu przemianowanego na kantor wymiany Banku Państwa rosyjskiego]. Wyorderowana generalicja na czele z archirejem i licznymi popami, wyświęcała polskiego diabła, który wtedy był już prawie w wieku emerytalnym (Założony w roku 1828).

Inaczej przedstawia ten fakt, przejęcia PKKP, Andrzej Wierzbicki (patrz Źródła): „Toteż gdy w pamiętny dzień 11 Listopada ludność warszawska żywiłowo rzuciła się do usuwania niemieckich władz, opanowania budynków instytucji, będących w rękach niemieckich, dr J. Englich, były min. Skarbu w gabinecie Świerzyńskiego i przyszedł min. Skarbu w gabinecie Paderewskiego, mianuje Stanisława Karpińskiego dyrektorem PKKP; we dwóch wchodzi do gabinetu Theussner’a, dotychczasowego dyrektora, Niemca, i bez żadnego sprzeciwu z jego strony obejmują zarząd PKKP. W ten sposób w ręce polskie przeszła instytucja powołana do życia przez okupantów w kwietniu 1917 roku, emitująca

marki polskie, wypuszczane na potrzeby władz okupacyjnych, zabezpieczone równowartością marek niemieckich, kredytowanych PKKP, w bankach niemieckich”.

Wszystkie trzy opisy o przejęciu PKKP nie zgadzają się ze sobą w szczegółach. Czy jest to tak jak z relacją zawartą w czterech ewangeljach, czy też istnieje w nich pewna umyślna tendencja do przeinaczania faktów?

Zeznania L. Bilińskiego wydają się najmniej mijać z prawdą. Po pierwsze jego „Wspomnienia i dokumenty” opublikowano w Warszawie w 1924 roku; po drugie, wprowadzie w dokument, który trafił do rąk Bilińskiego, mogło nie być opisu formy przejęcia ale na pewno wymieniono tam datę, a może nawet i czas; po trzecie, przypuszczam że Biliński mógł mieć bezpośrednią ustną relację wypadku od samego Englicha. Natomiast monografia Zygmunta Karpińskiego i „Wspomnienia i dokumenty” A. Wierzbickiego opublikowane były w Polsce Ludowej. Monografia Karpińskiego w roku 1966 w kwartalniku „Najnowsze Dzieje Polski 1914-1939” w tomie X-tym, wydawnictwa PAN’u gdzie ukazała się jako długi artykuł. 800-stronicową książkę Wierzbickiego wydało Państwowe Wydawnictwo Naukowe w roku 1957. Obie te wydawnicze instytucje działają na podstawie znanych i przyjętych zasad politycznych, obowiązujących na obszarze komunistycznym. Stąd trudno uwierzyć w bezstronność, w sensie obowiązującym jeszcze na Zachodzie. Wydaje się że celem ich jest stworzenie jak największego zamieszania w naszej najnowszej historii.

Poza tym Zygmunt Karpiński, zapewne pod wpływem Stanisława, miał na celu pomniejszenie osobowości i pozycji Englicha, wobec ciągłych starć, do czego w dalszej części swej pracy przyznaje się, a co przez PAN na pewno zostało zakwalifikowane jako jeszcze jeden powód do publikacji jego pracy.

Charakterystyczne, że w tej metodzie tkwi zawsze część prawdy obiektywnej, co przez naiwnego czytelnika zostaje przyjęte tym bardziej z *bona fide*. A o to przecież chodzi!

Zygmunt Karpiński pisze: „W skarbcu PKKP znajdowało się w dniu przejęcia 313 milionów mkp. w banknotach, a na powiększenie tej ilości, w ciągu krótkiego czasu, nie można było liczyć. W Berlinie, gdzie banknoty Kasy były drukowane, znajdował się jeszcze pewien zapas biletów, lecz władze niemieckie odmówiły wydania ich, a także nie zgodziły się na przesłanie do Warszawy klisz i płyt potrzebnych do dalszego druku. Klisze te i płyty zostały zniszczone w Berlinie wobec delegatów PKKP, wysłanych przez Naczelną Radę Ludową w Poznaniu”.

Zrozumiałe, że potrzeby Skarbu rosły wtedy z dnia na dzień. Kierownik Min. Skarbu, Wł. Byrka (w rządzie Moraczewskiego), zażądał najpierw kredytu 70 milionów marek, którego mu Stanisław Karpiński udzielił, ale odmówił stanowczo dalszym żądaniom, zastrzegając się trudnościami technicznymi natychmiastowego druku banknotów. Odrzucił także sugestie J. Englicha (wtedy już min. Skarbu) aby druk tych banknotów odbył się w Warszawie, co uprościłoby sprawę i mogłoby skrócić czas druku do 2 tygodni. Stanisław Karpiński motywował odmowę brakiem właściwego bezpieczeństwa. Co wtedy nie zgadzało się z rzeczywistością. Naczelnik Państwa już w dniu 7 lutego 1919 roku podpisuje dekret „W przedmiocie tymczasowych przepisów o zakładach drukarskich i składach druku”, zaś na podstawie tego dekretu zostaje roztoczona dość rygorystyczna opieka rządowa nad drukarniami, szczególnie zakontraktowanymi przez państwo.

Wreszcie na usilne nalegania J. Englicha udzielono rządowi dalszych 50 milionów mkp. i rozpoczęto rozważać możliwość druku banknotów na miejscu. Ostatecznie powierzono edycję prywatnej drukarni B. Wierzbickiego, który naraził się Sejmowi, przez umieszczenie swego nazwiska na pewnej ilości banknotów, na marginesach. Drobne odcinki wykonano w drukarni prywatnej Łazarskiego.

Wbrew początkowym obawom, zamówienie wykonano sprawnie i w szybkim tempie, bo już 11 lutego dostarczono pierwsze egzemplarze.

Przypuszczam, że tylko co wspomniany epizod był pierwszym ze znanych powodów nieporozumień między J. Englichem a Stanisławem Karpińskim.



Naczelnik Państwa w dniu 7 grudnia 1918 roku podpisuje dekret, zatwierdzający nowy statut PKKP. Statut regulował egzystencję PKKP w sposób następujący:

- 1) PKKP miało istnieć do czasu powołania do życia Banku Polskiego i to jako jedyna instytucja emisyjna, udzielająca pożyczek min. Skarbu, na razie na podstawie uchwał Rady Ministrów, zatwierdzonych przez Nacz. Państwa, a później na podstawie uchwały Sejmu.

Należy tu podkreślić różnicę między PKKP a normalnym bankiem emisyjnym, którego decyzje emitowania waluty, regulował statut; natomiast PKKP musiała mieć na to zezwolenie Nacz. Państwa a później Sejmu. Innym aspektem była główna funkcja PKKP — udzielanie kredytu min. Skarbu.

L. Biliński i Wł. Grabski, jako ministrowie Skarbu, zarządzili emisję banknotów na własną rękę bez respektowania postanowień powyższego statutu. Podwyższyli w ten sposób obieg pieniędzy markowych o 3½ miliarda mkp. Wywołało to burzę w Sejmie. Oczywiście obydwaj mieli powody do tej „samowoli”, jednak Sejm nie uznał tych usprawiedliwień. Samowola L. Bilińskiego kosztowała go, między innymi, wcześniejsze opuszczenie ministerstwa, Sejm natomiast dnia 13 lutego 1920 roku uchwała uzupełnienie do art. 1 statutu, która brzmi: „Emisja biletów PKKP lub innych biletów, obciążających Skarb państwa, niemniej zaciąganie pożyczek państwowych, tudzież przyjmowanie przez państwo gwarancji finansowych nie może nastąpić bez uprzedniego zezwolenia Sejmu”.

- 2) W zasadzie PKKP, na podstawie statutu ma trzy funkcje:
 - a) emisja banknotów i udzielanie ich rządowi w formie pożyczek, bez żadnej opłaty;
 - b) otwieranie kredytów dla osób prywatnych, oczywiście zabezpieczonych zastawem towarowym lub w postaci papierów wartościowych, przyjmowanie wkładów prywatnych bez oprocentowania. Był to zakres działalności zwany „na rachunek własny”; z początku w bardzo skromnym zakresie, później większym. Zysk Kasy przelewa się na fundusz rezerwowy.
 - c) PKKP jest centralną kasą dla urzędów państwowych i miejscem przechowywania depozytów, znajdujących się pod opieką państwa.
- 3) Zarząd Kasy stanowią Dyrekcja, z Naczelnym Dyrektorem i jego zastępcą, mianowanych na wniosek min. Skarbu przez Radę Ministrów. Oni obaj i główny skarbnik podpisują banknoty.
- 4) Dekret o statucie zawiera także upoważnienie do emisji dalszych 500 milionów mkp., które w odróżnieniu od emitowanych przez Niemców miały następujący napis: „Państwo Polskie przyjmuje odpowiedzialność za wymianę niniejszego biletu na przyszłą walutę polską według stosunku, który uchwalili Sejm dla marki polskiej”.

Sejm przyjął ten napis raczej krytycznie i jak wyraził się jeden z posłów: „Jest to weksel bez daty”.



Zygmunt Karpiński twierdzi, że pierwszym powodem nieporozumień między Englichem a Stanisławem Karpińskim była

sprawa nazwy nowej unifikacyjnej waluty. Wydaje się, że stwo-
rzyło to z kolei drugą ze znanych przyczyn przeciągającego się
konfliktu. Z dotychczasowych źródeł wynika, że wszystkie te
kontrowersje miały charakter rywalizacji na tle, powiedzmy, za-
wodowym. Świadczyłoby to raczej dodatnio o obu ministrach.

Naczelny dyrektor PKKP nie brał udziału w posiedzeniach
Rady Ministrów, ani też w posiedzeniach Sejmu. Podlegał mi-
nistrowi Skarbu. Po objęciu ministerstwa, Englichowi wyraźnie
śpieszyło się z rozpoczęciem reform finansowych, dlatego wy-
koncypował „Lecha”, jako nazwę przyszłego unifikacyjnego pie-
niądza polskiego i swój projekt dał Naczelnikowi Państwa do
zadekretowania. Dekret z dn. 5 lutego 1919 roku ustalał: „że
jednostką waluty polskiej będzie Lech, a setną jego część stanowi
grosz”. Jak dalece Englichowi zależało na pośpiechu świadczy
o tym dzień w którym Naczelnik Państwa podpisuje jednocześnie
dekret o zwołaniu Sejmu na 9 lutego 1919 roku. Englich nie
czekał na Sejm, na jego debatę i decyzję. Chciał załatwić sprawę
we własnym zakresie, podczas gdy Stanisław Karpiński — według
opisów Zygmunta Karpińskiego i A. Wierzbickiego — już za
czasów okupacji miał opracowany statut przyszłego Banku Pol-
skiego, w którym przyszłą walutę polską nazwał ZŁOTYM.
Tymczasem dekret o Lechu, wraz z innymi dekretami został
zatwierdzony na pierwszych posiedzeniach Sejmu.

Sprawa wydawała się ostatecznie przesądzona. Stanisław Kar-
piński jednak nie dał za wygraną i postanowił nadal forsować
zmianę nazwy na terenie Sejmu. W tym celu namówił swego
przyjaciela Antoniego Rzęda, znanego posła, aby na najbliższym
plenium wystąpił z krytyką Lecha. A. Rząd obietnicy dotrzymał.
Na pierwszym posiedzeniu sejmowej Komisji Skarbowo-budże-
towej wywołał dyskusję nad wspomnianym dekretem, a następ-
nie, jako referent Komisji, przedstawił jej wynik Sejmowi na
plenum w dniu 28 lutego 1919 roku.

Według niego na Komisji przeważały dwie opinie. Jedna
miała na celu ułatwienie wymowy nazwy pieniądza przez cudzo-
ziemców, a szczególnie na giełdach zagranicznych i w związku
z tym wymieniono takie nazwy jak: piast, polona, pola, polon
od Polonii (podobnie do franka od Frankonii). Druga forsowała
tradycyjną nazwę „Złotego”. W głosowaniu przeważała ta ostat-
nia, poparta nawet przez Englicha. W skutkach na tymże posie-
dzeniu uchylono dekret. Nacz. Państwa z dn. 5 lutego 1919 roku
i uchwalono: „że jednostką waluty polskiej będzie Złoty, dzielący
się na 100 groszy”. Nazwa Lech utrzymała się tylko 23 dni.
W Paryżu i w Londynie kontrakty na edycję Lecha zostały już

podpisane. Stanisław Karpiński, jako dyrektor PKKP, telegraficznie zmienił Lecha na Złotego, i już z dniem 29 lutego 1919 rozpoczęto tam druk złotych, wybijając tę datę na biletach. Wprowadzono je do obiegu dopiero w roku 1924.

W. MASŁOWSKI

Ź R Ó D Ł A

- L. Biliński, *Wspomnienia i dokumenty*, Warszawa 1924;
Dziennik Praw Królestwa Polskiego;
Dziennik Ustaw R.P., poczynając od 1919 roku;
Ilustrowana Encyklopedia Trzaski, Ewerta i Michalskiego;
dr Zygmunt Karpiński, *W sprawie waluty*, Warszawa 17 lutego 1919;
dr Zygmunt Karpiński, *Tworzenie ustroju pieniężnego w Polsce po pierwszej wojnie światowej*. Najnowsze Dzieje Polski, 1914-1939, t. X, 1966;
St. Krzywoszewski, *Długie życie — wspomnienia*, Warszawa 1947, Księgarnia „Biblioteka Polska”;
Wł. Kumaniecki, *Odbudowa Państwowości Polskiej*;
St. Kutrzeba, *Polska Odrodzona 1914-1922*, Warszawa 1922;
Z. Landau i J. Tomaszewski, *Gospodarka Polski międzywojennej*, tom I, 1918-1923, Książka i Wiedza, Warszawa 1967;
Stenograficzne protokoły posiedzeń sejmowych, poczynawszy od 1919 roku;
A. Wierzbicki, *Wspomnienia i dokumenty (1877-1920)*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, 1957.

Piotr WANDYCZ

O DWÓCH HISTORYKACH

Odeszli od nas niedawno dwaj wybitni uczeni, seniorzy polskiej nauki historycznej na obczyźnie: Marian Kukiel i Oskar Halecki. Śmierć Generała Kukiel w Londynie i Profesora Haleckiego w White Plains, małej miejscowości pod Nowym Jorkiem, jest niezastąpioną stratą dla naszej nauki. Pomimo sędziwego wieku Kukiel był do ostatnich chwil duszą Instytutu Sikorskiego i Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie. Halecki, chociaż już od kilku lat nie brał czynnego udziału w życiu naukowo-akademickim, kontynuował swe prace badawcze i zdążył przed śmiercią ukończyć swoje ostatnie dzieło: pracę o Królowej Jadwidze.

Pomimo przykrego faktu zignorowania ich śmierci przez prasę i naukowe wydawnictwa krajowe — nazwiska Haleckiego na próżno szukalibyśmy w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN — pamięć o nich pozostanie żywa w środowisku naukowym, wśród ich byłych współpracowników, przyjaciół i uczniów.

Nie jest moim zamierzeniem przedstawić tutaj całokształt prac Kukiel i Haleckiego oraz ferować oceny czy wyroki. Pragnąłbym jedynie pokusić się o naszkicowanie sylwetek obu tych uczonych, tak jak ich znałem i widziałem na przestrzeni ostatnich dwudziestu paru lat. Nie wątpię iż inni podejmą się o wiele poważniejszego zadania, jakim byłoby zanalizowanie twórczości naukowej i działalności politycznej tych dwóch wybitnych Polaków, uczonych i patriotów, oraz ocenienie ich władu do polskiej nauki i historii Polski.

Generała Kukiel widywałem jako dowódcę korpusu polskiego w Szkocji, w którym służyłem, i jako ministra wojny w rządzie gen. Sikorskiego. Jeśli na moim stosunku do niego zaważyły te wspomnienia wojenne, to z pewnością zaważył również fakt, iż Kukiel był komendantem batalionu w Pierwszej Brygadzie w którym służył mój ojciec, do czego zresztą parokrotnie w rozmowach ze mną nawiązywał. Moje wizyty w Instytucie Sikorskiego były w dużej mierze odwiedzinami gen. Kukiel. Szliśmy na

kawę do Ogniska i Kukiel mówił o przeszłości i teraźniejszości, a przede wszystkim o zagadnieniach historycznych. Nie były to bynajmniej monologi starszego pana, zapatrzonego w swą własną, bogatą przeszłość, ani też mentorskie uwagi wobec o tyle młodszego kolegi-historyka. To co mnie najbardziej ujmowało, to skromność osobista Kukiele, jego tolerancja i spojrzenie na zagadnienia aktualne *sub specie æternitatis*. Niezorientowany czytelnik *Dziejów Polski porozbiorowej* nie mógłby się domyślić jak poważną rolę w opisywanych wydarzeniach odgrywał sam autor. Czytając obiektywną i wyważoną opinię o Piłsudskim, nie domyśliłby się jakiego umiaru trzeba było ze strony Kukiele, aby nie tylko zapomnieć o dzielących go z Piłsudskim różnicach, przed i po maju, ale też nie dać ani na chwilę upustu osobistej animozji. A trzeba niestety przyznać, że to co Marszałek mówił i pisał o Kukielu nie było godne Piłsudskiego.

Podobnie tolerancyjny stosunek miał Kukiel do tych historyków krajowych, którzy — zwłaszcza w okresie „minionym” — splamili się niewybrednymi atakami na jego osobę jako historyka i człowieka. Uwagi Kukiele o historiografii krajowej były zawsze wolne od osobistej krytyki poszczególnych osób, a zdumiewający był fakt jak człowiek innej szkoły i innego pokolenia potrafił być tak dobrze zorientowany w życiu ośrodków historycznych Polski. Było coś niezwykle ujmującego w sylwetce niepozornego z wyglądu i nie mającego daru krasomówczego Kukiele. Skromny, tolerancyjny w swych wypowiedziach, Kukiel był dla mnie zawsze typem człowieka niezwykle prawego. Jak powszechnie wiadomo, umiłowaną jego dziedziną historii były dzieje wojskowości. W tej też dziedzinie cieszył się powszechnym autorytetem u swoich i obcych. Od wielkich prac przedwojennych poczynając, na książce *Od Wiednia do Maciejowic* kończąc, Kukiel miał niezmiernie dużo do powiedzenia na te tematy. Jako wieloletni dyrektor Muzeum Czartoryskich, urzeczony postacią Księcia Adama, Kukiel dał interesującą i wartościową próbę syntezy Czartoryskiego jako europejskiego polityka. Jego książki, która ukazała się jedynie w języku angielskim pod tytułem *Czartoryski and European Unity*, nie należy porównywać, jak to czynią niektórzy, z wielką pracą Handelsmana. Zamierzenia, podejście do tematu, sposób pisania są zupełnie różne i nie muszą koniecznie wypadać na niekorzyść generała Kukiele.

Podczas mej ostatniej wizyty w Londynie, zaszedłem jak zwykle do Instytutu Sikorskiego. Generała nie było, ale zapewniono mnie, że będzie tam parę godzin później. Miałem mało czasu i tak się złożyło, że nie mogłem już przyjść na Princes Gate. Nie sądziłem wówczas, że nie zobaczę już więcej Mariana Kukiele. Śmierć Jego, która zbiegła się w czasie ze zgonem innego wybitnego uczonego, profesora Uniwersytetu Warszawskiego, Stanisława Herbsta, pozbawiła naukę polską dwóch najlepszych chyba i najbardziej znanych historyków wojskowości, a zarazem ludzi, których odejście jest bolesną stratą dla naszej nauki.

Oskara Haleckiego poznałem wkrótce po przybyciu do Stanów Zjednoczonych, z górą dwadzieścia lat temu. Otaczał go nimb wielkiego erudyty, krasomówcy, aktywnego uczestnika zjazdów historycznych, na których zdumiewał słuchaczy swymi lingwistycznymi talentami i znajomością szerokiej tematyki. Wielki i gorący katolik, bywał częstym gościem w Rzymie, a jego pozycja na katolickim uniwersytecie Fordham w Nowym Jorku była niezmiernie poważna. Był on również bardzo aktywny w większości polskich instytucji w Stanach. Jako jeden z założycieli Polskiego Instytutu Naukowego a później jego wieloletni dyrektor, doradca historyczny Instytutu im. J. Piłsudskiego w Nowym Jorku, Halecki był bezspornym seniosem polskiej nauki historycznej w Ameryce. Jako człowiek stanowił on jak gdyby zewnętrzne przeciwieństwo Kukieła. Wysoki, suchy, z postawą nacechowaną godnością i nawet pewną rezerwą, Halecki nie był na pierwszy rzut oka postacią ciepłą czy ujmującą. Był on również jako historyk bardziej kontrowersyjny niż Kukiel. Ogromnie poważany i ceniony w Europie, Halecki pomimo długoletniego pobytu w Stanach nie dostosował się do stylu amerykańskich naukowców. Miano mu za złe jego prononsowany katolicyzm — były to przecież lata dominanty WASP (*White Anglo-Saxon Protestants*), do której dopuszczano powoli Żydów — oraz iście środkowoeuropejską erudycję. Podziwiano jego łatwość wystawiania się w wielu językach, fenomenalną pamięć, ogromną wiedzę ale z wyjątkiem specjalistów środkowoeuropejskich nie był on szczególnie popularny w amerykańskim świecie historycznym.

Halecki jako historyk, zwłaszcza w swych późniejszych latach, był niewątpliwie postacią kontrowersyjną. Oczywiście nie w sensie tego krzywego zwierciadła, w jakim przedstawiano go w Polsce. Kontrowersyjność może być u historyka wadą, ale częściej bywa zaletą. Jego interpretacje historiozoficzne, zawarte w niedużym tomie *Limits and Divisions of European History* wciąż jeszcze pobudzają do myślenia i dyskusji. Czytają je coraz to nowe pokolenia studentów amerykańskich z zainteresowaniem i pożytkiem. Przed paroma laty nawiązał do nich jeden z najwybitniejszych historyków angielskich, specjalizujących się w Europie Środkowo-Wschodniej, prof. Hugh Seton-Watson, przy otwarciu międzynarodowej konferencji na uniwersytecie Columbii. Sam termin zresztą, Europa „Środkowo-Wschodnia” (*East Central Europe*) spopularyzowany przez książkę Haleckiego *Borderlands of Western Civilization* zastąpił na wielu uczelniach amerykańskich określenie Europa Wschodnia. Największy ośrodek tych studiów w Stanach Zjednoczonych, Institute on East Central Europe na uniwersytecie Columbii, przyjął tę nazwę właśnie pod wpływem Haleckiego.

Wspomniałem powyżej książkę Haleckiego, *Borderlands*. Zamierzona jako podręcznik uniwersytecki, książka ta jest po dzień dzisiejszy jedynym opracowaniem w którym autor pokusił się o naskikowanie procesu historycznego całego obszaru położonego

między Niemcami i Rosją. Cokolwiek by się o tej książce nie powiedziało już sam ten fakt ma swoje głębokie znaczenie. Uwypukla on też ewolucję naukową Haleckiego, który poczynając od przedwojennych prac o unii polsko-litewskiej z biegiem lat rozszerzał swe zainteresowania i dążył do wielkich syntez naukowych. Zagadnienia unii stanowiły oczywiście nadal centrum zainteresowań Haleckiego jako badacza i pisarza. A pisarzem był **bardzo płodnym**. W odróżnieniu od Kukiela, którego książki wychodziły w Londynie po polsku i pisane były zamasytą i jędrną polszczyzną, Halecki celowo pisywał prawie wyłącznie po angielsku, chcąc dotrzeć do szerszych kół naukowych i zainteresować swą tematyką anglosaskich czytelników. Angielszczyzna jego zresztą była trochę barokowa i ciężka, mocno stawiane tezy powodowały ożywione i niezawsze dla autora życzliwe reakcje. *From Florence to Brest*, oparta na ogromnej bazie źródłowej, pochodzącej głównie z archiwów watykańskich, zainteresowała, ale nie przekonała różnych adwersarzy Haleckiego; zwłaszcza, że upatrywano w niej próbę obrony Unii Brzeskiej z polskiego stanowiska. Jest to znowu uproszczenie, ale charakterystyczne może dla reakcji, jakie budziły w niektórych kołach prace polskiego uczonego.

Halecki nie stworzył chyba własnej szkoły historycznej. Wśród jego starszych uczniów są wybitni historycy, tak w kraju jak i na emigracji. Wśród młodszych, zwłaszcza na terenie Stanów — a musimy pamiętać, że Halecki zaczął wykładać w bardzo młodym wieku — nie ma bardziej znanych kontynuatorów jego kierunku historiozoficznego. Zresztą w warunkach amerykańskich, w których historia Europy Środkowo-Wschodniej, nie mówiąc już o historii Polski, stanowi pewien margines naukowy, nie może to nikogo dziwić.

Sylwetka Haleckiego, tak jak próbowałem ją naszkicować w powyższych krótkich uwagach, nie byłaby pełna, gdybym nie dorzucił tutaj kilku refleksji natury bardziej osobistej. Chciałbym powiedzieć parę słów o mych ostatnich dwóch spotkaniach z Profesorem.

Przedostatnie miało miejsce w Ukraińskiej Akademii Naukowej, w której miałem referat o próbach współpracy Piłsudskiego z Petlurą. Oskar Halecki komentował moje uwagi w krótkim koreferacie. Jak zwykle mówił bez żadnych notatek, płynnie, ze swadą i z wielką znajomością przedmiotu. Jak zwykle trochę barokowo. Jakież było więc moje zaskoczenie, kiedy odprowadzając go na dworzec, usłyszałem jak wiele kosztują go publiczne wystąpienia i jak wielką odczuwa treść przy wygłaszaniu przemówień. Kiedy wyraziłem moje niedowierzanie, Halecki dodał, że co więcej podróż z White Plains (niecała godzina jazdy) do Nowego Jorku, jest dla niego większym przeżyciem i wysiłkiem niż dawniej podróże z Nowego Jorku do Rzymu. Mówił też ze smutkiem, że jego wystąpienie na jednej trybunie w Rzymie z Kardynałem Wyszyńskim zaszkodziło ponoć temu ostatniemu

w kraju. Był tym szczerze zgnębiony i przybity. Był to jakiś inny Halecki, nie ten znany z wystąpień na zjazdach i kongresach a powściągliwy i chłodny, choć zawsze bardzo uprzejmy, w osobistym kontakcie. Rzeczywiście po śmierci żony, której przywiązanie i cicha współpraca jako historyka były jak gdyby opoką — że użyję tu wyświechtanego i niedzisiejszego słowa — Halecki jak gdyby załamał się wewnętrznie. Odsunął się od wszelkiej działalności; odmówił kontynuacji pracy dydaktycznej, mimo propozycji ze Szwajcarii, chciał pozostać nadal w małej podnowojorskiej miejscowości, gdzie znajdował się grób jego żony. Ale historyk w Haleckim nie pozwolił mu zaprzestać pracy naukowej, prowadzonej cicho i bez rozgłosu. Usłyszałem o niej od niego na ostatnim naszym spotkaniu w Instytucie Naukowym. W odtworzonej sekcji historycznej, na zebranie której Halecki przyjechał (a właściwie nawet spowodował to zebranie) Profesor mówił o konieczności urządzenia sesji naukowej poświęconej Królowej Jadwidze. Mówił o swej pracy o Królowej, w której zamierzał przedstawić jej sylwetkę na tle szerokiej kanwy historii Europy Środkowo-Wschodniej tego okresu. Rozsnuwał przed nami obraz stosunków polsko-węgierskich, włoskich, litewskich, mołdawskich, w którym czuć było przytłaczającą wprost znajomość ludzi i dziejów tamtej epoki. Mówił z przejęciem, prawie namiętnie, choć później przeproszał, że może zajął nam zbyt wiele czasu i niepotrzebnie się unosił. Był to jak gdyby równocześnie ten dawny, błyskotliwy Halecki i ten inny, ze swych ostatnich samotnych dni. Przed śmiercią wyraził ponoć radość z tego, że swą książkę, ostatnią książkę swego życia, zdołał doprowadzić do końca. Ze śmiercią Haleckiego tracimy wielkiego uczonego, który podejściem do zagadnień i szkołą historyczną należał co prawda do dawniejszej formacji, ale który swą rozległą wiedzą budził szacunek i podziw młodszej generacji historyków.

Piotr WANDYCZ

WRZESIEŃ 1939

Gen. Dyw. Antoni SZYLLING

O KAMPANII WRZEŚNIOWEJ (F r a g m e n t y*)

I

T Ł O

Kilkumiesięczny okres poprzedzający wojnę zasługuje na specjalną uwagę. Ale przede wszystkim należy stwierdzić stan poprzedni i zdać sprawę z tego, co było dotychczas zrobione, a dopiero następnie zdecydować, co powinno być wykonane w możliwie krótkim, nie dającym się bliżej określić czasie, a co projektować i planować na dalszą przyszłość.

Na ogół kraj pod względem obronności, chociażby tylko wojskowej, nie był przygotowany. Teren mało rozpracowany — surowy, tak bym to określił. Trzeba jednak zaznaczyć, że zbyt pochopna i łatwa krytyka zapomina o wszystkich trudnościach. Byliśmy ogólnie opóźnieni, więc i tu, a zależność wielu decydujących elementów których źródła były poza wojskiem, ciążyła nad poczynaniami i usiłowaniami, zmierzającymi do rozbudowy młodego wojska i obronności kraju.

Ówczesna teraźniejszość gwałtownie zbliżających się wypadków, w toku powoli rozwijających się i realizowanych planów,

* pracy pt. „Moje dowodzenie”, patrz str. 103.

wymagała szybkich decyzji i wielu zmian. Południowo-zachodnia granica Polski, która stała się odcinkiem armii „Kraków”, w ciągu ostatnich miesięcy zmieniła swoje oblicze polityczne, granice sąsiedzkie i warunki obronne. Powstały nowe zagadnienia, których waga wymagała szybkiego załatwienia, a większość tych spraw leżała w kompetencji Naczelnego Wodza, lub kierownictwa politycznego państwa. Pogotowie wojenne, bo tak by należało nazwać okres od marca 1939 roku, narzuciło jednocześnie wiele spraw, które znowu zazębiając się o inne wciągały pracę na szersze tory, niż normalny zakres uprawnień Dowódcy Armii, który w kolejności znowu dobijał się do różnych władz centralnych. Tu trzeba przyznać, że mimo stale niejasnej sytuacji oraz znacznego skrępowania względami politycznymi i gospodarczymi, wiele spraw załatwiano pozytywnie. Ale wiele też okazało się zbyt trudnych lub niemożliwych i te należało zaliczyć do kategorii — przyszłości.

Organizacja państwa nie była w stanie zapewnić obrony Ojczyzny, nawet w tych granicach, które zdawało się że są możliwe do osiągnięcia. Zbliżały się wydarzenia, gdy człowiek czasem sam jeden, do dziś może nieznany, spełniał swój obowiązek i tak w rzeczywistości 1 września cały naród stanął do walki, niezależnie od tego, gdzie kto był i jaką rolę miał do spełnienia, jakie tytuły posiadał i jakie obowiązki na nim ciążyły. Tysiące ludzi ginęło, podejmując walkę bez nadziei, bez przymusu, i kontroli, często wbrew logice rozwijających się wypadków. Tego zapomnieć nie można i tych myśli nigdy nie porzucę. Tutaj jednak muszę utrzymać się w ramach swojego zadania i zdać sprawę z tego, jak było, jak być powinno i może jak być mogło.

Wojsko polskie, w okresie poprzedzającym wojnę, było największym dorobkiem odrodzonej Ojczyzny, ale największa ofiarność narodu i zaufanie nie mogły wyrównać wielu braków, głównie w dziedzinie dozbrojenia, przezbrojenia, przygotowania odpowiedniej ilości kadr i wystawienia takiej ilości jednostek bojowych, na jaką Polskę stać było.

Dzisiaj są wszelkie możliwości, aby zdać sprawę z całego ogromnego wysiłku, w latach poprzedzających wojnę, w dziedzinie: przewidywań, planowania, organizacji i wyszkolenia. Jak wiele bezmiennego trudu, jak wielu zdolnych — wykształconych oficerów, jak ożywiało to powszechny zapał i ambicja pracy i jak wiele dokonano. Pogarda klęski pokryła wszystko i dla wielu pozostała jedynie gorycz minionych dni i to niezależnie od stopnia udziału, ponoszonej odpowiedzialności i spowodowanych win.

Bodaj że historia nie zna takiego przykładu, aby polityka państwa i najwyższe dowództwo wojskowe postawiło w tak

trudnych warunkach własne wojsko, jak to było w roku 39-ym. To nie jest oskarżenie, to jest rzeczywistość. Dzisiaj wiemy już dokładnie, jaką rolę odegrali nasi alianci, jaką — ZSSR i jak wykorzystali to Niemcy, ale wiele trudu jeszcze wymaga i potrzeba czasu, aby ostatnie miesiące i dni przed wrześniem powiązać w jedną całość z polityką własną i przygotowaniem wojny w takiej zależności od nacisku i zastrzeżeń sprzymierzonych. Literatura całego świata odsłania nam wszystkie tajniki. Nasza Komisja Historyczna ma wiele przepracowanego materiału, ale nie jest to wdzięczna praca. Trzeba nieraz iść pod prąd już utartej opinii, która pogodziła się z tym, że największą winę naszego nieszczęścia ponosimy właśnie my sami. Znamy już wielkie winy naszych sprzymierzeńców, a możliwości ich w porównaniu z nami były nieograniczone. Ich postawa, ich kunktatorstwo obezwładniały nas, a w ostatnich dniach „żołnierzowi wytrąciły broń z ręki”. Należy ustalić, gdzie mogliśmy się oderwać od wpływów i żądań sprzymierzonych, co mogła wówczas dokonać nasza polityka, co mogliśmy osiągnąć i gdzie są winy i zaniedbania naszego przygotowania i pogotowia wojennego. Z kolei rzeczy, wielką cenę płaciła Polska za „otwarcie oczu” sprzymierzonym i za możliwość ich przygotowań. Czy to wykorzystali? Klęska 40-go roku na Zachodzie wiele wskazuje na niedocenianie naszego wkładu, a często jeszcze i dzisiaj są tendencje do pomniejszania lub lekceważenia naszych wysiłków i bezbrzeżnej ofiary całego narodu. Niech każdy wie, gdzie są winy i błędy, ale również i momenty i czyny, którymi powinniśmy się chlubić. A błędy przeszłości, jeśli mamy ich uniknąć w przyszłości i mają mieć wartość dla innych, należy przeanalizować: jak one powstały, jak należało ich uniknąć, lub szukać innych rozwiązań. Byłoby to ponad moje możliwości sprostać tak zakreślonym zadaniom. Ja mogę tylko utrzymać się w ramach mojego stanowiska i moich obowiązków, a więc pisać i mówić o tym, co jest mi dobrze znane i za co powinienem ponosić odpowiedzialność.



Popularność Naczelnego Wodza była powszechna. Znana była jego rola w najwyższym kierownictwie politycznym państwa. Wojskowa przeszłość uzasadniała powołanie go na stanowisko Naczelnego Wodza. Sztab Główny — Sztab Naczelnego Wodza — był instytucją mającą autorytet i uznanie dla podjętych i wykonywanych prac, zwłaszcza w ostatnich latach pod kierownictwem generała Stachewicza. Jednak pomimo grozy zbliżających się wydarzeń niewiele zrobiono w sprawie wewnętrznego rozsze-

rzenia udziału i odpowiedzialności politycznej. Szła wielka gra: czy wojna będzie, czy nie? A czym większa była ufność w politykę własną, gwarancje sojusznicze i wiara we własne siły, tym klęska miała być dotkliwsza, wprost nieprzewidziana. W wojsku wiele zarządzeń połowicznych i stałe skłócenie między tym, co można było i należało dokonać, a tym, co było robione, stwarzało atmosferę niepokoju.

Wojna zbliżała się i jak każda, tak i ta miała być inna. Ale jej odmienność polegała nie tylko na wprowadzeniu innych broni i metod działania, ale przede wszystkim na świadomej gotowości całego narodu do obrony wolności i niepodległości. Gdy znowu z drugiej strony łądzono się, że wojny może nie być, że zawarte sojusze mogą powstrzymać wroga, ostatecznie wierzone w działanie wojennych zobowiązań sprzymierzonych. To wielkie ryzyko odbiło się na wszystkich wojennych przygotowaniach.

Gen. Schlemmer w Murnau powiedział: „Niemieccy generałowie, postawieni w warunkach polskich, nie mogliby dowodzić”. Oczywiście, opinia ta nie pomniejsza wartości generałów niemieckich jako dowódców, miała jedynie podkreślić trudności, przed jakimi stanęli generałowie polscy. Słowa starego, surowego gen. Schlemmera często sobie przypominam, ale jednocześnie stawiam pytanie, czy my, jako dowódcy, wszystko zrobiliśmy i wszystko wykorzystaliśmy? Czy można było coś więcej, lub inaczej i lepiej robić w tej bezprzykładnie trudnej wojnie? Czy dzisiaj mamy tylko zasłaniać się i spychać wszystkie winy i błędy na Wodza Naczelnego i jego Sztab?

Marszałek Śmigły był dobrym dowódcą, jego sztab był dobrze przygotowany na postawienie wojska w pełnej gotowości i zorganizowanie dowodzenia dla wojny. Czemu to się nie stało? Tu trzeba przyznać, że decyzje, które musiał pobierać jako Naczelnny Wódz, przerastały jego możliwości. To było ponad jego siły, a w labiryncie powikłanych gier politycznych ztracały się największe walory, jakie Polska miała — wojsko. A klęską narodu stawało się nie to, że wojna była przegrana, bo inaczej być nie mogło, a to, że wojsko nie mogło się bić, tak jak tego nadzieje i ambicje narodu oczekiwały, a przeznaczenie i honor wojska wymagały.

Ale my, dowódcy w polu, daleko byliśmy od tych zagadnień, które rozstrzygały się w stolicach wielkich mocarstw i których ostatecznie Polska stała się ofiarą. Nas obowiązywało jedno: dać ze siebie i z wojska wszystko, co było możliwe w myśl uprzednio otrzymanych rozkazów, lub w zmiennych warunkach toczącej się wojny wykonywać narzucone zadania.

Marszałek Śmigły dowodził i w tej niedoskonałej organizacji dowodzenia usiłował stale opanować sytuację: gdy wszystko się rwało, wszystko było spóźnione, wszystko zawodziło, a formalne rozkazodawstwo przechodziło w dorywcze zarządzenia, oparte na nikłych podstawach zaufania i nadziejach. Jaki nasz udział w tym zmaganiu, jakie możliwości, jaka wola, gdzie samowola, gdzie słabość i niedoskonałość?



Dowodzenie nie jest rzeczą prostą. Dla jednych może być nawet łatwe, dla innych trudne, lub wprost niemożliwe. Wieki składały się na to, aby brać z nich przykład i to na wszystkich szczeblach dowodzenia. „Sztuka Dowodzenia” — w tych dwu słowach zawarta jest odpowiedź na zagadnienia, które są udręką dla wielu. Kilka podstawowych, obowiązujących zasad przypominam dla przykładu: „Dowodzić — to przewidywać”. „Aby dowodzić, trzeba umieć słuchać”. „Pobieranie decyzji”. „Gotowość przyjęcia odpowiedzialności za decyzję i jej wyniki”.

W wojsku trudno powiedzieć, że ktoś — że dowódca „kieruje się zasadami”. To jest podświadome postępowanie i wynika z jego charakteru, wychowania, wykształcenia i doświadczeń. Ale rezultaty tego przejawiają się w jego pracy, decyzjach i rozkazach. Zasady stają się jakby kontrolą rzeczy, które były zdecydowane, które się działy i dzieją, a jeśli to było oparte na podstawach moralnych (powołanie! cnoty rycerskie!), bo inaczej być nie może, to właśnie w nich znajdziemy potwierdzenie słuszności postępowania i usprawiedliwienie koniecznych odchyłeń. Wojna podnosi wartość codziennej, czasem długoletniej pracy do rangi sztuki. Dowódca zdaje egzamin ze słuszności opracowanych planów i powziętych decyzji, umiejętności wykorzystania rozporządzalnych sił i środków, narzucenia odpowiedniej organizacji i ugrupowania i chociaż ramy nakreślone zadaniem mogą być ciasne, to zawsze wiele jest miejsca na inicjatywę wykonawcy. Każdego prawdziwego dowódcę cechuje pewien swoisty styl, pewna metoda pracy i działania. Tu przejawia się jego indywidualność. Tak jak po wszystkich wojnach, tak i po ostatniej historia utrwała nazwiska szeregu dowódców, i to we wszystkich armiach, którzy w wykonanie zadań wnosili swoje, każdemu z nich właściwe, indywidualne wartości, a tak czasem odmienne. Jest tu i wiedza i temperament, jest wykorzystanie wszystkich doświadczeń, a jest i przekreślenie najwięcej wyrozumowanych rozważań, są i dziwactwa, ale nade wszystko jest coś jeszcze więcej, co w sumie nazywa się „sztuka dowodzenia”. W tym kryją się niespostrzeżone przez innych oceny i wnioski, niezrozumiała dla

innych ostrożność, lub wprost nieobliczalny manewr. Te rzeczy powstają w myślach dowódcy, często są ciągłością poprzednich wydarzeń i dalszych przewidywań, nie lubią przedwczesnych ujawnień i kolektywnych decyzji.

Sam muszę się przyznać, że jestem trochę dziwak. Nie znoszę, jeśli ktoś chce przemycać swoje koncepcje. Nie znoszę, jeśli ktoś podsuwa mi tak zwane „elementy decyzji” (już przed wojną nie lubiłem tego określenia) w formie gotowej decyzji, ale powstałej i powziętej przez niezbyt skromnego współpracownika. Nie znoszę, jeśli sobie ktoś pozwala przerabiać, lub poprawiać to, co ja zdecydowałem. Od dobrze przygotowanych fachowo, inteligentnych i lojalnych oficerów sztabu zależy, czy potrafią ocenić indywidualność swojego dowódcy, jego odstępstwa od szablonu, i czy łączą się we współpracy wszystkich komórek sztabu, celem przekazania jego decyzji i woli wykonawcom. Byłoby bardzo dziwne, gdybyśmy po 20 latach szkolenia i wychowania naszego wojska stwierdzili, że grupa oficerów dyplomowanych, składająca się z ludzi zdolnych i ambitnych, którym daliśmy wyższe wykształcenie, używa języka niezrozumiałego dla niektórych dowódców i przełożonych, no i oczywiście, dla wielu tysięcy oficerów „liniowych”. Te tendencje już dawno minęły i jest to zasługa samych oficerów dyplomowanych. Tu też należy szukać przyczyn ujawnionego gdzieś tam braku wzajemnego zrozumienia. W różnych wspomnieniach minionej wojny są tego ślady. Jednak, pomimo że praca dowódców i sztabu odbiegała od najdalej idących przewidywań, nie sądzę aby gdzieś na tym tle powstawały większe trudności. Nasza Wyższa Szkoła Wojenna nie była kuźnią „wiedzy tajemnej”, ani niemieckim sztabem generalnym, z jego historią i tradycjami. Była po prostu wyższą szkołą wojenną. Dostarczyła nam wielu doskonałych oficerów, starsze roczniki sięgały już po wyższe dowództwa i wysokie stanowiska w sztabach. Za lat kilka tak pożądana „wspólna szkoła” i „wspólny język” panowałyby wszechwładnie. Ale to nie jest wszystko. Dostatecznie spojrzeć na dni zmagania i ciężkiej próby w dowodzeniu i pracy sztabowej. Oficerowie dyplomowani najlepiej to oceniają, są tego liczne dowody.



Kwalifikacje (oceny), które w czasie pokoju są podstawą awansów i tak zwanych przydziałów, są robotą trudną i, powiedzmy, delikatną. W okresie wojny stają się łatwe. Naturalna selekcja odbywa się w czasie działań, w obliczu wroga. Jednak szybkość toczących się wydarzeń nie pozwalała na należyłą ocenę

wartości ludzi, którzy, wnosząc dobre przygotowanie fachowe i najlepszą wolę, czasem nie mogli sprostać zadaniom tej wojny. To nie jest grzech. To działo się wszędzie, w armiach daleko więcej przygotowanych, a więc mogło być i u nas. Wśród wybitnych dowódców, których wojna nam dała, mogli być i ludzie słabi, byli też i ludzie mali. Ci pierwsi nieszczęśliwi — ci drudzy szkodliwi. Nie wszystko można było wiedzieć w porę, nie wszystkiemu można było zaradzić w czas. Jesteśmy ludźmi, wszyscy podlegamy tym samym prawom natury. Nie jest winą jednych, jeśli są słabsi, jeśli ich perspektywa zamyka się wcześniej, lub ograniczona jest do bezpośrednich wrażeń, lub przeżyć. Jak również nie jest zasługą innych, jeśli mają dalszy wgląd i do końca niepokonane siły. To jest dar, który wyróżnia. W wojsku, w wojnie wybija się to na pierwszy plan.



Bitwa jest konsekwencją wojny, wszystko co do niej prowadzi, co ją wspiera i pomaga, nabiera pierwszorzędnej wagi. To co przeszkadza, utrudnia i czego brak — musi być usunięte. Uszeregowanie elementów dodatnich i ujemnych zależne jest od przewidywań. Minęły czasy, kiedy ze ścisłością kalendarza można było ustalić terminy, od chwili rzucenia rękawicy przez wroga, licząc dni i tygodnie mobilizacji i zajęcia pozycji wyjściowych do rozpoczęcia dwustronnych, czasem nawet jednoczesnych działań. Pierwszy strzał, pierwsza bomba rzucona dnia 1 września o godzinie 5 rano nie powinny być zaskoczeniem. Wojna zaczęła! Ale nim się rozpoczęła mijały miesiące dręczących usiłowań i skłóconych decyzji. W tym stanie, szerokim frontem tysiąca kilometrów uderzyli Niemcy. Na kolejność i wagę potrzeb wpływa kolejność narzuconych wydarzeń. Wszystko stało się naraz konieczne, niezbędne.

W tym chaosie napływających wiadomości, zmiennych sytuacji i rozkazów, wdziera się niepokonane świadomość wielkiej, powszechnej krzywdy, wielkiej niedoli ludzkiej. To nie minęło i zapomnieć trudno. Ale jednocześnie wszędzie widać było bezprzykładną ofiarność, zaradność, inicjatywę — czy to zbiorową, czy pojedynczą, czy kierowaną, czy też z własnej dobrej woli. W tych to dniach trudno oderwać sprawę wojska od innych. Łączyły się one nieraz prawie na polach bitew i niejednokrotnie wpływały na decyzje dowódców i morale wojska.

Jednak klęska 39-go roku nie kończyła się na polach bitew. Długa niewola pogłębiała rozdzwinki i tak słuszne żale. Dopiero

przegrana na Zachodzie w 40-tym roku była pierwszym krokiem do spokojniejszej kontroli i oceny wydarzeń 39-go roku.

Wojna toczyła się dalej, obejmując kraje i kontynenty i wojsko polskie usiłowało odtworzyć swoje zniszczone wartości, przez rozbudzoną wiarę spełnionego obowiązku i odbudowę sił polskich na obczyźnie. Ale wtedy, w roku 39-ym, wszystko się załamało i waliło w takim tempie, że żadne wysiłki, żadne reakcje nie mogły nadażyć, podołać. Zawód i żal były powszechne i tego, który wdział mundur, i tego, który nie zdążył go jeszcze włożyć. U ludzi w wojsku i poza wojskiem. Polityka i Naczelne Dowództwo stały się jakby centralnym celem oskarżeń, ale gwałtowne załamanie się zaufania i szukanie ratunku i pomocy wskazywało winnych bliżej i tam gdzie stykano się bezpośrednio z jakimś pozostałym jeszcze przejawem władzy państwowej lub dowództwem, widziano jakby uosobienie przyczyn zbliżającej się klęski i własnego nieszczęścia. Jednak pomimo zupełnego zrozumienia panujących natrojów, należy zaznaczyć, że w wojsku tak jak zbiorowa decyzja jest najgorszą formą dowodzenia, tak również zbiorowa odpowiedzialność jest najmniej słuszna. Nikt nie powinien być wolny od odpowiedzialności za swoje decyzje i wykonanie otrzymanych rozkazów. A jednak właśnie wojny najczęściej dają przykładów bezkarności, a wojny przegrane stwarzają warunki, które pozwalają toczyć boje o pierwszeństwo do sławy w nikłych i zawitych uzasadnieniach, w imię tego „co by było, gdyby było”.

V

NA LWÓW

Jako żołnierz, chcę wiedzieć, że mam dowódcę; jako dowódca armii, mam naczelnego wodza, który w porę wykorzysta moją lepszą sytuację, lub wesprze mnie w odosobnionej walce. Że sprowadzi do wspólnego działania — wojsko, które z natury terenu i wspólnych zadań powinno być też ujęte w jedno wspólne dowództwo. — Tego było brak. Na szczęble mojego dowodzenia odczuwałem to mocno. Jeśli nie było to przewidziane wcześniej, jeśli nie mogło to być od początku działań i nie stało się to w pierwszych dniach wojny — odrobić nie podobna.

Nie potrzebuję tutaj uzasadniać, że po prostu fizyczny dystans między naczelnym wodzem a podległymi mu bezpośrednio armiami zwiększał się stale w miarę narastających nowych zagadnień, szybkości działań i konieczności podjęcia nowych decyzji. I to

pomimo, zdawało się, słusznych i szybkich reakcji naczelnego wodza stawalo się spóźnione, w wykonaniu niemożliwe.

Utworzenie frontu południowego z d-cą gen. Sosnkowskim parę tygodni, bodaj parę dni wcześniej, stwarzało warunki, których dzisiaj już osiągnąć nie można. A jednak, pomimo wszystkich przeciwności, wtedy miałem tyle sił, energii, tyle woli i opanowania, a wątpliwości nie miały do mnie dostępu. Idę naprzeciwko nowych, jeszcze mi nieznanym wydarzeń, z jednym gorącym pragnieniem i wiarą, że przecież spełnię swoje zadanie i spełniać je będę do końca.

Pierwszy raz w tym „Moim Dowodzeniu”, ale i pierwszy raz w moim życiu odkrywam to, co było moim, jakby naturalnym, wiążącym obowiązkiem; było to dawniej i stało się teraz. Cele są proste o wysokim napięciu uczuciowym, ale nie absorbują moich myśli, nie zajmują czasu. Bez cierpień, ambicji, spraw ubocznych, odnajduję siebie w tym co robię i jak robię — to mi wystarcza. Wszystko inne jest dalekie i nie byłoby pełne „Moje Dowodzenie”, gdybym tych paru zdań ostatnich nie napisał. A teraz po latach, gdy żyję tym dniem, jest on taki, jakim był wtedy.



Dzień 13-go ma się ku końcowi.

Jadę dalej. Pod Modliborzycami, w głębi puszczy, spotykam mjr. Bydlińskiego, oficera mojego sztabu, jadącego na moje spotkanie. Po prostu przypadek, ale przypadek szczęśliwy. Na kiep-skiej drodze w ciemną noc, około godz. 20-ej. Wiezie plik papierów, w tym wytyczne i rozkaz naczelnego wodza z dnia 11-go i 12-go i rozkaz gen. Sosnkowskiego z dn. 12-go, godz. 20. Rozkazy te otrzymane były w sztabie armii w Zamościu około godz. 11-ej, a więc już po moim wyjeździe i teraz doszły do moich rąk.

Wytyczne naczelnego wodza z 11-go dotyczą koncentracji wszystkich rozporządzalnych jeszcze sił w obszarze Małopolski wschodniej:

„Podstawowym celem moim jest ściągnięcie możliwie całości wojsk w kierunku na Małopolskę wschodnią i zapewnienie sobie połączeń z Rumunią”. (P.S.Z.).

Najistotniejsza treść rozkazu naczelnego wodza z dnia 12-go dla mnie:

„Przechodzi Pan Generał pod rozkazy Gen. Broni Sosnkowskiego, jako D-cy Grupy Armii”.

Rozkaz generała Sosnkowskiego (P.S.Z.):

„Dowódca Frontu Południowego. Lwów, dn. 12-go. 9, godz 20.00.

Do Gen. Szyllinga — Dowódcy Armii. ...

Dwie jednostki zmotoryzowane, Dywizja Pancerna i Dyw. Lekka posuwały się na skrzydłach Armii „Karpaty”, pierwsza przez Sanok-Chyrow, Lekka przez Radymno.

Dyw. Pancerna podeszła pod Lwów, który atakuje — rozwinęły się w tej chwili walki nocne na peryferiach miasta. Dywizje Fabrycego stoją jeszcze na Sanie. Dzisiaj wieczorem skład był następujący: Gen. Boruta w rejonie Leżajsk-Sieniawa.

W Przemyśle garnizon zorganizowany obronnie pod dowództwem Gen. Chmurowicza. W rej. Medyka 38 D.P., w rej. Bircza-Rybotycze 24 D.P., w rej. Dubiecko 11 D.P. (ostatnie miejscowości na zachód i pldn.zach. od Przemyśla).

Nie wiem, co ze mną będzie. Jesteśmy we Lwowie odcięci od wojsk. Mamy drogi wolne na wschód i północny-wschód, przynajmniej dotychczas.

Pan Generał weźmie pod swoje rozkazy: — 12 Dyon Art. Najcięższej, który przysłano przed godziną do mojej dyspozycji z miejscem wyczekiwania w Tomaszowie, dalej Grupę Boruty i 10 B.K. (stała dzisiaj w walkach pod Jaworowem), zaś wedle możliwości, również Dywizje Gen. Fabrycego, którym dzisiaj przesłano rozkaz marszu na Lwów (przez lotnika — nie można gwarantować, że Dyw. rozkaz ten otrzymały).

Niech Pan Generał długo nie wypoczywa i maszeruje całą siłą na odsiecz Lwowa, nawiązując łączność z Kwaterą Główną co do dalszych działań.

Proszę o to na wypadek, jakbym nie zdołał przebić się do wojsk.

(—) Sosnkowski, Gen. Broni”.

A jednak, jednak i wtedy, w głębi puszczy Biłgorajskiej, w gajówce, w izbie, wśród zaleknionych, jakby oczekujących swego wyroku, ludzi, gdy czytałem rozkaz gen. Sosnkowskiego, to chociaż zawierał on już tragicznie zarysowujące się podstawy do podjęcia nowego zadania — to jednak, jednocześnie, stawał się nową podniętą włączeniu się wszystkich w ostatnim, być może, wysiłku.

Rozkazy były jasne, słów daremnych nie było. Rozłożona przy lampce naftowej na stoliku mapa — dopowiadała reszty. Treść zamykała się w jednym zdaniu: „niech Pan Generał długo nie wypoczywa i maszeruje całą siłą na odsiecz Lwowa”.

Siły, które d-ca frontu południowego kieruje i chce skupić pod Lwowem, są od początku oddalone od swojego celu, od 100 do 200 kilometrów. Rozdzielone w dwóch ugrupowaniach (armia „Kraków” i armia „Karpaty”) przestrzenią kilkudziesięciu kilometrów, w którą weszły już jednostki pancerne nieprzyjaciela. Wedle ostatnich wiadomości, przywiezionych przez mjr. Bydlińskiego, Zamość został zajęty wczesnym popołudniem, a więc

należy przypuszczać, że dotarł tu zagon pancerny przez lukę istniejącą między dwiema armiami.

Połączenie armii może się dokonać gdzieś na drodze ich marszu, na kierunku Lwowa. Przy czym armia „Karpaty” Fabrycego ma znacznie bliżej i jeżeli rozkaz gen. Sosnkowskiego, wysłany jej przez lotnika dnia poprzedniego tj. 12-go, doszedł, to armia ta już podjęła marsz i zbliżając się do Lwowa, jednocześnie oddala się od armii „Kraków”. Utwierdza mnie w tym przekonaniu ostatnie zdanie: „Proszę o to, na ten wypadek jakbym nie zdołał przebić się do wojska”. A więc decyzja gen. Sosnkowskiego — objęcie osobiście dowodzenia armią gen. Fabrycego. Wierzę, że tak będzie i rzeczywiście tak było.

Pozostawiając inne sprawy do mego powrotu do nowego MP armii, wydaję na miejscu rozkazy do dalszego marszu i zebrania armii wraz z powracającą pod moje rozkazy grupą „Boruta”, ściągając wszystko na Biłgoraj.

Rozkaz dla Sadowskiego i krak. bryg. kaw. powiezie mjr Bydliński. Ja na powrotnej drodze w Biłgoraju (też wiadomość od mjr. Bydlińskiego) znajdę gen. Borutę-Spiechowicza i osobiście będę z nim mówić. Rozkaz dla gen. Sadowskiego jest krótki, w myśl i w wykonaniu nowootrzymanyh rozkazów, wydłużyć zaledwie parę godzin temu wyznaczone marsze. A więc znowu pośpiech i nowe wymagania. Aby osłabić to nowe „uderzenie maczugą w głowę”, posyłam Sadowskiemu rozkaz generała Sosnkowskiego w oryginale. Cios ten już nie z mojej ręki będzie, być może, więcej przekonywujący.

Krak. bryg. kawalerii z północnego skrzydła armii, z Janowa, ma przejść na południe, na Tanew. Będzie to najszybciej i najbardziej wysunięta jednostka do dalszego marszu na kierunek Lwowa.

Tak to już w kilka godzin po otrzymaniu rozkazu dowódcy frontu południowego ściągam rozrzucone siły armii z najbardziej oddalonych pozycji na Sanie, na południe. Pośpiech staje się znowu decydującym wymaganiem. Musimy przejść wcześniej przed korpusami niemieckimi, które od Dunajca i Nidy posuwają się na wschód i czołowymi oddziałami osiągnęły już San.

Rozkaz dla Sadowskiego jasny — „wydłużyć marsze”. Umożliwienie zawarte w rozkazie gen. Sosnkowskiego, a więc w wykonaniu niewiele pozostało luzów, a jednak gen. Sadowski pisze: „Biorę na siebie ryzyko nie ruszania oddziałów i trwam tak przez cały dzień (14-ty) z wiszącym skrzydłem”... „trakt z Krzeszowa przez Harasiuki na Biłgoraj jest całkowicie odsłonięty i stąd mogłoby przyjść zagrożenie naszego ruchu w dniu 15-tym”.

Tak było, a „ryzyko” stało się przyczyną nieskoordynowanych walk, które toczyły oddziały grupy przez 2 dni, powodując straty i opóźnienie.

Konieczność pośpiechu do tej pory uzasadniałem parokrotnie. Dzisiaj należy stwierdzić celowość podjętych wówczas decyzji i skuteczność wykonania i wyników. Mylne jednak jest mniemanie, że nasz odwrót polegał jedynie na szybkości, sile i wytrzymałości naszego piechura. Ze znanych rozkazów dowództw niemieckich (nacz. dow., dow. 14-ej armii i korp.) wiemy, że nasze działania zmuszały Niemców parokrotnie do pobierania nowych decyzji i przegrupowania. Zaskoczeniem było oderwanie się od pierwszych pozycji naszego rozwiniętego frontu, tak było i pod Krakowem i na Nidzie. Inaczej było w manewrze na Stopnicę, Staszów i Pacanów — tu działaliśmy zaczepnie. I znowu przeprawa pod Baranowem miała inny charakter. W każdej z tych operacji myśmy wygrywali czas, a Niemcy tracili.

Tak było w całości działania armii „Kraków”. Wszelka inicjatywa, podjęta w ramach grup, dywizji lub pułków przez małe nawet jednostki w formie przeciwuderzeń, zasadzek itp. dawały też dobre rezultaty. Niestety, to co mogło być i było wykonywane w pierwszych dniach przez ruchliwe oddziały 10-ej bryg. panc. mot. — dla piechoty było trudne — wymagało sprężystego działania, zgranych, dobrze opanowanych jednostek, a inicjatywa nie powinna wybiegać poza ściśle określone zadania, co mogłoby wymagać zaangażowania nowych jednostek i więcej sił niż było przewidywane, ze stratą czasu i miałyby się z celem.

Dzisiaj wymagany pośpiech ma inne znaczenie. Wszystko zmierza do koncentracji rozporządzalnych sił armii, a największą troską staje się zebrać je na mniej spodziewanym przez nieprzyjaciela kierunku, w największym skupieniu i najlepszym ugrupowaniu do projektowanej bitwy.

Już wtedy, dnia 13-go, patrząc na mapę, na własne wojska i ich rozmieszczenie, na przewidywane siły i działanie wroga — przyszłość oceniałem poważnie, chociaż nie beznadziejnie. Nie wszystko jeszcze było znane, rzeczywisty obraz odślaniał się stopniowo z dnia na dzień, z godziny na godzinę. Z tej oceny i z przeżyć dnia tego powstawał plan, którego celem ostatecznym był odległy jeszcze Lwów.

Pierwszy rozkaz gen. Sosnkowskiego okazał się jedynym, jaki otrzymałem. Dalsza łączność była niemożliwa. Byliśmy odcięci i przegrodzeni na kierunku Lwowa, a wszystkie środki techniczne zawiodły. Zasadnicze zadanie postawione przez dowódcę frontu było proste, jasne i wystarczające. Do mnie należało

ocenić możliwości zbieżnego działania dwu południowych armii: „Kraków” i „Karpaty”, a w pierwszym rzędzie doprowadzić do współdziałania i połączenia. Ale bez bitwy, bez bitwy każdej armii oddzielnie, osiągnięcie wyznaczonego celu było już niemożliwe.



Po wysłaniu mjr. Bydlińskiego na San — sam, przez pożary Janowa, Frampola, Biłgoraja, słabymi drogami tych stron, około godz. 11.30, odnajduję w Biłgoraju gen. Borutę-Spiechowicza. Nie miał on łączności z armią „Małopolska” („Karpaty”), której podlegał, a rozkaz gen. Sosnkowskiego o podporządkowaniu jego grupy armii „Kraków” dotarł do niego dopiero koło południa dnia dzisiejszego (13-go). Pomimo ostrzeżeń telefonicznych płk. Wilocha, aby czekał na moje przybycie i rozkazy, ruszył 21 DP w ogólnym kierunku na Lwów, jako pierwszy etap Cieszanów-Lubaczów. 6 DP dopiero miała osiągnąć w tym dniu rejon Biłgoraja. W momencie, kiedy byłem u niego w Biłgoraju, wytworzyła się luka między obu dywizjami, około 30 km. Byłem zły i zmartwiony, miałem złe przeczucia, kazałem możliwie wszystkimi środkami (sam je poddawałem — samochód, konne patrole) powstrzymać 21 DP, przyspieszając jednocześnie marsz 6-ej DP. Był to błąd, który piętnowałem na miejscu. Na swoje usprawiedliwienie, Boruta podawał chęć śpieszenia z odsieczą dla Lwowa. Uczuciowe pobudki tej decyzji są zrozumiałe. Żyły z tym miastem i jego obroną w młodych latach, przynaglany sytuacją ogólną, powziął decyzję, która zaważyła na losach jego grupy i miała wpływ na dalsze działanie armii.

Z rozpoznania dnia poprzedniego wiadome było w dow. grupy, że: „do rejonu Oleszyce-Cieszanów wtargnęło 200 wozów pancernych dn. 12. IX., około godz. 15-ej; wobec tego grupa cofnęła w ciągu nocy gros swych sił na Tanew, na południe od Biłgoraja, pozostawiwszy na Sanie, od Leżajska po Ulanów, tylko elementy styczności” (meldunek Dow. Grupy. P.S.Z.).

Następna decyzja dow. grupy była „marsz na południe”, który 21 DP rozpoczęła wieczorem. Grupa nie była w pełnym, a właściwie określając, w możliwym jeszcze do osiągnięcia stanie. Od Dunajca po San rozbite i rozproszone oddziały dochodziły, dołączając do swoich jednostek. W 21 DP brak było 3-go P.S.P. i 2-go dyonu, który odchodził drogą wzdłuż Wisły. Wedle relacji (P.S.Z.), dywizja w chwili rozpoczęcia przygotowania do nowego zadania liczyła 3.000 ludzi, 8 ckm i 8 dział. 6 DP była w lepszym stanie.

Odejdźcie na Tanew, jak i marsz na Oleszyce-Cieszanów powzięte były samodzielnie z oceny własnej, znanej mu sytuacji. Jednak te obydwie decyzje gen. Boruty-Spiechowicza postawiły armię w nowej, trudnej sytuacji. Pierwsza odsłaniała zachodnie skrzydło maszerującej armii na południe, druga nie tylko stała się troską o los wysuniętej 21 DP, ale jednocześnie rozluźniała rozpoczętą koncentrację armii do nowoplanowanego zadania, przez wysunięcie najsłabszej jednostki na kierunku przypuszczalnego działania całości sił armii.

Pustkę — lukę — trudno znaleźć, ale słabsze miejsca w ugrupowaniu nieprzyjaciela mogą być i my możemy na to wpływać, póki mamy swobodę działania i nasze zamiary nie są w pełni odkryte. Ma to duże znaczenie teraz, gdy zdaję sobie sprawę, że jesteśmy odcięci od Lwowa, a głęboki zagon pancerny pod Zamościem zamyka drogi na wschód. Armia znowu znajduje się w kotle, którego średnica początkowa wynosi 100 km.



Był to 13-ty dzień września. Północ zbliżała się kiedy opuszczałem Biłgoraj. Teren mam opanowany, sytuację w kręgu bezpośrednich zainteresowań — znam. Rozkazy wydane. To dużo! Mam wojsko, wojsko mam dobre, mam przekonanie, że działanie armii „Kraków” w wykonaniu nowego zadania jest częścią niezbędną ogólnego planu. Tak było od początku, od pierwszego rozwinięcia po dzień dzisiejszy. I teraz w myśl otrzymanych rozkazów dow. frontu południowego, prowadzę do bitwy — dla niej wszystko. Dalej nie pora rozważać. Nie rozpraszam się. Jest w tym pewna harmonia ciągłości bez udręki i przymusu wewnętrznego, ale niestety wśród zgrzytów i dysonansów z zewnątrz.

Zdaję sobie sprawę, że dzień czy dwa, tak niezbędne dla wprowadzenia koniecznych zmian i zacieśnienia organizacji, nie mogą nadejść. A bez tego każdy dzień dalej rozluźnia spoistość i chociaż nie usamodzielnia — stwarza poczucie bezkarności w odruchach, w wypowiedziach i w działaniu. Dnie napięte zbliżającymi się zdarzeniami, na które reakcja musi być szybka i trafna.

To „musi iść”, tak określam siłę napędową mojego dowodzenia w ostatnich 2-3 dniach. Słabe to jest i niedostateczne — wówczas jedynie możliwe. Ale dłużej tak iść też nie może. Byłoby przesadą twierdzić że wtedy tak jasno zdawałem sobie sprawę i że z góry przyjąłem i zastosowałem jakąś metodę, jakieś chwyt dla osiągnięcia celów. Nie! Ale gdy niezachwiane wymogi wykonania rozkazu — zachwiane, gdy zaczynają nasuwać się wątpli-

wości, niczym nieuzasadniona krytyka i niechęć — mimowoli szukam innych dróg, bo przede wszystkim „to musi iść”, tak jak to ja zdecydowałem i stąd to powstało. Smutny to dorobek własnych doświadczeń. Ale „rozkaz”, tak jak wszystko w tej wojnie, musiał przechodzić swój kryzys, powodów nie brak, a przykładów jest wiele, a sam dźwięk tego słowa, w którym zamyka się siła, narzucająca posłuch i wykonanie, zbyt często brzmi fałszywą lub niezrozumiałą nutą i zawodzi. Złe jest, jeśli nakazuje się rzeczy niewykonalne, jeśli podaje się sytuacje nieistniejące. Złe jest, jeśli rozkaz wydany dzisiaj na dzień jutrzejszy nie odpowiada nowej sytuacji; jeśli to co ma być wykonane dzisiaj dochodzi rozkazem dopiero jutro. Ale najgorzej, jeśli rozkaz z góry przyjmowany jest niechętnie, krytycznie, bo nie odpowiada czymś urojeniom. Dystans między dowódcą a wykonawcą wzrasta poza granice wzajemnego zrozumienia się i nawet uzgodnienia wspólnych wysiłków. Wojna 39-go roku zna to dobrze.

Dwóch dni straconych pod Baranowem przez zniszczenie mostu i dojście do Sanu — nic nie jest w stanie nadrobić. Wracam do tej sprawy parokrotnie, bo chociaż osiągnęliśmy San i stanęliśmy tam, gdzie armia miała wyznaczone zadanie, to jednak do następnego działania w jej przygotowaniu i wzmożonej wartości, zwłaszcza przez włączenie grupy „Boruta”, armia nie osiągnęła i nie mogła osiągnąć w pełni swoich możliwości. Czy stawiam zbyt wielkie wymagania? Nie! Jeśli nie było to osiągnięte, to, zdawało się, przez niewielkie niedomknięcia, odchylenia, lub rezygnację — nieraz nie z naszej winy popełnione, które w skutkach były gorsze, niż początkowo można było przypuszczać. To nie są oderwane wypadki, to bywało, stało się powszechne, może mniej u nas, niż gdzie indziej. Żal, poczucie własnej słabości, wpływ spraw ubocznych — wytwarzały atmosferę złą, osłabiającą siłę oporu, budząc jednocześnie niewiarę we własne niewykorzystane możliwości. To już tak być musiało... Ale, gdy patrzymy na mapę, na znaczony na niej pola bitew i setki kilometrów niebywałych marszów i trudów, i odtwarzamy sytuację każdego dnia, dopiero jesteśmy w stanie ocenić wartość wydarzeń i wojska. Z czasem, we właściwej proporcji, maleją i giną w zapomnieniu błędy i wojna 39-go roku zyskuje prawo do sprawiedliwego osądu — w skali właściwej, w skali światowej.

Na wszystkich szczeblach dowodzenia mieliśmy dowódców godnych tej nazwy. W bitwach i marszach, rozsądne i właściwe użycie podległych jednostek, oszczędne gospodarowanie siłami żołnierza, wysiłki w uzupełnieniu wszystkich braków, aż do tej bezpośredniej troski, czujności i zaradności, o swojego żołnierza

w chwilach silnych wstrząsów i bezgranicznego znużenia. Wśród ogólnej klęski narodowej, żołnierz dobrze zachował w pamięci wycinek terenu, objęty jego wzrokiem, to miejsce gdzie był, postawę dowódcy, poświst pocisku i tę sekundę między życiem a śmiercią. To mu pozostało i to powinno zostać jego dobrym wspomnieniem w odbudowie własnego, świadomego życia.

Gdyby można było cofnąć te 2 dni, gdyby można było nadrobić te 2 dni przez opór lub szybkość posunięć — to niezawodnie na całym obszarze wojennym sytuacja mogłaby być inna, bardziej korzystna. Bo chociaż powiązanie działań poszczególnych armii było trudne, bo wojna stała się od razu powszechną, była wszędzie i dla wszystkich jednocześnie, ale jeśli ja zadaję cios — jest to wspólne zwycięstwo, jeśli ja go otrzymam — jest to wspólną klęską. Poszczególne ogniwa wielkiego łańcucha łączą się lub pękają, nim zdołały się zahartować, zespoić i wzmocnić.

Tych dwu dni zabrakło i w powziętych decyzjach naczelnego wodza. Zabrakło ich i w toczącej się bitwie na północy i nad środkową Wisłą. Nie chcę uzasadniać, że wszędzie te dwa dni były do wykorzystania, nie uzasadniam również, że mogło to wpłynąć na ogólny przebieg i rezultaty wojny, ale niewątpliwie musiałoby to wpłynąć na przebieg i rezultaty bitew. A przecież to dla nas dowódców, dla naszych wojsk jest najważniejsze; my przecież stanowiliśmy te ogniwa i chociaż nie spięte od razu — jesteśmy całością w rękach naczelnego wodza.



Lwów jest moim celem. Podstawą rozkaz d-cy frontu południowego, gen. Sosnkowskiego. Na nim opieram swoje decyzje i plan działania. Do bliższego sprecyzowania nie dojdzie i w tych początkach to nawet nie jest potrzebne. Ale największą troską d-cy frontu było zebrać podległe mu wojska między Przemyślem i Lwowem i dalej na południe ku granicy Państwa. A to stało się niemożliwą do pokonania trudnością. W lepszym stanie, chociaż jeszcze odległa, znajdowała się armia „Kraków”.

Podziwiać należy sprawność naszych wysiłków mobilizacyjnych jak i naszego kolejniactwa — przy niewystarczających środkach i stałym bombardowaniu i niszczeniu. Nieuniknione zmiany i improwizacja jest też dowodem naszej zdolności organizacyjnej, która gdzie indziej nie wytrzymałaby tej próby. Może nigdzie tak jaskrawo nie ujawniły się skutki tych niewielu dni spóźnienia, jak tu na obszarze działań nowopowstałego frontu południowego. Dzisiaj wiemy jak duża ilość pułków, batalionów, dywizjonów i baterii różnego pochodzenia, wartości i przeznaczenia, nie zda-

żyła osiągnąć swojego celu, nie mogła się włączyć do oddziałów, gdzie była ich przynależność. Niezdolne do prowadzenia samodzielnej walki, ginęły rozbijane i niszczone bez pożytku, gdy stany W.J. spadały do 1/3 - 1/4, a Przemyśl i Lwów stały się już nieosiągalne. Pełnej wartości wojska z tego stworzyć nie można, ale każdy batalion niewykorzystany, jak i każdy dzień stracony, miał swoje znaczenie. Nie wspominam tego, aby roztaćzać dzisiaj daremne żale — raczej chcę odtworzyć nastroje, od budzących się nadziei do zawodów i nie odpartych ciosów.



Teraz dowodzenie armią musiało przybrać właściwą formę, właściwą siłę, a rozkaz — niezachwianą pewność wykonania. I gdy zbliżają się decydujące momenty, zdaję sobie sprawę, że osobiste przekazanie mojej woli i kontrola stało się niedostateczne, że potrzebna jest większa ścisłość i ciągłość, że potrzebny jest autorytet, który mógłby to zapewnić i w razie potrzeby na miejscu, w moim imieniu, w interesie całości — decydować. Dorywczo wyznaczana pomoc, czy zastępstwo, zawodzi i nie wystarcza. D.O.K.V przemianowane na dow. etapów armii „Kraków”, zostało przez dow. armii „Małopolska”, gen. Fabrycego, odesłane do dyspozycji naczelnego wodza. Dwaj generałowie, jako zbędni, odjechali, odjechał też ich sztab. Nikt ich nie zastąpił, a przecież przy przeprawie przez Wisłę pod Baranowem byłiby bardzo na miejscu, a obecnie są też bardzo potrzebni. Byli potrzebni i wcześniej, ale prawdopodobnie byli potrzebni i gdzie indziej.

W tych dniach działy się rzeczy poza zasięgiem mojego dowodzenia, poza obszarem operacyjnym armii, ale mające bezpośredni wpływ na dalsze działanie i losy armii. Do godzin rannych armia podlegała rozkazom gen. Fabrycego — wchodziła w skład armii „Małopolska” (razem z armią „Karpaty”) i miała bronić Sanu na wyznaczonym jej odcinku. W południe otrzymany był rozkaz naczelnego wodza i jednocześnie gen. Sosnkowskiego, jako dowódcy frontu południowego (z 12-go, podany powyżej), nakazujący nową podległość z zadaniem śpiesznego marszu na Lwów. W godzinach popołudniowych tegoż dnia, nac. wódz wydaje rozkaz: „Armia Gen. Szyllinga pozostaje w dotychczasowym rejonie dla przykrycia południowego skrzydła armii Gen. Piskora i przechodzi pod jego rozkazy”. (Ten rozkaz do armii nie doszedł).

Tym samym rozkazem zostało określone nowe zadanie dla gen. Sosnkowskiego: „Zasadniczym celem działania Pana Gene-

rała musi być w obecnym położeniu bezwzględne zabezpieczenie w Małopolsce południowo-wschodniego przyczółka na linii rzek Dniestr i Stryj, który by nam zapewnił możliwość korzystania z połączeń z Rumunią"... (a więc już nie Lwów jest głównym celem). Powyższe zmiany rozkazów podaję na podstawie P.S.Z. (Ten rozkaz też nie doszedł).

Decyzja nacz. wodza i praca sztabu nacz. dowództwa odpowiadają ocenie znanych i powstających sytuacji, niestety nie wybiegają naprzód w przewidywaniach gwałtownych zmian i braku w porę zebranych wojsk — tam gdzie chciałoby się ich spodziewać. A więc stale są spóźnione.

To już tak być musiało!

W tych krytycznych momentach łączę się z naczelnym wodzem w jego smutnej wędrówce, z jego niesłabnącą wolą dowodzenia, szukania wyjścia, szukania ratunku. Nikt nie słyszał z ust moich słowa żalu lub niechęci, nikt nie widział chwiejności na moim stanowisku w decyzjach i postępowaniu. Chcę wytrwać przy nacz. wodzu, tak jak każdy żołnierz przy swoim dowódcy powinien skupić się od początku aż do końca, być może do chwili nieuniknionej klęski, bo dzisiaj to już inaczej być nie mogło. Ale nam, żołnierzom, chodzi o to żeby tam gdzie my jesteśmy, wypełniając swoje zadanie, jakie było nam dane, w jakich by nie było warunkach i jaki by nie był rezultat, spełnić je godnie do końca. To powinno tak być i powinno nam zostać. Czy tak było? Niech każdy sam sobie odpowie.

Wojna jest tylko wynikiem tego co działo się przedtem — a na to składają się lata. Dla wojska walczącego stawiał się najważniejszym okres przygotowawczy, okres ostatnich paru miesięcy i tu znowu powstaje pytanie, dzisiaj jeszcze tak sporne, czy mogło być inaczej? Czy mogło być lepiej? — Na to odpowiem — to MOGŁO być lepiej.



W Zwierzyńcu (noc z 13 na 14), gdzie od kilku godzin zainstalował się mój sztab, oczekiwało mnie znowu sporo wiadomości. Wyjeżdżając w południe z Zamościa i wyznaczając na nowe M.P. dow. armii Borchaczów — chciałem wyjść poza pętlę wyraźnej trasy działania lotnictwa niemieckiego. Utrzymanie łączności z Lublinem i Lwowem stało się najważniejsze. Stąd należało spodziewać się nowych wiadomości, rozkazów i zaopatrzenia. Tam też należało podawać i własne meldunki. Jednak Zamość, wcześniej niż spodziewałem się, w godzinę po moim

wyjeździe został zajęty. Płk Wiloch słuszną szybką decyzją przerzucił sztab do Zwierzyńca, wewnątrz szeroko zaznaczającego się kotła. Z tą chwilą utraciliśmy łączność, której już do końca nawiązać nie było można. W czasie mojej nieobecności w dow. armii, jeszcze przed zmianą M.P., otrzymano wytyczne i rozkaz naczelnego wodza i rozkaz dow. frontu południowego, których treść podałem poprzednio. Odwrotnie wysłane były meldunki do nacz. dowództwa i dow. frontu i została nawiązana łączność z grupą „Boruta”. Wiadomości te miałem już przywiezione przez mjr. Bydlińskiego. Sprawnie to wszystko szło, tylko jedna wieść, przekazana przez oficerów, którzy w powstałym zamieszaniu odbili się od sztabu, była nieprawdziwa, a dotarła gdzieś dalej, że po wyjeździe z Zamościa byłem zagarnięty przez zagon pancerny.

Krótką to noc w Zwierzyńcu. O 5-ej rano przenosimy dow. armii do małej miejscowości Smólsko pod Biłgorajem. Noc i dzień 14-go wojska wykonują ruchy nakazane dnia poprzedniego. Biłgoraj staje się punktem centralnym. W bliskim rejonie zbierają się wojska z północnego zachodu, znad Sanu, od Rozwadowa, gdy inne odchodzą już na południe. Gen. Boruta-Spiechowicz nie miał łączności z armią „Małopolska”, której podlegał, i nie otrzymał stamtąd rozkazów. Decyzję opuszczenia Sanu i marszu na południe podjął samodzielnie. Na Sanie dla Boruty i jego grupy sytuacja nie była łatwa. Powstawało zagrożenie podobne, a tak tragiczne w skutkach, jak przed kilku dniami przy przekraczaniu Dunajca. Do armii „Kraków” powracał dopiero 13-go, kiedy już obydwie dywizje jego były w ruchu. Jak podałem wcześniej, 21-tą D.P. zatrzymałem w marszu. Dzień 14 września spędziłem w lesie Majdan Sieniawski, na południu od Tarnogrodu. Nieprzyjaciel nie przejawiał aktywności. 6 DP od południa przeciągała przez Smólsko. Nie były to już te oddziały, które widziałem dnia poprzedniego pod Frampolem. Piechota, prawie nieprzerwanym marszem, już drugą dobę dążyła do zajęcia pozycji wyjściowej nad Tanwią. Ścieżką przy piaszczystej drodze ciągnęły oddziały, a właściwie żołnierze szli gęsiego w 70-80 km wysiłku. Zdolność jej bezpośredniego podjęcia walki była wątpliwa. Krótki wypoczynek, chociaż kilku godzin, nadchodzącej nocy był konieczny. — Cel, który grupa miała osiągnąć: Oleszyce-Cieszanów, był jeszcze odległy o prawie 30 km.

Krak. bryg. kawalerii z pierwotnego jej zadania, ubezpieczenia ruchu armii z północy, przerzuciłem na południe. W nocy z dn. 14-go na 15-ty osiągnęła rejon Króle i lasy nad Tanwią na kierunku Tarnogrodu. Miała ona w pierwszej fazie osłonić z zachodu ruch grupy „Boruta”, następnie najszybciej wyjść na

kierunek Lwowa i szukać połączenia z armią „Małopolska” („Karpaty”).

Grupa „Jagmin”, po przekroczeniu Sanu pod Rozwadowem, następnej nocy, z 14-go na 15-ty, osiągnęła rejon lasów na północ i północ-zachód od Biłgoraja.

W wyniku tych ruchów, od początku zaznaczyły się dwa ugrupowania wojsk armii „Kraków”, których połączenie w pełnym składzie nie nastąpiło, a raczej łączność, nawiązywana już w dniu 12-ym nad Sanem, urwała się. A zebranie i przygotowanie wojska do przewidzianej bitwy mogło być osiągnięte tylko przez dalsze przyśpieszenie grupy „Jagmin”.

O nieprzyjacieli nie mieliśmy w tym dniu wiele wiadomości. Nie było lotnictwa, nie było broni rozpoznania naziemnego. Decyzje trzeba było pobierać na podstawie wiadomości z dni poprzednich 12-go - 13-go, a całą energię skierować na wykonanie rozkazu gen. Sosnkowskiego — śpiesznego marszu na „odsiecz Lwowa”.

Wszystkie ruchy wojsk odbywały się pod intensywnym bombardowaniem lotnictwa niemieckiego, przez palące się osiedla, a gdzieś i podpalane lasy. Z zachodu od Sanu pojawiały się oddziały rozpoznania niemieckiego.

Patrol konny z kawalerii dywizyjnej 6 DP (3 P.Uł.), wysłany na drogę odwrotu armii „Małopolska”, powiódł generałowi Sosnkowskiemu meldunek, że rozkazy jego są w toku wykonania — armia „Kraków” podjęła marsz na Lwów.



Niemcy. W dn. 13 i 14 września, to jest w czasie, kiedy działy się opisywane wydarzenia, w dowództwie 14 armii niemieckiej, która była dotychczas głównym wrogiem armii „Kraków”, zapadła znowu decyzja „zniszczenia przez okrążenie” znajdujących się w lasach, na północny-zachód od Zamościa, w rejonie Biłgoraja, sił polskich. Siły te oceniano jako resztki sześciu polskich dywizji, jednej bryg. górskiej i jednej bryg. zmotoryzowanej. Niezupełnie to było ścisłe, lecz w całości odpowiadało siłom armii „Kraków” zebranych w tym obszarze. Wedle przewidywań dow. niemieckiego, armia „Kraków” będzie się cofać na wschód, tj. ogólnie na Zamość, a jako drugą, mniej prawdopodobną ewentualność, nie wykluczano cofania się więcej na północ, tj. na obszar górzysty, na północ od m. Janów-Frampol-Szczepieszyn. (Powyższe wedle PSZ).

Podkreślam ten moment, jako błędne przewidywania niemieckie do zamierzonej przez nich ostatecznej rozgrywki.

W sztabie moim znany był kierunek przyszłego działania armii „Kraków” — na południe. Rozkazem gen. Sosnkowskiego wskazany był ostateczny cel — Lwów.

W tych zarysowujących się różnicach koncepcji, chociaż jeszcze nie ujawnionych działaniem dwóch przeciwnych stron, należało szukać warunków do stoczenia bitwy na najkrótszej drodze i możliwie z częścią sił nieprzyjaciela.

Lotnictwo niemieckie prowadziło rozpoznanie bez przeszkód z naszej strony. Lecz nie należy tego przeceniać: mieliśmy już dowody jak dalece nieściśle dostarczało wiadomości i jak niesłuszne z tego wysuwano wnioski. Rozpoznanie naziemne mogło meldować walki mniejszych oddziałów w lesistych terenach. Więc niewątpliwie były pewne szanse, że ruch nasz nie od razu będzie odkryty, zwłaszcza że w pierwszych dniach naszego marszu mieliśmy osiągnąć rejon Biłgoraja, co pokrywało się z przewidywaniami Niemców przynajmniej na najbliższe dwa dni.

Ugrupowanie Niemców w wykonaniu ich planu przedstawia ciekawy obraz, a w pewnych częściach niewiele różni się od tego, który można było odtworzyć już w dniu 13-go na Dolnym Sanie. W całości jednak poznałem go dopiero w trzecim dniu walki tj. dnia 15-go z rozpoznania i materiału, dostarczonego przez mój II oddział. Jak na dobrze rozplanowanych manewrach lub na defiladzie, dywizje niemieckie osiągnęły San i jednocześnie przekraczają go w różnych punktach. Przeszkód prawie nie było, w każdym bądź razie nie były one w stanie powstrzymać tego naporu, a słabe jednostki osłony, po wykonaniu swoich zadań, śpieszyły dołączyć do oddziałów, znajdujących się w odwrocie.

Działania niemieckie od zachodu miały przeprowadzić — w kolejności od północy:

- VII korpus (27 i 68 D.P.) na rejon na północ od Biłgoraja, następnie na Zamość;
- VIII korpus — 8 D.P. po osi Biłgoraj, Zwierzyniec, Zamość;
- 28 D.P. po osi Sieniawa, Łukowa, Józefów, Zamość;
- Z XVII korpusu — 45 D.P. po osi Jarosław, Cieszanów, Bełzec;
- XXII korpus pancerny już w dniu 13-ym wykonał głęboki zagon, zamykając drogi na wschód, na linii: Zamość-Tomaszów, sięgając po Szczepieszyn, a więc już na bliskie nasze tyły, jednocześnie rozpoznając na wschód aż po Bug.

Dnia 14-go dywizje niemieckie przekroczyły San w dolnym jego biegu i stopniowo, wysuniętymi jednostkami, nawiązywały kontakt z odchodzącą na południe do rejonu Biłgoraja grupą „Jagmin”.

W tym samym dniu, dalej na południe, 28 D.P. przekraczając San pod Sieniawą otrzymała rozkaz: „Wyrzucenia naprzód silnych zmotoryzowanych oddziałów, celem opanowania przepraw przez Tanew pod miejscowościami Księżpol i Łukowa Podsośnina. Całość dywizji miała tegoż dnia osiągnąć Łukową Podsośninę. Jakby w drugim rzucie przeprowadzić się 45 D.P. po osi Jarosław-Oleszyce-Cieszanów. A więc był to nieprzyjaciel, który bezpośrednio zagradzał nam drogę na południe.

Te ostatnie przesunięcia nie były nam znane i chociaż w całości działania niemieckiego stanowiły tylko część zarzuconej sieci, to jednak na drodze naszego marszu na Lwów, stanął przeciwnik, z którym już w dniu następnym grupa „Boruta” musiała stoczyć walkę.

Inne siły niemieckie działały na kierunku Przemyśl-Lwów przeciwko armii „Małopolska” i dalej z południa odcinały Lwów.

Dzień 15-ty — znowu pośpiech stawał się decydującym wymaganiem zamierzonej operacji. Nagłące rozkazy dowództwa niemieckiego wskazują, jak dalece zależało mu na szybkości działań. W „*Wir zogen gegen Polen*” VII korpus pod datą 15-go podaje, iż dowództwo armii zmienia rozkaz korpusu, nakazując: „zmuślenie do walki wycofującego się nieprzyjaciela i zniszczenie go jest najpilniejszym i najważniejszym zadaniem”. Warto jednak zaznaczyć, że rozkazy wykonawcze korpusu znowu nie osiągnęły swojego celu. Dalej historyk pisze: „Dywizja 27 (VII-go Korp.) znowu uderzyła w próżnię, jeszcze raz Polacy wycofali się na czas”.

Jednak odwrót naszej grupy północnej napotyka na trudności. Oddziały są coraz więcej niepokojone i wiązane przez dywizje niemieckie, posuwające się po wyznaczonych osiach, w myśl ogólnego planu z dn. 13 i 14 września. Osiągnięcie Biłgoraja i minięcie go, póki większe siły niemieckie nie zwiążą całości, lub nie zepchną naszych wojsk z ich drogi marszu na południe — na Lwów — jest sprawą najważniejszą. I teraz, w szybkości i sile, jakby lekceważąc działanie mniejszych, wydzielonych oddziałów — rozpoznania i pościgu, to i dla nas w tych dniach szybkość odgrywa tym bardziej decydującą rolę, jako konieczność wypełnienia nakazanego zadania — „odsiecz Lwowa” i ostateczna walka o istnienie.

Wojsko musi to znać i musi rozumieć rozkaz gen. Sosnkowskiego, tak jak ja go otrzymałem wieczorem dn. 13-go. Nie ma

żadnych niedomówień, żadnych niejasności. W wykonaniu trzeba nadażyć — dołączyć do grupy południowej i oderwać się od głównych sił niemieckich, nastawionych, jak to wiemy dzisiaj, na wschód z centralnym zbieżnym punktem — Zamość.

Obydwie nasze grupy w dniu tym dzieliła przestrzeń kilkudziesięciu kilometrów. Czeakać nie podobna, teren kurczy się, trzeba uderzyć.

Grupa południowa w nocy z 14-go na 15-ty osiągnęła wyznaczone rejonu wyjściowe: 21 D.P. zatrzymana w lesie Majdan Sieniawski, 6 D.P. nad Tanwią w rejonie Łukowa-Podsośnina. Chociaż rozpoznanie nie mogło dostarczyć, poza drobnymi utarczkami, żadnych wiadomości, to jednak wydawało się, że tu na kierunku naszego natarcia jest słabszy punkt ugrupowania niemieckiego i że jeszcze jest pora to wykorzystać. Obydwie dywizje grupy miały ruszyć „na równej wysokości” i jako wyznaczony cel miały osiągnąć węzeł dróg: Oleszyce, Lubaczów, Dachnów, Cieszanów. Nie jest mi znany powód, ale rozkazy Boruty-Spiechowicza, nakazujące wymarsz, nie zostały w porę obydwu dywizjom doręczone i gdy 21 D.P. nocnym marszem dochodziła do wyznaczonego celu Oleszyce-Dachnów, 6 D.P. dopiero nad ranem przekroczyła strażą przednią Tanew na Łukową. Wiadomości te dochodziły do dow. armii w formie groźnej. Obydwie dywizje, rozdzielone, znalazły się w odosobnionej walce z silniejszym przeciwnikiem.

To co było moją troską w dn. 13-ym w Biłgoraju, dzisiaj powtórzyło się wraz z przewidywanymi konsekwencjami. Niemieckie dywizje, maszerujące po wyznaczonych osiach, prawdopodobnie w warunkach nieoczekiwanych dla siebie, zderzyły się z naszymi dywizjami. 28 D.P. niemiecka weszła w lukę, która obecnie rozdzielała obydwie dywizje grupy, odcinając w ten sposób 21 D.P., wysuniętą znacznie na południe i walczącą z 45 D.P. pod Oleszycami i Dachnowem. Jednocześnie silny oddział broni połączonych usiłował opanować przeprawę na Tanwi pod Księżpolem. 3 pułk strzelców z 21 D.P., który dopiero doszedł tutaj, dążąc do swojej dywizji, podjął walkę i odparł natarcie ze znacznymi stratami dla obydwu stron. Stopniowo napływały wiadomości z całego terenu. Powstawały nowe ogniska walki. Koło południa miałem już dokładne wiadomości o walce 6 D.P. pod Łukową, jak również meldunek radiowy z 21 D.P., że znajduje się w ciężkiej walce w m. Dachnów i w lesie na północ od Oleszyc. Dałem rozkaz 6 D.P., aby całością sił uderzyła na kierunek spodziewanej pomocy dla 21 D.P., powiadamiając jednocześnie 21 D.P. o podjętej pomocy, a w razie niemożności utrzymania się, upoważniam gen. Kustronia, aby odchodził ku północy.

Krakowska brygada kawalerii, która nad ranem osiągnęła m. Króle i lasy nad Tanwią, otrzymała rozkaz uderzyć o zmroku na Tarnogród. Odciażyć i wesprzeć grupę „Boruta” w tej pierwszej fazie jej działania, następnie wyjść na południe i nawiązać łączność z gen. Sosnkowskim.

Marsz na Lwów rozpoczęliśmy w niekorzystnych warunkach. Od początku wojsko było rozdzielone w dwóch ugrupowaniach i rozproszone na znacznym terenie. Zebranie sił i pośpiech ciążył nad decyzjami. Bitwa grupy „Boruta” zaczynała się w złych warunkach. Trudno było z góry sądzić, czy ta bitwa jest wstępem, czy będzie oddzielną operacją. W rozmachu powodzenia nie zatrzymywałbym jej — dając możność wykorzystania. W uporczywej walce wkraczała całość sił armii. Teraz ta z góry uplanowana bitwa zmienia swój charakter. W tej chwili ogranicza się do połączenia się rozdzielonych dywizji, a raczej cały wysiłek idzie w kierunku udzielenia pomocy i ratunku 21 D.P. W tej początkowej operacji ciekawe jest, że obydwie strony walczące miały wyznaczone kierunki działania i cele do osiągnięcia, jakby nie licząc się i nie przewidując działania strony przeciwnej. Nastąpiły zdarzenia niespodziewane.

Pomimo silnych oddziałów rozpoznawczych pancerno-motorowych i lotnictwa, nasz plan nie został jeszcze w całości ujawniony. Działanie znaczną przewagą jest w ręku Niemców decydującym i pewnym argumentem. Koncentrują się na z góry wyznaczonych celach, odrzucając wstępne przygotowawcze kroki. Nam dopiero bitwa otwiera oczy, z jej przebiegu i rezultatu wysuwamy dalsze wnioski; to może być późno, czasem nie podobna wykorzystać, czasem przychodzi to już z porażką, lub z klęską.

W tej rozpoczętej bitwie Niemcy są też opóźnieni. Opanowanie przepraw na Tanwi, jako zadanie nakazane na dzień wczorajszy, nie osiągnięto. I dzisiaj przeprawy pod Księżpolem i Łukową Podsośniną są w naszym ręku, i to dla nas jest ważne.

Bitwa toczy się ze zmiennym napięciem, szerokim półkolem kilkudziesięciu kilometrów, od Dachnowa z południa po lasy i trudne do ustalenia miejscowości na zachód od Biłgoraja. Z nastaniem zmroku, na kierunku działania krakowskiej brygady kawalerii pod Tarnogrodem ogień przybiera na sile, a rakiety obejmują daleki horyzont wskazując, że Niemcy są zaalarmowani, no i... że są wszędzie. Mjr Steblik, szef II oddziału, przynosi mi meldunki z podsłuchu. Mamy całkowite odtworzenie ugrupowania VIII korpusu niemieckiego. Wkrótce dostarczą mapę, zdobytą na oficerze niemieckim, na której były zaznaczone ruchy trzech korpusów niemieckich — od Sanu na wschód. Wprost nie do wiary, jak łatwo przychodzą teraz te wiadomości. Lecz

wykorzystanie jest już bardzo ograniczone. Teren i wytyczone kierunki krępują swobodę manewru. Ilość zaangażowanych jednostek zwiększa się ze szkodą dla całości posiadanych sił do przewidzianej bitwy. Szybka reakcja na otrzymane meldunki jest konieczna, a przede wszystkim utrzymanie Tanwi i stałe przyspieszanie marszu grupy „Jagmin”. Ale krakowska brygada kawalerii w wykonaniu otrzymanego zadania jest nową troską. Jedyna jednostka szybkiego ruchu, jeśli zwiąże się walką i nie uzyska wyjścia poza Tarnogród na teren szerszy — wolniejszy, nie będzie w stanie wykonać swojego zadania tutaj i będzie straconą do następnego jej właściwego użycia. Posyłam jej rozkaz, ale warunkowy. Mjr Steblik podsuwa myśl, że on go powiezie. Zna on najlepiej położenie i moje intencje: „Jeśli brygada zajmie Tarnogród i uzyska możliwość dalszego działania na korzyść 21 D.P. i dalej na południe, to zadanie zostaje bez zmian. Przedłużanie uporczywej walki bez widoków powodzenia mija się z celem. Brygada ma odejść na Tanew. Mjr Steblik określi otrzymane zadanie i instrukcje. „Gen. Piasecki zdecyduje”. Początkowe powodzenie ustępuje znacznej przewadze. Spieszone szwadrony w nocnej walce cofają się i przechodzą do obrony. Słuszną decyzją gen. Piaseckiego brygada odchodzi na Tanew, na swoją pozycję wyjściową. W dniu następnym miałem ją przerzucić na wschodnie krzydło.

Zatraca się poczucie czasu, dnia i nocy. Jest moment, że bitwa zbliża się bezpośrednio do M.P. dow. armii. Trzeba wydawać doraźne zarządzenia, ale jednocześnie nie ustępuję z powziętego planu — tu na południe jest nasz cel, kierunek naszego działania.

Bitwę rozpoczęła grupa „Boruta”, znam jej zasięg i są możliwości rozwinięcia, ale wszystko teraz zależy od wejścia do bitwy grupy „Jagmin”. Grupa miała osiągnąć rejon Biłgoraja szybko, tak szybko jak tego wymagało własne bezpieczeństwo, ze względu na odsłonięcie zachodniej flanki przez odejście znad Sanu grupy Boruty-Spiechowicza, i jak tego wymagał rozkaz gen. Sosnkowskiego i perspektywa bitwy.

8 D.P. niemiecka stała się w tym marszu zaporą. Miała najkrótszą drogę do przebycia, więc oddziały jej czepiały się i wiązały, ale dalej na północy ciągnące dywizje nie powinny nadążyć i jeśli mamy stoczyć bitwę, przebijając się na południe, to nie możemy mieć na swoich karkach silnego, a nawet silniejszego przeciwnika i tego należy unikać za wszelką cenę.

Chwalebne walki oddziałów grupy „Jagmin”, podejmowane samorzutnie i nieraz z powodzeniem, mają swoją historię, jednak powodują opóźnienie całości a nawet rozluźnienie związków i

dowodzenia. Z przebiegu działań grupy w tych dniach trudno odnaleźć myśl przewodnią, która powinna prowadzić do jedy-
nego celu — „odsiecz” Lwowa, a w dążeniu do działania całością
grupy w ramach armii trzeba to tak ocenić. Wszelkie metodyczne
działanie nie ma również zastosowania, tu nie miejsce na to
i nie udaje się. Przedsiębiorczość i nawet pewne ryzyko musi
to zastąpić i wynagrodzić, a w rezultacie dać szybkość. Musimy
w niektórych decyzjach i posunięciach uprzedzić Niemców. Bo
to tylko stworzy nam lepsze, jedyne widoki powodzenia.

Armia na wybranym kierunku, czołowymi dywizjami (grupa
„Boruta”) uzyskała podstawy wyjściowe i wkroczyła do bitwy.
Być może, że decyzja była przyśpieszona lub wypaczona przez
własne wcześniejsze odchylenia i działania Niemców. Tym nie
mniej bitwa rozpoczęta. Dalsze opóźnianie byłoby dla nas nie-
korzystne. Natomiast błędem było niezgranie w czasie natarcia
obydwu dywizji tej grupy.



Dzień 16-ty.

W tej sytuacji armii zastaje nas ranek dn. 16 września. Po-
twierdzają się wiadomości o walkach na zachód od Biłgoraja.
Nad Tanwią w rejonie Księżpól 3 płk podhał. i część krakowskiej
bryg. kawalerii utrzymuje przeprawę. Pod Łukową 6 D.P., na-
ciskana silnie, przeszła do obrony przyczółka, wzmocniona jest
grupą forteczną. 21 D.P. melduje pojawienie się nowego nie-
przyjaciela ze wschodu, z kierunku Bełżca. Generał Kustroń roz-
poczyna odwrót na północ ku Tanwi.

W dotychczasowych planach trzeba porzucić kierunek Cie-
szanów-Lubaczów. Jesteśmy tu spóźnieni, trzeba przesunąć się
dalej na wschód, na teren trudniejszy, lesisto-górzysty, wypro-
wadzający na Rawę Ruską z pominięciem terenów otwartych,
już opanowanych przez nieprzyjaciela i nadających się do działa-
nia większych związków pancernych i lotnictwa. Utrzymanie
przedmościa i zamknięcie kierunku przez Łukową jest bardzo
ważnym zadaniem 6 D.P. Krakowska bryg, kawalerii odejdzie
na wschód i osłoni kierunek na Tomaszów. Główne zadanie
przypadnie grupie „Jagmin”.



W trakcie podejmowania nowych decyzji i wydawania roz-
kazów, o godz. 10-ej rano do pokoju mojego wszedł niespodzie-
wanie gen. Piskor — „Obejmuję dowodzenie”. Byłem zaskoczony

tą niespodziewaną wizytą i tym oświadczeniem. Z generałem Piskorem łączyły mnie dobre koleżeńskie stosunki. Ostatnio, dnia 11-go, gdy byłem w Lublinie, zdawałem sobie sprawę z sytuacji, w jakiej się znajdował po zniszczeniu armii Prusy, jako dowódca armii „Lublin” i obrońca środkowej Wisły. Podając mu wówczas położenie armii „Kraków”, zawarte również w meldunku do naczelnego wodza, przypuszczałem, że dojdzie między nami do bliższej współpracy. Od tego czasu niewiele dni minęło, lecz dużo się zmieniło. Armia „Kraków” weszła w skład frontu południowego gen. Sosnkowskiego, następnie po 2 dniach przydzielona została do armii „Lublin” gen. Piskora. Z tymi zmianami organizacyjnymi zmieniało się trzykrotnie i zadanie armii „Kraków”. Lwów przestał być celem. Armia miała być zatrzymana mniej więcej w położeniu z dnia 13-go, by znowu następnym rozkazem przejść na wschód od Lwowa. Te zmiany nie były mi znane i teraz dowiaduję się od Piskora, jednocześnie z objęciem przez niego dowództwa armii „Kraków” na skutek wiadomości w nacz. dowództwie, że jakoby dostałem się do niewoli.

Gen. Piskor przyprowadził ze sobą warszawską bryg. panc.-motorową (Roweckiego), zatrzymaną w lasach na północ od Frampola. Wyjaśnienia te i wiadomości trwały krótko. Ja ze swej strony wprowadziłem gen. Piskora w obecną sytuację i wydane rozkazy.

R É S U M É

Znowu zacieśniam swoje rozważania do rzeczy bliskich — dobrze mi znanych, które są już w znacznym stopniu ujawnione, i w myśl celów, które sobie postawiłem, ograniczam się do armii „Kraków”, a teraz do ostatniego okresu jej działania i istnienia, to jest: od Sanu, od dnia 13 września.

Tu przypomnę:

1) W dniu tym, gdy przechodziłem przez most pod Rozwadowem, bombardowany przez lotnictwo niemieckie, a dywizje grupy „Śląsk” znajdowały się jeszcze na zachód od Sanu, zdawałem sobie sprawę, iż może powtórzyć się sytuacja mostu pod Baranowem. Przejście dywizji przez most było sprawą najważniejszą, tym bardziej, jak dowiedziałem się później, że wysłane przez sztab w czasie mojej nieobecności meldunki do naczelnego dowództwa i dowództwa frontu południowego, oparte na poprzednio uzyskanych wiadomościach, podawały, iż grupa „Jagmin” przekroczyła San w nocy z 12-go na 13-ty. Był to moment ważny

i w dalszym działaniu armii (w kalkulacji czasu) odegrał dużą rolę.

2) Grupa „Boruta”, oderwana od armii, po paru dniach powraca osłabiona, w warunkach trudnych do opanowania, w zmiennych sytuacjach i zadaniach.

3) Armia od początkowej samodzielności parokrotnie zmienia stan, podległość i zadania. Były to sprawy decydowane na najwyższym szczeblu dowodzenia i na pewno odpowiadały ocenie, nadziejom i zjawiającym się jeszcze możliwościom w nacz. dowództwie. Nie neguję słuszności tych decyzji, tu jednak każda z tych decyzji była wstrząsem łamiącym wewnętrzną spójność. Z tym trzeba było walczyć tu na miejscu, ale też tu na miejscu można było poznać wszystkie trudności powstające z przyczyn czasem istotnych, a czasem tak niepotrzebnie wyimaginowanych, które szerzyły się nieuchwytnie i bezkarnie.

4) Płk Tomsa-Zapolski, kwatermistrz armii, który rano powrócił ze Lwowa, meldował że należy oczekiwać rozkazu gen. Sosnkowskiego o nakaznym marszu na Lwów. Następne wiadomości otrzymałem w drodze, gdy jadąc z Zamościa do Rozwadowa napotkałem oddziały 6 D.P., które opuściły San i maszerowały na Biłgoraj.

5) Dopiero wieczorem w powrotnej drodze otrzymałem rozkaz gen. Sosnkowskiego, podany poprzednio. Z oceny sytuacji na miejscu, następnie potwierdzonej i rozszerzonej rozkazem gen. Sosnkowskiego, wypływała konieczność połączenia wojsk armii i śpiesznego marszu w kierunku Lwowa. Wydane rozkazy i opis tych wydarzeń podałem wcześniej. Jednak w toku wykonywania nakazanych rozkazów zmieniała się podległość armii i jej zadanie.

6) Dnia 15-go przybył na teren armii gen. Piskor. Nowe zadanie armii nakazane przez naczelne dowództwo, w wykonaniu gen. Piskora, koncentrowało główny wysiłek armii na kierunku: Tomaszów i na wschód od Lwowa.

W tych dniach wartość wykorzystania czasu nabiera decydującego znaczenia, doceniają to i Niemcy. Dzień 18 września staje się ostatnim dniem, kiedy armia całością sił mogła przeprowadzić bitwę w warunkach możliwych organizacji i dowodzenia. Jak zaznaczyłem, Tomaszów stawał się celem, zdobycie którego byłoby uwieńczeniem dotychczas prowadzonych walk i wysiłków. I nawet, gdyby los armii miał być rozstrzygnięty w tej ostatniej bitwie i gdyby ostateczny wynik był ten sam, to byłaby to bitwa, na którą jeszcze stać nas było. Czy Tomaszów byłby wzięty? Na to brak odpowiedzi, ale jeśli w powyższych decyzjach dnia

15-go i powtarzanych po dzień ostatni, nie tracono nadziei i nie rezygnowano — to należy przypuszczać, że przy układzie przeciwnych sił w dniu 18-ym te możliwości były, lecz też z każdym dniem następnym były mniejsze. Bitwa byłaby ciężka, byłyby straty, ale czyż nie większe były straty właśnie w dniu 18-ym, w nocy z 18-go na 19-ty, w dniu 19-ym i ostatniej nocy? I wszystko w coraz większym rozluźnieniu, rozstrzeleniu wysiłków i już nie o cel główny, i nawet nie o dobre imię bitwy. Nie waham się w tej ocenie. Wszystkie bitwy tej wojny tak się kończyły. Wszystkie wygładzenia i upiększenia — zbędne! Ale też i przesadna krytyka i potępienie nie zawsze jest słuszne. Jeśli nas stać było na tę tragiczną wojnę, to niech nas stać będzie i na prawdziwą jej ocenę i rozsądne wnioski. Win jest wiele, lecz i w przegranej jest też i wiele najpiękniejszych przykładów dobrego dowodzenia i dzielności żołnierza. I tego nam nikt ująć nie może. I tu właśnie pod Tomaszowem jest wiele tego przykładów. Ale gdy dzień 18 września mijał i oddziały nie mogą nadążyć, rozkazy opóźniają się, organizacja rozluźnia się, a jednocześnie powstają nowe „konceptje” — to cóż mogło pozostać na dzień 19 września tam na polu bitwy pod Tomaszowem?



Po wojnie naszej, jak i po wszystkich wojnach, pozostały wspomnienia, pozostały nazwy głośnych bitew i nazwiska wodzów. Lecz zapomina się lub uszło uwagi wiele walk toczonych przez bataliony, kompanie i nawet mniejsze zespoły. Dla wyników działań może to mieć małe znaczenie. W historii przechodzą one niepostrzeżenie, ale dla niższych stopni dowodzenia i dla żołnierza ma to wartość zwycięstwa lub klęski, życia lub śmierci, i najczęściej jakaś mała Wólka, wszystko jedno czy polska, czy francuska, czy włoska, nieznana przedtem i zapomniana dzisiaj — stała się chwałą dla niego i grobem dla innych.

Jeszcze mniej pamięta się o tych, którzy ginęli pierwszego dnia wojny, chociaż nie trudno byłoby dowieść, że właśnie ich ofiarna walka mogła umożliwić przetrwanie i przetrzymanie pierwszych uderzeń, dając innym bitwę lepiej przygotowaną i prowadzoną. A żołnierz, który poległ dnia pierwszego, miał te same wartości co i ten, który doszedł do ostatniej bitwy. Nie wdaję się tutaj w przyczyny i osady, które mogą podnosić lub obniżać wartość żołnierza. Gdy wojna trwa, są i blaski zwycięstw, są i kryzysy moralne i materialne, są i cienie przegranych i klęski. W rozrachunku przybywa nam doświadczenie i to staje się ważnym elementem, tak dla dowódcy, jak i dla żołnierza. Lecz

doświadczenie ma wartość, gdy nie jest okupione zbyt wielkimi stratami terenu i żołnierza i gdy dalsze przewidywania i siły pozwolą wykorzystać dobre i uniknąć szerszego się zła.

W naszej wojnie 39 roku były oddziały wysunięte ku granicy, zbyt daleko od swoich podstaw, gdy same podstawy, stanowiące „nieprzekraczalną” linię obrony, nie były jeszcze w pełni obsadzone, gdy luki, w które miały wejść odwody, były jeszcze otwarte, a więc gdy mobilizacja i koncentracja nie zostały ukończone. Los tych oddziałów już w pierwszych dniach był przesądzony. I wtedy, w czasie dalszych działań, niewiele było wiadomo o roli, jaką spełniły, o walkach, jakie toczyły. A były to oddziały (jednostki) dużych wartości. Były bataliony (KOP’u), były pułki i były dywizje, które ginęły w odosobnionych walkach, osłaniając własne siły i powstrzymując napór wroga. Działo się to nie tylko na szerokim froncie armii „Kraków”, a jedyna ocena ich działania wtedy zamykała się w słowach „nie wytrzymały”, „puściły”. Było to niesłuszne i wypływało nieraz z niedostatecznego jeszcze rozpoznania przeciwnika i zawsze zbyt wczesnego pojawienia się jego broni szybkich w głębi własnych ugrupowań nie przygotowanych jeszcze do przyjęcia bitwy. A jednak właśnie te pierwsze (dwa) dni wojny decydowały o jej przebiegu, przekreślając przewidywania, narzucając konieczność podjęcia nowych planów i doraźnych improwizacji. Jednocześnie szybko zbliżały się rozstrzygnięcia i wyniki.

Tych wojsk zabrakło w późniejszych walkach. Odtworzyć czy bodaj uzupełnić rozbite i zniszczone oddziały — nie podobna. Porównań nie ma, ale nie można zapomnieć ich wkładu i ofiary, bo często ich zadanie było już i wyrokiem.



Jednak wojna trwa!... I błędem byłoby mniemanie o bezna-
dziejności prowadzenia walki. Z dwudziestodniowych walk armii „Kraków” należy wyciągnąć wnioski, z których najważniejsze, że w porę powzięte decyzje, nawet przy znacznej przewadze sił i broni szybkich przeciwnika, dają możliwość opanowania trudnego położenia własnych wojsk i jednocześnie zaskakiwały Niemców, zmuszając ich do nieprzewidzianych reakcji i zmian. Wymagało to wielkiego wysiłku wojska, a przede wszystkim całkowitego zgrania dowodzenia z wykonaniem.

W pierwszej części „Mojego Dowodzenia” przytoczyłem parę przykładów wymuszonego przez przeciwnika odwrotu. Przykładów takich można by znaleźć wiele, z różnych wojen, w różnych warunkach i o różnych celach. Jeśli sam mechanizm pro-

wadzenia odwrotu da się ująć w ramy regulaminowe i zbliża się do szablonu, to jednak warunki i cel, jaki mamy osiągnąć, są w każdym wypadku inne, a nowoczesne bronie, czy to w odwrocie czy w pościgu, zmieniają charakter prowadzonych walk. Niezmiennie pozostaje zasada oderwania się od przeciwnika, dla uzyskania swobody decyzji i działania, gdy druga strona dąży do związania i unieruchomienia, działając jednocześnie na skrzydłach i odcinając odwrot. Szybkość i zaskoczenie potęgują środki.

Działania armii „Kraków” od pozycji śląskich, od granicy niemieckiej i słowackiej po Tomaszów, nie były tylko odwrotem. I chociaż odwrot stał się głównym działaniem, to w krótko zjawiających się zmiennych sytuacjach od obrony na „nieprzekraczalnej linii” po dzień ostatni, wszystko można odnaleźć, tak w działaniach całości sił armii, jak i poszczególnych wielkich jednostek. Szukam potwierdzenia zasady, że harmonijne współdziałanie odnajduje się w skutkach, chociaż czasem powstaje z chaosu zmiennych, groźnych, nieopanowanych sytuacji. Ale ile trzeba dobrej woli i wysiłku aby to osiągnąć, aby nadrobić to co spóźnione lub zaniedbane, wykorzystać skąpe godziny czasu, ubiec wroga w jego zamysłach! Jak wiele jeszcze można dokonać!

Z wojny 20-go roku pozostało mi doświadczenie, potwierdzone całkowicie w wojnie 39-go roku. Dobrze przeprowadzony marsz ma wartość manewru. Dobrze, celowo wykonany manewr stwarza dobre podstawy do bitwy i dalszych decyzji. Jeżeli tak będzie zrozumiane planowe działanie i dowodzenie, to w odwrocie armii „Kraków” można odnaleźć potwierdzenie tych doświadczeń. Moralna strona tych wartości jest wymowna, bo celem jest uzyskanie i tworzenie lepszych warunków do bicia wroga. Lecz jeśli ktoś tego nie chce czy nie potrafi rozpoznać, a argumenty nie są wystarczające, to i rozkazy trafiają na grunt zły. Powstają sprzeczne koncepcje szlachetniejszych porywów i mizernych uzasadnień. Nieodmiennie odbija się to na wykonaniu i wlecze za sobą niechęć, złe nastroje i następstwa.



Bitwa Tomaszowska skończona. Armia „Kraków” przestała istnieć. Pozostały wspomnienia tysięcy uczestników z mniej lub więcej poznaną lub ograniczoną świadomością tego, co się stało. Ból był powszechny, od żołnierza do dowódcy. Czas stopniowo wprowadzał uzasadnienia i usprawiedliwienia. Zjawily się relacje, wnioski i porównania. Żołnierz pragnie zwycięstw i na wąskim odcinku jego widzenia i świadomości odnajduje siebie takim

jakim był, a może takim jakim być powinien. W tym dojrze-
wa uczucie spełnionego obowiązku i to mu przesłania doznane cier-
pienia. Nie jego jest winą przegrana bitwa. Momenty słabości,
z wątpliwości są uzasadnione, gdy wyczerpanie fizyczne i braki niszc-
czą najlepszą wolę i nie może zostać bez wpływu wzrastająca
beznadziejność.

„Dobry żołnierz” — tak powiedział gen. K., d-ca dyw. panc.
po bitwie Tomaszowskiej.

„Generałowie niemieccy nie mogliby w tych warunkach do-
wodzić” — powiedział gen. Schlemmer.

Należy to uzupełnić powtarzanymi przykładami dobrego, ofiar-
nego dowodzenia we wszystkich stopniach i broniach. Zdań
tych było wiele na wszystkich odcinkach szerokiego frontu,
w głębi Kraju i w ostatnich bitwach.

To jednak nie wystarcza.

Od rozpacz, słusznych zarzutów, popełnionych błędów i win
do rehabilitacji daleko. Ocena obcych jest cennym dorobkiem,
swoi od jednej ostateczności przechodzą do drugiej. Rany goją
się, emocje mijają. Prawda życia powoli domaga się swoich
praw, a nim stanie się to już tylko historią — jest pomostem
między tym co było i tym co będzie, w krótkim jeszcze, być
może, czasie.

Gdy wojna mija, staje się tematem powszechnym. Wszystko
wydaje się łatwe. Mnożą się fachowe lub nie fachowe opinie
i oceny. Wylicza się zasługi, podkreśla winy i błędy, tworzy
się nowe plany rzeczy już bezpowrotnie minionych, a coraz czę-
ściej mówi się o wojnie z pogardą i odrzuca się konieczność jej
istnienia jako wartości regulującej wzajemne stosunki i interesy
i decydującej w kształtowaniu przyszłych dziejów. Nie nowe to
sprawy i niezawodnie powstały z najlepszych intencji, ale gdy
przychodzi następna — z własnej woli lub z przymusu — bierze
się karabin do ręki i... strzela. I wtedy strzela się kiepsko,
a dowodzić nie umie.

A jednak każdy w imię ideałów, w które wierzy i którym
pragnie służyć, swoją część najlepszej woli musi poświęcić
i gotowość ofiary musi zaznaczyć. Bez tego nie ma osiągnąć,
nie ma zwycięstwa, nie ma wolności. Pozostaje niewola.

Żyjemy w czasach wielkiego napięcia i zmian. Wielkich wy-
nalazków i realizacji idei. Dla młodego pokolenia, które wchodzi
w życie, ta bliska przeszłość jest szkołą. Kto chce to odrzucić,
kto lekceważy, ten pozbawia się podstaw, których będzie mu
brak później. Czy wojna będzie? czy będzie taka czy inna? —
brak odpowiedzi. Lecz to nie tylko o wojnę chodzi. Zmagania

prądów i interesów rozszerzają się i obejmują wszystkie dziedziny życia i współżycia narodów, a przecież tym ma człowiek kierować i to wykonywać. Niech to co było będzie mu szkołą na dzisiaj i na to co przysądzi.

Być może, że broń dzisiejsza stanie się tylko zabytkiem muzealnym. Symbolem minionych walk. Być może, wielkie maszyny naziemne i powietrzne, o nieograniczonej sile i szybkości, przetopione zostaną na rzeczy użytku codziennego. Ale człowiek w swoim rozwoju, pomimo pięknych haseł, pozostaje daleki od ideałów. Środki, którymi chce osiągnąć swoje cele, nie mają ograniczeń, od zaniedbanych prymitywów do nieznanych jeszcze, a stale poszukiwanych, ale zawsze skutecznych w tworzeniu i w niszczeniu, w zwycięstwie i w klęsce. A któż nie wierzy w moralne wartości swoich poczynań? Któż może oprzeć się ponętnym obiecującym celom? Kto może zatrzymać, zahamować ambicje człowieka, które pchają ku temu aby być innym, aby jego wiara stała się wiarą innych? I czy krzyżem prowadzi, czy mieczem wojuje, on pragnie zwycięstwa.



Jak dowodzić, jak unikać błędów? Co jest sztuką, a co rzemiosłem? Co jest wrodzone, a czego można się nauczyć? Ścierają się wole i charaktery. Przez szkoły, studia minionych wojen i zachodzących stale zmian, lata pracy zawodowej i doświadczenia osobiste — kształci się i dojrzewa dowódca. Droga dla wszystkich otwarta — podobna, ale wojna wszystko przyspiesza, narusza ustalony porządek, narzuca zmiany — przeważnie słuszne ale już spóźnione. Co w czasie pokoju jest dobre, nie zawsze znajduje potwierdzenie w czasie wojny i odwrotnie, po wojnie czasem trudno zmieścić się w zakreślonych ramach. Ta jakby dwutorowość zdolności i przydatności nie wymaga uzasadnień; i jedno i drugie jest ważne i potrzebne, lecz przejście ze stanu pokoju w stan wojny jest bezpośrednie i dla każdego jest również jego osobistym przeżyciem.

Może dla mnie było to łatwiejsze. Wojna była mi bliższą, niż praca pokoju, chociaż i tu odnajdywałem siebie i w ćwiczeniach i w grach wojennych, i to co robiłem, czy jako kierownik, czy jako uczestnik i dowódca strony — upodobałem w przebiegu do wydarzeń prawdziwych pola bitwy. „Przejście w stan wojny” nie było też dla mnie niespodziewane. Niestety, bardziej niespodziewane było to dla innych. Te chwile, może w czasie nieuchwytnie, narzuciły świadomość groźnego niebezpieczeństwa. Wojna! stała się hasłem powszechnym, ale też być może więcej

byłem na to przygotowany i „moje osobiste przeżycia” były tylko chwilą głębokiego wzruszenia, dalej było już tylko to, co prawo i bezprawie wojny narzuca.

„Gen. Szylling okazał się człowiekiem małomównym, zamkniętym w sobie i nie skłonny do wynurzeń”. Tak pisze jeden z bliskich moich współpracowników bezpośrednio przed wojną. Tak i teraz, gdy w dyskusjach słyszę wątpliwe argumenty, nieistniejące warunki, a czasem zgoła fantastyczne wnioski i oceny — mimowoli milknę, zamykam się w sobie. Pewność — czasem posunięta do arogancji i błyskotliwych określeń — zwycięża, uchylając często i lekceważąc znane już i dowiedzione fakty. Dyskusji nie podejmuję i jestem jakby przegrany. Ale tak jak wtedy, w czasie wojny, decydowały się sprawy wielkiej wagi, tak i teraz jej ocena wymaga więcej powagi. Tematów bez liku i podziwiać należy lekkość z jaką operują rozmówcy, przerzucając się z frontu na front, wymieniają bitwy i nazwiska zwycięzców i pobitych, i... tysiące ofiar. Ale jest to lepsze, niżby w ogóle przestali o tym myśleć i mówić.



Od pierwszych strzałów na pozycji obronnej do ostatnich pod Tomaszowem, dni 20 — to niewiele! Ale pierwsze decydujące bitwy rozstrzygały się w nie mniejszym tempie w 1940 roku na Zachodzie i 1941 na Wschodzie. A bitwy te zasługują nie mniej na uwagę i rozpracowanie, niż późniejsze zwycięstwa sprzymierzonych. Przewaga sił niemieckich w liczbie i wyposażeniu w środki prowadzenia walki w pierwszych bitwach stopniowo ustępuje przed przewagą zmobilizowanych sił i środków świata wolnego. Stosunek ten staje się odwrotny od 1939 po rok 1945. Znajdziemy dzisiaj dosyć źródeł, aby uzasadnić słuszność tej tezy, a w tabelach porównawczych za każdy okres i każdy rok, można odtworzyć rozwój produkcji, zużycia i wprowadzenie nowych broni oraz wzajemny ich stosunek, uruchomiony przez dwie wrogie sobie strony.

Słusznie jest uczyć się na przykładach zwycięstwa, ale po stronie zwyciężonych, słabszych i zaskoczonych też można się wiele nauczyć, a przede wszystkim jest to szkoła „woli i charakteru”, i nim potężne środki przeciwnika będą całkowicie wprowadzone i da mu to zwycięstwo — wola walki i umiejętność wykorzystania własnych możliwości musi się zaznaczyć na polu bitwy. I to, czy godziny, czy dni — było. I tak było do końca. Ale gdy przeciwnik z każdym dniem jest bliżej zwycięstwa, nas każdy dzień zbliża do klęski. Obydwie strony świadome są spełnienia

swego przeznaczenia, i gdy z jednej strony często występuje jawna pewność przemocy, z drugiej strony pojawiają się wypadki załamania i rozprzeżenia. To tak już być musiało, chociaż nie powinno. Gdy z jednej strony upaja i ponosi zwycięstwo, z drugiej — beznadziejność. Ale to jest szkoła charakterów. Tu łatwizny i powodzenia nie są najlepszą szkołą, raczej należy szukać przykładów po stronie drugiej. I kto potrafił opanować swoje zadanie, kto na polu bitwy narzucił swoją wolę innym, nie rozpraszał się w zbędnych rozważaniach poza zakresem obowiązującym i niezbędnym, w kim przetrwała wola walki po dzień ostatni — ten i w przegranej bitwie spełnił swój obowiązek dowódcy i żołnierza.



Nie ma słów na wypowiedzenie tego, co się stało. Nic nie były świadectwem i uwieńczeniem tego, co latami pracy zdobyte. Walczyli, zwyciężali i ginęli razem. Wspólne było poczucie obowiązku, pragnienia i trudu. Wspólną też stała się niedola. To jest wielki dorobek i tego żal, ale tych dobrych wspomnień nikt nam nie odbierze, nawet gdyby usiłował zohydzić i odepchnąć tę naszą przeszłość.

To nie wszystko! Porachunek dowódcy ze swoją przeszłością nie byłby pełny. Żal pozostał. Bo w układzie naszych stosunków, w naszej hierarchii wojskowej, były luki i szczyrby, których nie podobna było wypełnić i naprawić. Uderzenia były zbyt silne, zbyt gwałtowne. Późniejsze pierwsze bitwy na Zachodzie, a potem na Wschodzie, były nie mniej niepomysłne, a pomimo pouczających doświadczeń, pełne były błędów i zaniedbań. Ale to były ich pierwsze bitwy, gdy nasze pierwsze były już i ostatnie.

Żal pozostał. Żal niewykorzystanych możliwości, smutnych doświadczeń.

Myliłby się ten, kto by przypuszczał, że jakieś osobiste względy skłoniły mnie do nadania właśnie tej formy mojemu sprawozdaniu. Piszę o dowodzeniu, o dowodzeniu w warunkach rzeczywistych — wojny, i nie jest moim celem podkreślanie zalet i zasług, jak nie jest moim zadaniem karcenie winnych. Te uczucia początkowe, jak i żal niezasłużonej krzywdy, dawno minęły. Teraz jest mi to obojętne. „Moje Dowodzenie” jest relacją warunków, w jakich znalazł się dowódca w roku 1939. Teoria została daleko. Przykłady podane są z pola bitwy, a wymienione nazwiska podkreślają tylko rzeczywistość podawanych faktów i tyle mają znaczenia, że działy się tam i spowodowane były takimi warunkami, przez lub przy udziale wymienionych.

Zdaję sobie sprawę, jak dalece odbiega to od przyjętych form, od wielu spisanych relacji i wspomnień, chociaż cele mogą być podobne, a intencje wspólne. Wielu z nich nie znam, a z tych co znam są i takie, które więcej zaciemniają horyzont widzenia, niż wnoszą coś nowego, prawdziwego. Zbyt wiele niedomówień, jak i niezasłużone uznanie i nieuzasadniona krytyka są raczej odbiciem osobistego nastawienia i nastroju. Czym mniej to znam, tym jaśniej widzę prawdziwy obraz tych wydarzeń. I stało się to tylko moim doświadczeniem i dorobkiem. Wiem kto mi był pomocnym i kto przeszkadzał; kto wytrwał, kto się załamał, a kto w ogólnym nieszczęściu szukał własnej sławy, kto szukając błędów u innych, sam nie wnosząc nic pozytywnego, we własnym pojęciu wydawał się lepszym.

Tak bywało i dawniej i jest teraz. Wodzowie wielkich bitew na Zachodzie dają tego przykład, ale w tej wojnie było jeszcze trudniej wykorzystać dobre, lub w porę naprawić złe. A po wojnie powstały różne źródła i inne kryteria, a więc i inne oceny tych samych wydarzeń i ich wartości. Być może, że jeszcze wróć do tych spraw, ale tutaj to nie jest potrzebne — uzasadnienie decyzji jak i powstających trudności jest dostateczne. Pozostaje temat, charakterystyka ludzi, jako ich podstawa fachowych i moralnych wartości, tak dręcząco schematycznie wymaganych w okresie wcześniejszym — w czasie pokoju — i zestawienie ich z gwałtownie nabiegającymi wydarzeniami wojny. Trudno to utrwalić — przekazać. Trudno być sprawiedliwym. W ocenie wymienia się zasługi znane, gdy jeszcze więcej jest nieznanych, a być może i nieuznanych i bezimiennych — pominięcie których staje się krzywdą.



Na polach bitew zaległa cisza. Coś zamierało, coś się kończyło, ale jednocześnie powstawały nowe siły, wiązały się ognia nowych wydarzeń. Ludzie — ci z szeregu i ci błakający się — odnaleźli się i złączyli na długie lata bezimiennych walki. I tak było dawniej i było teraz: przez lata w lata, przez wieki w wieki. To nie legenda, to nie marzenia. Bardziej myślą się ci, którzy tej polskiej rzeczywistości nie doceniają. Nie trzeba tego niszczyć, nie trzeba przerabiać, twarde życie samo robi wyłomy. Budować należy na tych podstawach, które sam Naród bezwiednie tworzy, tylko trzeba to umieć ocenić i wykorzystać.

Wczorajsze minęło, dzisiejsze mija. Przyszłość nadchodzi.

Pouczać nas obcy, pouczają swoi. Mnożą się przykłady rozumu, zręczności, chwalebnej obłudy, zakłamania. To mają być przykłady godne naśladowania. Ale nie programy, ozdobne najpiękniejszymi perspektywami i nadziejami, nie potęga frazesu rządu.

Człowiek odchodzi czasem sam zaskoczony tym co osiągnął, co stworzył, co zniszczył. My też chcielibyśmy aby było inaczej, aby było lepiej. Zazналиśmy co znaczy długa niewola. A nasze przywiązanie do ziemi ojczystej jest silniejsze, pragnienie wolności i duma narodowa są nam bliższe i najpowszechniejsze i inne, niż u innych. Czy szlachcic na folwarku, czy chłop na swym zagonie, czy inżynier, czy robotnik, czy dowódca, czy żołnierz — było to i jest nam wspólne. Wspólne są te nasze wartości, jak i wspólne są nasze wady. Wieki to tworzyły. Urobić, przerobić to, przekształcić przez przykłady i naśladowanie innych — trudno. Cały świat się zmienia — nadążyć niepodobna: „uświadomienie”, „kultura masowa” itp., w codziennym praktycznym zrozumieniu, polega na tym, aby być uświadomionym wedle jednego szablonu, jednej sztancy. Nasza droga ku przyszłości musi być inna. Forsowanie źle się kończy, a zanim człowiek stanie się innym — wszystko stanie się też inne — tego nie dogoni. A tymczasem powstają wewnętrzne sprzeczności i skłócenia na zewnątrz. I z tym trzeba żyć teraz, i to jest zło.



Kończy się „Moje Dowodzenie”, jak skończyła się i moja długoletnia służba. I droga osiągnięć aż do: „Dowódca armii Kraków”. Dla wielu z nas, żołnierzy, jest to już okres zamknięty, bezpowrotny, znaczony jedynie śladami odchodzącego życia.

W „Moim Dowodzeniu” nie piszę o tym co było przedtem, nie snuję też wniosków. Cel jest określony. Pomijam wiele szczegółów, które dałyby ściślejsze uzasadnienie. Nie używam dosadnych określeń, które być może w bardziej przekonującej formie podkreślałyby istotę rozstrzygających się wydarzeń i ich ocenę. A było to tak wtedy gdy wewnątrz wszystko wrzało — w opanowaniu i w spokoju szukałem dróg do rozsądku i zrozumienia. Dzisiaj też nie jestem bezdusznym kronikarzem, i gdy pamięcią wracam do tych wydarzeń, nie mogę oprzeć się głębokim wzruszeniom. Ale gdy mam je przekazać — spokój i rozwaga muszą mi towarzyszyć w tej pracy.

Antoni SZYLLING, gen. dyw.

Montreal, 1959-1963

NOTA BIOGRAFICZNA

Generał Antoni SZYLLING, syn powstańca z 1863, sybiraka, urodził się 31. VII. 1885 r. w Płoniawach, pow. makowskiego. Szkoły kończył w Warszawie. W 1905 r. aresztowany i osadzony w Cytadeli za organizację strajku szkolnego i działalność patriotyczną wśród robotników. Za karę wcielony do wojska rosyjskiego na 4 lata, jako szeregowiec. Po powrocie do kraju kończy studia rolnicze i gospodaruje na wsi. W 1914 powołany do wojska rosyjskiego jako oficer rezerwy. W 1917/18 organizuje oddziały polskie w Rumunii i na Ukrainie. W wojsku polskim od r. 1918. W maju 1919 dowodzi 44 p.p. (Hallerczyków). W 1920 mianowany dowódcą brygady piechoty dywizyjnej. W r. 1922 wystąpił z wojska, ale po kilku latach wrócił do służby i objął d-two piechoty dywizyjnej 23 D.P. Ukończył kurs wyższych dowódców i w r. 1928 został mianowany d-cą 8 D.P. W r. 1937 powołany do GISZ'u. Od 1. 9. 1938 mianowany inspektorem terenowym odcinka frontu zachodniego. Z wybuchem wojny dowodzi Armią KRAKÓW Obóz jeniecki w Murnau. Po zakończeniu wojny osiadł w Kanadzie, gdzie był czynny w pracy społecznej i niepodległościowej. Zmarł w Montrealu 17 czerwca 1971 r.

Drukowane „Fragmenty” pochodzą z większej pracy gen. Szyl-linga pt.: „MOJE DOWODZENIE”. Składa się ona z dwóch części, Résumé, 25 Odnośników do tematów, poruszanych w tekście, Zakończenia i 8-miu załączników. Część I-sza „Przed wojną” zawiera 8 rozdziałów zatytułowanych: Tło. — Naczelny Wódz, Dowódca Armii. — Rozkaz z dnia 23 marca. — Relacje. — W dowództwie Armii. — Sierpień przed Wrześniem: (a) w Sztabie armii; (b) Niemcy; (c) My. — Odwrót. — Ostatnie dni Sierpnia. Część II-ga — „Wojna” obejmuje 6 dalszych rozdziałów, zatytułowanych: „Na ostatecznej pozycji obrony”. — Do Nidy i Dunajca. — Na Baranów. — Na Sanie. — Na Lwów. — Na Tomaszów.

W. M. DRZEWIENIECKI

MOBILIZACJA MARCOWA, 1939,
WIDZIANA OCZYMA DOWÓDCY KOMPANII
84-go PUŁKU STRZELCÓW POLESKICH*

Czwartek, 23 marca 1939, w garnizonie Pińsk niczym się nie różnił od wielu innych przedwiosennych dni. Było jeszcze zimno, ale śnieg zaczął już znikać obnażając ku jeszcze nieśmiałym promieniom słonecznym rwącą się już do życia poleską ziemię.

Dnia tego w południe objąłem wyznaczoną mi funkcję oficera służbowego 84-go pułku Strzelców Poleskich, oraz oficera inspekcyjnego garnizonu Pińsk. Po przejęciu obowiązków i odprawie warty, jak zwykle poszedłem do klubu oficerskiego na obiad, polecając podoficerowi służbowemu zawiadomić mnie, gdyby zaszła tego potrzeba. Po obiedzie, jak to było we zwyczaju, znalazła się czwórka do *bridge'a*, złożona z oficerów, którzy w tym dniu mieli wolne popołudnie. Ponieważ pierwszą kontrolę miałem dopiero o trzeciej i właściwie nie wiadomo było co ze sobą zrobić, ja również zasiadłem na „jednego roberka”. W trakcie rozgrywania drugiego robra, około godz. 2.30, nagle zadzwonił telefon. Ktoś podniósł słuchawkę. Porucznik Sosnowski, oficer placu garnizonu Pińsk, chciał ze mną rozmawiać. Był najwyraźniej czymś bardzo podniecony i zdenerwowany. Zażądał, abym „natychmiast” zgłosił się u niego w biurze i aby wszyscy oficerowie „natychmiast” udali się do swych oddziałów. Nikt oczywiście nie mógł się domyśleć co się stało. Przypuszczaliśmy, że

* Autor służył od roku 1937 w 84-ym pułku Strzelców Poleskich, z którym brał udział w Kampanii Wrześniowej. Po bardzo krótkim pobycie w niewoli niemieckiej wstąpił do ZWZ [Armia Krajowa] w Warszawie. Po wydostaniu się z Polski służył on w Brygadzie Karpackiej a następnie w 2-gim Korpusie. Wojnę skończył w stopniu majora dyplomowanego. Obecnie przebywa w Stanach Zjednoczonych, gdzie od roku 1959 wykłada historię na Stanowym Uniwersytecie Stanu New York.

może chodzi o jakiś próbny alarm, który był zarządzany od czasu do czasu. Nie skończyliśmy więc rozgrywki, która była w toku, ale postanowiliśmy zostawić karty na stole, zamknąć pokój na klucz i skończyć grę po alarmie. Jako służbowemu, mnie zlecono przetrzymanie klucza. Nie przyszło mi wtedy na myśl, że nie tylko tej gry nie skończymy, ale że nawet tego pokoju nigdy nie zobaczę.

Jako że do dowództwa pułku, gdzie mieściło się biuro oficera placu, było kawałek drogi, wsiadłem na rower i za parę minut zjawiłem się u por. Sosnowskiego ze zwykłym uśmiechem. Uśmiech ten jednak szybko zniknął z mych warg, gdy zobaczyłem wyraz twarzy mego starszego kolegi. Wyglądał jakby ujrzał upiора. Wydawał jakieś niewyraźne dźwięki, których nie mogłem zrozumieć i potrząsał jakimś papierkiem. Leżały przed nim jakieś instrukcje, opatrzone dużym napisem „Ścisłe Tajne — MOB”. Sosnowski ukończył podchorążówkę dla podoficerów w Bydgoszczy, służył w wojsku już w 1920 roku i był żołnierzem doświadczonym. Początkowo nie zdawał sobie prawdopodobnie sprawy, że ma przed sobą młodzika, który dopiero niecałe dwa lata temu ukończył szkołę oficerską, a w czasie wojny bolszewickiej był dzieckiem. W końcu, zorientowawszy się, że zupełnie nie rozumiem o co chodzi, pokazał mi trzymaną w ręku depeszę, która brzmiała: „Wzmocnienie oddziałów czerwonych zarządzane — Szef Sztabu Głównego”. Niestety zarówno treść tej depeszy, tak jak i poprzednie uwagi, były dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Zdawałem sobie tylko sprawę z tego, że chodzi o coś znacznie poważniejszego niż jakiś lokalny alarm, ale wciąż nie wiedziałem o co. Tym razem jednak poprosiłem o wyjaśnienie. Sosnowski aż zatrzęsł się z oburzenia nad moją ignorancją.

— „Człowieku, to mo-bi-li-za-cja!...” — wrzasnął na mnie.

Nie zdawałem sobie naturalnie sprawy ani z rozmiarów tej mobilizacji, ani z sytuacji międzynarodowej. Przyszedłem jednak do przekonania, że wojna, oczywiście z Niemcami, wisi na włosku i że za chwilę zaczną się walić bomby, jeżeli nie na odległy Pińsk, to w każdym razie na bliżej granicy zachodniej położone miasta i węzły komunikacyjne. Przyszło mi również na myśl, że już za parę dni, a może godzin, przyjdzie się bronić Polski z bronią w ręku.

Por. Sosnowski nie dał mi zbyt długo rozmyślać. Powiedział, że, zgodnie z instrukcją MOB[ilizacyjną], jestem zwolniony z obowiązków oficera służbowego i razem z innymi, przeważnie starszymi oficerami, mam zgłosić się o godzinie czwartej czy piątej po południu w biurze oficera „MOB”, kapitana Różańskiego. W zakratowanym biurze kpt. Różańskiego byłem już nieraz, gdyż łącznie z mym ówczesnym dowódcą batalionu, ma-

jorem Zawiszą, pracowałem nad planami mobilizacyjnymi dla jakiegoś tyłowego rzutu lotnictwa. Objeżdżaliśmy wioski poleskie na wschód od Pińska i szukaliśmy pomieszczeń dla lotnictwa na wypadek mobilizacji. Wyniki naszej pracy składaliśmy na ręce kpt. Różańskiego. Pracę tę wykonywaliśmy dla kogoś innego, a to co ja miałem robić w razie mobilizacji było również przez kogo innego przygotowane. Nie wiedziałem więc jaki będzie mój przydział mobilizacyjny.

Poszedłem do mej kompanii, aby odmeldować się u swego dowódcy, kapitana Stanisława Matusiaka, który polecił mi zgłosić się w pokoju MOB po nowy przydział. Następnie zaszedłem do swego mieszkania, gdzie spakowałem najważniejsze rzeczy i powróciłem do budynku dowództwa pułku. Stojąc gdzieś z boku obserwowałem różnych oficerów nadchodzących i nadjeżdżających z różnych kierunków. Wszyscy mieli grobowe miny. Widziałem również między innymi także dowódcę flotyli pińskiej, komandora Zajączkowskiego, który przyjechał zapewne, aby dowiedzieć się co się właściwie dzieje, gdyż flotylla nie otrzymała jeszcze żadnych rozkazów.

Wreszcie nadeszła godzina 17-ta (?). Znalazłem się w pokoju MOB. Kpt. Różański wyszedł z za krat ze stosem kartotek i zaczął odczytywać nazwiska oficerów, ich przydziały mobilizacyjne, oraz każdemu wręczył grubą teczkę. W końcu wyczytał i moje nazwisko: „Podporucznik Włodzimierz Drzewieniecki, dowódca 11-tej kompanii w IV-tym batalionie”. W czasie pokoju nasz pułk miał jedynie trzy bataliony, czwarty więc był zupełnie nowym, właśnie powołanym do życia.

To, że zostałem mianowany dowódcą kompanii było dla mnie całkowitym zaskoczeniem. Podporucznikiem zostałem mianowany w roku 1937, z jedną z pierwszych lokat co prawda, ale byli w pułku podporucznicy z promocji 1936 a nawet 1935 i zdawało się, że oni powinni byli być uwzględnieni w pierwszym rzędzie. Poza tym dowództwo kompanii należało etatowo do stopnia kapitana choć w praktyce, z powodu niedostatecznej ilości oficerów tego stopnia, powierzano je również i porucznikom. Należało się więc liczyć z tym, że na wypadek wojny większość kompanii będzie przez nich dowodzona. Niespodzianką więc było, że mianowano dowódcami kompanii dwóch podporuczników z promocji 1937 roku: Stefana Daszkiewicza, w 4-tej II-go batalionu, i mnie, w 11-tej nowego IV-go batalionu.

Dowódcą IV-go batalionu został kpt. Jerzy Jeleniewicz. Inni dowódcami kompanii byli: 10-tej, por. Józef Balukiewicz; 12-tej, por. Tadeusz Wierciński. Por. Karol Nodzeński był dowódcą kompanii karabinów maszynowych. Jeleniewicza, Nodzeń-

skiego i Wiercińskiego znałem dobrze; Balukiewicza mało, gdyż służył on w III-cim batalionie, który stacjonował w odległym Łunińcu, prawie nad granicą sowiecką.

Ponieważ nikt mi nie powiedział, że byłem przewidywany na dowódcę kompanii, ani nie miałem najmniejszego pojęcia o tym, co się w teczce MOB znajduje, stanął przede mną problem nie lada. Tablica czynności oraz wszystko inne w teczce napisane było ołówkiem, bardzo niewyraźnie tak że niektórych wyrazów w ogóle nie mogłem odczytać, zwłaszcza, że zbliżał się wieczór i koszary były zaciemnione. Te zwykle mroczne koszary stały się teraz dla mnie jakąś niesamowitą otchłanią, w której nie wiadomo było jak się obracać. Noc przy tym nadeszła chmurna, ciemna i zimna. Na szczęście nie padało.

Zdołałem wreszcie wyczytać nazwiska moich podoficerów, ale żadnego z nich nie mogłem odszukać. Nie martwiłem się tym jednak zbyt, gdyż stosownie do instrukcji mieli się oni do mnie zameldować w miejscu mobilizacji batalionu, wiosce Krasiejowo, położonej o parę kilometrów na północ od koszar. Miały się tam także u mnie zameldować tzw. zawiązki, tj. żołnierze starszego rocznika, szkoleni na specjalistów do obsługi ręcznych karabinów maszynowych (karabinowi i celowniczy), moździerzy, oraz obserwatorzy i gońcy. Miałem otrzymać łącznie coś przeszło trzydziestu siedmiu takich żołnierzy z 6-ej kompanii II-go batalionu kpt. Mieczysława Makarewicza. Większość z nich miała być przeze mnie wysłana celem pobrania umundurowania i ekwipunku, broni, amunicji, żywności, koni, wozów, oraz kuchni. Miałem również wysłać żołnierzy z zawiązków celem wykonania innych czynności w innych jednostkach, ale dziś już nie pamiętam jakich. W takiej sytuacji było rzeczą konieczną znaleźć się szybko w Krasiejewie, gdzie żołnierze ci i podoficerowie mogli już na mnie czekać, gdyż przydziały ich były uwidocznione w teczkach MOB ich oddziałów macierzystych. Wsiadłem wobec tego na swój rower i skierowałem się w stronę mego nowego „m.p.” w Krasiejewie.

Ponieważ noc była bardzo ciemna, a droga typowo poleska, wyboista, pełna kałuż i błota, daleko na swym rowerze nie ujechałem. Niezliczone razy leżałem w rowie lub kałuży. W końcu jednak jakoś do tego Krasiejewa dowędrowałem. Znalazłem także, jakimś szczęśliwym trafem, pomimo iście egipskich ciemności, chałupy i stodoły, które stanowić miały miejsce zakwaterowania mej kompanii. Nie znalazłem natomiast nikogo z moich podoficerów i żołnierzy, którzy stosownie do tablicy, znajdującej się w mojej teczce, powinni byli już przybyć. Wokół panowała zupełna cisza, przerywana tylko ujadaniem psów zaniepokoj-

nych moją obecnością. Najwidoczniej byłem pierwszym przyby-
szem. Mieszkańcy wsi, nieświadomi tego co się dzieje, spali już
pewnie, gdyż nie dostrzegłem światła w żadnym z okien. Począ-
tkowo myślałem, że moi podoficerowie i żołnierze mają te same
trudności co ja i że niebawem się zjawią. Gdy jednak minęły
ze dwie godziny i zaczęła się zbliżać północ, zacząłem się po-
ważnie niepokoić. W końcu, tknięty przeczuciem, zdecydowałem
się powrócić do koszar. Było już bardzo późno, chyba koło pół-
nocy, gdy zmęczony, mokry i brudny znalazłem się wreszcie
z powrotem w ich rejonie. W komendzie placu dowiedziałem
się, że mój szef, sierżant Kazimierz Zieliński, jest instruktorem
P.W. (przysposobienia wojskowego) w odległym o kilkadziesiąt
kilometrów Janowie i że nie mogę na niego liczyć wcześniej niż
następnego dnia (zjawił się dopiero na trzeci dzień). Mój podofi-
cer materiałowy, plutonowy Dominik Krymski z orkiestry puł-
kowej, gdzieś się zapodział. Poszedłem do jego mieszkania. Nikt
jeszcze nie spał. Żona jego powiedziała mi, że „wyszedł na woj-
nę” przed czterema godzinami. Pozostał do odnalezienia podofi-
cer broni, kapral nadterminowy Kujan. Byłem na progu rozpacz-
y. O ile wojna rzeczywiście wisi na włosku, to wkrótce nadjadą
pociągi aby nas zabrać na front. Nikt oczywiście nie będzie brał
pod uwagę dlaczego nie zmobilizowałem kompanii. Z pewnością
pójdę pod sąd polowy. Taka ocena sytuacji dodała mi energii
aby odszukać kaprala Kujana. Nie było to zresztą trudne, gdyż
mieszkał w baraku swej kompanii. Znalazłem go tam, rzeczywi-
ście, pracującego jednak zamiast dla mojej kompanii dla... kapitana
Makarewicza, który miał mi przysłać zawiązki. Do tej pory nie
otrzymałem nikogo. Kujan mi zameldował, że pozostaje przy
swoim dowódcy, kapitanie Makarewiczu, na jego rozkaz, a żoł-
nierze zostaną do mnie wysłani, gdy jego kompania zostanie
zmobilizowana. Ogarnęła mnie wściekłość nie do opisania. Ta-
kiego braku koleżeństwa i wprost karygodnego egoizmu nie
spodziewałem się po tym oficerze. Był cichy, spokojny, bez nałó-
gów. Z nikim bliżej nie żył i nikt go w pułku nie lubił. Nikt
też nie spodziewał się po nim rzeczy wielkich, ale również nie
posądzał go o to, żeby był zdolny do robienia świństw. Na szczę-
ście Makarewicza nie było pod ręką, a gdy się zjawił miałem
już czas trochę ochłoniąć z gniewu. Gdy go zapytałem na jakiej
podstawie zatrzymuje Kujana, mając paru dobrych podoficerów
zawodowych, beczelnie odpowiedział, że Kujan ma przydział do
niego i u niego zostanie. To oczywiste kłamstwo zupełnie mnie
wyprowadziło z równowagi. Wrzasnąłem na Makarewicza gro-
żąc, że, o ile nie odda Kujana, gorzko tego pożałuje. Makarewicz
widocznie nie spodziewał się tak gwałtownej reakcji, zwłaszcza

w obecności podoficerów. Zbladł jak ściana i polecił Kujanowi, aby poszedł do mnie. Zapowiedział, iż złoży na mnie meldunek. O ile to nawet zrobił, to nic się o tym nigdy nie dowiedziałem. Zdawało się, iż mój tryumf był zupełny. „Olsniony” nim nie zabrałem od razu należących mi się od Makarewicza trzydziestu siedmiu żołnierzy. Nie przyszło mi do głowy, że ten „mój starszy kolega” zdoła się posunąć do tego, aby dla własnej korzyści złamać rozkaz o zawiązkach i postawić swego młodszego kolegę w niezwykle trudnej sytuacji. Musiałem za tę naiwność potem zapłacić.

Na razie jednak miałem jednego przyzwoitego i kompetentnego podoficera. Kazałem mu pobrać broń i amunicję i czekać na mnie w zbrojowni. Nie wiedziałem jeszcze w jaki sposób tę broń i amunicję przetransportuję do Krasiejowa.

Następnym zadaniem, jakie sobie postawiłem, było odnalezienie mego podoficera materiałowego. Wiedziałem już, że w domu go nie było, więc musiał być gdzieś w koszarach. Był on człowiekiem bardzo porządnym, obowiązkowym i spokojnym, więc inne ewentualności wykluczyłem. Gdzie go jednak szukać? W rejonie orkiestry, do której miał przydział, ani go nie było, ani go nikt nie widział. Pojechałem więc raz jeszcze do magazynu MOB, ale i tam go nie znalazłem. Skierowałem się znowu w stronę koszar, starając się zebrać rozproszone myśli. Droga mi wypadła koło pomnika 101 pp. piechoty, z którego powstał po wojnie bolszewickiej 84 pułk strzelców poleskich. Gdy mijiałem już pomnik, doszło nagle do mych uszu jakieś szlochanie. Instynktownie skierowałem się w tę stronę. U stóp pomnika siedział jakiś żołnierz gorzko płacząc. Zbliżyłem się, aby zapytać co mu jest, gdy nagle poznałem w nim poszukiwanego przeze mnie podoficera. Najprzód opanował mnie gniew, chęć zbesztania go od ostatnich i wyciągnięcia w stosunku do niego wszelkich konsekwencji. W ostatnim jednak momencie coś mnie powstrzymało od tego nierozważnego kroku. Może uświadomiłem sobie, że moja pierwsza reakcja, wprowadzona w czyn, skończyłaby jego użyteczność w momencie, kiedy jej najbardziej potrzebowałem, a może też po prostu żał mi się zrobiło tego już niemłodego, siwego podoficera, który znakomicie wygrywał na jakiejś trąbce w orkiestrze pułkowej, ale nie miał zielonego pojęcia o poważnych obowiązkach podoficera materiałowego zmobilizowanej kompanii, składającej się z 226 oficerów, podoficerów i szeregowców, 15 koni, taboru, kuchni, itp. Zapewne, tak jak i mnie, że względu na zachowanie tajemnicy wojskowej (!), nie zawiadomiono go zawczasu o przydziale MOB i, co gorsza, nie nauczono tego, co teraz miał robić. Już dziś dokładnie nie pamiętam, co

mną powodowało w tym momencie. Pewnie jedno i drugie. W każdym razie, zamiast besztuć biedaka i postawić go na baczność, usiadłem przy nim, objąłem go ramieniem i przemówiłem łagodnie, po „ojcowsku”, chociaż to on mógłby być mym ojcem. Odezwałem się mniej więcej w te słowa:

— No, nareszcie Pana znalazłem. Czegóż Pan płacze?

Stary orkiestrant podniósł na mnie zapłakane oczy i wyszeptał:

— Panie poruczniku, ja zupełnie nie wiem co robić. Ja nie rozumiem co tu jest napisane (w ręce miał swą tabelę czynności). Ja wiem, że przeze mnie kompania Pana Porucznika się nie zmobilizuje. Ja wiem, że za to pójdę pod sąd! Co za hańba!

I znowu biedak zalał się łzami. Nie było rady, trzeba go było po ojcowsku pocieszyć.

— Nie pójdzie Pan pod sąd. Ja to wszystko rozumiem. Niech się Pan uspokoi. Chodźmy razem, może uda nam się jeszcze wszystko nadrobić. Ja Panu pomogę.

Biedak zabierał się do całowania mych rąk z wdzięczności, czemu oczywiście przeszkodziłem. Objąłem go natomiast jeszcze raz i tak razem powędrowaliśmy do znajdującego się niedaleko magazynu MOB. Tutaj, gdy powiedziałem, że jestem dowódcą 11-ej kompanii (podoficer magazynowy mnie znał), natychmiast otrzymałem cały ekwipunek. Po prostu jedna ściana budynku się otworzyła i nowiusieńki ekwipunek wyjechał na zewnątrz. Miałem zatem już dwóch podoficerów oraz broń, amunicję i ekwipunek, przynajmniej w wiadomym miejscu. Jak to teraz wszystko przewieźć do Krasiejewa? Kpt. Makarewicz oczywiście nie przysłał mi zawiązków. Może zresztą przysłał, niepoprawnie się łudziłem, ale do Krasiejewa, a tu nie ma czasu na to, aby tam pojechać. Należały mi się podwozy, już nie pamiętam ile. W każdym razie miały one obrócić parokrotnie i stopniowo przetransportować wszystko do miejsca mobilizacji mej kompanii. Na to już nie było czasu, tak przynajmniej oceniłem sytuację. Cóż więc robić? Skąd wziąć potrzebnych mi przynajmniej trzydzieści wozów i ze stu ludzi? Nagle uświadomiłem sobie, że przecież są kompanie rekruckie. Trudno było, rzecz prosta, szukać odpowiednich przełożonych, aby wszystko załatwić legalnie. Postanowiłem spróbować nieoficjalnie użyć tych przed paru dniami przydzielanych w mundury cywilów. Nakazałem swemu orkiestrantowi aby się nie ruszał na krok od naszego ekwipunku, a sam pojechałem na rowerze do rejonu kompanii rekruckich.

Była już późna noc, może druga, a może trzecia nad ranem. W rejonie którejś tam rekruckiej kompanii oczywiście wszyscy już spali, z wyjątkiem podoficera dyżurnego. Powiedział mi on,

że są także w rejonie, gdzieś zadekowani, dwaj młodszy oficerowie, ppor. Szczepaniak i ppor. Janusz Pauli z tej samej co ja promocji Szkoły Podchorążych Piechoty. Obudziłem ich natychmiast i przedstawiłem w sposób dość chytry całą sprawę. Zacząłem od pytania, czy ich żołnierze jedli kolację aczkolwiek wiedziałem już od podoficera służbowego, że nie. Oczywiście posypały się z ust obu oficerów złorzeczenia na bałagan, który powstał na skutek tego, że kucharze pułkowi otrzymali inne przydziały MOB, a nowych jeszcze nie przysłano. Dowiedziałem się także, że rekrutom zabrano mundury dla któregoś z mobilizujących się batalionów i przyodziano ich z powrotem w cywilne ubrania. W takiej sytuacji nie trudno było namówić kolegów „do grzechu”, zwłaszcza, gdy ich nastraszyłem, że ich rekruci pewnie nie dostaną i śniadania, a może także i obiadu. Plan mój był prosty. Za cenę kolacji, śniadania i obiadu, które obiecałem dostarczyć, Szczepaniak i Pauli, oraz ich podoficerowie i rekruci, pomogą mi przetransportować cały ekwipunek do Krasiejewa. Gdy przyjąłem na siebie całą odpowiedzialność za wszelkie konsekwencje, obaj się zgodzili i zrobili alarm kompanii rekruckiej. Gdy na zbiórce zapytałem rekrutów czy są głodni, chórem odpowiedzieli: „Ta-ak!...”. Wobec tego oświadczyłem, że po wykonaniu zadania otrzymają podwójne porcje żywności i jeszcze dodatkowo, następnego dnia, obiad. Następnie powiedziałem, że mają załadować ekwipunek na wozy, a potem, trzymając się wozów, przemaszzerować do Krasiejewa, gdzie dopiero po wyładowaniu otrzymają obiecaną żywność. Gdyby ktoś się zagubił, albo część ekwipunku zginęła, zagroziłem drakońskimi karami. Przemówiłem im oczywiście także trochę do patriotyzmu, co miało swoje znaczenie. Wszystko to zostało przyjęte, pomimo nocy i głodu, nadspodziewanie dobrze, niemal entuzjastycznie. Oczywiście wiedziałem dobrze, że będę mógł się z zobowiązania wywiązać, gdyż należało mi się 226 porcji już za pierwszy tydzień mobilizacji, tj. za 23 marca, a w tym dniu nie miałem jeszcze ani jednego żołnierza.

Pozostawało teraz zdobyć potrójną ilość podwód. I tu miałem szczęście. Podwozy przydzielał znajomy mój chorąży Maciejewski, który po pewnych targach, zapewne na skutek tego, że zjawiłem się z dwoma oficerami i setką cywilów, dał się przekonać. Dostałem 20, czy 25 wozów, już dokładnie nie pamiętam. Wozy te były niewielkie, jednokonne, z hubami zamiast przyczepionych chomont, no ale zawsze wozy. Gdyby były większe, nie potrzebowałbym ich tak dużo. Podzieliłem teraz otrzymane wozy na dwa tabory, jeden dla broni i amunicji, drugi dla ekwipunku. Następnie wyznaczyłem dowódców. Już nie pamiętam

kto czym dowodził, ale wiem, że osobiście przydzielałem rekrutów do każdego wozu.

Wozów, jak przewidywałem, było za mało i trzeba było częścią jeszcze raz obrócić. Byłem jednak w stanie tak jak obiecałem chorążemu Maciejowskiemu zwrócić mu wszystkie wozy w określonym terminie. Gdyby Maciejowski nie dał się przekonać, jego wozy i tak by stały bezużytecznie do rana.

Gdy cały ekwipunek i broń znalazły się w stodołach w Krasiejewie było już widno. Piękno przyrody i orzeźwiający powietrze musiały dodatnio wpłynąć na moich pomocników, gdyż nie widać było na ich twarzach śladów nieprzespanej nocy.

Tak jak obiecałem, obdarowałem rekrutów obficie żywnością, sucharami, konserwami, itp. Już nie pamiętam jak zdołałem przytransportować kuchnię polową, która była nowusieńka, ale za to zalana wprost wazeliną i innymi smarami. I znowu udało mi się podstępem uzyskać pomoc rekrutów. Było zimno i każdy z utęsknieniem wyglądał ciepłej strawy. „Proszę bardzo”, powiedziałem, „jeśli chcecie zupy i kawy, to gotujcie”. Wprawdzie Pauli i Szczepaniak byli już niespokojni, że ktoś może ich posądzić o dezercję, lub co najmniej o nadużycie władzy, nie mniej trudno było odmówić rekrutom obiecanego „obiadu”. W takiej sytuacji rekruci ochoczo się zabrali do czyszczenia kuchni i gotowania strawy. Znowu dałem im wszystkiego ile chcieli, gdyż żołnierzy z mobilizacji jeszcze nie miałem, a żywności było pod dostatkiem. Byłem szczęśliwy, że w końcu miałem oczyszczoną i uruchomioną kuchnię.

Koło południa, dnia 24 marca, zjawili się dwóch oficerów rezerwy, przydzielonych do mej kompanii, ppor. Bychowiec, z zawodu instruktor rolny powiatu Pińsk, oraz ppor. Marian Słowik, nauczyciel szkoły powszechnej. Przybyli także moje związki w liczbie siedmiu zamiast trzydziestu siedmiu żołnierzy, jak mówiła instrukcja. Wśród tych siedmiu nie było ani jednego specjalisty, gdyż takich kpt. Makarewicz zatrzymał dla siebie, a mnie przysłał ludzi którzy się do niczego nie nadawali. Łatwo się domyślić jaka była moja reakcja uczuciowa, ale nie było czasu na rozprawienie się z Makarewiczem*.

W tej sytuacji po należne mi konie wysłałem ppor. Bychowca z jednym żołnierzem, jakkolwiek powinien on być pozostać na miejscu i mobilizować swój pluton. Inne serwituty, tj. pomoc

* Już po napisaniu tego wspomnienia doszła do mnie wiarogodna wiadomość, że kpt. Mieczysław Makarewicz posiada ładną kartę z kampanii wrześniowej, jako d-ca Kompanii Strzeleckiej, o czym do tej pory nie wiedziałem.

dla jednostek pomocniczych, zwykle w sile 4-7 żołnierzy, wykonałem wysyłając po jednym lub dwóch żołnierzy. Na szczęście tylko jeden czy dwóch z nich do mnie powróciło. Nie dowiadywałem się nawet co się stało z resztą, gdyż zupełnie mi nie zależało na ich przydziale.

Sierżant Zieliński nie zjawił się tego dnia, więc poprosiłem ppor. Słowika, aby poza plutonem objął także obowiązki szefa kompanii. Rozumiejąc sytuację przyjął tę funkcję ochoczo, a jego solidność, lojalność, pracowitość i spokój w znacznej mierze przyczyniły się do tego, że w końcu kompanię udało się zmobilizować i załadować do pociągu.

Po południu zaczęli się pojawiać pierwsi rezerwiści, a także trzeci oficer, ppor. Zajac. Był to już starszy pan, na wojsku zupełnie nie znający się, z którym od samego początku miałem kłopoty, aczkolwiek nie mogę mu odmówić dobrej woli i grzeczności. Mieliśmy już wszystko na ich przyjęcie gotowe. Mój orkiestrant, przy mojej i ppor. Słowika pomocy, jakoś sobie wszystko urządził w stodole, tak że wydawanie umundurowania i ekwipunku odbywało się dość sprawnie i bez zacięć. Kaprał Kujan potrafił sam się dobrze zorganizować, bez niczyjej pomocy.

Dopiero po południu, po nieprzespanej nocy, mogłem na chwilę usiąść i dokładnie przestudiować cały materiał mobilizacyjny, jaki mi dostarczono. Około godz. 4-tej zacząłem się niepokoić nieobecnością ppor. Bychowca, który miał pobrać konie. Dopiero tuż przed zachodem słońca ktoś do mnie przybiegł z wiadomością, że już go widać. Wybiegłem na zewnątrz. Widok, który przedstawił się moim oczom, był niecodzienny. Na tle zachodzącego słońca zobaczyłem wysoką postać Bychowca oklepaną ogromnym koniu. Przybył on w oficerskiej czapce, ale w czarnym płaszczu z fokowym kołnierzem. W tym stroju siedział na ogromnej jakiejś szkapie. Za nim czternaście koni, poprzywiązanych jeden za drugim, uzdy do ogonów. Na ostatnim koniu zasiadał żołnierz, którego Bychowiec wziął ze sobą. Cóż bym zrobił bez takiego Bychowca? Biedak nie zdawał sobie sprawy, że czeka go jeszcze jedno zadanie tego samego wieczora. Oczywiście obaj ze Słowikiem przyjęliśmy go entuzjastycznie. Pochwaliłiśmy go, nakarmiliśmy ciepłą strawą, ale gdy zaczął oglądać się za swym plutonem i miejscem odpoczynku, powiedziałem mu, że jeszcze musi przywieźć cztery biedki amunicyjne i sześć wozów. Trochę mu mina zrzedła, ale zabrał się do dzieła. Doradziłem mu, aby wziął tylko cztery najlepsze konie i przywiózł tabor tym samym sposobem jak przyprowadził konie. Na szczęście mogłem mu dać paru ludzi już z mobilizacji.

Po wydaniu odpowiednich zarządzeń i zorganizowaniu służby, która umożliwiłaby przyjmowanie rezerwistów w czasie nocy, miałem zamiar nareszcie trochę odpocząć. Ledwie jednak zdołałem się położyć i rozprostować zbolące członki przybył goniec od dowódcy batalionu, kapitana Jeleniewicza, wzywający mnie do niego. Rad nie rad zwlokłem się z posłania i powlokłem się do dowództwa batalionu, które zainstalowało się we wsi w ciągu dnia.

Przy naftowej lampie, schylony nad jakimiś pismami siedział na ławie mój nowy dowódca. Wokoło niego stały różne otwarte skrzynie, a obok, co mi specjalnie utkwiło w pamięci, częściowo na ławie, a częściowo na podłodze, stosy pieniędzy. Pieniądze te pobrał z Izby Skarbowej, a nie miał jeszcze płatnika, który by się nimi zajął. Kpt. Jeleniewicz był łysawym, dość puciołowatym jegomościem, który by lepiej wyglądał w sutannie, niż w mundurze, ale który był w gruncie rzeczy bardzo porządnym, kulturalnym, ludzkim i kompetentnym oficerem. Jak to nieraz zdarzało się w wojsku przedwojennym, ludzie tacy byli często przedmiotem kpin i nadużyć władzy ze strony mniej kulturalnych przełożonych. Tak też było z Jeleniewiczem, o czym mogłem się później przekonać, gdy odebrano mu dowództwo baonu. W międzyczasie jednak daleki byłem od jakichkolwiek przyjaznych uczuć dla niego, zwłaszcza gdy się dowiedziałem po co mnie wezwał.

Bez swego zwykłego zyczliwego uśmiechu kpt. Jeleniewicz podniósł na mnie znad rozłożonych przed nim papierów swe zmęczone oczy i bezbarwnym głosem oznajmił mi, że wyznacza mnie oficerem załadowczym batalionu. To mówiąc wręczył mi kopertę z instrukcjami. Przyznam się, że oniemiałem ze zdziwienia. W czasie pokoju podczas ćwiczeń załadowczych, zwykle związanych z wyjazdem na letnie manewry, oficerami załadowczymi byli zawsze starsi kapitanowie. Przyjęte było, że właśnie oficerowie w tym stopniu, doświadczeni służbą i wiekiem, będą używani do tego rodzaju odpowiedzialnej funkcji, często wymagającej podejmowania decyzji w imieniu dowódcy batalionu i wydawania rozkazów dowódcom kompanii, którzy, rozumowano słusznie, będą w młodszym albo co najmniej równym stopniu. Młodszych oficerów, zwłaszcza podporuczników nawet nie szkolono na oficerów załadowczych. Pamiętałem co prawda jakieś ćwiczenie ze Szkoły Podchorążych, ale bardzo mglisto. Na szczęście dla mnie kiedyś jakiś wyjątkowo leniwy i niekompetentny kapitan naszego pułku „wypożyczył” mnie sobie na pomocnika, no i rzecz prosta musiałem wykonać za niego całe planowanie i wszystkie inne czynności, a on potem otrzymał pochwałę. Wtedy

gniewało mnie to, iż mnie tak wykorzystano i że, podczas gdy inni wypoczywali, ja musiałem biegać, kalkulować, pisać, a nawet sam pomagać ładować konie, które w żaden sposób nie chciały wchodzić do wagonów. To doświadczenie, no i trochę ubocznych studiów okazały się teraz dla mnie błogosławieństwem.

Niemniej jednak, znając przepisy, zameldowałem swemu przełożonemu, że jestem najmłodszym dowódcą kompanii i że na skutek nieprzewidzianych komplikacji kompania moja jest spóźniona z mobilizacją oraz że jeszcze do tej pory nie ma zawiązków i szefa kompanii. Na to Jeleniewicz spokojnie odpowiedział bardzo zmęczonym głosem, że wprawdzie inne kompanie mają szefów i zawiązki, ale ich proces mobilizacyjny jest znacznie bardziej opóźniony niż mój i że wobec tego będę oficerem załadowczym. Następnie poradził mi, abym się parę godzin przespał, gdyż następnego dnia będę miał „urwanie głowy”. Nie było rady. Złorzeczając w duchu Jeleniewiczowi i całej bezdusznej organizacji wojskowej, powędrowałem z powrotem do siebie. Sprawdziłem cały rejon kompanii, gdzie wszystko funkcjonowało należycie pod sprawnym kierownictwem „sierżanta szefa” ppor. Słowika. Rezerwiści napływali, zabierano ich karty, myto, mundurowano, zbrojono i wreszcie przydzielano do stodół, gdzie przy paru stopniach mrozu mieli spędzić resztę nocy. Zadowolony z tego co widziałem, położyłem się spać, ale sen nie przychodził. Zbyt wiele miałem wrażeń w ciągu poprzedniego dnia i nocy, oraz nowych obowiązków, abym mógł się od nich oderwać myślą i zasnąć.

Po drugiej nieprzespanej nocy już od świtu zacząłem przygotowania do wymarszu kompanii na dworzec w Pińsku, odległy o około 5-6 kilometrów od Krasiejewa. Ponieważ dość wcześnie musiałem opuścić kompanię, aby objąć funkcje oficera załadowczego, wyznaczyłem jako swego zastępcę ppor. Słowika, który był najbardziej obeznany z panującym stanem rzeczy. Ppor. Bychowcowi powierzyłem odpowiedzialność za tabor. Sam już o 9-ej rano wyruszyłem do Pińska.

Stosownie do otrzymanych instrukcji miałem się stawić na dworcu mniej więcej na cztery godziny przed przyjazdem pociągu, który był, zdaje się, przewidywany na 2-gą po południu. Okazało się, że zawiadowca stacji nie wiedział jeszcze kiedy i na który tor pociąg przyjedzie i oznajmił, że dokładna godzina będzie wiadoma dopiero gdy pociąg opuści Łuniniec, położony o jakieś 60 km. na wschód od Pińska. Uprzedził mnie jednak, że pociąg w Pińsku zatrzyma się tylko 30 czy 40 minut i że odjedzie na zachód (wiadoma była tylko jedna stacja, zdaje się, że

Brześć nad Bugiem) bez względu na to czy wojsko się załadowało czy nie. Nie pozostało mi więc nic innego jak czekać i obmyślać sposób załadowania gdyż tor w końcu został podany, jeden z dwóch czy trzech. Rampy do ładowania taboru i koni były szczególnie ważne, a niestety było ich mało. Modliłem się w duchu, aby pociąg był „typowy”, to znaczy o przewidzianym planem składzie, jeśli chodzi o ilość i rodzaj wagonów, oraz aby batalion przybył na czas. Obydwa te życzenia spełniły się. Batalion zjawił się na dworcu mniej więcej na godzinę przed spodziewanym przybyciem pociągu, który nie tylko przyszedł na czas, ale również, i co ważniejsza, w przewidzianym składzie. Miałem więc czas na pouczenie dowódców i ich personelu oraz na odpowiednie rozstawienie kompanij i taborów. Pogoda także sprzyjała. Dzień był chłodny, ale słoneczny. Załadowanie poszło nadspodziewanie gładko i szybko. Tu i ówdzie musiałem pomagać przy ładowaniu wozów, aby się zmieściły, oraz koni, które oczywiście nie chciały wchodzić do wagonów, wierzgając i kopiąc ile wlażyło. W wielu wypadkach musiałem używać swego własnego płaszcza do przykrywania ich łbów. Dla zbyt opornych przydały się z góry przygotowane powrozy do podsadzania pod tylne nogi. Wypadków na szczęście nie było i jakoś wszystko załadowaliśmy.

Tak mi się przynajmniej wydawało po uporaniu się z ostatnią parą niesfornych koni, gdy nagle przybiegł do mnie któryś z podoficerów i zameldował, że nie ma miejsca na „chodzącą” rację żywnościową, tj. żywego wołu, który był także batalionowi przydzielony. Spojrzałem na zegarek. Zostało może pięć minut do odejścia pociągu. Nie było czasu na szukanie miejsca ani na ładowanie. Bez zastanowienia gromkim głosem rzuciłem pytanie, czy jest ktoś, kto jest z zawodu rzeźnikiem. Z jednego z wagonów wyskoczył ochoczo kapral Rudzki, wyciągnął z chlebaka nóż rzeźnicki i gotów był do działania. Wskazałem na stojącego na peronie bawoła i kazałem go na oczach wszystkich zarzezać. Kapral Rudzki nie kazał sobie dwa razy powtarzać rozkazu. Kolbą karabinu wałnął bawoła w łeb i następnie jednym pociągnięciem noża poderżnął mu gardło. Pociąg już ruszał, kiedy z wielkim trudem wciągnęliśmy zabitego zwierza między konie, które zareagowały wzmożonym wierzganiem i rżeniem. Gdy zatrzymaliśmy się na chwilę na następnej stacji, wół był oczyszczony, obrany ze skóry i podzielony na cztery kompanie i dowództwo batalionu.

Ledwie zdążyłem wskoczyć do biegnącego już pociągu w Pińsku i zająć miejsce, gdy zjawił się por. Nodzeński, dowódca kompanii karabinów maszynowych, z zapytaniem czy obowiązuje czynna obrona przeciwlotnicza. Uważając, że po załadowaniu

transportu i wyruszeniu pociągu moja rola się skończyła i że nareszcie jestem znów zwykłym dowódcą kompanii, odesłałem Nodzeńskiego do kpt. Jeleniewicza. Ale tu znowu czekała mnie niespodzianka. Nodzeński powrócił z oświadczeniem, że to ja jestem dowódcą transportu i że ja mam wydać odpowiednie rozkazy. Nie mogłem uwierzyć, że mam być znowu kozłem ofiarnym. Pobiegłem więc do przedziału dowódcy batalionu, który spokojnie potwierdził to, czego dowiedziałem się od Nodzeńskiego, ze złośliwym dodatkiem: „Dziwię się, iż Pan nie wie, że oficer załadowczy jest następnie dowódcą transportu”. Oczywiście nie wiedziałem, gdyż nikt mnie o tym nie poinformował. Klnąc w duchu na czym świat stoi, powiedziałem: „Tak jest, Panie kapitanie” i wróciłem do swego przedziału, gdzie czekał na mnie natrętny Nodzeński. Powiedziałem mu, że ma natychmiast załadować karabiny maszynowe przeciwlotnicze ostrą amunicją, po czym złośliwie dodałem: „Dziwię się, że takich podstawowych rzeczy nie wiesz, będąc regulaminowo odpowiedzialny za opl. (obronę przeciwlotniczą) jako dowódca kompanii karabinów maszynowych”. Nodzeński spojrzał na mnie zezem i bez słowa poszedł wydać odpowiednie rozkazy. Już nie wiem jakim sposobem jego rozkazy dotarły do odpowiednich wagonów, gdyż pociąg był w ruchu.

Pociąg nasz, jak już wspomniałem, miał rozkazy jedynie do następnej stacji węzłowej, tj. zdaje się do Brześcia nad Bugiem. Wiele jednak razy zatrzymywał się po drodze, czasami nawet na dłuższy czas. Żołnierze, mimo wart i zakazów, starali się te postoje wykorzystać na wysyłanie listów do swych najbliższych. Zwykle próbowali oddać listy dyżurnemu ruchu. W takim wypadku listy te zabierałem, aby je potem wrzucić do skrzynki poczty polowej. Były również wypadki „ulatniania się” żołnierzy na niektórych postojach. Musieliśmy odjeżdżać bez nich. Wszyscy jakoś potem zostali dosłani do nas pociągami osobowymi, które kursowały normalnie.

Myślałem, że po zarządzeniu ostrego pogotowia opl. będę miał spokój, ale niestety się pomyliłem. Wkrótce musiałem powziąć nową decyzję, dużo trudniejszą. Inny dowódca kompanii, por. Tadeusz Wierciński, przyszedł do mnie i starał się mnie przekonać, że skoro jest mobilizacja, to za chwilę mogą zacząć spadać bomby i, kto wie, nieprzyjaciół może nawet użyć gazów, a my nie będziemy mogli założyć masek, gdyż wszystkie pochłaniacze są zaklejone papierem woskowym. Wobec tego chciał wiedzieć, czy może odebieczyć pochłaniacze. Naturalnie usiłowałem go skierować do dowódcy batalionu, ale on tam już był i kpt. Jeleniewicz odesłał go do mnie, jako komendanta transportu.

Przerzuciłem już po nie wiem który raz posiadane instrukcje mobilizacyjne, ale niczego w nich na temat masek nie znalazłem. Wierciński jednak nie ustępował. Chciał mieć ode mnie wyraźny rozkaz: tak, albo nie, odbezpieczyć pochłaniacze czy też nie. „No, skoro wojna ma lada chwila wybuchnąć, to przecież nie mogę pozwolić na to, aby, na skutek braku decyzji z mej strony, żołnierze zginęli od gazów bez walki” — pomyślałem sobie naiwnie. Wydałem wobec tego rozkaz odbezpieczenia pochłaniaczy i skręcenia masek bojowo. Wielu żołnierzy musiało się tym porządnie nastraszyć. Nie przewidywałem ile mnie kłopotów czekało na skutek tego rozkazu.

Skoro już byłem komendantem transportu i musiałem powziąć już dwie ważne decyzje, postanowiłem zabawić się w regularnego dowódcę i zaprosiłem do swego przedziału wszystkich dowódców kompanii na odprawę (byłem najmłodszy stopniem i wiekiem) i zarządziłem dopasowanie rynsztunku oraz czyszczenie i przegląd broni. Dowódcy mieli wykorzystać czas na zapoznanie się z podwładnymi i ekwipunkiem.

Wyżywienie w czasie transportu funkcjonowało dobrze i naturalnie wkrótce ani śladu nie pozostało z wołu, którego ubiliśmy w Pińsku. Kuchnie gotowały strawę. Było tylko trochę trudności z jej wydawaniem, gdyż nigdy nie było wiadomo jak długo będzie trwał postój na stacji, a wiader mieliśmy mało. Z tych samych powodów mieliśmy kłopoty z pojeniem koni. Poza tym zwierzęta, nieprzyzwyczajone do tak liczного towarzystwa zarówno zwierzęcego jak ludzkiego, były bardzo niespokojne, kopały się wzajemnie a także i ściany wagonów. Nie wiedziałem, że będę także i za to odpowiedzialny.

Wyładowanie i domarsz do rejonu koncentracji

Jazda pociągiem trwała, zdaje się, całe dwie noce i jeden dzień. Tak, że o ile się nie mylę, 27 marca przed świtem zatrzymaliśmy się na malutkiej stacyjnej Rusiec, zupełnie nie mając pojęcia w jakiej części południowo-zachodniej Polski się znajdujemy. Oczywiście można było się łatwo domyślić, że jedziemy na zachód, ale ustalenie rejonu było bardzo trudne, zwłaszcza że ostatnią część podróży odbywaliśmy w nocy.

Naturalnie, byłem także oficerem wyładowczym. Na szczęście rampy na tym odludziu były gotowe, więc wyładowanie, pomimo panujących ciemności, odbyło się składnie. Zaraz jednak zjawiała się jakaś komisja, która obeszła cały pociąg i stwierdziła,

że w kilku wagonach są powybijane przez konie ściany, że jakieś deski zostały połamane, szyby powybijane i że brak jakiegoś sprzętu. Jako osoba „odpowiedzialna” za straty, musiałem oczywiście podpisać protokół.

Gdy już się uporałem ze zdawaniem pociągu, który niemal niezwłocznie odjechał, wezwany zostałem na odprawę dowódcy batalionu, na której był obecny delegat Sztabu Głównego. Oficer ten, kapitan czy major dyplomowany, w stroju polowym, powiedział nam że to co się dzieje, jest ćwiczeniem i że obecnie mamy niezwłocznie odmaszerować na miejsce koncentracji. Gdy to usłyszałem, serce zaczęło mi bić z emocji. Jeśli to jest ćwiczenie, to co z pochłaniaczami, które kazałem odbezpieczyć i co z uszkodzeniami wagonów? Kto za to wszystko będzie płacił? Nie miałem jednak czasu długo się nad tym zastanawiać, gdyż oficer ów wręczył kpt. Jeleniewiczowi kopertę z nazwami miejscowości do których mieliśmy natychmiast maszerować. Wkrótce potem i ja dostałem nazwę miejscowości, do której miałem się udać ze swoją kompanią, oraz mapę. Na szczęście zaczęło się już rozwidniać tak, że mogłem ją odczytać. Odnalazłem ową miejscowość i wybrałem drogę do marszu. Postanowiłem jednak nie wyruszać nim nie sprawdzę wszystkiego i nim kuchnia nie zacznie gotować gorącej strawy. Zostaliśmy więc sami na tej stacyjce, wbrew instrukcji.

Przegląd mój nie wypadł najlepiej. Najbardziej niepokoił mnie tabor. Miałem wprawdzie cztery wspaniałe siwki, które przeznaczone były do kuchni, ale reszta —pożał się Boże! No, ale jakoś podobieraliśmy konie i uprzęż do czterech biedek i sześciu poleskich wozów. Pocieszałem się myślą, że skoro ten godny pożałowania tabor cygański dojechał do stacji kolejowej w Pińsku, to może również dojedzie i do miejscowości o nazwie Leśniaki Chabielskie, o ile sobie dobrze przypominam, gdzie moja 11-ta i por. Wiercińskiego 12-ta kompania miały kwaterować. Przed sobą jednak miałem kilkanaście kilometrów piachów i błota, podczas gdy droga z Krasiejewa do Pińska była krótsza i w większości bita, a więc dużo łatwiejsza do marszu. Na szczęście, ponieważ woźnica kuchni jakoś nie mógł sobie dać rady z czwórką koni, kazałem zaprząć do kuchni tylko dwa, a pozostałe dwa trzymać w rezerwie. Kuchnię zresztą niezwłocznie wysłałem naprzód, aby w najbliższej osadzie nabrano wody, której na przystanku nie było, i nagotowano kawy i zupy. Wkrótce i kompania ruszyła do marszu, a ja po raz pierwszy dosiadłem swego rumaka. Niewielkie to było zwierzę, krótkie i czarne jak smoła, z ogromną grzywą, ale o dość poczciwym spojrzeniu. Tak mi się przynajmniej wydawało. Rumak ten wcale nie wyglądał

na wierzchowca i często potem kpiące uśmiechy ukazywały się na twarzach niektórych oficerów i cywili, gdy mnie na tym koniku widzieli. Polubiłem go jednak od razu i służył mi dobrze przez następnych parę miesięcy, choć na początku, najwyraźniej nie przyzwyczajony do siodła (austriackie?) i jeźdźca, zabawiał się w cyrkowe popisy. Po pierwszej pół godzinie jazdy zmęczył mnie nieprawdopodobnie i wysforował daleko przed kompanię. Ażeby rumaka trochę zmęczyć i jednocześnie sprawdzić kolumnę, pogalopowałem do tyłu.

Tak jak mój rumak nie był przyzwyczajony do siodła i jeźdźcy, tak i moi żołnierze najwyraźniej nie byli przyzwyczajeni do noszenia na plecach ciężkiego ekwipunku i broni. Zapewne też dokuczały im nowe buty, gdyż kolumna rozwlekła się nieprawdopodobnie. Kilku żołnierzy zostało już na drodze i poprawiało ekwipunek i onuce. Tabor mój przedstawiał się jeszcze gorzej. Tylko jedna biedka szła za kolumną, reszta pozostała w tyle. Zatrzymałem więc kolumnę, aby sprawdzić co się stało z resztą biedek i wozami. Jakies dwieście metrów dalej stała następna biedka. Wyglądało na to, że biedny konik po prostu nie był w stanie jej uciągnąć po piaszczystej drodze nie tylko z powodu ciężaru amunicji, ale również dlatego, że rozstęp jej osi był szerszy niż chłopskich wozów i wobec tego tylko jedno koło posuwało się koleiną. W takiej sytuacji nie pomagały ani nawoływania ani kij woźnicy. Konik stał ze zwieszonym łbem, ciężko robiąc bokami i już nie reagował nawet na bicie. Z dwoma innymi biedkami sytuacja była podobna, a z sześciu wozami zgoła tragiczna. Chytrzy chłopcy polescy, którzy dostarczali wojsku wozów, koni i uprzęży, najwyraźniej pozamieniali to, co zostało przeznaczone na mobilizację i dostarczyli zmurszałą uprzęż oraz konie zupełnie nie nadające się do wojska. Niektóre konie nie tylko nie mogły uciągnąć wozów, ale w dodatku ich uprzęż w ogóle rozleciała się w kawałki. Co w takiej sytuacji robić? Co by się stało, gdybyśmy zaraz po rozładowaniu musieli iść do akcji?

Na szczęście miałem cztery wspaniałe siwki, zdaje się z fabryki dykty w Pińsku. Dwa już poszły z kuchnią, a dwa pozostałe postanowiłem tak wykorzystać, aby mój cygański tabor jakoś do Leśniaków doprowadzić. O ile pamiętam, znalazłem jeszcze jednego konia, który porwał zmurszałe ługi i przesu-
nąłem go do biedki, do której doczepiliśmy drugą biedkę. Do dwóch pozostałych biedek, które miały nową wojskową uprzęż, zaprzęgliśmy dwa siwki i do każdej biedki poprzywiązywaaliśmy za dyszle po trzy wozy. Tabun pozostałych koni miał iść na końcu. Nie miałem pewności czy siwki dadzą radę, ale

na szczęście dały. Całe to przeprężanie oczywiście trwało z godzinę, ale na to nie było już rady. Za jakieś dwadzieścia minut spotkaliśmy naszą kuchnię. Dzielni kucharze przygotowali kawę i zupę. Mogliśmy także napoić zmęczone konie.

Po śniadaniu-obiedzie powtórzyłem ten sam manewr z kuchnią i wysłałem ją naprzód z poleceniem przygotowania kolacji na określoną godzinę. Rzeczywiście, gdy po paru godzinach domaszerowaliśmy do Leśniaków Chabielskich, kolacja była gotowa. Dowiedziałem się od kpt. Jeleniewicza, który spożył z nami kolację, że moja kompania była jedyną, która wydała żołnierzom pełną gorącą strawę dwa razy tego dnia. Inni dowódcy kompanii nie mieli tak dobrych koni i ich kuchnie zaledwie wlokły się za wojskiem, a w marszu po wyboistej drodze trudno przecież gotować. Moje dzielne siwki były, rzecz prosta, bardzo zmęczone, ale dowiozły cały tabor na miejsce przeznaczenia.

Zakończenie

Za młody byłem wtedy, przed trzydziestu paru laty, i za mało doświadczony na to, aby zdawać sobie sprawę ze wszystkiego i aby spojrzeć krytycznym okiem na niedociągnięcia naszego przedwojennego wojska. Nie wszystko było złe w czasie mobilizacji. To, co było przewidziane etatem wojennym, pododdział mój znalazł w jak najlepszym stanie. Mobilizacja jednak odbywałaby się znacznie sprawniej, gdyby oficerowie i podoficerowie znali swe przydziały mobilizacyjne i byli obznajmieni z techniką mobilizowania. Zawiedli również niektórzy oficerowie, jak np. ów kpt. M. M. i zawiodła mu i ówdzie ludność cywilna, w moim wypadku chłopcy polescy, którzy dostarczyli najgorsze konie i zmurszałą uprząż. Niedociągnięcia te po prostu paraliżowały oddziały mobilizowane i czyniły je niezdolnymi do walki.

O mobilizacji naszej czytałem w *Polskich Siłach Zbrojnych w Drugiej Wojnie Światowej* co następuje:

„Toteż przebieg mobilizacji był ciężki i nie pozbawiony pewnych zacięć. Stawianictwo rezerwistów było wprawdzie doskonałe, ale były duże trudności z poborem koni i wozów. Z tego głównie powodu nie wszystkie jednostki mogły osiągnąć wyznaczone pierwotnie terminy pogotowia.

Była to jak gdyby pierwsza próba realizacji planu mobilizacyjnego i pierwsze wielkie doświadczenie w tej dziedzinie. Starano się zrobić wszystko, aby doświadczenie to należycie wyzyskać na przyszłość”.

1. Tom I: *Kampania wrześniowa 1939* (Londyn: Instytut Historyczny im. Gen. Sikorskiego), cz. 1, str. 298.

Może i starano się wykorzystać doświadczenie, ale nie wiem na jakim szczeblu. Na szczeblu dowódcy kompanii to zbieranie doświadczeń wyglądało dość dziwnie. Stwierdzam, że nikt się mnie nie pytał o moje doświadczenia i trudności, tak, że nie miałem sposobności zameldować, na przykład, o zachowaniu się kpt. M.M., ani o szefie kompanii z PW, ani o nieprzygotowanym do pracy orkiestrancie, ani o brakach w instrukcjach, które spowodowały wydawanie błędnych rozkazów, jak na przykład odbezpieczanie pochłaniaczy. Mój ogólny meldunek o tym, że kompania nie otrzymała zawiązków, został zignorowany. Zjechały się natomiast najróżnorodniejsze komisje z DOK IV w Łodzi, które zaczęły systematyczne sprawdzanie wszystkiego. Liczono każdą sztukę amunicji i każdy gwóźdź nawet. Nie mogę się nadziwić, że jakoś niczego nie brakowało. Jak to się stało, żeśmy nie pogubili wielu rzeczy, nie mogę zrozumieć. Trzeba przyznać, że wkrótce porwaną uprząż wymieniono na dobrą, a także bezwartościowe chabety zamieniono na możliwe konie.

Komisja uzbrojenia stwierdziła naturalnie z łatwością odbezpieczenie pochłaniaczy przeciwigazowych i kto był za to odpowiedzialny. Przewodniczący tej komisji przyjechał kiedyś do mnie i zapytał czy rzeczywiście rozkaz wydałem. Oczywiście tak. Zapiisał, pojechał.

Za parę tygodni ku memu ogromnemu zdziwieniu wyczytałem w rozkazie pułkowym paragraf, który mówi, że ppor. D., dowódca transportu IV-go baonu 84-go p.p. wydał nieprawnie rozkaz odbezpieczenia pochłaniaczy, przez co tyle to a tyle setek pochłaniaczy zostało zniszczonych, a Skarb Państwa narażony został na stratę, wynoszącą przeszło pięć tysięcy złotych. Ogromna to była suma jak na warunki przedwojenne. Po tym wstępie następowała decyzja dowódcy DOK, polecająca potrącanie mi 50 zł. miesięcznie, aż cała suma zostanie spłacona. Słowem, musiałbym płacić przez przeszło 8 lat! We mnie oczywiście aż zawrzało. Ponieważ był właśnie dzień wypłacania poborów, zdaje się 1 maja, płatnik pułkowy od razu potrącił mi owe 50 zł. Oczywiście odmówiłem przyjęcia gaży, co było zresztą rzeczą niedopuszczalną. Gdy po dwóch dniach płatnik musiał się wyliczyć z pieniędzy, poskarżył się na mnie do kwatermistrza, a ten znowu do dowódcy pułku, płk. dypl. Stanisława Sztarejki. Zostałem wezwany do raportu dowódcy pułku. Ponieważ miałem przyjechać z nowym dowódcą batalionu (Jeleniewicz został przeniesiony na dowództwo kompanii), majorem Wacławem Sokolem, wstępując po niego złożyłem mu swe zażalenie do... Ministra Spraw Wojskowych na Drugiego Zastępcę Ministra Spraw Woj-

skowych na to że nie przygotował odpowiednich instrukcji (wypisałem tu wszystko, co mnie bolało) i przez to naraził wojsko na straty, a mnie na nieprzyjemności. Major Sokol po prostu zbaraniał i zapytał, czy ja czasem nie żartuję. Gdy powiedziałem, że traktuję sprawę bardzo poważnie, bąknął coś o tym, że mogę się dostać za kratki. Ale pismo wziął i następnie w odpowiednim momencie wręczył Sztarejce. Ten długo to pismo trzymał w ręku, nie wiedząc widocznie jak zareagować, aż w końcu powiedział, że je wyśle do dowództwa dywizji, a ponieważ ja wniosłem odwołanie, więc do czasu jego załatwienia będę otrzymywał pełne pobory.

Nigdy nie otrzymałem odpowiedzi na swe zażalenie, ale po jakichś dwóch czy trzech tygodniach przyszło pismo z DOK, anulujące poprzednią decyzję i polecające zaklejenie pochłaniaczy papierem woskowym we własnym zakresie batalionu. Ja w swojej kompanii zrobiłem to już poprzednio, przed nadejściem tego rozkazu. Po prostu kupiłem papier woskowy i świece i tak zabezpieczyłem z powrotem otwarte pochłaniacze.

Nie wszystkie sprawy jednak były tak gładko załatwione. Zwłaszcza nieprzyjemny okazał się dowódca pułku, płk Sztarejko, który znajdował jakąś sadystyczną przyjemność w znęcaniu się nad bezbronnymi oficerami. Gdyby przy tym chociaż dbał o nich, łatwiejsze byłoby to do wybaczenia. Niestety, losy ich nawet potem w ciągu wojny niewiele tego oficera obchodziły, aczkolwiek nie mogę mu odmówić osobistej dzielności. Nie interesowały go zupełnie warunki, w których mobilizowaliśmy się, doszukiwał się jedynie niedociągnięć. Zaraz po przybyciu nad granicę, na przykład, zbeształ przy wszystkich od ostatnich młodego podporucznika za to, że się dwa konie w jego kompanii pokopały i jeden z nich musiał być odesłany do weterynarza. Podobna nieprzyjemność spotkała także starszego kapitana Stanisława Radajewicza. Nie można było przecież trzymać stałej warty przy koniach, które zresztą były zakwaterowane przepisowo. Niektóre z nich był po prostu złośliwe. Dobrze, że konie wyzdrowiały, gdyż odpowiedzialni oficerowie musieliby za nie płacić. Innym znowu razem ten sam podporucznik został wezwany do raportu i zwymyślany za to, że żołnierze jego oddziału śpiewali piosenkę żołnierską, która nie należała do repertuaru czterech piosenek wybranych przez dowódcę pułku.

Nigdy nie widziałem u płk. Sztarejki usiłowania, aby czegoś oficerów nauczyć, przekazać im jakieś myśli czy zasady. Koncentrował się on jedynie na sprawdzaniu czy wszystko jest według regulaminów i jego własnego widzimisię. Oficerów i podofice-

rów traktował bezwzględnie, można powiedzieć nieludzko. Może kierował się on dobrem służby, ale wydawało mi się, że rugi, które przeprowadzał, nie zawsze były zgodne z tym dobrem, zwłaszcza, że jednocześnie faworyzował zupełnie bezwartościowych oficerów, jak na przykład kapitana A.W. Był człowiekiem ogromnie wymagającym, ale nie widać było u niego usiłowania, aby stworzyć swym podwładnym możliwe warunki pracy. Był oczywiście odpowiedzialny za przygotowania mobilizacyjne swego pułku, a więc ponosił również odpowiedzialność i za to, że batalion nowy, mobilizujący się poza koszarami, miał szefów z odległych ośrodków Przysposobienia Wojskowego i podoficerów materiałowych z orkiestry². Byli oni zupełnie nie przygotowani i nie nadali się do wyznaczonych funkcji. Na zdrowy chłopski rozum wydawałoby się, że kadra nowych oddziałów, tworzonych z mobilizacji, powinna być raczej lepsza niż gorsza od innych ze względu na trudne warunki, w których się te oddziały tworzyły. Nie ma naturalnie żadnego wytłumaczenia na to, że zarówno oficerowie jak i podoficerowie nie byli przygotowani do funkcji, jakie mieli sprawować na wypadek mobilizacji. Później, w czasie wojny, Sztarejko nigdy nie wahał się wysyłać swych podwładnych oficerów na niechybną śmierć, ale potem nie zatroszczył się o to, aby ich za to odpowiednio wynagrodzić.

Pomimo usterek, które zresztą w większości zostały usunięte, Batalion IV-ty w czasie kilku miesięcy spędzonych na granicy niemiecką zgrał się na tyle, że pod dzielnym dowództwem majora Sokola³, a pod koniec września, także mjr. Tadeusza Kiersta, wywiązał się dobrze ze wszystkich zadań bojowych, począwszy od bitwy pod Mokrą, w składzie Wołyńskiej Brygady Kawalerii, na linii rzeki Widawki, pod Łodzią, pod Przyłękiem, pod Żyrardowem i w Modlinie, gdzie 84 Pułk Strzelców Poleskich wraz z całą grupą operacyjną gen. Wiktora Thommée złożył broń w dniu 29 września 1939 po zużyciu całej amunicji i wyczerpaniu się żywności. Polska wtedy była już całkowicie okupowana przez Trzecią Rzeszę i Związek Sowiecki.

W. M. DRZEWIENIECKI

2. Kiedyś w maju, mój orkiestrant został odwołany bez ostrzeżenia do orkiestry i nigdy nie otrzymałem zastępcy, pomimo licznych meldunków.

3. Pod koniec września major Sokol został mianowany dowódcą 83-go pułku piechoty, po śmierci płk. Nadachowskiego.

MOJE PRZEŻYCIA W 1939 ROKU

W sezonie 1939 roku wykonywałem zdjęcia topograficzne na fotomapie w skali 1 : 20.000 pod Słonimem w grupie mjr. Dybasia.

Dnia 29 sierpnia 1939 roku o godz. 16-ej goniec z poczty w Słonimie przyniósł mi telegraficzny rozkaz że mam zlikwidować pracę w terenie i 1 września zameldować się u Szefa Wydziału Topograficznego Wojskowego Instytutu Geograficznego (W.I.G.) w Warszawie.

Dnia 31 sierpnia 1939 o godz. 10-ej byłem na stacji kolejowej w Słonimie gdzie byli już zebrani koledzy z naszej grupy. Mjr Dybaś już przedtem wrócił do Warszawy. Pociąg Moskwa-Warszawa-Paryż nadszedł z dużym opóźnieniem prawie pusty. Był to ostatni pociąg przed wojną na tej linii. Do Warszawy przyjechaliśmy dopiero o godz. 23.30 gdyż nasz pociąg był zatrzymywany bardzo często by przepuścić transporty z wojskiem.

Dnia 1 września 1939 w piątek o godz. 6.30 przebudził mnie sygnał alarmu przeciwlotniczego. Wkrótce został odwołany. Powiedziano mi że są to ćwiczenia obrony przeciwlotniczej. Jednakże był to pierwszy atak lotnictwa niemieckiego na Warszawę. Został on odparty.

O godz. 8-ej tegoż dnia zameldowałem się w Instytucie Szefowi Wydziału Topograficznego, ppłk. Gąsiewiczowi. Otrzymałem rozkaz, tak jak i inni, czekać na dalsze rozkazy.

Zebrani na sali naszej grupy topograficznej w W.I.G. gawędziliśmy o ewentualnej wojnie. Nagle o godz. 10-ej alarm przeciwlotniczy. Przez okno spostrzegłem, daleko na horyzoncie, samoloty wynurzające się i znikające w małych chmurkach pokrywających niebo, a obok samolotów ciemne rozpryski pocisków artyleryjskich. Krzyknąłem kolegom że to już wojna. Zaprzeczyli mówiąc że to ćwiczenia obrony przeciwlotniczej. Zwróciłem im uwagę, że jak to mogą być ćwiczenia jeśli artyleria strzela do samolotów. W tym momencie wszedł na salę kpt. Tuora mówiąc, że wojna i że Pan Prezydent przemawia w radio. Był to atak samolotów niemieckich na Warszawę. Został odparty i Niemcy nie dolecieli do Warszawy, podobnie jak poprzednio o godz. 6.30.

O godz. 12-ej tegoż dnia objąłem służbę oficera inspekcyjnego W.I.G. O godz. 16-ej alarm przeciwlotniczy. Artyleria rozpoczęła strzelać bardzo silnie. Odłamek pocisku spadł na dziedzi-

niec Instytutu. By móc obserwować nalot wdrapałem się na wieżę Wydziału Trangulacyjnego która nie miała schodów. Niezbyt wysoko na niebie ujrzałem fale przelatujących samolotów niemieckich. Naliczyłem ich siedem. Ogień naszej artylerii był coraz silniejszy. Niemcy rzucali bomby na peryferie Warszawy gdzie ukazywały się słupy dymu wybuchających bomb. Gdy przeleciały samoloty niemieckie i ucichła artyleria, nadleciał nasz mały myśliwiec „P”. Okrążył dworzec główny i odleciał w kierunku Okęcia. Przed zapadnięciem nocy były jeszcze 2 naloty na Warszawę.

Dnia 3 września 1939 w niedzielę o godz. 9-ej woźny W.I.G. przyniósł mi rozkaz pisemny Szefa Wydziału Topograficznego iż natychmiast mam zameldować się u niego w W.I.G. Jadąc do Instytutu napotykałem gromady biegnących ludzi nawołujących, by iść przed Ambasadę Brytyjską, gdyż Anglia wypowiedziała wojnę Niemcom. Przejeżdżając w pobliżu ambasady angielskiej słyszałem głos ministra Becka przemawiającego do zgromadzonego przed ambasadą tłumu.

W Instytucie Szef Wydziału oznajmił mi że zostałem mianowany dowódcą kompanii geograficznej w grupie ppłk. Leśniaka. Wręczył mi dziennik mobilizacyjny kompanii, mówiąc że rezerwiści zaczną zgłaszać się jutro rano 4 września w szkole powszechnej na ul. Raszyńskiej, gdzie będą zakwaterowani.

Dnia 4 września 1939 o godz. 8-ej zastałem przed szkołą na ulicy Raszyńskiej grupę rezerwistów. W ciągu niespełna 2-ch godzin zgłosili się wszyscy rezerwiści, których nazwiska były w dzienniku mobilizacyjnym. Byli to mieszkańcy Warszawy i podwarszawskich okolic. Element bardzo różnorodny. Począwszy od inżynierów mierniczych aż do woźniców gdyż kompania miała być tylko częściowo zmotoryzowana. Dziennik mobilizacyjny przewidywał mobilizowanie kompanii w ciągu jednego tygodnia. Na każdy dzień były wyznaczone czynności zorganizowania kompanii. Przepisane czynności organizacyjne nie zabierały dużo czasu, jak to stwierdziłem, ponieważ rezerwiści pomagali sobie nawzajem i wykonywali me rozkazy bardzo sprawnie i szybko, wprost odgadywali moje myśli, przeto postanowiłem zakończyć organizację kompanii w możliwie jak najkrótszym czasie.

Magazyny mobilizacyjne były w gmachu W.I.G. z wyjątkiem umundurowania które rozdelał mjr Salach. Magazynierzy, znajomi mi pracownicy Instytutu, zgodzili się wydawać mi ekwipunek według kwitów dziennika mobilizacyjnego bez czekania na wyznaczone terminy.

Dzięki temu mogłem zameldować ppłk. Leśniakowi, dowódcy grupy, o godz. 19-ej tegoż dnia, tj. 4 września, że zakończyłem

mobilizację kompanii: kompania jest zorganizowana, umundurowana i uzbrojona oraz że wszyscy rezerwiści, stosownie do dnia mobilizacyjnego, są ostrzyżeni gdyż pobliski fryzjer Żyd zawołał swego sąsiada fryzjera, zamknęli swe fryzjernie i strzygli rezerwistów bez przerwy aż ostrzygli całą kompanię.

Uzbrojenie kompanii składało się z 30 karabinów rosyjskich „Mossin” przerobionych na jednostrzałowe do amunicji mauserowskiej.

Na noc pozostał z kompanią kpt. Engwert.

Dnia 5 września 1939 gdy o godz. 8-ej rano wszedłem do rejonu kompanii na ul. Raszyńskiej spotkała mnie bardzo wielka niespodzianka. Ku memu wielkiemu zdziwieniu stwierdziłem że w całym budynku nie ma żywego ducha, mimo że oprócz mej kompanii były w nim zakwaterowane jeszcze dwie kompanie geograficzne. Widać było że opuszczano kwatery w dużym pośpiechu. W salach, gdzieniegdzie, leżały porzucone bezładnie części bielizny i ekwipunku. Chodziłem po budynku, zachodząc w głowę co się stało. Po pewnej chwili zjawił się woźny szkoły. Zapytany co się stało powiedział mi, że nic nie wie dlaczego wojsko opuściło szkołę w ciągu nocy. W tejże chwili weszła drużyna z mej kompanii i jej dowódca zameldował mi, że ładowano Instytut na wagony.

Z kancelarii szkoły zatelefonowałem do W.I.G., by się dowiedzieć co się stało. Przy telefonie był ppłk Lewakowski. Zameldowałem mu co zastałem. Odpowiedział mi „jako to pan nic nie wie?”. Potwierdziłem że nic nie wiem. Zapytał mnie czy jestem żonaty a gdy mu powiedziałem że nie, ucieszył się mówiąc „chwała Bogu że nie”. Rozkazał mi bym wrócił na kwaterę, spakować walizkę, z tym że nieprędko wróć do Warszawy. Następnie że mam udać się na dworzec wschodni i pierwszym napotkanym pociągami udać się do Lwowa gdzie na dworcu będzie oficer łącznikowy W.I.G., który mi da odpowiednie instrukcje. Dodał, że nie potrzeba żadnego dokumentu podróży.

Udając się na kwaterę wstąpiłem po drodze do W.I.G. w Alejach Jerozolimskich, by dowiedzieć się szczegółowo co się dzieje. Przy wejściu spotkałem we drzwiach wychodzącego płk. dypl. Zieleniewskiego, Szefa Instytutu, wraz z adiutantem kpt. Siemkiem. Pułkownik powiedział mi, że Instytut jest w trakcie ewakuacji do Lwowa, kpt. Siemek powtórzył mi to, co mi powiedział przez telefon ppłk Lewakowski, dodając również że nie potrzeba żadnego dokumentu podróży.

U siebie w domu, po spakowaniu walizki, zatelefonowałem do W.I.G. gdyż samodzielny wyjazd do Lwowa, bez jakiegokol-

wiek dokumentu, wydawał mi się wprost niemożliwy i zakrawał na dezercję. Przy telefonie był sekretarz Wydziału Topograficznego. Oznajmił mi, że oficerowie Instytutu nie mają jechać do Lwowa lecz zebrać się na dworcu wschodnim, gdzie już jest kpt. Leytner jako oficer łącznikowy.

Zatelefonowałem wówczas na dworzec wschodni i uzyskałem połączenie z kpt. Leytnerem. Poinformował mnie że o godz. 15-ej mam się zgłosić w 36 p.p. na Pradze, gdzie mają się zebrać oficerowie Instytutu. Przed godz. 15-tą, by się upewnić, zatelefonowałem do 36 p.p. Przy telefonie był kpt. Leytner i oznajmił mi że wszyscy oficerowie W.I.G. mają udać się wieczorem do Instytutu w Alejach Jerozolimskich.

O godz. 19-ej udałem się dorożką do Instytutu. Tramwaje już nie kursowały. W Instytucie zastałem sporą grupę kolegów i dowiedziałem się, że Warszawa jest zagrożona, oraz że w ciągu ubiegłej nocy ewakuowano rodziny wojskowe. Ppłk Lewakowski został szefem Instytutu, gdyż płk dypl. Zieleniewski objął dowództwo dywizji.

Noc z 5 na 6 września spędziliśmy w W.I.G. śpiąc na stołach i krzesłach.

Dnia 6 września 1939 rano zostałem wyznaczony by wraz z płk. Krzanowskim i mjr. Grzębskim dopilnować ładowania sprzętu W.I.G. do 30-tonowych węglarek znajdujących się na rampie załadowniczej przy ul. Targowej, niezbyt daleko od Instytutu. Załadowano sprzęt podręczny, przewidziany w dzienniku mobilizacyjnym, matryce map, papier. W ogóle to co się dało zabrać. Pociąg liczył 30 węglarek.

O godz. 16-ej ostatnia odprawa Szefa Instytutu, ppłk. Lewakowskiego. Po odprawie oficerowie nie przydzieleni do transportu kolejowego odjechali samochodami do Lwowa pod dowództwem ppłk. Gąsiewicza. Na dziedzińcu Instytutu odnalazłem swą kompanię, były tam również zebrane pozostałe 2 kompanie, jedna pod dowództwem kpt. Czeremskiego a druga pod dowództwem kpt. Rowińskiego.

O godz. 18-ej te 3 kompanie pomaszerowały do pociągu ewakuacyjnego na rampie załadowniczej przy ul. Targowej.

Moją kompanię rozmieściłem w 3-ch przydzielonych mi węglarkach. Z przydzielonym mi kpt. Kazimierzem Engwartem umieściliśmy się w środkowej węglarce, by mieć wgląd do pozostałych dwóch. Brzegi węglarek były wyższe od nas i nie pozwalały widzieć co się dzieje w pozostałych dwóch. Żołnierze, z własnej inicjatywy, przynieśli skądś małą drabinkę i umocowali do brzegu węglarki. Z tej drabinki miałem wgląd nie tylko do pozostałych dwóch wagonów lecz również na cały transport.

Wśród żołnierzy duże podniecenie. W każdym kolejarzu przechodzącym obok naszego transportu widzieli szpiega i natychmiast mi meldowali.

Szef Instytutu, ppłk Lewakowski był w naszym transporcie wraz z adiutantem kpt. Siemkiem. Komendantem transportu był mjr Skrzywan, magazynierem kpt. Gosiewski, prowiantowym kpt. Szkup, informacyjnym por. Janiec.

Punktualnie o godz. 21-ej transport nasz ruszył z miejsca. Wkrótce wjechaliśmy na dworzec zachodni, co nas upewniło że jedziemy w kierunku na Radom.

Przebudziłem się w nocy. Zdziwiła mnie cisza. Nasz transport stał. Kpt. Engwert powiedział mi że stoimy tu już przeszło godzinę. Nie wiedział dlaczego. By dowiedzieć się przyczyny postoju wylazłem z wagonu i w ciemności natknąłem się na mjr. Skrzywaną, komendanta transportu. Zapytany o przyczynę postoju powiedział mi szeptem, by żołnierze nie słyszeli, że jesteśmy transportem na wymarcu. Sądziłem, że żartuje. Potwierdził to gdyż tak mu powiedzieli przechodzący kolejarze i że nasz transport dalej nie pojedzie. Jednakże nie wiedział dlaczego. Na skutek tego poprosiłem go by mi zezwolił dowiedzieć się o przyczynie postoju. W ciemności odnalazłem wagon ppłk. Lewakowskiego i zameldowałem mu że pójde dowiedzieć się o przyczynie postoju. Zezwolił mi mówiąc: „Bardzo dobrze niech pan idzie dowiedzieć się”.

Wyszedłem z lasu i stojąc na torze kolejowym ujrzałem dalekie światółko, które po chwili zgasło. Poszedłem po torze w tym kierunku i po pewnej chwili spostrzegłem w ciemności budkę dróżnika z zaciemnionym oknem. Wszedłem. Było tam dwóch kolejarzy. Zapytani o przyczynę postoju odpowiedzieli, że mieliśmy szczęście gdyż pół godziny przed przybyciem naszego transportu niemieckie samoloty bombardowały tor kolejowy i że jesteśmy w pobliżu stacji kolejowej Warka. Zaznaczyli że nasz transport nie pojedzie dalej gdyż tor kolejowy jest zniszczony aż do Radomia. Na zapytanie co zrobią z naszym transportem odpowiedzieli że nad ranem przesuną go na bocznice kolejową w lesie, by przylatujące rano samoloty niemieckie nie wykryły go od razu.

Spostrzegłem że obok jednego z kolejarzy na stoliku znajduje się aparat telefoniczny. Zapytani, odpowiedzieli że mają połączenie telefoniczne ze stacją kolejową w Warce. Wówczas przyszła mi myśl czy nie dałoby się wrócić do Warszawy i do Lwowa jechać wschodnim brzegiem Wisły via Dęblin. Kolejarze nie wiedzieli co zawiera nasz transport, przeto wytłumaczyłem im

że jest to Wojskowy Instytut Geograficzny, to jest taki instytut co robi mapy i plany dla wojska. Poprosiłem ich by starali się o połączenie z Warszawą, zawiadamiając że transport Wojskowego Instytutu Geograficznego nie może jechać dalej, gdyż tory kolejowe są zbombardowane i czy można zawrócić go do Warszawy by do Lwowa mógł jechać linią kolejową po wschodnim brzegu Wisły via Dęblin.

Po dość długim kręceniu korbką telefonu i kilku rozmowach uzyskali połączenie z Dyrekcją Kolejową w Warszawie. Przy telefonie był pułkownik, delegat Sztabu Głównego. Rozkazał on, by nasz transport natychmiast wracał do Warszawy.

Czym prędzej wróciłem do transportu i zameldowałem ppłk. Lewakowskiemu o przyczynie postoju oraz, że pozwoliłem sobie prosić, bez jego zezwolenia, by nasz transport wrócił do Warszawy. Ppłk Lewakowski ucieszył się bardzo mówiąc, że bardzo dobrze zrobiłem.

Za chwilę pociąg nasz ruszył w drogę powrotną rozwijając znaczną szybkość. Wydawało się że wagony powyskakują z szyn.

Dnia 7 września 1939 o świcie przejechaliśmy przez dworzec kolejowy na Okęciu i po pewnej chwili nasz transport zatrzymał się na bocznicę kolejowej. Po nastaniu dnia ujrzałem, że stoimy wśród dużej ilości małych zbiorników rozrzuconych wzdłuż bocznic kolejowych. Zdziwiło mnie to mocno, lecz po zastanowieniu się doszedłem do wniosku, iż najprawdopodobniej jest to najbardziej broniony rejon zawierający benzynę dla lotnictwa i że jest składnicą wojenną paliwa.

Normalnie samoloty niemieckie przylatywały dość wczesnym rankiem. Oczekiwaliśmy że lada chwila nadlecą. Nic podobnego. Aż do godz. 15-ej nie ukazał się ani jeden samolot niemiecki. (Jak się później dowiedziałem, podobno w tym dniu Niemcy rzucili całe lotnictwo na armię gen. Kutrzeby).

O godz. 11-ej transport nasz ruszył w kierunku Warszawy. Przejechaliśmy przez dworzec główny, tunel pod Alejami Jerozolimskimi, most kolejowy i zatrzymano nas poza dworcem wschodnim na bocznicę wśród licznych transportów ewakuacyjnych.

W przejeździe przez Warszawę, w wykopie przed tunelem, rzucano nam do węglarek bułki, czekoladę, cukierki a nawet bieliznę. Widocznie mieliśmy wygląd bohaterów wracających z frontu.

Dojeżdżając do Warszawy widziałem jak artylerzyści okopywali armaty 75 m/m po obu stronach toru kolejowego. Zaskoczyło mnie to mocno, gdyż nie przypuszczałem że sytuacja była tak poważna.

O godz. 15-ej nadleciał mały myśliwiec niemiecki lecąc tuż nad transportami. Nie strzelał ani nie bombardował. Rozpoczęła się gwałtowna i beładna strzelanina do niego.

W naszym transporcie tylko moja kompania miała uzbrojenie (30 karabinów jednostrzałowych), przeto z mjr. Skrzywanem zastanawialiśmy się jak zorganizować obronę przeciwlotniczą. Komendant stojącego obok nas transportu firmy Gerlach odstąpił mjr. Skrzywanowi lekki karabin maszynowy z dużą ilością amunicji i podstawą do strzelania przeciwlotniczego. Mjr Skrzywan kazał natychmiast umocować go w środku transportu.

Tuż przed zachodem słońca transport nasz ruszył w drogę zatrzymując się na peronie stacji Rembertów. W pobliżu Rembertowa nasza piechota zajmowała stanowiska obronne.

Podczas naszego postoju na peronie w Rembertowie Niemcy zaczęli bombardować Warszawę. Coś jak gdyby w filmie, gdyż na wysokim brzegu Wisły Warszawa była dobrze widoczna. Widać było samoloty nurkujące by rzucić bomby. Słupy dymu wskazywały wybuchy bomb.

Po pewnej chwili 3 samoloty niemieckie oderwały się od grupy bombardującej i skierowały się na Rembertów. Na stacji alarm. Nasz transport ruszył całym pędem, by wyjść poza stację kolejową. Jeden z samolotów przeleciał tuż nad naszym transportem i odleciał w kierunku Warszawy. Nie rzucał bomb i nie strzelał. Stojąc na drabince przywiązanej do boku węglarki miałem prawdziwego „pietra”. Czekałem kiedy lotnik rzuci bombę lub zacznie strzelać. Jedna bomba w pociąg lub w tor kolejowy przed pociągiem, a nasz transport w pełnym biegu zrolowałby się grzebiąc nas w swych szczątkach.

Obserwowałem żołnierzy. Wszystkie oczy skierowane na mnie. Niektórych ogarnął paniczny strach. Coś podobnego widziałem pierwszy raz w życiu: kilku miało posiniąte twarze, oczy szeroko otwarte, wysunięte języki z otwartych ust. By zaprzątnąć ich umysły wydałem rozkaz, by jak najsilniej przyciskano się do ścian wagonu. Błyskawicznie wykonano ten rozkaz. Węglarki wydawały się próżne, mając środek wolny. Atak trwał kilka sekund.

Zapadł zmrok. Pociąg zwolnił bieg. Zarządziłem capstrzyk. Z jakież wielkim przejęciem śpiewano „Wszystkie nasze dzienne sprawy...”. Wielu żołnierzom kapały łzy z oczu.

Dnia 8 września 1939 rano pobudka na stacji kolejowej Mrozy. Nasz pociąg stał obok jakiegoś transportu saperów. Widać było ślady bombardowania w postaci szczątków wagonów, zepchniętych z toru kolejowego. Kolejarze mówili że podczas wczorajszego bombardowania zginęło 4 żołnierzy.

O godz. 14-ej nadleciały 3 samoloty niemieckie i zaczęły nas bombardować z dość dużej wysokości na skutek silnej strzelaniny, zwłaszcza z transportu saperów. Bomby padały obok torów. Były małego kalibru gdyż pozostawiały leje zbliżone wielkością do lejów pocisków 75 mm.

Po wyrzuceniu bomb, dwa samoloty odleciały a trzeci wzniósł się wyżej i stale krążył nad nami aż do wieczora. W międzyczasie transport saperów odjechał. Wieczorem nadleciała eskadra i zaczęła nas bombardować. Jednak i tym razem żadna bomba nie trafiła w transport. Tylko jedna padła na tor kolejowy przed lokomotywą. Mieliśmy jednego rannego odłamkiem bomby w nogę.

Późnym wieczorem ekipa kolejowa, wspomagana przez żołnierzy, zasypała lej, położyła szyny i nocą nasz transport ruszył w drogę.

Dnia 9 września 1939 rano transport nasz stał w szczerym polu. Za nami widać było szereg unieruchomionych transportów. Przechodzący kolejarze mówili że jesteśmy niedaleko Siedlec i że pod Siedlcami jest uszkodzony tunel kolejowy.

Po pewnym czasie nalot. Opuściliśmy transport kryjąc się w kartoflach o jakieś 200 m. od toru. Padło kilka bomb. Za każdym wybuchem bomby żołnierze podrywali się do ucieczki co powodowało, że Niemcy zaczęli obrzucać nas silniej bombami.

By zapobiec podrywaniu się żołnierzy i tym samym nie wskazywać lotnikom celów do bombardowania, usiadłem z kijem w rękę na dużym kamieniu znajdującym się w kartoflisku. Zagroziłem że będę „walił” tych co się poderwą. Jednakże po pewnej chwili położyłem się w redlinie kartofli uważając, że mógłby mnie dosięgnąć odłamek bomby lub podmuch. Zaledwie zdążyłem położyć się: wybuch. (Niemcy używali bomb wydających ostry, przerywany świst). Zostałem przysypany ziemią. Wybuch wydawał mi się bardzo słaby. Gdy wydobyłem głowę z piasku ujrzałem wokoło siebie biały, gęsty dym. Pomyślałem że prawdopodobnie jest to bomba gazowa i błyskawicznie nałożyłem maskę. Dym rzedniał i ujrzałem żołnierzy biegnących do mnie i krzyczących „kapitan jest ranny”. Natychmiast ściągnąłem maskę by się nie ośmieszać przed żołnierzami.

Nas, leżących wzdłuż toru kolejowego, i transporty bombardowano tylko od czasu do czasu. Natomiast samoloty niemieckie bez przerwy przelatywały nad nami lecąc w kierunku Siedlec i krzyżując się z tymi co wracały z bombardowania.

Ponieważ fale bombowców nie przestawały przelatywać nad

nami otrzymałem rozkaz, by wycofać się z kompanią do małej parceli leśnej widocznej na horyzoncie, w odległości około 1 kilometra. Parcela była przepiętna ludnością cywilną, zwłaszcza na lizjerze. Natychmiast wysłałem żołnierzy, by spędzili ludzi w głąb lasu, gdyż lotnicy mogą ich spostrzec i zacząć bombardowanie lasu. Ledwie tylko ludzie zdążyli zejść ze skraju lasu nastąpił nalot na las. Na szczęście bomby padały tylko na skraj lasu. Sosny w fontannach ognia wylatywały z korzeniami w powietrze. Bombardowanie powtórzono 3 razy i za każdym razem na skraj lasu. Nikt, tak z ludności cywilnej jak i z mej kompanii nie był ranny. Gdyby jakaś bomba padła na środek tej parceli leśnej byłaby to straszliwa masakra, gdyż ludność cywilna skupiała się w duże gromady.

Z nastaniem zmierzchu wróciliśmy do transportu. Wieczorem odprawa. Ppłk Lewakowski oznajmił że o północy musimy opuścić transport, który dalej nie pojedzie, gdyż tunel kolejowy pod Siedlcami jest silnie uszkodzony. Pomaszerujemy pieszo do Lwowa. O ile uda mu się nawiązać kontakt z częścią W.I.G. we Lwowie, to da rozkaz przysłania nam samochodów. Kompanie we własnym zakresie mają zorganizować zabranie prowiantu rekwirując w tym celu podwozy. Nasz transport na razie pozostaje na miejscu. Na eskortę transportu wyznaczył pluton z mej kompanii gdyż tylko moja kompania miała uzbrojenie. Na dowódcę tej eskorty wyznaczył kpt. Buchalczyka. Zbiórka naszych 3-ch kompanii o godz. 24-ej na skrzyżowaniu dróg w kierunku Siedlec niezbýt daleko od transportu.

Dnia 10 września 1939 o północy na zbiórkę przybyły tylko 2 kompanie. Brakowało kompanii kpt. Czeremskiego. Widocznie pobłądził w ciemności. W jego kompanii był dr Deszczka znający dobrze okolice Siedlec. Miał on nam służyć za przewodnika gdyż nie mieliśmy map. Czekał na kompanię kpt. Czeremskiego aż do świtu. Gdy zaczęło się rozwidniać pomaszerowaliśmy w kierunku płonących Siedlec, dobrze widocznych na horyzoncie. Kompanii kpt. Czeremskiego nie widzieliśmy.

Przez Siedlce przemaszrowaliśmy wczesnym rankiem. Miasto jeszcze płonęło po wczorajszym bombardowaniu. Niesamowity widok palących się całych ulic, przez które maszerowaliśmy. Od czasu do czasu zapadał się płonący dom wyrzucając fontannę iskier i ognia. Nie spotkaliśmy żywej duszy, tylko gdzieś tam końskiego trupa. Żołnierze zaciskali pięści i wprost zgrzytali zębami w przekleństwach na Niemców.

Z Siedlec udaliśmy się szosą w kierunku Łukowa. Niemieckie samoloty nie ukazywały się. Słońce przygrzewało silnie i nie przyzwyczajeni do marszu rozerwiści męczyli się szybko. O godz. 11-ej

ujrzeliśmy na horyzoncie niezbyt daleko po prawej stronie szosy, całe parcele leśne. Skierowaliśmy się do nich na wypoczynek.

Były to parcele leśne rozrzucone na piaszczystych wydmach. Zaledwie weszliśmy do jednej z tych parcel, nadbiegła wieśniaczka wołając: „Panowie, na rany Chrystusa, nie idźcie tam” i wskazując na wieżę triangulacyjną, „tam jest amunicja i Niemcy od kilku dni tam bombardują”.

Trzeba było zawracać dość spory kawał drogi, by szukać wejścia do następnej parceli leśnej, którą poleciła nam owa kobieta. Udaliśmy się na przełaj po wydmie a wozy z prowiantem żołnierze przenieśli na rękach, gdyż konie grzęzły w piasku.

W lesie odpoczęliśmy należycie. Od czasu do czasu, przed wieczorem, dochodził nas odgłos bombardowania składów amunicyjnych, a nawet w nocy strzelanina. Otrzymaliśmy rozkaz by ubezpieczyć się od strony składów amunicyjnych. Niestety mój uzbrojony pluton pozostał przy transporcie. Za całe uzbrojenie mieliśmy 2 pistolety: mój i kpt. Engwerta.

Dnia 11 września 1939 rano ppłk Lewakowski zarządził odprawę. Oznajmił nam, że postara się nawiązać łączność z częścią Instytutu we Lwowie by przysłano po nas samochody. Poddał pod głosowanie czy ma jechać do Lwowa on, czy też wysłać któregoś z oficerów z rozkazem. Większość głosowała, by on sam jechał. Na tej podstawie ppłk Lewakowski zarządził, że kompanie moja i kpt. Rowińskiego pod dowództwem mjr. Skrzywana mają czekać w tymże lesie, aż on przyśle samochody ze Lwowa.

Przed wieczorem ppłk Lewakowski wrócił i ponownie zarządził odprawę. Oznajmił nam, że nawiązał łączność z gen. Trojanowskim, który organizuje baony etapowe. Rezerwiści Instytutu wejdą w skład jednego z tych baonów. Jedynie przedwojenny personel Instytutu pomaszeruje do Lwowa pod dowództwem mjr. Skrzywana. Po odprawie ppłk Lewakowski odjechał w nieznanym nam kierunku.

Niezwłocznie zgłosił się kapitan (nazwiska nie pamiętam) i przejął dowództwo mojej kompanii. Pozostało mi tylko 14 żołnierzy, byłych pracowników Instytutu, jak kreślarze, magazynierzy itp.

Z zapadnięciem nocy wzmożła się walka w sąsiednim lesie, gdzie były składy amunicyjne. Dochodziły odgłosy bardzo silnej strzelaniny. Używano rakiet silnie oświetlających teren. Wybuchy, prawdopodobnie wysadzanych składów amunicyjnych, tryskały fontannami ognia i iskier.

Wyruszyliśmy niezwłocznie i forsownym marszem dotarliśmy

nad ranem do Łukowa, gdzie po raz pierwszy spotkaliśmy się z kolumnami uciekinierów cywilnych podążających na wschód.

Dnia 12 września 1939 rankiem mineliśmy Łuków i zatrzymaliśmy się w pierwszej napotkanej wiosce przy szosie w kierunku na Lublin. Kpt. Engwert który w czasie nocnego marszu zaniemógł, czuł się już dobrze. Pozostawiłem go na wozie w cieniu drzew, a sam z kpt. Szkupem weszliśmy do pobliskiej stodoły, by odpocząć na słomie.

Ledwieśmy się cokolwiek zdrzemnęli, nadbiegł żołnierz wołając, by uciekać gdyż Niemcy wchodzą do wioski.

Gdy wyszliśmy ze stodoły nie było już nikogo z naszego oddziału. Kpt. Szkup pobiegł do swej prowiantury, a ja udałem się do sołtysa po podwodę gdyż mój podwodziarz złamał dyszel u swego wozu. Spotkałem mjr. Skrzywaną i kpt. Gosiewskiego. Zatrzymałem ich mówiąc, że idę po podwodę i by czekali to ich zabiorę.

Sołtys wzdrygał się dać podwodę. Jednakże na interwencję swej córki, około 12-letniej dziewczyny, dał mi bryczkę i parę tęgich koni z woźnicą, gdy mu powiedziała: „Tato, jak przydą Niemcy to na pewno będziecie musieli dać im podwodę, swojemu oficerowi to nie dacie?”.

Natychmiast pojechałem na miejsce gdzie mieli czekać mjr. Skrzywan i kpt. Gosiewski, ale już ich nie było. Nieco dalej spotkałem idącego kpt. Enwerta. Zabrałem go i ruszyliśmy w kierunku Radzyna.

O kilka kilometrów dalej zatrzymał nas podoficer z naszego oddziału i zameldował że mjr. Skrzywan nakazał zbiórkę przy wejździe do Radzyna.

Radzyń był przepełniony kolumnami uciekinierów. Objechaliśmy miasto wokoło i nie napotkaliśmy nikogo z naszego oddziału. Włączyliśmy się do kolumny uciekinierów udających się do Lublina, by dotrzeć do Lwowa.

Przed wieczorem napotkaliśmy kpt. Maksa z naszego oddziału. Prosił kpt. Engwerta by mu powiedział co się stało z jego bagażem pod Łukowem. Odpowiedział mu, że gdy Niemcy nadchodzili, przybiegł por. Janiec, wyrzucił bagaże z wozu i natychmiast odjechał i nawet jego nie chciał zabrać. Kpt. Maks zdecydował się wrócić do Łukowa po bagaż. Wówczas dałem mu bryczkę, by ją zwrócił sołtysowi, i wraz z kpt. Engwertem przesiedliśmy się na jego wóz. Włączywszy się do kolumny uciekinierów jechaliśmy przez całą noc.

Dnia 13 września 1939, gdy się rozwidniło, zjechaliśmy z szosy do przydrożnej wioski. Odpoczęliśmy i w południe ruszyliśmy dalej. Noc spędziliśmy w przydrożnej szkole powszechnej.

Dnia 14 września 1939 wczesnym rankiem tą samą podwodą udaliśmy się w kierunku Lublina. O godz. 9-ej napotkaliśmy transport czarnych furgonów z orłami po obu stronach. Powiedziano nam że to jest transport złota Banku Polskiego. Po przejeździe tego transportu zatrzymał nas patrol żandarmerii nie pozwalając jechać dalej, mówiąc że droga do Lublina jest zamknięta. Do Lwowa można jechać tylko przez Włodawę i Kowel.

Do Włodawy dojechaliśmy w ciągu nocy. Oficer placu dał nam rozkaz jazdy do Lwowa przez Kowel, gdyż kierunek na Chełm jest zabroniony. Bug przekroczyliśmy nocą po prowizorycznym nowozbudowanym moście.

Dnia 15 września 1939 w Hołowni mieliśmy kłopot z wyznaczonym przez sołtysa podwodziarzem. Rano, widząc nas zbliżających się do jego zagrody, zaczął uciekać w pobliskie zarośla. Dopędziłem go. Zatrzymał się dopiero wówczas gdy kolbą od pistoletu zdzieliłem go w głowę. Wówczas potulnie wrócił, zaprzął konie i ruszyliśmy w drogę. Wieczorem dojechaliśmy do Kowla.

W Kowlu moc wojska. W Komendzie miasta adiutant oznajmił nam, że nic nie wie o W.I.G. ani też o grupie pod dowództwem mjr. Skrzywana. Dowiedzieliśmy się, że płk Koc organizuje obronę Kowla i adiutant powiedział nam że potrzebują topografów. Natychmiast, wieczorem, udaliśmy się do Sztabu Obrony Kowla. Szef Sztabu bardzo się ucieszył i kazał nam zgłosić się nazajutrz rano. Noc spędziliśmy w małym hoteliku.

Dnia 17 września 1939 rano uderzył nas niezwykle ruch na ulicach Kowla. Udając się do Sztabu Obrony Kowla spotykaliśmy grupy ludzi biegnących w różnych kierunkach. W sztabie zastaliśmy tylko kapitana zbierającego papiery ze stołów. Zapytany co się dzieje odpowiedział nam: „Jak to panowie nie wiedzą, że Rosjanie są pod miastem i czekają by nasze wojsko wyszło”.

Udaliśmy się do koszar. Zgłosiliśmy się u dowódcy batalionu przygotowującego się do marszu. Nie przyjął nas mówiąc że będziemy mu przeszkadzać. Wobec tego postanowiliśmy iść luzem za tym batalionem.

Niebawem Engwert spotkał znajomego mu porucznika z Intendentury i dowiedział się, że kolumna samochodów intendentury ma wyznaczoną zbiórkę na kilometrze 5-tym poza Kowlem w kierunku na Łuck i jeżeli tam będziemy, to nas zabiorą. Zbiórka kolumny została wyznaczona na godz. 13-tą.

Szukając możliwości dostania się na ten nieznany nam 5-ty kilometr, ujrzelśmy że w pobliżu nas zatrzymał się powóz. Wysiadł z niego płk kawalerii, pożegnał się z ułanem woźnicą

mówiąc mu, że może zabrać sobie powóz wraz z końmi i odszedł śpiesznym krokiem. Podeszliśmy do tego ułana pytając się czy nie zawiózłby nas na 5-ty kilometr w kierunku na Łuck. Zgodził się bardzo chętnie i wkrótce znaleźliśmy się na owym 5-tym kilometrze. Po obu stronach szosy w polu widać było sporo spalonych czołgów francuskich, zniszczonych przez oddziały Obrony Kowla. Smutny widok.

Gdy staliśmy oczekując na transport intendenty, zatrzymała się przed nami duża kolumna samochodów osobowych. W jednym z nich ujrzałem znajomego mi dr. lekarza mjr. Truszkowskiego. Powiedział mi, że jest to sztab gen. Dęba-Biernackiego lecz nie ma generała i że on jest szefem sanitarnym armii gen. Dęba-Biernackiego. Na jego interwencję wyznaczono nam wolny samochód i cała kolumna ruszyła w kierunku Łucka, by dotrzeć do broniącego się Lwowa. Wkrótce dojechaliśmy do Łucka, gdzie po raz pierwszy ujrzałem żołnierzy rosyjskich rozstawionych wzdłuż szosy, by nie wpuszczać nikogo do miasta. Po dość długim postoju pod Łuckiem dojechaliśmy nocą do Horochowa gdzie staliśmy do rana, gdyż jak mi powiedział jeden z oficerów sztabu, przejazd był zapewniony tylko do Horochowa.

Dnia 18 września 1939 rano kolumna sztabu gen. Dąb-Biernackiego ruszyła w kierunku Lwowa. Po drodze widzieliśmy w kilku miejscach płonące chaty. Ukraińcy atakowali nasze małe przejeżdżające oddziały, które w odpowiedzi broniły się, po czym podpaliły chaty, z których do nich strzelano.

O godz. 16-ej nasza kolumna zatrzymała się na skutek zatoru samochodowego. Po chwili ujrzelśmy, że z dwóch stron szosy otaczają nas czołgi sowieckie z karabinami maszynowymi skierowanymi na naszą kolumnę. Do samochodów podchodził oficer sowiecki mówiąc po rosyjsku by wysiadać i zatrzymać się na czołe kolumny samochodów. Powiedział nam że „*siewo dnia my uże wziali Lwow w piat' czasow utrom*” co nie było prawdą. Nadjeżdżało coraz więcej samochodów. Wszystkich wojskowych sowieciarze zatrzymywali. Cywilni mogli jechać dalej.

Sowieckie kolumny czołgów były w marszu na Lwów i dowódcy poszczególnych oddziałów nie wiedzieli co robić z nami, stojącymi dużą gromadą wzdłuż szosy. Wartownicy zmieniali się z nadejściem każdego oddziału czołgów. Przed samym zmrokiem nadjechał oddział jakiejś improwizowanej kawalerii. Jeźdźcy siedzieli na workach, gdyż konie nie miały siodła. Byli to cywilni z szabłami przywiązanymi do pasów. Prawdopodobnie Ukraińcy. Ta dziwna kawaleria otoczyła nas i maszerowaliśmy na przełaj przez pola. Po dłuższym kołowaniu po polu zatrzymano nas na

małej łące. Dowódca tego oddziału, przyzwyczajony umundurowany sowieciarz, powiedział nam „*wy użę tiepier wolni*” i że dopiero jutro rano, nie wcześniej jak o godz. 9-ej, możemy iść gdzie nam się podoba, byle tylko nie do Lwowa. Potem ta zaiprowizowana kawaleria odjechała.

W grupie naszej byli tylko oficerowie. Po chwili ogólnego milczenia odezwał się głos, by uważać czy nie zaczną strzelać do nas z karabinów maszynowych. Usłyszeliśmy niezbyt dalekie głośne rozmowy. Chciałem podejść bliżej, by przekonać się kto tam jest. Nie pozwolono mi, by nie wskazać gdzie jesteśmy. Po krótkiej chwili nadszedł jakiś żołnierz mówiąc że jest tam duża grupa szeregowych, których sowieciarze pozostawili na polu.

Zastanawiano się i dyskutowano co robić i dokąd iść. Mówiłem że za wszelką cenę trzeba się starać przedostać do Francji, gdyż tylko stamtąd może przyjść zwycięstwo. Oburzano się na mnie mówiąc, że Francuzi są zgnili moralnie i nie będą się bić. Wielu powiadało, że pójdą poddać się Rosjanom gdyż to są bracia słowianie. Tłumaczyłem, że Moskale to mieszanina słowiańsko-mongolska, że to nie jest Rosja carska gdzie, jak by nie było, panowało prawo. Zaczęto mi wymyślać że jestem stary a taki głupi.

Dnia 19 września 1939, gdy się rozwidniło, było nas już tylko czterech: ja, kpt. Enwert, płk lekarz Szejnowski i porucznik Wilnianin.

Kpt. Engwert odradził mi pójścia do Rumunii. Zaproponował mi, by iść z nim do Równego gdzie jest jego żona z dziećmi, ewakuowana z Warszawy. Z Równego udamy się do Wilna a stamtąd przez Litwę do Francji. Zgodziłem się.

Nie wiedząc gdzie jesteśmy, jedynie tylko to, że w pobliżu Glinian, ruszyliśmy w kierunku północnym. Napotkaliśmy chłopą koszącego trawę. Wskazał nam drogę do Krasnego dodając: „*pryszły te czerne czorty, wojna bude dołga*”.

Po dłuższym marszu wynajęliśmy wóz i we czwórkę dojechaliliśmy do domu osadnika z Zagłębia Dąbrowskiego gdzie wóznicę radził nam przenocować. Przyjęto nas bardzo gościnnie.

Dnia 20 września 1939 wczesnym rankiem pomaszzerowaliśmy w kierunku Krasnego. Tuż pod miastem dołączyliśmy do dużej grupy cywilnych i wojskowych. Ostrzeżono nas, że nie można iść dalej gdyż Ukraińcy strzelają do idących. Dołączało coraz więcej ludzi. Po pewnym czasie nadjechał czołg sowiecki i po oddaniu kilku strzałów w powietrze, przeprowadził nas przez Krasne. Pod wieczór zatrzymaliśmy się na noc w napotkanej leśniczówce przepełnionej ludźmi. Z daleka dochodził huk armat. Biło się z Niemcami wojsko, które opuściło Kowel.

Dnia 21 września 1939 przed południem doszliśmy do Radziechowa. Ku wielkiemu naszemu zdziwieniu ujrzeliśmy, że miasto było przepełnione naszym wojskiem. Były to resztki różnych oddziałów i straż graniczna.

Podbiegł do nas plutonowy, woźny naszego Instytutu. Przywitał się bardzo serdecznie informując, że organizuje się tutaj baon straży granicznej pod dowództwem mjr. Orlińskiego (?) by pójść do Warszawy. Radził nam pójść do tego majora, gdyż wypłaca oficerom po 5 tysięcy złotych. Udaliśmy się niezwłocznie. Mjr Orliński przyjął nas do swego batalionu jednakże bez funkcji, gdyż miał pełną obsadę. Wyjaśnił nam, że zamierza wyjść z batalionem z okolic zagrożonych przez Ukraińców po czym rozproszyć się. Wymarsz miał nastąpić gdy zapadnie noc. Wypłacił nam po 2.500 złotych gdyż nie miał więcej. (Dzięki tym pieniądzom przetrwałem w Wilnie i zapłaciłem sobie podróż do Sztokholmu). Uzbrowiliśmy się w krótkie mausery z dużą ilością amunicji.

Tegoż dnia po obiedzie odprawa w sali miejscowego Sokoła. Odprawę zarządził pułkownik straży granicznej, przybyły przed chwilą do Radziechowa. Oznajmił on że gen. Trojanowski, który odleciał samolotem do Rumunii pertraktował przed odlotem z rosyjskim generałem, dowódcą oddziałów w rejonie Lwowa. Ustalono ustnie, że oddziały polskie znajdujące się w Radziechowie mają przejść jutro rano do wsi Toporów, odległej o 7 km od Radziechowa i tam złożyć broń. Po złożeniu broni wszyscy będą mogli udać się w rodzinne strony, a nawet mogą otrzymać przepustki. Zaklinał on mjr. Orlińskiego na rany Chrystusa, by ze swym batalionem również złożył broń w Toporowie, ratując młode głowy dla przyszłej Polski, gdyż Rosjanie będą ścigać batalion i będą się mścić. Po długim wahaniu i licznych zapewnieniach przez owego pułkownika, mjr Orliński zgodził się, że gdzie złożyć broń. Wymarsz oddziałów wyznaczył pułkownik na 5-tą rano dnia następnego.

Wśród oficerów wywiązały się długie i gorące dyskusje czy złożyć broń czy też rozproszyć się nie składając broni, gdyż są to tylko zapewnienia ustne. Mówilem, by nie ufać. Rozproszyć się i starać się przedostać do Francji. Powiadano mi że szkoda myśleć o Francji. Rosjanie to przecież „bracia-Słowianie” i że słowo generała sowieckiego ma swą wagę i że powinno mu się zawierzyć. (Zawierzili i wymordowano ich w Katyniu).

Płk. lekarzowi Szwejnowskiemu mówiłem, by nie składał broni, gdyż jestem przekonany że Rosjanie zwolnią żołnierzy, lecz zatrzymają oficerów. Odpowiedział mi, że nie może zostawić swego szpitala napotkanego w Radziechowie.

Wieczorem poszedłem z kpt. Engwertem do miejscowej szkoły powszechnej gdzie spaliliśmy na podłodze za wieszakami na ubrania.

Dnia 22 września 1939, gdy jeszcze było ciemno, wojsko odmaszerowało do Toporowa by złożyć broń. Miasto opustoszało. Nikt nie wrócił.

Gdy się rozwidniło natychmiast wyszukaliśmy krawca. Krawiec Żyd nie chciał nam uszyć ubrania, mówiąc że nie ma ani ubrań ani też materiału na ubrania. Jednakże gdy zobaczył pieniądze natychmiast się zgodził.

Dnia 23 września 1939 przed wieczorem przebraliśmy się w ubrania cywilne. Ciężka to była chwila żegnania się z mundurem.

Postanowiliśmy czekać w Radziechowie, aż Rosjanie uruchomią pociąg ze Lwowa do Kiwerc by móc dostać się do Równego, gdzie miała być żona Engwerta wraz z dziećmi.

Postanowiliśmy szukać mieszkania. Poradzono nam udać się do miejscowego rejenta. Wyszła do nas służąca i po krótkiej pertraktacji za jej pośrednictwem rejent odstąpił nam dużą pustą salę z przyległym do niej małym pokoikiem z dwoma łózkami bez pościeli.

W dwa dni później, przyglądając się gromadom naszych żołnierzy wracających z zajętego przez Rosjan Lwowa, ujrzeliśmy kpt. Goślinowskiego jadącego na jednokonnym wozie. Kupił wóz i konia, by dotrzeć do Hancewicz gdzie wysłał swą żonę. Zaproponowaliśmy mu, by został z nami gdyż będzie łatwiej i bezpieczniej dojechać do Hancewicz pociągiem. Zgodził się a wóz i konia podarował jadącemu z nim żołnierzowi. Natychmiast udaliśmy się do krawca by i jemu uszył cywilne ubranie.

W Radziechowie spotkaliśmy kpt. Wasilewskiego z rodziną. Nie był zdecydowany gdzie się udać. Straciliśmy z nim kontakt.

Dnia 27 września 1939 przyjechał do Radziechowa pierwszy pociąg ze Lwowa do Kiwerc. O godz. 15-ej zdołaliśmy ulokować się w wagonie towarowym, przepelnionym ludźmi.

Do Kiwerc przyjechaliśmy w ciągu nocy. Pasażerowie rozproszyli się błyskawicznie i po chwili zostaliśmy sami na pustym peronie. W słabym świetle lampy ujrzeliśmy dyżurnego urzędnika ruchu w czerwonej rogatywce. Zbliżył się do nas zapytał dokąd chcemy jechać. Nagle rzucił mi się na szyję i z płaczem w głosie zapytał mnie czy go poznałem; mówił: „Co za wojna obecnie, trudno zrozumieć co się dzieje”. Był to kapral z mego plutonu w 23 p.p. z 1920 roku. Nie widziałem go od demobilizacji w 1921 roku. Poznał mnie w mrocznym świetle lampy, mimo że byłem po cywilnemu i to po tylu latach.

Dowiedziawszy się że chcemy jechać do Równego, zatrzymał nadjeżdżający pociąg z Kowla pod pozorem, że pragnie dowiedzieć się jak przedstawia się linia kolejowa. Przedtem kazał nam, by z chwilą gdy pociąg zatrzyma się, jak najprędzej wskoczyć do jakiegokolwiek wagonu. Pociąg natychmiast ruszył.

Wskoczyłem do wagonu dawnej 4-ej klasy. Wokoło na ławkach siedzieli żołnierze wracający do domu. Byli to Ukraińcy. W niesamowicie ohydny sposób wymyślali na Polskę, zaznaczając, jak im to źle było w Polsce. Gdy się rozwidniło, pociąg zatrzymał się na chwilę na jakiejś stacji. Do wagonu wszedł stary Ukrainiec. Nieogolony, brudny, w łapciach. Nikt z siedzących żołnierzy nie ustąpił mu miejsca. Stał pośrodku wagonu przysłuchując się rozmowie żołnierzy. Po pewnej chwili zwrócił się do tego, który najgłośniejszy i najobrzydliwiej wymyślał na Polskę, pytając się : „*A ty znajesz czto eto kamuna?*”. Odpowiedział mu: „*Niet dietka nie znaju*”. Ów starzec ponownie zapytał go: „*A ty w Rasiei był?*”. Odpowiedział: „*Niet dietka nie był*”. Wszyscy zamilkli. Wówczas tenże starzec, posługując się odpowiednim gestem ręki, powiedział mu: „*Tak ty hu... znajesz*”, kilkakrotnie powtarzając ten gest i słowa. Po czym dodał: „*W Polsce ty niedielu rabotał, dwadcać złotych potuczył, czarku popił, pogulał, a w Rasiei czto majesz? Hu... majesz*”. Ukraińcy zaniemówili. W dalszej podróży tylko półszepem rozmawiali między sobą.

Późnym rankiem 28 września 1939 przyjechał nasz pociąg do Równego. Kpt. Goślinowski pożegnał nas i poszedł szukać pociągu idącego do Hancewicz.

Równe było przepełnione ewakuowanymi mieszkańcami Warszawy. Na ulicach ogonki przy kuchniach polowych, rozdających jedzenie. Przechodzący oficerowie sowieccy odwracali się, by nas obserwować. Engwert miał duży plecak wypchany kożuchem, ja po cywilnemu jednak w płaszczu wojskowym. Czapnik w Radziechowie zrobił nam jednakowe cyklistówki, co robiło wrażenie, że jesteśmy syjamskimi braćmi. Postanowiliśmy czym prędzej zlikwidować cyklistówki i plecak.

Przy jednej z kuchni polowych wyszła z ogonka żona kpt. Zielińskiego. Nie miała czasu rozmawiać z nami, gdyż pobierała żywność i tylko podała nam swój adres, prosząc byśmy tam przyszli, ona z siostrą przyjdą po posiłku.

Zajmowały one wraz z żoną mjr. Dybasia dwa puste pokoje, ofiarowane im przez jakiegoś Czecha. Za posłanie miały garść słomy. Na noc pozostaliśmy z nimi.

Pani Zielińska poinformowała Engwerta, że jego małżonka wraz z dziećmi będzie w Równem jutro, a najdalej pojutrze. Wszystkie żony oficerów były ulokowane w wiosce tuż przy

granicy sowieckiej. Obecnie grupami odsyłają je do Równego. Oficerowie, którzy byli z nimi, zostali aresztowani przez Rosjan natychmiast po ich wkroczeniu.

Rankiem 29 września 1939 wyszliśmy na miasto zastanawiając się co robić, dokąd iść. Na wznoszącej się łagodnie ulicy 3-go Maja ujrzelśmy, posuwający się ku nam, czworobok piechoty sowieckiej z bagnietami na karabinach. Od czasu do czasu włączano do tego czworoboku przechodniów z trotuarów. Zapytany przechodzień wyjaśnił nam, że Rosjanie aresztują każdego kto ma na sobie jakąkolwiek część ekwipunku wojskowego. Natychmiast zawróciliśmy i napotkaliśmy syna kpt. Świderskiego, który widząc że mam na sobie płaszcz żołnierski, zaproponował mi zamienić ten płaszcz na jego jesionkę. Jeśli jego Rosjanie zaaresztują to go zwolnią, gdyż jest zbyt młody a ponadto ma legitymację że jest uczniem gimnazjalnym. Zgodziłem się. Gdy włożyłem tę jesionkę, pękły szwy na plecach, a rękawy były zbyt krótkie. Wyglądałem jak półtora nieszczęścia. Pękaliśmy ze śmiechu.

Postanowiliśmy jak najprędzej opuścić Równe, jednak trzeba było mieć przepustki, żeby opuścić miasto. Wydawały je dwa biura. Jedno dla cywilnych, a drugie dla wojskowych. Moją legitymację wojskową zostawiłem u p. Zielińskiej i natychmiast udaliśmy się po przepustki do biura dla cywilnych, broń Boże nie dla wojskowych.

Dwóch Rosjan wydawało przepustki przez okno w małym drewnianym domku, znajdującym się w dużym ogrodzie. Stałem w długiej kolejce. Engwert obserwował z boku jaki będzie rezultat.

Gdy w kolejce doszedłem do okna. Rosjanin wydający przepustki zażądał: „wasze papiery”, to znaczy dokumenty osobiste. W pierwszej chwili nie wiedziałem co odpowiedzieć. Rosjanin jeszcze raz powtórzył głośniejszym głosem „wasze papiery”. Postanowiłem postawić wszystko na ostrzu noża. W odpowiedzi, wprost opryskliwie wykrzyknąłem: „A wy w Warszawie byli?”. Rosjanin nic nie odpowiedział, więc ja jeszcze raz i jeszcze głośniejszym głosem wykrzyknąłem: „A wy w Warszawie byli?”. Zdziwiony odpowiedział mi: „*Niet nie był*”. Wówczas, prawie że krzycząc i jeszcze głośniejszym głosem: „Jak wy możecie mnie pytać o papiery? Jak ja mogłem myśleć o papierach, gdy domy waliły się od bomb. Jestem szczęśliwy, że cało wyniosłem głowę!”. Obydwa Rosjanie zbaranieli. Popatrzeni na siebie i jeden z nich zapytał mnie: „A wy dokąd pojedziecie?”. Odpowiedziałem że do Grodna i Wilna. Za chwilę miałem przepustkę w ręku. Odchodząc od okna dosłownie trzy-

małem się za nogi, by nie podskakiwać z radości. (Przepustka ta ocalała mnie w Kownie).

Engwert widząc że otrzymałem przepustkę natychmiast stanął w kolejce, jednak było już za późno i zamknęli okno.

Nazajutrz rano, 30 września 1939 Engwert z łatwością dostał przepustkę, gdyż miał prawo jazdy na motocyklu z fotografią.

Udaliśmy się na dworzec i znaleźliśmy pociąg udający się do Wilna.

Gdy przyjechaliśmy do Wilna już się ściemniało. Engwert udał się na Rosę do znajomych, mówiąc mi że musi się ukryć, ponieważ mieszkał w Wilnie będąc w 3 p.a.c. Żydzi go znają i mogliby wydać go Rosjanom.

W Wilnie duży ruch, gdyż wolno wychodzić na ulice tylko do godz. 20-ej. Udałem się do pp. Z., mych dobrych znajomych, którzy mieszkali w pobliżu dworca. Gdy zadzwoniłem, wyszła nieznana mi pani, mówiąc że pp. Z. mieszkają obecnie tuż obok koszar 1 p.p.Leg., na drugim końcu miasta. Musiałem się spieszyć, gdyż nie było ani taksówek ani też dorożek, by być u nich przed godz. 20-tą.

Trafiłem stosunkowo łatwo gdyż znałem Wilno. Państwo Z. przechowywali u siebie zwierzchnika kościoła Luterńskiego na m. Wilno. Nie mieli wolnego pokoju. Za ich pośrednictwem odstąpiła mi pokój żona przodownika policji, który razem z naszymi oddziałami przeszedł na Litwę.

W poszukiwaniu możliwości przedostania się do Francji udałem się do konsula łotewskiego. Odniósł się do mnie bardzo nieufnie i dopiero gdy mu powiedziałem, pokazując mą legitymację, że walczyłem o niepodległość Łotwy, zmienił ton. Radził mi zwrócić się do Ministerstwa w Rydze, jeśli znam kogoś w Rydze, kto mógłby interweniować na mą korzyść. Nadmienił, że w związku z ucieczką „Orła” sprawa będzie bardzo trudna. Podziękowałem i wyszedłem.

W Wilnie był spokój. Można było poruszać się swobodnie po całym mieście. Żołnierzy rosyjskich widziało się bardzo rzadko. Natomiast było sporo cywilnej milicji z czerwonymi opaskami na rękawach i karabinami. Przeważnie Żydzi.

W okolicy Trok miałem sporo znajomych nad granicą litewską z czasu mych prac topograficznych. Dowiedziałem się że na kolejach nie ma kontroli. Kupiłem bilet i pojechałem do Starych Trok. U moich znajomych, w pobliżu granicy kwaterowało wojsko rosyjskie. Dowiedziałem się że nie ma mowy, by przejść na Litwę, gdyż granica jest bardzo silnie strzeżona i przez Rosjan i przez Litwinów. Wróciłem do Wilna

Z żywnością było dość trudno. Mięso było tańsze niż chleb, gdyż okoliczni chłopci, obawiając się kołchozów, zabijali bydło.

Na mieście spotykało się dużo żeńskiej wojskowej służby pomocniczej w płaszczach wojskowych sięgających do kostek. Kobiety stojące w ogonkach przed sklepami zagadywały je gdy wchodziły. Wojsko rosyjskie miało pierwszeństwo w sklepach przy zakupach. Podczas takich rozmów najbardziej ciekawa babina uniosła połę płaszcza jednej z tych dziewczyn, by się przekonać jakie ubranie ma pod płaszczem. Z przerażeniem stwierdziła że miała tylko worek z dziurami na głowę i ręce.

Powrócił z Litwy przodownik policji, u którego zajmowałem pokój. Przebywał w Kownie jako cywilny uciekinier. Poinformował mnie że Poselstwo Polskie w Kownie wyjechało. By móc jechać do Francji trzeba mieć przynajmniej 600 litów na bilet. Inaczej szkoda jechać do Kowna.

W poszukiwaniu możliwości przedostania się do Francji przez Litwę pojechałem do Grodna, do znajomego mi płk. lekarza Grzegorzewskiego, byłego komendanta szpitala okręgowego w Grodnie. Zastałem tam ich córkę p. Drozdowską z dziećmi. Nie miała wiadomości o mężu kpt. Drozdowskim. Rosjanie powierzyli płk. Grzegorzewskiemu służbę lekarza okręgowego. Miał do dyspozycji samochód wojskowy z żołnierzem szoferem.

Płk Grzegorzewski radził mi wracać do Warszawy gdyż, jak mi mówił, będzie tam bezpieczniej z Niemcami niż tutaj z Rosjanami. Przypomniałem mu, że przecież w 1920 roku Rosjanie oddali Litwie rejon Wilna. Czy nie powtórzą tego obecnie. Wieczorem słuchaliśmy radia B.B.C. z Londynu. Przemawiała królowa angielska do polskich kobiet. Następnie B.B.C. nadało po polsku komunikat, że litewski minister Łozorajtis jest w Moskwie i że Rosja oddaje Litwie rejon Wilna, w zamian za co Litwa ma przyjąć rosyjskie bazy wojskowe. Natychmiast wróciłem do Wilna. Dowiedziałem się później że mimo iż płk lek. Grzegorzewski pracował dla nich, aresztowało go G.P.U. i umarł w więzieniu. Prawdopodobnie Rosjanie zamordowali go.

W magistracie m. Wilna, dzięki córce pp. Z., która tam pracowała, uzyskałem coś w rodzaju paszportu. Normalnie wydawano takie zaświadczenia tym, co ubiegali się o wyjazd za granicę. Dzięki memu koledze kpt. Z. uzyskałem zaświadczenie, że pracowałem w biurze mierniczym w Warszawie i zostałem zwolniony na skutek ogólnej mobilizacji.

Wilno z dnia na dzień oczekiwało na przyście Litwinów. Codziennie tłumy zalegały ul. Mickiewicza. Nareszcie po długich oczekiwaniach nadeszli Litwini, a raczej przyjechali na ciężarówkach naszych oddziałów wojska które przeszły na Litwę przed

nadejściem Rosjan. Kilka samochodów pancernych i trochę różnych służb wojskowych. Cisza zalegała w przyglądających się tłumach.

Po wejściu Litwinów wygląd miasta uległ radykalnej zmianie. Można by powiedzieć, że w mieście oczyściło się powietrze. Wprost niewiarygodna zmiana. Znikły głośnieki ryczące na skrzyżowaniach ulic. Ludność, która podczas okupacji rosyjskiej ubierała się możliwie najgorzej i wyglądała beznadziejnie szaro, zmieniła swój wygląd ubierając się starannie, jakby odświeżenie. Ponury nastrój znikł. Miasto poweselało.

Litwini ustalili kurs złotego: 20 złotych za jednego lita. Przed wojną 1 złoty kosztował 2 lity. Nastąpiło ogólne oburzenie. Nie otwierano sklepów. Robotnicy strajkowali. Ostatecznie władze litewskie ogłosiły, że każdy kto ma złote polskie może je zdeponować we wskazanych na ogłoszeniach bankach. Zostanie ustalony kurs wymiany. Kto nie będzie chciał zgodzić się na ten kurs, to będzie mógł odebrać swe pieniądze.

Z 2.500 zł., które otrzymałem w Radziechowie miałem jeszcze 1.800 zł. Postanowiłem zdeponować 1.200 złotych. Poprosiłem znajomych by mi je zdeponowali na swoje nazwiska, każdy po 300 złotych. Przypuszczałem, że im będzie mniejsza suma tym wyższa będzie stopa wymiany. Resztę zatrzymałem na wyjazd do Kowna i na codziennie wydatki.

By móc jechać do Kowna należało uzyskać pisemne zezwolenie od nowozainstalowanych władz litewskich, składając umotywowane podanie w języku litewskim. Nikt w Wilnie nie znał języka litewskiego, przeto przed każdym urzędem, na ulicy, zainstalowali się tłumacze, którzy za opłatą tłumaczyli wszelkie podania do władz.

Taki tłumacz napisał mi po litewsku podanie, w którym prosiłem o zezwolenie na wyjazd do Kowna, motywując że jestem cywilnym uchodźcą z Warszawy i pragnę opuścić Litwę. Do Kowna pragnę jechać gdyż tam są konsulatory. Zapłaciłem 10 litów tj. 200 złotych. Zezwolenie na wyjazd do Kowna otrzymałem bez trudności w ciągu 2-ech dni.

Żona mego kolegi kpt. Z. pochodziła z Litwy. W Wilnie spotkała swego kuzyna, pułkownika Armii Litewskiej. Dzięki niemu uzyskała zezwolenie, by wraz z mężem odwiedzić rodzinę na Litwie.

Poprosiłem ją by zabrała z sobą moją legitymację wojskową i pozostawiła u kogoś z jej znajomych, tak bym mógł ją odebrać po przyjeździe do Kowna. Powróciwszy powiedziała mi, że zostawiła ją u dyrektora banku p. B., który mi ją wręczy, gdy się zgłoszę.

Jej mąż, kpt. Z., wrócił bardzo rozgoryczony gdyż nie mógł wydostać się z Litwy by udać się do Francji. Mówił mi że setki ludzi wystają przed polskim konsulem, który obecnie jest sekcją konsulatu angielskiego, bez najmniejszego widoku na wyjazd.

Dnia 16 listopada 1939 roku kupiłem bilet kolejowy i pociągiem udałem się do Kowna. Natychmiast po przyjeździe zgłosiłem się w Litewskim Czerwonym Krzyżu gdzie mnie zarejestrowano, wydając zaświadczenie że jestem uchodźcą. Skierowano mnie do schroniska akademickiego, gdzie w piwnicy wskazano mi miejsce do spania na sienniku.

Obszerne piwnice roły się od takich jak ja i dużo młodszych. Wszyscy mieli zamiar udać się do Francji. Nadzwyczajne trudności wizowe i piękne Litwinki trzymały ich w Kownie. O spaniu w ogóle nie było mowy. Całą noc jedni wchodzili, drudzy wychodzili deptając po śpiących, gdyż oświetlenie było bardzo słabe.

W kilka dni później uzyskałem miejsce w polskim gimnazjum na strychu w sali gimnastycznej. Spano na materacach gimnastycznych lub na podłodze, jednak było czysto i spokojnie. Każdego wieczoru, przy zgaszonym świetle, leżąc przed zaśnięciem gawędziliśmy o naszej klęsce. Podczas jednej z takich pogawędek przysunął się do mnie na czworakach niejaki Piasecki z Woźnik na Górnym Śląsku, pochylił się nade mną mówiąc pytająco: „Prawda, panie, Polska jeszcze będzie?”. Płakał, gdyż jego łzy zaczęły mi padać na twarz.

Udałem się do banku po legitymację. Dyrektor banku p. B. zaprosił mnie do swego gabinetu. Otworzył szufladę biurka, wyjął legitymację, popatrzył na fotografię i wręczył mi ją. Gdy wychodziłem zapytał mnie czy przyjąłbym jego bilet polecający do p. Gąsiewskiej, kierowniczkii konsulatu. Dziękując wzbraniałem się wziąć, uważając że jest zbędny. Gdy jednak nalegał zgodziłem się.

Udałem się natychmiast do konsulatu. Na długiej przestrzeni przed konsulem ulica była zapchana mężczyznami. Było tylko wąskie przejście w środku ulicy pilnowane przez 2-ch policjantów. Doszedłem do drzwi i zadzwoniłem. Woźny otworzył, wychylił głowę, popatrzył na mnie i zamknął mi drzwi przed nosem. W zgromadzonym tłumie rozległ się głośny śmiech. Usłyszałem słowa: „Jeszcze jeden co mu się śpieszy”. Wówczas uprzytomniłem sobie że przecież mam bilet p. B. Zadzwoniłem ponownie i wręczyłem ten bilet woźnemu. Natychmiast otworzył mi szeroko drzwi. Pani Gąsiewska przyjęła mnie niezwłocznie i była bardzo uprzejma. W ciągu niespełna pół godziny miałem „Certificat”, gdyż nie mieli książeczek paszportowych. Żegnając mnie

p. Gąsiewska zapewniała mnie, że dopiero we Francji uzyskam odpowiednie przeszkolenie wojskowe. Popatrzyłem na nią mocno zdziwiony mówiąc, że nie uważam by przeszkolenie francuskie było lepsze od naszego. No, no, zobaczy pan, zapewniała mnie.

Kolejno w konsulatach: francuskim, angielskim, norweskim uzyskałem wizy stosunkowo łatwo. Trudności były w konsulacie szwedzkim gdzie udzielano wiz tylko starcom, kobietom i dzieciom. Wizę szwedzką uzyskałem dopiero po interwencji konsula angielskiego, nie bezpośrednio lecz za pośrednictwem urzędnika konsulatu polskiego.

By uzyskać wizę na opuszczenie Litwy, trzeba było zezwolenia specjalnej komisji wojskowej, urzędującej w koszarach na przedmieściu Kowna, która badała czy się nie jest wojskowym lub zbiegiem z obozu internowanych. Po złożeniu posiadanych przeze mnie dokumentów, świadczących że jestem uchodźcą, kazano mi zgłosić się nazajutrz.

Były wypadki, jak mnie informowano, że przedłożone dokumenty okazały się niewystarczające, wówczas danego osobnika z miejsca aresztowano i internowano.

Nazajutrz przyjął mnie pułkownik litewski mówiący bardzo dobrze po polsku. Trzymając teczkę z moimi dokumentami powiedział mi że brak dokumentu świadczącego, że nie jestem wojskowym. Zrobiło mi się naprawdę gorąco. Nagle uprzytomniłem sobie, że w złożonych dokumentach jest przepustka wydana mi w Równym przez Rosjan. Odpowiedziałem mu, że przecież w złożonych dokumentach jest przepustka wydana przez Rosjan i że gdybym był wojskowym, to Rosjanie nie daliby mi tej przepustki. Wówczas jeden z dwóch cywilnych którzy asystowali pułkownikowi przy oddzielnym stole, dał znak głową że to prawda. Pułkownik kazał mi się zgłosić nazajutrz w starostwie u „wirszinnika” (tj. starosty) po zezwolenie na wyjazd z Litwy. Wizę wyjazdową otrzymałem bez trudności.

Po załatwieniu sprawy wiz natychmiast wróciłem do Wilna po pieniądze. W Wilnie znajomi którzy zdeponowali moje pieniądze, stosownie do zarządzeń litewskich, zaskoczyli mnie pytaniami skąd wiedziałem jaki będzie kurs wymiany i dlaczego im nie powiedziałem. Nie mogli uwierzyć że to było moje rozumowanie, oparte na przypuszczeniu, że kurs wymiany będzie proporcjonalny do zdeponowanych sum. Okazało się że do sumy 300 złotych Litwini ustalili kurs 2 złote za 1 lita i proporcjonalnie do sum zdeponowanych coraz wyższy, aż do 20-tu złotych za jednego lita.

Dzięki temu miałem 600 litów co pozwoliło mi zapłacić sobie podróż do Francji.

W Wilnie spotkałem kilku kolegów, którzy byli w obronie Lwowa i zdołali przedostać się do Wilna nie poddając się Rosjanom. Kpt. Szulca miała przeprowadzić na Litwę jakaś tajna organizacja. Podobno przychwycono go na granicy. Nie spotkałem go w Kownie.

W dniu 28 listopada 1939 roku pożegnałem ostatecznie Wilno udając się ponownie do Kowna z nadzieją, że tym razem opuszczę Litwę i przedostanę się do Francji.

W Kownie, mając pieniądze, zamieszkałem w schronisku Towarzystwa Dobroczynności, płacąc 1-go lita dziennie za łóżko w dużej sali mieszczącej 20 łóżek. Było czysto i nawet dość wygodnie. Policja przychodziła dość często nocami. Zabierano wszystkich do komisariatu policji, mimo że mieliśmy zezwolenia na pobyt w Kownie. Przetrzymywano nocą po kilka godzin i zwalniano.

Zamierzałem udać się do Sztokholmu statkiem z Rygi, gdyż władze litewskie udzielały dewiz wyłącznie na kupno biletu statkiem. Otrzymaliśmy wiadomość, że Niemcy zatrzymują na morzu statki płynące z Rygi, zabierają Polaków, Anglików i Francuzów, po czym pozwalają by statek płynął do Sztokholmu.

Wobec tego zdecydowałem się lecieć do Sztokholmu samolotem rosyjskim Moskwa-Ryga-Sztokholm. Niestety Litwini nie dawali dewiz na kupno biletu lotniczego.

W poszukiwaniu dewiz udałem się do dyrektora Państwowego Banku Litewskiego. Przyjął mnie bardzo uprzejmie. Mówił dobrze po polsku. Oświadczył mi że Litwa nie jest tak bogata, by mogła dawać dewizy na bilety lotnicze gdyż jest bardzo dużo uchodźców. Dał mi zezwolenie na wywóz tylko 6-ciu dolarów.

Rozczarowany błądziłem po ulicach Kowna zastanawiając się jak i gdzie „zdobyć” dewizy. Przypadkowo spotkałem na ulicy płk. Okulicz-Kozaryna, mego byłego dowódcę pułku. Na skutek interwencji swych krewnych, obywateli litewskich, został zwolniony z internowania. Gdy mu powiedziałem, że nie mogę uzyskać dewiz na zakup biletu lotniczego, poradził mi udać się natychmiast do Banku Polskiego, gdyż Rząd Polski przysłał z Londynu 60.000 litów na pomoc dla uchodźców. Na skutek tego bank dysponuje ilością dewiz na tę sumę. W banku, po wypełnieniu formularza, otrzymałem zaświadczenie, że mam w banku dewizy na zakup biletu lotniczego do Sztokholmu.

W państwowym litewskim biurze podróży oddałem to zaświadczenie, wpłacając należność za bilet lotniczy Ryga-Sztokholm. Kazano mi przyjść po bilet za tydzień.

Gdy po tygodniu zgłosiłem się po bilet, powiedziano mi że dla mnie nie ma biletu. Okazało się, że również brakowało bile-

tów dla dwóch pań. Zrobiłem dużą awanturę. Grożono mi policją. Niestety biletu nie otrzymałem. (W 2-ej Dywizji we Francji poznałem plutonowego, który mi powiedział że otrzymał mój bilet płacąc podwójną cenę).

Ważność uzyskanych wiz dobiegała końca. Trzeba było ponownie udać się do wszystkich konsulatów, poczynając od francuskiego i prosić o przedłużenie ważności udzielonych wiz.

Dnia 20 grudnia 1939 roku po obiedzie udałem się do konsulatu francuskiego, by prosić o przedłużenie ważności udzielonej wizy. Konsul był nieobecny, przyjęła mnie sekretarka. Widząc w paszporcie me nazwisko powiedziała mi że ma dla mnie list i w domu pieniądze od jej znajomych Polek, obywaterek litewskich. Były to 2 córki obywateli ziemskich, które przed wojną zwiedzały Polskę i były w Warszawie, krewne pułkownikostwa Grzegorzewskich. Od ich kuzyna, inżyniera miernika którego spotkałem kilka dni temu, dowiedziały się że jestem w Kownie. W liście zapraszały mnie bym przyjechał do ich majątku, gdzie już jest sędzia z Poznania. Załączyły pieniądze na przejazd autobusem. Sekretarka prosiła mnie bym wieczorem przyszedł do niej po pieniądze, które zostawiła w domu. W liście zaznaczyły, że mieszkają w innym dość odległym majątku, wobec czego ja i sędzia możemy pozostać u nich tak długo jak będziemy chcieli.

Wychodzącego z konsulatu spostrzegł mnie znajomy uchodźca, który jednocześnie z mną zamawiał bilet na samolot. Podbiegł do mnie mówiąc że biuro podróży mnie szuka gdyż mają dla mnie bilet. Mam się tam zgłosić natychmiast, gdyż dziś o godz. 19-ej odjeżdża pociąg do Rygi, skąd jutro odlatuje samolot do Sztokholmu.

W biurze podróży powiedziano mi że telegrafowano do Moskwy i otrzymali zezwolenie na sprzedaż biletu, zaznaczając że mimo że byłem tak niegrzeczny, oni są dla mnie bardzo dobrzy. Powiedziałem im, by mnie nie uważali za naiwnego.

Taką samą grzeczność litewskie biuro podróży wyświadczyło owym dwom paniom, dla których też nie było biletów. Wraz z nimi zostałem zaproszony na pożegnanie przez żonę dyrektora radiostacji kowieńskiej.

Z Kowna do Rygi przez Janiszki przyjechalśmy już po północy. Zatrzymaliśmy się wszyscy — grupa 10 osób w tym 2 pannie — w pobliskim hotelu.

Rankiem 21 grudnia 1939 podczas śniadania naradzaliśmy się co robić z wolnym czasem gdyż samolot przylatuje dopiero o godz. 13-ej a odlot o godz. 14-ej. Zaproponowano zwiedzanie Rygi. Natomiast jedna z pań radziła by uprzednio udać się na lotnisko, by się dowiedzieć czy nie będzie przeszkód w odlocie,

po czym dopiero zwiedzać miasto. Zgodziliśmy się z jej radą.

Po przyjeździe na lotnisko oświadczone, że bilety mój i tych 2-ch pań nie są ważne, gdyż litewskie biuro podróży nie ma prawa sprzedawać biletów bez zezwolenia kierownika lotniska w Rydze. Kierownik lotniska telefonował natychmiast do Kowna. Nasze reklamacje nie odniosły żadnego skutku. Groziło nam odesłanie do Kowna gdyż wiza litewska ważna była tylko 24 godziny. Wizy zostały udzielone pod warunkiem, że Litwa nas przyjmie z powrotem gdybyśmy nie opuścili Łotwy w ciągu 24 godzin, stosownie do ważności wizy.

Nadleciał samolot. Zwróciłem się do lotników Rosjan. Oświadczyli że nic mi nie mogą pomóc i żebym udał się do kierownika lotniska.

Na lotnisku był przedstawiciel polskich linii lotniczych L.O.T. Zwróciłem się do niego. Powiedział mi, że na skutek interwencji Anglików zwolniono z intenowania naszych lotników, którzy obecnie odlatują i dlatego wszystkie miejsca w samolocie są zajęte.

Przez duże oszklone drzwi poczekalni, ja i obie panie patrzyliśmy jak pasażerowie wsiadali do samolotu. Już odstawiono schodki. Panie płakały. Ja modliłem się gorąco.

Obok samolotu stał kierownik lotniska i coś skrzętnie notował w książeczce którą trzymał w rękę. Nagle wszedł szybko do poczekalni bocznymi drzwiami i kierując się do mnie powiedział że w samolocie jest 60 kg. wolne. Mogę więc lecieć tylko muszę z sobą zabrać walizkę gdyż bagaż już jest załadowany. Chciałem ją pozostawić, lecz on wspólnie z celnikiem kazali mi ją zabrać.

Ponieważ schodki już były odstawione i znajdowały się dość daleko od samolotu, przeto dwóch bagażowych wzięło mnie za ramiona i dosłownie wrzuciło do samolotu, który nie był wysoki. amerykański DC3. Gdy się podniosłem samolot już był w powietrzu. Obie panie pozostały.

Punktualnie o godz. 16-ej samolot wylądował na lotnisku w Sztokholmie. Gdy stanąłem na szwedzkiej ziemi przeżegnałem się mówiąc — teraz jestem wolny.

Czekał na nas łącznik z naszej ambasady. Była nas spora grupa. Autobusem dojechalśmy do ambasady. Po czym rozlokowano nas na miejsce. Mnie umieszczono w ładnym pensjonacie „Regina”. Nazajutrz miałem zgłosić się w ambasadzie.

Dnia 22 grudnia zgłosiłem się w ambasadzie. Urzędnik cywilny sprawdzał dokumenty i notował dane ewidencyjne. Siedzący obok urzędnik cywilny, słysząc że jestem topografem zapytał mnie: „Cóż to, jedzie pan robić mapy Francuzom?”. Zdziwiony

tym pytaniem odpowiedziałem: „Któż to robi mapy dopiero w czasie wojny?”. Ów urzędnik zamilkł i nie pytał się więcej. Później powiedziano mi, że był to attaché wojskowy płk dypl. Mitkiewicz. Wypłacono nam po 4 korony na dzień i wręczono bilety kolejowe do Bergen via Oslo.

Ze Sztokholmu wyjechaliśmy późnym wieczorem tegoż dnia. Całą naszą grupę ulokowano w oddzielnym wagonie przypominającym naszą dawną trzecią klasę. W Oslo mieliśmy bardzo długi postój. Nie pozwolono nam wychodzić z wagonu.

Do Bergen dojechaliśmy 24 grudnia 1939 roku późnym rankiem. Oczekujący nas przewodnik umieścił nas wszystkich w hotelu „Regina”.

Wieczorem miejscowy honorowy konsul polski urządził nam wigilię z suto zastawionym stołem, po czym gawędził z nami za pośrednictwem tych, co mówili po francusku. Miejscowa parafia katolicka przysłała nam bilety wejścia do kościoła na pasterkę. Udaliśmy się wszyscy.

Dzień 25 grudnia spędziliśmy na zwiedzaniu miasta i fiordu. Wieczorem służba hotelowa śpiewała nam religijne pieśni norweskie, urozmaicając wieczór norweskimi tańcami. My śpiewaliśmy im polskie kolendy.

27 grudnia rankiem wezwano nas do biura okrętowego. Każdemu osobiście wręczano bilet na statek do Newcastle, mówiąc że popłyniemy do Aberdeen i że dodatkowy bilet otrzymamy na statku. Zaokrętowanie wyznaczono na godz. 17-tą na statku Irys. Był to mały statek, prawdopodobnie turystyczny, o wyporności 1.090 ton. Otrzymałem piękną dwuosobową kabinę wraz z porucznikiem 1 p.p. Leg., który jechał pod przybranym nazwiskiem Blin.

Nasz statek ruszył z portu dopiero o godz. 2-iej w nocy dnia 28 grudnia 1939 roku. Po 2-ch godzinach żeglugi po spokojnym fiordzie wpłynęliśmy na bardzo wzburzone morze.

Dnia 29 grudnia nasz Irys wpłynął do portu w Aberdeen w Szkocji. Po wylądowaniu oznajmiono nam, że dopiero o godz. 22-iej odjedziemy pociągiem do Londynu. Zwiedzaliśmy miasto.

W przedziale pociągu było nas 2-ch Polaków i jeden Szkot owinięty w pled. Gdy się dowiedział, że jesteśmy Polakami, uchylił drzwi przedziału i coś powiedział do stojących na korytarzu. Wkrótce nasz przedział zapełnił się Szkotami. Każdy wyciągał płaską butelkę whisky z kieszeni, pociągał zdrowy łyk i podawał nam do picia. Udawałem że piję. Wszyscy rozbawili się śmiejąc. Przypomniła mi się karczma w Polsce. Jeden z nich był skautem i nie pił. Częstował nas czekoladą pokazując bilet wizytowy znajomego, którego poznał będąc w Warszawie. Po pewnym cza-

sie gdy się dobrze zmęczyli śpiewaniem i piciem, przedział opustoszał.

Nasz Szkot mówił po francusku. Podczas pierwszej wojny światowej, jako kapitan bił się z Niemcami we Francji i nauczył się mówić po francusku. Wyciągnął i on z kieszeni płaską butelkę whisky. W tym momencie ktoś otworzył drzwi przedziału. Nasz Szkot błyskawicznie schował butelkę, zamienił kilka słów z przybyłym i dopiero po jego wyjściu ponownie wyjął butelkę i częstował nas.

Dnia 30 grudnia 1939 roku, o godz. 8-ej rano, przyjechaliśmy do Londynu na dworzec Victoria. Było nas tylko 6 osób. Z lotników, a było ich dużo, ani śladu.

Do ambasady polskiej dotarliśmy przed samym południem dzięki przechodniom, którzy nas prowadzili przez pewien czas, a następnie przekazywali innym którzy znali drogę.

Z ambasady zaprowadzono nas do stacji zbernej gdzie przyjął nas major lotnictwa. Znał on sporo oficerów w W.I.G. Proponował mi bym został w Anglii jako wykładowca topografii. Nie zgodziłem się uważając, że wojna jest we Francji a nie w Anglii.

Z dziennika personalnego, znajdującego się na stacji zbernej, dowiedziałem się, że Wojskowy Instytut Geograficzny znajduje się w Paryżu i że ppłk. Gąsiewicz został mianowany jego szefem.

Dnia 31 grudnia 1939 roku rannym pociągiem dojechaliśmy do Folkestone i małym statkiem „Côte d'Azur”, po bardzo spokojnym kanale, dopłynęliśmy o godz. 11.30 do Calais, skąd wieczornym pociągiem przyjechaliśmy do Paryża na dworzec Gare du Nord. Oficer służbowy na dworcu skierował nas do koszar Bessières, gdzie przybyliśmy o godz. 23.30, akurat na Sylwestra.

Nowy 1940 Rok powitaliśmy na dużej sali żołnierskiej, przeznaczanej dla oficerów. Nie było wolnych łóżek. Ułożyłem się do snu na łóżku oficera, który mi go odstąpił do godz. 9-ej rano. Był zaproszony na powitanie Nowego Roku.

Dnia 1 stycznia 1940 roku wynająłem pokój w hotelu „Bel Home”. O godz. 16-ej tegoż dnia zostałem przyjęty do Armii Polskiej we Francji w biurze werbunkowym w koszarach Bessières, rozpoczynając drugi okres mych przeżyć wojennych, zakończony trzecim okresem lat internowania w Szwajcarii.

Santa Cruz de Tenerife, grudzień 1969 roku.

Dr Piotr MOHORTYŃSKI
Kapitan Korpusu Geografów.

DOKUMENTY

Piotr WANDYCZ

MSZ WIDZIANE OCZAMI AMERYKAŃSKIEGO DYPLOMATY

Wśród niedawno udostępnionych zespołów archiwalnych w Bibliotece Franklina D. Roosevelta w Hyde Park znajdują się dwie duże teki skatalogowane pod nazwą John C. Wiley Papers. Zawierają one między innymi ciekawą korespondencję dotyczącą Polski we wczesnych 1930-tych latach.

John Cooper Wiley, urodzony w 1898 roku a zmarły w roku 1967, był zawodowym dyplomatą. Pierwsze swe kroki stawiał jako osiemnastoletni chłopak przydzielony do Ambasady Stanów Zjednoczonych w Paryżu. Następnie przeszedł przez szereg placówek w Europie Zachodniej, Ameryce Południowej i Środkowej zanim w roku 1930 zamianowany został sekretarzem a 10 kwietnia radcą Ambasady amerykańskiej w Warszawie. Towarzyszył nowomianowanemu ambasadorowi (pierwszemu ambasadorowi amerykańskiemu w Warszawie) John North Willysowi, którego kilkakrotnie zastępował w ciągu 1931 roku jako chargé d'affaires. Wiley pozostawał w zażyłych stosunkach z ówczesnym szefem sekcji wschodnio-europejskiej w Departamencie Stanu (*Division of Eastern European Affairs*) Robertem F. Kelley, z którym korespondował często na tematy środkowo-europejskie i polskie.

Lata 1930-31 były okresem szczególnego napięcia w stosunkach niemiecko-polskich, że wspomnę tu tylko głośną mowę Treviranusa z jesieni 1930 roku. Sekcja wschodnio-europejska poświęcała tym sprawom sporo uwagi a Wiley i Kelley wymieniali częste informacje i komentarze. W tym też okresie, dokładnie 21 marca 1931, sporządzono w Ambasadzie USA w Warszawie notatkę, dotyczącą wyższych urzędników MSZ. Czy autorem tej notatki był sam Wiley, trudno jest stwierdzić, tak jak nie ma pewności, że

notatkę tę przesłał swemu przyjacielowi Kelley do Waszyngtonu. Jest to co najmniej prawdopodobne, choć nie można wykluczyć, że notatka ta, wraz z innymi papierami Wiley'a, znalazła się w archiwum rooseveltowskim w jakichś innych okolicznościach. Wiley, ożeniony z Ireną Monique Baruch (w 1934 roku) nie przebywał zresztą w Warszawie zbyt długo. W późnych latach 1930-ych był radcą ambasady w Moskwie, w 1938 roku we Wiedniu. Po wojnie pełnił jeszcze przez szereg lat różne funkcje w dyplomacji amerykańskiej, między innymi jako ambasador w Kolumbii, Portugalii, Iranie i Panamie.

Notatka, której tekst podają poniżej w tłumaczeniu polskim, stanowi oczywiście tylko drobny przyczynek do historii stosunków polsko-amerykańskich w okresie międzywojennym. Wydaje się jednak interesującą gdyż odzwierciedla opinię wytrawnego dyplomaty o swych polskich kolegach. Tekst podany jest bez opuszczeń i komentarzy. Niektóre, trudne do przetłumaczenia zwroty angielskie, podane są również w ich oryginalnym brzmieniu.

Piotr WANDYCZ

POUFNA CHARAKTERYSTYKA URZĘDNIKÓW MINISTERSTWA SPRAW ZAGRANICZNYCH, Z KTÓRYMI MOŻE SIĘ MIEĆ DO CZYNNIENIA

- Adamkiewicz, Włodzimierz*: Referat niemiecki w P-2; uważany za całkiem zdolnego; mówi po angielsku i francusku; nie zanadto taktowny.
- Babiński, Leon: Radca Prawny; nie zanadto zdolny; osobowość nieprzyjemna; mówi po angielsku.
- Beck, Pułkownik Józef: Wiceminister (Podsekretarz Stanu dla Spraw Zagranicznych); Dyrektor Departamentu Administracyjnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych i w związku z tym kierujący bezpośrednio personelem; niezwykle zdolny i gotów iść do ostatecznych granic, aby przeprowadzić swój punkt widzenia; uważany za dyktatora polskiej polityki zagranicznej od 1926 roku, jako szef gabinetu Marszałka Piłsudskiego; czynny w zorganizowaniu swego rodzaju lokalnego zakonu [order] masonskiego; rozwiedziony i żonaty po raz drugi; rozumie, ale nie mówi po angielsku; w swym nastawieniu do Stanów Zjednoczonych zawsze bardzo przyjazny; wybitnie zdolny człowiek.
- Chrzanowski, Leon: Naczelnik Wydziału Prasowego [Prasy i Propagandy —P.W.] uprzednio attaché prasowy w Rzymie; mówi po francusku i rozumie po angielsku; nie jest zdolny; wskazane zwracanie się o informacje do jego pierwszego zastępcy Hładkiego, jeśli naprawdę pragnie się informacji czy dokumentacji.
- Biega, Bolesław: Kierownik Referatu Anglo-saskiego w Wydziale Zachodnim; także zajmuje się sprawami holenderskimi (?); uprzednio sekretarz Poselstwa Polskiego w Londynie; dwukrotnie żonaty z Angielkami, jego pierwsza żona umarła po urodzeniu syna; uprzednio był zadawalająco aktywny w zajmowaniu się amerykańskimi interesami, ale począwszy

* Większość imion podana jest w oryginale w wersji francuskiej; Taylora w wersji angielskiej. W tłumaczeniu przywrócono brzmienie polskie.

- od wczesnych miesięcy 1930 roku wykazuje spadek zainteresowania; mówi po angielsku i francusku.
- Czerwiński, Paweł: Sekretarz Ministra Spraw Zagranicznych Zaleskiego; bardzo przyjemny; gra dobrze w brydża; mówi po francusku i rozumie po angielsku; zadawałający towarzysz na kolację, wart kultuwowania do pewnego stopnia.
- Czosnowski, Hrabia Leon: Sympatyczny mały facet z krzywymi nogami i domieszką krwi żydowskiej; zastępca kierownika referatu sowieckiego w Wydziale Wschodnim; pan, który docenia zaproszenie od czasu do czasu na dobre przyjęcie [*swell party*], zawsze chętny do współpracy.
- Drymmer, Kapitan Wiktor T.: szef Wydziału Personalnego [osobowego — P.W.]; uprzednio w wydziale prasowym, a jeszcze wcześniej attaché wojskowy w Estonii, gdzie robił bardzo dobrą robotę. Bardzo taktowny i przyjemny, wart kultuwowania jako przyjaciel [*friend*]; mówi po francusku.
- Günther de Szwarzburg, Hrabia Władysław: Naczelnik dawnego Wydziału Południowego. Przyjemny, ale niezbyt zdolny. Powinien być wysłany niedługo na placówkę lub przeniesiony na emeryturę. Miał dobre placówki dyplomatyczne. Mówi po francusku i rozumie po angielsku. Jego żona, bardzo zdolna i czarująca kobieta, gra dobrze w brydża, ale jest zawsze bardzo zatroskana o zdrowie ich jedyne go dziecka.
- Hładki, Zdzisław: Zastępca Naczelnika Wydziału Prasowego. Osoba, do której należy się zwracać jeśli potrzebne są jakiekolwiek informacje. Poprzednio szef biura prasowego premiera i stąd mający pełne rozeznanie w sytuacji w Polsce. Jeden z najbardziej zadawałających ludzi w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.
- Jankowski, Tadeusz: Kierownik Referatu sowieckiego w Wydziale Wschodnim. Mówi po francusku. Pragnie bardzo być pomocny Ambasadzie amerykańskiej we wszystkich sprawach. Dobrze poinformowany w sprawach sowieckich, ale prawdopodobnie nie jest w pełni *au courant* wszystkich raportów nadsyłanych z Poselstwa Polskiego w Moskwie, gdyż można założyć, że wiele z nich idzie wprost do Belwederu.
- Lechnicki, Pułkownik Tadeusz: Zastępca Naczelnika Wydziału Zachodniego (P-2); mówi po francusku i niemiecku; brak wybitnych zdolności; sądzi się, że obecną swą pozycję zawdzięcza kontaktom z „Pułkownikami”.
- Lipski, Józef: Naczelnik Wydziału Zachodniego. Bardzo zdolny, przyjemny, pragnący współpracy z Ambasadą [amerykańską — P.W.]. Mówi po angielsku, francusku i niemiecku; kierował i kieruje polską polityką, jeśli chodzi o Ministerstwo Spraw Zagranicznych, w rokowaniach z Niemcami, w których to sprawach jest ekspertem.
- Łubiński, Hrabia Michał: Ekspert od spraw państw bałtyckich; w Wydziale Wschodnim Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Uprzednio przy Poselstwie Polskim w Rydze, dokąd był wysłany jako mąż zaufania Belwederu, a jeszcze wcześniej w Poselstwie Polskim w Sofii (?); całkiem przyjemny, dość zdolny, ale nie zanadto szczery. Mówi po francusku.
- Łukasiewicz, Juliusz: Dyrektor Departamentu Konsularnego. Uprzednio, poseł polski na Łotwie, dokąd był wysłany w celu pozyskania litewskich [sic! — P.W.] socjalistów dla polskiego punktu widzenia. Wybrany do tej pracy ze względu na poprzednie swe powiązania z lewym skrzydłem polskiego ruchu chłopskiego [*peasant elements*]. Młody, zdolny i energiczny. Mówi po francusku. Jego żona jest inwalidką.
- Makowski, Prof. Julian: Naczelnik Wydziału Traktatowego; bardzo zdolny i utalentowany człowiek, który mówi po francusku i który jest zawsze

- gotów służyć pomocą Ambasadzie [amerykańskiej — P.W.] gdy chodzi o informacje. Jeden z najlepszych ludzi w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.
- Markowski, Stefan: mówi po angielsku i francusku; aktywny towarzyszko [a social „it”]; unikać; mieszkał w Stanach Zjednoczonych; obecnie bez przydziału.
- Obrebski, Witold: Naczelnik Trzeciego Wydziału Departamentu Konsularnego, który zajmuje się sprawami wiz i deportacji. Mówi po francusku i rozumie po angielsku; człowiek niezbyt zadawalający, ale czuły na pochlebstwa. Ambasada [amerykańska — P.W.] winna być bardzo ostrożna w załatwianiu spraw z nim i zawsze traktować go z największą grzecznością niezależnie od tego co z tego wyniknie.
- Orłowski, Leon: Obecnie druga osoba w Wydziale Ustrojów Międzynarodowych (P-1) i ekspert od spraw gdańskich; niezwykle zdolny i bardzo szczery w swych stosunkach z Ambasadą [amerykańską — P.W.]. Mówi wszystkimi językami; osoba warta kultywowania; gra zwariowanego brydża i udziela się sporo towarzyszko [runs about town a good deal].
- Przeździecki, Hrabia Rajnold: Zastępca Szefa Protokołu i autor [książek — P.W.] o polskiej historii dyplomatycznej. Mówi po francusku. Wie wszystko o wszystkich. Dość snobistyczny.
- Raczyński, Hrabia Edward: Zastępca Naczelnika Wydziału Wschodniego, bogaty ziemianin pochodzący z poznańskiego. Bardzo przyjemny *gentleman* w pełnym znaczeniu tego słowa, który pragnie współpracować we wszelki możliwy sposób z Ambasadą [amerykańską — P.W.]. Brak mu umiejętności wyrażenia tego co umie [lacks the power to express what he knows], ale bardzo wartościowy przyjaciel [friend].
- Roman, Antoni: ekonomista Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Mówi po angielsku, francusku i niemiecku; głównie zajęty pracą związaną z konferencjami międzynarodowymi. Przyjazny.
- Romer, Hrabia Karol: Szef Protokołu; zdolny organizator, ale niezbyt taktowny. Poprzednio w austriackiej służbie zagranicznej. Mówi po angielsku i francusku. Należy okazywać wszystkie względy jego żonie z uwagi na jej takt i szarm.
- Schaetzel, Pułkownik T[adeusz]: Naczelnik Wydziału Wschodniego, na którym to stanowisku został umieszczony przez Marszałka Piłsudskiego. Prawdopodobnie niewiele wie o sprawach wschodnich, ale jest bardzo zdeterminowaną osobą w wykonywaniu rozkazów przychodzących z góry. Mówi po francusku i niemiecku; był szefem gabinetu premiera; radcą Polskiej Ambasady w Paryżu; szefem Drugiego Oddziału w Ministerstwie Wojny i attaché wojskowym w Turcji (?). Gdy był w Drugim Oddziale nie zachowywał się w sposób szczery i przyjazny wobec Pułkownika McKenney, byłego amerykańskiego attaché wojskowego tutaj.
- Sokolnicki, Dr Michał: Naczelnik Wydziału Historyczno-Naukowego. Pracowity człowiek, pochodzący z poznańskiego, mówiący po angielsku i francusku i bardzo chętny do przyjaznych stosunków z Amerykanami, choć użyteczność [Sokolnickiego — P.W.] jest ograniczona. Gra przyjemnie w brydża. Jego żona jest czarująca i gra świetnie w brydża; jeden z najlepszych graczy w Warszawie.
- Sokolnicki, Henryk: zajmuje stanowisko w Niemieckim Referacie Wydziału Zachodniego. Jego specjalnością jest bycie miłym na balach i kolacjach. Mówi po francusku.
- Sokolowski, Dr Władysław (Pete): Pełniący obowiązki naczelnika Wydziału Ustrojów Międzynarodowych (P-1). W tym charakterze jest on ekspertem Ministerstwa Spraw Zagranicznych w sprawach dotyczących Ligi Narodów i odpowiednich kongresów międzynarodowych. Zamianowany

radcą w Waszyngtonie, aczkolwiek data jego wyjazdu nie jest jeszcze ustalona. Bardzo przyjemny i chętny do współpracy z Amerykanami. Jest ekspertem od antyków. Zajmował polskie stanowiska rządowe we Francji i Stanach Zjednoczonych. Żonaty z Elizabeth Lynch z Brooklynu, bardzo piękną kobietą, której zdrowie nie bardzo dopisuje w Warszawie.

Staliński, Jan: Zastępca kierownika referatu anglo-saskiego. Bardzo zdolny człowiek, zawsze gotów do współpracy z Ambasadą [amerykańską — P.W.]. Szczególnie jest on użyteczny w sprawach ekonomicznych. Pragnie otrzymać posadę w Bank for International Settlements. Gra nieźle w brydża. Mówi po angielsku, francusku i niemiecku. Żonaty z amerykańską wdową.

Szumalakowski, Dr Marian: Szef gabinetu Ministra Spraw Zagranicznych z rangą i tytułem ministra. Mówi po francusku i mało rozumie po angielsku. Specjalista od spraw litewskich i bardzo zdolny pracownik. Szczególnie nie lubiany przez wszystkich w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Lubi brydża. Wartościowy przyjaciel. Żona jego zajmuje poważną pozycję w kołach kobiet pracujących [*professional women's circles*].

Taylor, Jan: Zastępca naczelnika Wydziału Traktatowego. Mówi po angielsku i francusku. Chętny do współpracy z Ambasadą [amerykańską — P.W.] jeśli chodzi o dostarczanie informacji.

Wehr, Dr Witold: Sekretarz Protokołu. Miła mała figurka, która może być bardzo użyteczna w sprawach dotyczących protokołu, któremu poświęca większość swej pracy. Mówi po francusku. Czasem informacje, które podaje są błędne. (Pani Michałowska jest jego chętną i zdolną współpracowniczką).

Woytkowski, Tadeusz: Lew salonowy [*social entertainer*] Wydziału Prasowego. Gra dobrze w brydża, mówi po angielsku i francusku. Nie jest w stanie dostarczyć wielu informacji.

Zaniewski, Henryk: ekspert od Dalekiego Wschodu w Wydziale Wschodnim Ministerstwa Spraw Zagranicznych; mówi po angielsku i francusku, żonaty z Kanadyjką. Poprzednio w rosyjskiej carskiej służbie w Kanadzie. W ostatnich latach przebywał w polskich poselstwach w Tokio i Moskwie. Całkiem inteligentny i przyjemny i bardzo chętnie służący pomocą.

Mc.W.: W — March 21, 1931

WSPOMNIENIA

Lucjan SZULKIN

O POWSTANIU I UPADKU „GHETTA PODZIEMNEGO”

Rankiem, 19 listopada 1941 roku, po nieomal dwuletnim pobycie we Lwowie, wróciliśmy do rodzinnej Warszawy. Tegoż dnia, pod wieczór, przekroczyliśmy bramy getta — ja, moja żona, nasze matki, siostra żony z dzieckiem.

Decyzja przeniesienia się do „żydowskiej dzielnicy mieszkaniowej” w stolicy nie przyszła łatwo. Mielibyśmy zapewne możliwość ukrycia się po „aryjskiej stronie”. Znaleźliby się przyjaciele, którzy zechcieliby nam pomóc. A prócz tego wierzyłem w moje przedwojenne powiązania z warszawską organizacją PPS.

Inaczej zadecydowały jednak nasze matki, których pozostawić własnemu losowi nie chcieliśmy. Zdawało im się, że w getcie, gdzie mieszkali przecież nieomal wszyscy ci, których Hitler chciał napiętnować opaską z gwiazdą Dawida — łatwiej będzie przetrwać wojnę. Bały się trudów nielegalnego życia. A prócz tego nie śniło im się, a — prawdę mówiąc — i nam się wtedy nie śniło, że owa, odcięta od reszty świata, „dzielnica”, pomyślana była przez Niemców jako pierwszy etap wędrówki Żydów ku śmierci.

Słowa Żyd używam i będę używał dalej w znaczeniu, jakie mu nadały ustawy norymberskie. Jest rzeczą oczywistą, że w getcie zamknięci zostali również ludzie, mający z żydostwem niewiele wspólnego, oprócz może przodków innej wiary, aniżeli otaczający ich od stuleci świat chrześcijański, a co ważniejsze —

oprócz drogi przez mękę, która połączyła wszystkich skazanych na powolne umieranie za murami różnych gett, lub znacznie już szybsze w obozach zagłady.

Szwagierka, której męża aresztowali we Lwowie Ukraińcy — wkrótce po tym został rozstrzelany — wołała także getto od „aryjskiej strony”. W „dzielnicy” mieszkali bowiem ojciec i bracia zamordowanego.

Jeszcze we Lwowie przygotowaliśmy więc „skok” przez mur. Był to zresztą wówczas skok niezbyt trudny. Poza gettem znalazło się sporo dużych, Niemcom potrzebnych, żydowskich fabryk. Okupanci godzili się przez pewien czas na to, aby właściciele tych fabryk, ich żydowscy robotnicy i urzędnicy — nadal przychodzili do pracy. Otrzymywali zbiorowe przepustki i niemieckich konwojentów, którzy eskortowali ich w czasie przechodzenia przez „aryjskie” ulice. Należało więc tylko przyłączyć się do takiego konwoju. Niemieccy strażnicy — odpowiednio opłaceni — chętnie zamykali oczy na te często stosowane praktyki. A zawsze ktoś potrafił zręcznie wstawić do zbiorowej przepustki parę dodatkowych nazwisk.

Gdy wczesnym przedpołudniem znaleźliśmy się w fabryce mydła „Majde i sp.” przy ul. Okopowej — wszystko już było przygotowane na nasze przyjęcie. Przeczekaliśmy godziny pracy, a następnie, zaopatrzeni w opaski z gwiazdą Dawida, poszliśmy wraz z robotnikami, ustawieni w czwórki — do „domu”.

Droga wiodła przez bramę w murze, na rogu Leszna i Żelaznej. Stąd było już tylko kilka kroków do mieszkania teścia mojej szwagierki — przy ulicy Leszno 73. Tu mieliśmy — moja żona, matka i ja — przetrwać pierwsze dni, do chwili znalezienia jakiegoś pokoju. Przyjęto nas serdecznie. Nie tylko kolacją, ale i radami, które przydać nam się miały w nowych, zupełnie nam nieznanych warunkach.

Dnia następnego dowiedzieliśmy się, że na parterze domu, w którym dano nam pierwsze schronienie — zwolnić się ma wkrótce pokój. Jego mieszkanka, stara kobieta — umierała. Śmierć w getcie była wtedy rzeczą tak codzienną — panował głód i tyfus plamisty — że przestała już wywoływać większe wrażenie. Dla nas jednak, którzy od kilku dopiero godzin znajdowaliśmy się w jej pobliżu — rzecz wydawać się musiała straszna: zgon jednego człowieka stwarzał miejsce dla innych.

Wkrótce przekonałem się, że choć śmierć regulowała w jakiś sposób problemy kwaterunkowe „żydowskiej dzielnicy mieszkaniowej” — to i tak do każdego, zwolnionego w ten sposób, metra kwadratowego cisnęły się dziesiątki, jeśli nie setki, chętnych. Niemcy zamknęli bowiem w getcie nie tylko Żydów war-

szawskich, ale również mieszkańców okolicznych miast i miasteczek. Spędzili tu nawet kilkuset Żydów niemieckich, dając im „przywilej” zamieszkania w Wielkiej Synagodze, przy ulicy Tłomackiej i noszenia — zamiast opaski z gwiazdą Dawida — żółtej łąty, jak w średniowieczu. W rezultacie tej polityki centralizacyjnej — na obszarze zamieszkałym przed wojną przez około 250-300 tysięcy ludzi, stłoczono teraz ponad pół miliona.

Koło południa wyszedłem po raz pierwszy na ulice miasta, w którym się urodziłem, ale które stało się obce i nieznane. Trzeba się było z nim dopiero zapoznać. Poszukać znajomych, krewnych żony, u których pozostały resztki naszej garderoby. Moja matka i żona zabrały jej część, uchodząc z naszego mieszkania przy ulicy Sienkiewicza, zajętego przez Niemców wkrótce po kapitulacji Warszawy. Ja byłem już w tym czasie we Lwowie. One przyjechały tam do mnie dopiero pod koniec 1939 roku.

Spieniężenie pozostałości naszego przedwojennego dobytku, choć ceny skupu były w getcie bardzo niskie, parokrotnie niższe aniżeli po drugiej stronie muru, mogło ułatwić nam przeżycie kilku najbliższych dni, a może tygodni. Potem miałem nadzieję na znalezienie jakiegoś „zajęcia”.

Ledwie wyszedłem na ulicę otarłem się o owo upragnione „zajęcie”.

Lesznem płynął tłum ludzi, którego obrazu, choć czas łagodzi ostrość konturów i barw, nie sposób zapomnieć. Straszny był ten tłum swoją zebraczą nędzą, niepokojem tysięcy rozbieganych oczu, gwarem — jęczących jakby wspólną skargę — głosów. I nagle — z owego gwaru ucho moje wyłowiło do mnie skierowane przywołanie. Przede mną stał kolega uniwersytecki, aplikant adwokacki z Łodzi (będąc dziennikarzem i ja aplikowałem przed wojną u adwokata). Ubrany był prawie normalnie, bez śladu niedostatku — tak jak widywałem go przed paru laty na zebraniach Stowarzyszenia Aplikantów Adwokackich, którego obaj byliśmy członkami. Tyle, że na głowie miał okrągłą czapkę, z czarnym, skórzanym daszkiem. Na jej niebieskim otoku widniały jakieś nieznane mi dystynkcje. Jak mi właściciel owej czapki wyjaśnił — owe dystynkcje oznaczały oficera żydowskiej służby porządkowej, czyli policji gettovej.

Funkcja ta — o czym byłem już poinformowany — nie należała do zaszczytnych. Pominę więc nazwisko owego „oficera”, któremu zresztą — o ile wiem — nikt niczego przestępczego nie zarzucał, ani wtedy, ani obecnie. Oprócz oczywiście faktu przynależności do formacji policyjnej na usługach hitlerowskich władz.

Stanęliśmy w bramie jakiegoś domu i opowiadaliśmy sobie o swych wojennych losach. Dowiedziawszy się o tym, że właśnie stawiam pierwsze kroki na gettowym bruku — mój rozmówca zaproponował mi pracę w wydziale aprowizacyjnym służby porządkowej, którym zarządzał (czy też współzarządzał).

Propozycja była kusząca. Wydział aprowizacyjny — to dawało gwarancję sytości. Ale odmówiłem. Upředzono mnie przecież o niesławnej działalności służby porządkowej. Kolega-aplikant próbował mnie przekonywać, choć w sposób oczywisty przekonywał przede wszystkim sam siebie o słuszności swojego stanowiska. Powołał się nawet na autorytet adwokata Berensona (już wówczas nieżyjącego), znanego obrońcę politycznego i szlachetnego człowieka. Właśnie on miał powstanie żydowskiej policji zaakceptować.

Argumenty te nie przekonały mnie jednak. Jak się później dowiedziałem, Berenson, gdy zaraz po zamknięciu getta, Rada Żydowska zapytała go o opinię w tej sprawie — miał oświadczyć, że nie widzi innego sposobu obrony mieszkańców „żydowskiej dzielnicy mieszkaniowej” przed gwałcicielami porządku publicznego. Skoro policja granatowa pozostała za murami, trzeba stworzyć własną. Berenson nie przypuszczał jednak, że żydowska służba porządkowa będzie kolaborować z Niemcami.

Leszno pełniło w getcie funkcję nie tylko ważnej arterii komunikacyjnej, ale i swoistego deptaka. Ludzie kręcili się po nim, aby wyrwać się z zaduchu zatłoczonych mieszkań. Ale i tu, na ulicy, był tłok i zaduch, a pod ścianami siedzieli, czy też leżeli żebracy-półtrupcy, ostatkiem sił wołający o wsparcie. Nikt nie zauważał, gdy niektórzy milkli i umierali, czasem tylko ktoś litościwy przykrywał ich starą gazetą. Zakład pogrzebowy uprzątał zmarłych po zapadnięciu nocy.

Wracając po paru godzinach — owym deptakiem — do domu (po odnalezieniu części naszego dobytku, ukrytego dotąd u rodziny żony i po oddaniu go na sprzedaż pośrednikowi) — natknąłem się na asystenta przy katedrze prawa handlowego UW, kierowanej przed wojną przez profesora Namitkiewicza. Zналиśmy się dawno i dobrze z Adamem Danielem Szczygielskim. Przez kilka lat uczestniczyłem w pracach seminarium, które pomagał on prowadzić profesorowi.

Przywitaliśmy się serdecznie. Długo, spacerując Lesznem, opowiadaliśmy sobie o swych przeżyciach po ostatnim spotkaniu w gmachu Uniwersytetu Warszawskiego. Bardzo szybko dowiedziałem się, że Szczygielski związany był z ruchem podziemnym: słuchaj — zwrócił się do mnie w pewnej chwili — chcemy założyć pismo, może byś ty zabrał się do jego zorganizowania?

Propozycja ta nieco mnie zaskoczyła. Jej obcesowość, jak zresztą cała opowieść Szczygielskiego o jego działalności, była przecież sprzeczna z podstawowymi, zdawałoby się, zasadami konspiracji. Niedługo miałem się przekonać, że nie chodziło tu tylko o nieostrożność mojego rozmówcy. Cała organizacja, do której należał, działała bez śladu dbałości o bezpieczeństwo osobiste. W pewnym stopniu wynikało to zapewne z dość naiwnej wiary przywódców owej organizacji w ludzką uczciwość. Zdrada z trudem mieściła im się w głowie. Był to błąd kosztowny, przyszło zaś wkrótce zapłacić życiem wielu ideowych, młodych ludzi.

Mimo zaskoczenia — propozycja Szczygielskiego zainteresowała mnie. Umówiliśmy się za dwa dni. Miał czekać na mnie na rogu Leszna i Solnej.

Obaj stawiliśmy się punktualnie. Zaprowadził mnie na ulicę Białą 8, gdzie na nas już czekano.

W małym pokoju, zatłoczonym meblami z większego zapewne mieszkania, siedzieli przy stole sami znajomi. Adwokatów Antoniego Oppenheima i Stefana Warszawskiego spotykałem w sądach. Gospodarzem był inżynier Jerzy Neuding, którego poznałem kiedyś u wspólnych przyjaciół. W pokoju była jeszcze córeczka Neudinga, chora na koklusz. Ojciec co chwila musiał uspakać dziecko, kaszlące spazmatycznie. Matki nie było w domu, pracowała w jakiejś instytucji dobroczynnej, których w getcie było sporo i energicznie działających. Długo ześmy rozmawiali w tym ciasnym, zadymionym pokoju. Rozstaliśmy się dopiero późnym popołudniem. Czasu więc starczyło na dokładne zapoznanie się z działalnością i planami PS-Polskich Socjalistów* — tak bowiem nazywała się organizacja, do której zostałem przyjęty.

Program PS, jak mi go zreferowano, był bliski programowi tzw. „jednolitifrontowej” lewicy PPS, z którą przed wojną sympatyzowałem. Zakładało to współdziałanie, lecz nie podporządkowanie się komunistom. W getcie z komunistami trudno było zresztą w owym czasie współpracować. Było ich sporo, ale nie zorganizowanych. KPP, jak wiadomo, była rozwiązana przez Stalina, a PPR jeszcze nie istniała. Utworzono ją dopiero w styczniu 1942 roku. W rezultacie, zastanawiając się nad rolą komunizmu w naszej walce z hitleryzmem, braliśmy pod uwagę przede wszystkim stosunki polsko-sowieckie. A było właśnie po porozumieniu zawartym pomiędzy rządem ZSSR, a londyńskim rządem generała Sikorskiego. Choć mieliśmy wszyscy w pamięci pomoc jakiej Stalin udzielał Hitlerowi, m.in. okupując znaczną część

* Organizacja ta przekształcona została w kwietniu 1943 roku w R.P.P.S. — Robotniczą Partię Polskich Socjalistów.

Polski — wszyscy byliśmy zdania, że Sikorski działał słusznie, bowiem wojna, którą III Rzesza narzuciła Rosji postawiła ją w rzędzie naszych sojuszników. Dziś mieliśmy więc wspólnego wroga i wspólne zadanie.

Moi nowi towarzysze zobowiązali mnie do napisania sprawozdania z wrażeń odpiesionych pod sowiecką władzą. Takiego sprawozdania domagać się miała „centrala PS” — po aryjskiej stronie. Już byli tam poinformowani o rozmowach ze mną. O łatwości kontaktów przez mur miałem się przekonać wkrótce. Na razie byłem zaskoczony, a najbardziej tym, że znano mnie w centralnym kierownictwie PS.

Okazało się, że nic w tym dziwnego nie było. Z opowiedzianej mi w skrócie historii powstania organizacji Polskich Socjalistów wynikało, że i ja znam wielu jej założycieli i przywódców.

Przed wojną byłem w luźnym kontakcie z Norbertem Barlickim, a w bliższym ze Stanisławem Dubois, który utworzyli grupę „Barykady Wolności”. Z niej to wyrosli później Polscy Socjaliści. Co prawda Barlicki i Dubois aresztowani zostali już przed rokiem, ale do KC PS wchodził Stanisław Chudoba — „Stefan”, z którym współpracowaliśmy parę lat w PPS-owskim „Dzienniku Ludowym”, redagowanym przez Zygmunta Zarembę. Lubiłem „Stefana” i miałem doń zaufanie. Podano mi i inne nazwiska, np. Leszka Raabego, którego spotkałem ostatni raz we Lwowie, gdzie leczył się z ran, odniesionych przy obronie tego miasta (Raabe później wystąpił z PS). Do organizacji polskich socjalistów należał również Jan Mulak, znany działacz sportowy, jeden z filarów socjalistycznego klubu „Skra”. I kilku innych, z którymi spotykałem się — bądź to w PPS, bądź w Towarzystwie Uniwersytetu Robotniczego, bądź w pracy dziennikarskiej.

O moich gospodarzach wiedziałem sprzed wojny, że mają lewicowe powiązania. Jedyną postacią, której bym nigdy nie podejrzewał w ogóle o zainteresowania polityczne, a już na pewno nie lewicowe — był Szczygieski. Zналиśmy go — studenci prawa, absolwenci wydziału prawa na UW — jako mola książkowego, którego niezbyt wiele interesowało poza prawem handlowym. W tej dziedzinie był na pewno mocny. Okazało się, że był także mocny w tzw. legalizacji, jak nazywano podrabianie wszelkich, potrzebnych w konspiracji dokumentów. Szczygieski podrabiał je tak sprawnie, że gdy w 1940 roku został aresztowany przez Niemców, po drugiej stronie muru, potrafił — przy pomocy różnych Ausweisów własnej produkcji — wmówić im swe „aryjskie” pochodzenie. Przesiedział się tylko kilka miesięcy na Pawiaku, skąd go zdrowego i całego wypuszczono, aby mógł wrócić do

swej podziemnej roboty w Speergebiet. Adam Daniel był w PS nie tylko szefem owej legalizacji, ale też członkiem władz. Tak to apolityczny Anio, rozpieszczany przez matkę, czuwającą nad spokojem jego pracy naukowej, stał się aktywnym konspiratorem — towarzyszem „Anią”.

Przewodniczącym gettowej grupy PS był adwokat Antoni Oppenheim — „Tomasz”. Sekretarzem inżynier Jerzy Neuding — „Maks”. Stefan Warszawski był członkiem kierownictwa, a także stałym łącznikiem z „aryjską stroną”.

Z niektórymi innymi członkami PS poznałem się później.

Dość długo rozważaliśmy, jak zabrać się do organizowania pisma, którym to zadaniem ja miałem być obarczony.

W getcie ukazywała się pewna ilość biuletynów i periodyków, głównie w języku żydowskim, ale również i polskim. O ile pamiętam największą i najlepszą prasą rozporządzał Bund. Musiał mieć jakieś fundusze, które ułatwiały mu pracę, także wydawniczą, w tak niesprzyjających warunkach. Osobiście przypuszczałem, że jeden z przywódców przedwojennego Bundu, Maurycy Orzech (w konspiracji nosił pseudonim — Janczyn) łoży na swą prasę partyjną z własnej kieszeni. Był on przed wojną dość bogatym przemysłowcem i wtedy już chyba finansował w pewnej mierze działalność żydowskich socjalistów w Polsce. Spotykałem go dość często w redakcyjnym gabinecie Zygmunta Zaremby, który również korzystał z życzliwej pomocy swego bundowskiego towarzysza, gdy „Dziennik Ludowy” znajdował się w trudnościach finansowych. A znajdował się w nich często, z uwagi na liczne konfiskaty dziennika. Tzw. Komisariat Rządu chętnie wydawał odpowiedni nakaz już po rozproszaniu gazety do kiosków i po rozdaniu go tzw. majdaniarzom*, cały nakład bowiem wówczas przepadał. W przeciwieństwie do Bundu i niektórych innych ugrupowań politycznych w getcie — my nie mieliśmy żadnego, choćby najskromniejszego mecenasa. KC PS sam nie rozporządzał znaczącymi funduszami i pomóc nam nie mógł. Co najwyżej dobrymi radami i ewentualnymi artykułami. Z tym nie mieliśmy jednak kłopotów. Ale skąd wziąć chociażby powielacz, jeśli o drukarni marzyć nawet nie mogliśmy?

Powielacz stał się więc teraz podstawowym zagadnieniem. O papier nie musiałem się troszczyć. Przedwojenna sekretarka „Ani”, z uwagi na kolor włosów nazywana w organizacji „Rudą”, zobowiązała się wynosić go tyle ile nam będzie potrzeba z jednego z gminnych urzędów, w którym pracowała. Miała m.in. pod swą opieką materiały piśmienne. A więc łatwy dostęp do papieru

* Byli to gazeciarze, rozwożący rowerami gazety do sprzedawców.

i matryc. Ale powielacza wynieść oczywiście nie mogła, zauważono by jego zniknięcie natychmiast.

Szczygielski poradził mi, abym w tej sprawie udał się do Zofii Szwarberg (chyba nie mylę nazwiska), koleżanki naszej z seminarium prawa handlowego. Jej siostra miała kontakty handlowe z „drugą stroną”. Może ona potrafi coś zorganizować. Obie były członkami PS.

Z uwagi na moją, nieustabilizowaną jeszcze, po przyjeździe ze Lwowa — sytuację, dostałem tydzień „urlopu instalacyjnego”. Po tygodniu miałem się zameldować u Szczygielskiego, który mieszkał wraz z matką i ojczymem na ul. Solnej. Towarzysz Ania został moim łącznikiem z kierownictwem. Wkrótce ta jego funkcja stała się fikcją. Utrzymywałem bowiem stały kontakt tak z nim, jak z „Tomaszem”, „Maksem”, „Stefanem”. Rzadko natomiast spotykałem się z jeszcze jednym znajomym, adwokatem, używającym pseudonimu „Lutek”. Był on zwierzchnikiem organizacji wojskowej PS w getcie. Była to chyba jedyna działalność nasza za murami, stosunkowo dobrze zakonspirowana. Najmniej też o niej wiedziałem — tyle, że „Lutek”, oficer rezerwy, zmierzał bardziej do związania się z wojskowymi poczynaniami PS poza gettem, aniżeli rozwijania szerszej działalności w getcie. Łączność z Blokiem Antyfaszystowskim (powstałym w marcu 1942 roku), a później z ŻOB'em (powstałym w kilka miesięcy później) nie była też nigdy — o ile wiem — ustalona instytucjonalnie. Choć kontakty utrzymywano przy różnych okazjach. Zresztą gdy ŻOB się rodził, Polscy Socjaliści w getcie, po zlikwidowaniu przez Niemców ich trzonu kierowniczego — nie wiele już mogli zdziałać.

Przed pożegnaniem się ustaliliśmy jeszcze, że będę się w konspiracji nazywał „Rudy”. Nie z uwagi na kolor włosów, byłem brunetem. Mój nowy pseudonim nawiązywał do starego, dziennikarskiego: Rudolf* Lessel. Nie był to pomysł szczęśliwy, w PS była już przecież „Ruda”. Aby uniknąć omyłek — w niektórych przypadkach mówiono o mnie mąż Elżuni. Ktoś kiedyś, nie mogąc na poczekaniu wymyśleć czegoś lepszego — powiedział, czy też napisał — zamiast „Rudy” „mąż Elżuni” — i tak już zostało.

Mając 7 dni czasu przed sobą zabrałem się do załatwiania własnych spraw. Po dwóch, czy może trzech dniach wprowadziłem się, z żoną i matką do pokoju, o którym już wspominałem. Krewni zmarłej zabrali jej meble. Pozbierałem więc ich trochę wśród znajomych. Część rzeczy, uratowanych z naszego mieszkania, które zabrali Niemcy — udało się sprzedać. Były więc i

* Rudolf w niemieckim zdrobnieniu to Rudi.

pieniądze na pierwsze tygodnie życia. Znajomi, mający z kolei kontakty w urzędzie meldunkowym przy Radzie Żydowskiej — zarejestrowali nas jako przybyłych z jakiegoś, podwarszawskiego miasteczka. Żydzi w tym miasteczku zamieszkaali byli właśnie przymusowo przesiedlani do stołecznego getta. Meldowanie „reemigrantów” ze Lwowa nie było możliwe, gdyż władze niemieckie zakazały wszelkich wędrówek żydowskich pomiędzy terenami nowo zdobytymi, a Generalną Gubernią.

Nie przewidzieliśmy, że znajdzie się ktoś, kto zechce na tej nielegalności zarobić. Skutki donosu odczułem nieco później. A tymczasem, jako pełnoprawny obywatel getta — zacząłem stawiać pierwsze kroki na obcym mi dotąd terenie działalności podziemnej i ... nielegalnej działalności zarobkowej.

W getcie bardzo wielu ludzi utrzymywało się z niemieckich zakazów. Byli to przede wszystkim przemytnicy — głównie przedwojenni tragarze, ludzie silni i odważni. Dali zresztą dowód swej odwagi — nie tylko w działalności szmuglerskiej. Również czynem zbrojnym. To właśnie oni przyłączyli się do Żydowskiego Związku Wojskowego, powstałego z organizacji „Świt”, do której, już od 1939 roku, należało wielu żydowskich oficerów i podoficerów. ŻZW działał od ŻOB-u niezależnie. Nawet w dniach powstania w getcie zachował autonomię, aczkolwiek współpraca obu organizacji była bliska i skuteczna. Dzięki przemytnikom, którzy dostarczali zza muru — praktycznie rzecz biorąc — prawie wszystko, oprócz chleba kartkowego i sztucznego miodu, przynajmniej część ludności getta mogła się utrzymać przy życiu.

Podobną rolę żywicieli getta odgrywali młynarze, piekarze, wytwórcy różnych innych środków żywności, lub przedmiotów codziennego użytku (surowce otrzymywali również głównie od przemytników). Część owych, gettowych przemysłowców, którzy — na zamówienie niemieckie — dostarczali produktów przydziałowych, działała legalnie, to znaczy zgodnie z przepisami niemieckich władz. Ale większość — piekła chleb, męła zboże, czy wyrabiała mydło — bez zezwolenia, w zakonspirowanych piekarniach, młynach, małych warsztatach, fabryczkach. Rada Żydowska mogła czasem, w ramach posiadanych pełnomocnictw, udzielić zezwolenia na prowadzenie owych piekarni, młynów, warsztatów.

Taki oficjalny papierek był marzeniem wielu gettowych „fabrykantów”. Chronił on ich przed wiecznym strachem. Bali się przecież wykrycia swej „nielegalnej” działalności. Choć rzecz oczywista nie było czego wykrywać. Trudno jest zataić pracę maszyn młynarskich, kotłów i pras mydlarskich. Niemcy o wszystkim dobrze wiedzieli — a za krótką pamięć kazali sobie płacić. Od czasu do czasu... przypadkiem natykali się na owe warsztaty

— i ściągali dodatkowy haracz. Zdarzało się, że dla wywołania większego wrażenia, albo dla zachwiania poczucia bezpieczeństwa u punktualnych płatników owego haraczu-podatku, policja niemiecka zabierała „wysledzonych przestępców” do więzienia. Skąd rzadko wracali. Na ich miejsce wchodzili nowi producenci, płatnicy wciąż większych łapówek.

Któregoś dnia zwrócił się do mnie jakiś młynarz, właśnie nielegalny, pytając, czy nie mam wystarczających znajomości w wydziale zaopatrzenia Gminy, aby wyrobić mu koncesję. Nie bardzo umiał powiedzieć kto go do mnie przysłał. Co prawda znałem paru ludzi zatrudnionych w różnych urzędach Rady Żydowskiej, ale nie rozporządzali oni koncesjami. Wynik naszej rozmowy byłby więc zerowy, gdyby ów młynarz nie wpadł na doskonały dla mnie pomysł. Zaproponował mi radcostwo prawne w... nielegalnym związku nielegalnych młynarzy. Istniał taki. Pensji nie miałem zresztą otrzymywać, tylko honorarium za „dintojrę”, za napisanie podania, czy sporządzenia aktu jakiejś umowy. Niewiele z tej działalności dało się wyciągnąć pieniędzy, ale na skromne życie wystarczyło, biorąc pod uwagę, że moja żona, mikrobiolog, pracowała również. Dostała posadę w dziecięcym szpitalu epidemicznym. Jej obserwacje gehenny, która była udziałem dzieci żydowskich za murami dzielnicy, mogłaby stanowić kanwę dla wstrząsającej opowieści.

Owo radcostwo nie było związane z jakimiś określonymi godzinami pracy. To oczywiście bardzo mi odpowiadało, z uwagi na działalność konspiracyjną. A prócz tego, w getcie — tak jak w całej Polsce — prowadzono niekończące się „nocne rodaków rozmowy”. Z uwagi na godzinę policyjną, były to na ogół rozmowy dzienne. Wiele więc czasu spędzałem na Solnej u Szczygielskiego, dokąd schodziło się trochę znajomych, głównie członków PS, lub sympatyków tej organizacji. Omawialiśmy sytuację — w getcie, w GG, na świecie, snując koncepcje strategiczne, zastanawiając się nad kształtem przyszłej, niepodległej Polski, a że taka powstanie — nikt z nas nie wątpił. Zbieraliśmy się też, rzadziej, u Neudinga, na Białej. Tam spotkania miały bardziej organizacyjny charakter. Rozważaliśmy zadania PS w getcie, przyjmowaliśmy instrukcje i informacje, które przychodziły z centrali za murem. Najczęściej widywaliśmy się jednak w zakrystii kościoła Najświętszej Marii Panny, gdzie mieszkał Oppenheim z żoną i synem. Tam — zdawało nam się — było najbezpieczniej. Niemcy chyba nie wejdą do zabudowań kościelnych? Tam też było — zimą — najcieplej. Wszyscy mieliśmy trudności ze zdobyciem opału. „Tomasz” trudności tych nie miał. Na jednej ze ścian pokoju, który zajmował, rozciągnął drut cekazowy, taki

jakiego używa się do piecyków i kuchenek elektrycznych. Drut był zawieszony na bezpiecznikach, chroniących przed pożarem. A przed rachunkami — nie na kieszeń Oppenheima, czy księdza, który mu udzielił gościny — obu chroniło to, że ów drut podłączono do sieci, za licznikiem. Zużycie prądu nie było więc notowane.

U Świętej Marii Panny było zawsze ciepło i przytulnie. A gdy czasem ktoś przyniósł butelkę bimbrowa, a pani domu poczęstowała „herbatolem” — zapominało się na chwilę o istnieniu Niemców.

Rozmowy, narady, dyskusje — dawały nam uczucie, że bierzemy udział w tym co się dzieje na świecie. a przede wszystkim w Polsce. A mieliśmy możliwości wpływania na bieg wydarzeń — choćby w getcie — bardzo ograniczone. Nawet zdobycie powielacza, który miał się stać instrumentem naszego oddziaływania na opinię publiczną getta, było dla nas trudne. Dostaliśmy go jednak. Adres, który podała mi Ania, okazał się właściwy. Zofia Szwarcberg mieszkała na Lesznie. Numeru domu już nie pamiętam. Pozostała mi w pamięci ładna kawalerka, która należała do niej już przed wojną. Gdy zamknięto getto — sprowadziła do niej siostrę. Dom był najwyższy, po nieparzystej stronie ulicy. Z wysokiego (chyba 6-go) piętra widać było dachy okolicznych domów, pobliskie sądy grodzkie, w których odbywały się czasem spotkania (również konspiracyjne) ludzi z obu stron muru. Z obu bowiem stron muru przychodziły do sądów różnorakie, często przedwojenne jeszcze sprawy, głównie cywilne. Niemcy nie odcieśli dostępu do gmachu sądów mieszkańcom getta, musieli się tylko wylegitymować wezwaniem, ale za to szpicli było tu więcej, aniżeli gdziekolwiek indziej w Warszawie.

Patrząc na odległy, już „aryjski” świat — doznawało się uczucia nagle odzyskanej swobody. To może powodowało, że wielu znajomych chętnie przychodziło do sióstr, aby po prostu popatrzeć w przestrzeń, za oknami.

W załoczonem gościu pokoju nie można było oczywiście mówić o konspiracyjnych sprawach. W małej kuchence umówiliśmy się więc, że siostra Zosi zasięgnie języka na temat kupna powielacza u swoich znajomych zza muru.

Jak się wkrótce okazało, rzecz nie była trudna do załatwienia, chodziło tylko o pieniądze, ale tych nikt z nas nie miał w nadmiarze. Udało nam się jednak, dość szybko, zebrać odpowiednią sumę. Każdy z nas uszczknął coś ze swego rodzinnego budżetu, drobne sumki wpłacali różni przyjaciele, nawet z PS nie związani, którym się wytłumaczyło, że chodzi o rzecz pierwszorzędną wagi. Neuding cieszył się szczególnie dużym zaufaniem, wystarczyło,

że poprosił o skromny datek, bez nawet podawania na jaki cel będzie przeznaczony.

Cała suma została więc wkrótce przeniesiona na aryjską stronę. Dostarczenie nam powielacza nie przedstawiało już większej trudności. Przywieziono go do małego, drewnianego domku, na Stawkach. Był tam postawiony przez zarząd miejski. Nie pamiętam już czemu miał służyć. Nam służył jako punkt kontaktowy. W domku tym pracował bowiem, zaopatrzony w telefon — członek PS, towarzysz „Paweł”. Domek stał tuż obok muru i o kilka metrów od zamaskowanego otworu, przez który odbywał się dwustronny ruch, oczywiście nielegalny — z i do getta. Tędy przerzucano towary, pod okiem przekupionych strażników niemieckich i żydowskich policjantów, tędy chodzili po instrukcje PS-owcy. Tędy też Stefan Warszawski przeniósł z pomocą „Pawła” powielacz. Czekaliśmy na Stefana tuż przy murze getta. Nasza „drukarnia”, zapakowana w kartonowe pudło, została załadowana na rowerową riksę i powędrowała do zakrystii kościoła Świętej Marii Panny. Kierowcą rikszy był również członek PS.

Okazało się, niestety, że dostawcy potraktowali nas — powiedzmy — nie bardzo rzetelnie. Powielacz był zepsuty. Trzeba go było oddać do naprawy. A i to nie było wcale proste. Po getcie kręciło się co prawda pełno tzw. złotych rączek, zręcznych rzemieślników, ale nie znaleźmy żadnego, który by mógł się zao piekować naszym powielaczem. Dopiero po kilku dniach Szczygielski przyprowadził do zakrystii właściwego specjalistę. Był znajomym „Ani”, a prócz tego — podobno — sympatykiem PS. Obiecał doprowadzić „drukarnię” do stanu używalności w ciągu paru dni.

Ja tymczasem, zgodnie z poleceniem KC PS pisałem raport o sytuacji we Lwowie — pod sowiecką, a następnie hitlerowską okupacją. W domu pracować nie mogłem. Chodziło o ukrycie przed moją matką, osobą schorowaną, moich powiązań z podziemiem. Oddano więc mi do dyspozycji lokal konspiracyjny u rodziny Moszkowskich.

Ów lokal znajdował się na Lesznie, w domu należącym do Moszkowskich, dawniej zamożnych właścicieli ziemskich. Wprowadzono mnie do wielkiej stajni, na podwórzu. W czasie wojny nie służyła ona już jako pomieszczenie dla koni. Tu mieszkaly, po przeprowadzeniu się z innej dzielnicy, starsza pani Moszkowska z córkami Janką i Ireną oraz małym, paroletnim synkiem Ireny.

Matka handlowała w stajni mlekiem i twarogiem, dostarczonym jej co dnia zza muru. Ten skromny handel był źródłem utrzymania całej rodziny.

Janka należała do PS i była łączniczką kierownictwa, również moją. Jej matka i Irena były we wszystko wtajemniczone.

W tej to stajni, okropnie zimnej, ustawiono dla mnie stół. Zaopatrzone mnie w papier. Moim podręcznym archiwum były gazety konspiracyjne, te wychodzące w getcie, jak i te wydawane po drugiej stronie muru. Janka przynosiła je — gdy mi były potrzebne — z piwnicy, gdzie w skrytce umieszczono całe nasze, konspiracyjne archiwum.

Siedziałem więc w palcie, chuchając często w zmarzniete palce i pisałem. Z pewnym niepokojem spoglądałem też jak co chwila do stajni wchodziły klientki po mleko. Choć sam handel odbywał się za przepierzeniem, przy drzwiach — wiele pań wchodziło jeszcze do „części mieszkalnej” stajni, aby porozmawiać z panią Moszkowską, albo załatwić jakiś inny, nie „mleczny” interes. Wiele więc osób musiało mnie widzieć. W parę miesięcy później, kiedy w getcie zaczęła już działać PPR — jeden z jej członków, mój kolega uniwersytecki i przyjaciel, powiedział mi: człowieku, bój się Boga, całe getto wie o waszej, PSowskiej konspiracji. Ryzykujecie głową. Miał oczywiście rację.

Po paru dniach byłem gotów nie tylko z raportem, ale z podstawowymi materiałami do pierwszego numeru gazety, który zamierzaliśmy wydać, gdy tylko nasza „złota rączka” sprawi się z reparacją powielacza. Stefan zaproponował mi w związku z tym, abym mu towarzyszył gdy będzie przynosił raport na „aryjską stronę”. Chętnie się zgodziłem. Bardzo byłem ciekaw „kanału”, którym połączeni byliśmy z KC PS. A prócz tego chciałem poznać osobiście towarzysza „Pawła”.

W przeddzień wyprawy, która dla Stefana była rutyną, a dla mnie przygodą, spotkaliśmy się na chwilę. Stefan dał mi niewielką paczkę korespondencji, którą miałem przechować do rana i zabrać ze sobą za mur. Umówiliśmy się na ósmą. Po przyjeździe do domu, tuż przed godziną policyjną — przysunąłem krzesło do szafy i ową paczuszkę, wraz z moim raportem położyłem na niej. Wtem usłyszałem dzwonek do drzwi wejściowych. Za chwilę, ledwie zdążyłem zejść z krzesła — bez pukania wszedł do naszego pokoju jakiś gruby jegomość, z kapeluszem zsuniętym na tył głowy (agent, jak z amerykańskiego filmu kryminalnego) — za nim wsunął się żydowski policjant.

— Pan Szulkin? — zapytał gruby.

— Tak.

— A te panie?

— To moja matka i żona.

— Skąd się tu wzięliście?

— Przesiedlono nas przed paru tygodniami (podałem fikcyjną datę, odpowiadającą meldunkowi) z... — podałem miasteczko, z którego mieliśmy rzekomo przyjechać.

— Czyżby? A na jakiej ulicy tam mieszkaliście?

— Na Warszawskiej — strzeliłem na chybił trafił. Czy jest w okolicy Warszawy miasteczko, w którym nie byłoby ulicy o tej nazwie?

— Ciekawe — odpowiedział gruby — ja mam zgoła inne informacje. I chyba dokładne. Przyjechaliście ze Lwowa. Po co kłamać. Chodźmy na komisariat. Tam się pan prześpi, a jutro będzie się pan tłumaczył Niemcom — co i jak.

Zacząłem powoli, z ociąganiem się wkładać palto, aby opóźnić chwilę wyjścia. Może tymczasem wpadnie mi coś mądrego do głowy. Ale nic nie wpadło. Gdy zacząłem się żegnać z matką i żoną, zapewniając je, że jutro rano wszystko się wyjaśni i wrócę zaraz do domu — agent coś szepnął na ucho swemu żydowskiemu towarzyszkowi, popatrzył na mnie i powiedział:

— No, niech pan jednak dziś jeszcze prześpi się we własnym łóżku. Jutro wpadnie tu ten, wskazał palcem na policjanta, i razem przyjdziecie gdzie należy.

Wyszli.

Odetchnąłem. Obeszło się bez rewizji, zatrzymanie odłożone do jutra. Rzecz zaczęła się klarować — chodzi chyba o łapówkę. Ale ile?

Gdy za naszymi, nieproszonymi gośćmi zamknęły się drzwi — wbiegł do nas właściciel mieszkania, pragnąc się dowiedzieć o co chodziło.

Opowiedziałem mu przebieg wydarzeń. — A, to nie ma strachu — powiedział. — Potrzebne są, oczywiście, pieniądze. Znam tego policjanta. Wszystko da się ładnie załatwić.

W drzwiach rozległ się ponownie dzwonek? Gospodarz wyszedł z naszego pokoju. Po chwili wrócił, mrugając do nas porozumiewawczo: — Już jest, ten policjant, niech pan pójdzie do mnie.

W stołowym, obstawionym łózkami licznej rodziny właściciela mieszkania, siedział przed chwilą poznany policjant. Przedstawił się grzecznie i powiedział: — Pan rozumie, ja do tego nic nie mam, ale taki nielegalny przyjazd ze Lwowa musi kosztować.

— Ile? — zapytałem.

— No, najmniej trzy kawałki.

Roześmiałem się. — Może pan — z równym powodzeniem — żądać trzydziestu. Nie mam, ani trzech, ani trzydziestu tysięcy.

Targowaliśmy się dość długo, a gospodarz próbował nas gościć. Wreszcie stanęło na 300 złotych, kawie i ciastkach. W get-

cie było parę kawiarni z doskonałą kawą (szmuglowaną) i nie gorzszymi wypiekami cukierniczymi, własnej produkcji. Pamiętając o jutrzejszej wyprawie do „Pawła”, poprosiłem policjanta, abysmy spotkanie z agentem odłożyli o dzień, bo i te trzysta złotych muszę pożyczyć.

Zgodził się łatwo, dodał tylko łagodnie, ale stanowczo, że nie radzi mi dalej opóźniać wypłaty pieniędzy. Poprosił też o 50 złotych za pośrednictwo. Obiecałem, że je mu dam, po ostatecznym ubiciu interesu z jego szefem.

Wszystko odbyło się w terminie, po dwóch dniach — bez żadnych już komplikacji. Wypiliśmy po dużej kawie, zjedliśmy kilka ciastek, porozmawialiśmy o ciężkim życiu w ogóle, a w szczególności w czas wojenny, po czym agent zainkasował pieniądze — i poszedł. Policjant został chwilę dłużej, aby wziąć swoją pięćdziesiątkę.

Po nocnych emocjach z agentem granatowej policji, a może „szupo” — tego nie wiedziałem — spało mi się dość kiepsko. Obudziłem się wcześnie. O umówionej godzinie, punktualnie, zjawił się Stefan. Poszliśmy przez pełne już ruchu miasto, w stronę Stawek.

Wydawało mi się, że przejście przez mur będzie imprezą choćby trochę awanturniczą, wymagającą odwagi i ostrożności. Pewna odwaga może i była potrzebna, bowiem zarówno po tej, jak i po tamtej stronie — Niemcy dokonywali — od czasu do czasu — nagłych wypadków, aresztując zarówno Żydów, przechodzących na aryjską stronę, jak i Polaków, którzy ich oczekiwali. Były to głównie kontakty handlowe. Mimo jednak pewnego ryzyka całe przedsięwzięcie pozbawione było elementu przygodowo-romantycznego.

Nie daleko słabo zamaskowanej dziury w murze, dzielącym getto od „aryjskiej” strony, stali, poukrywani w okolicznych bramach, ludzie czekający swojej kolejki. Żydowski policjant regulował ruch. Co parę minut zaglądał na drugą stronę muru, następnie przywoływał kolejnego amatora przejścia, inkasował odeń „myto” w kwocie kilkudziesięciu złotych i poganiał, aby szedł szybko. Był to moment, w którym niemiecki strażnik oddalał się od otworu, a więc niczego nie widział, ani nie słyszał. Za tę ślepotę i głuchotę miał przeważający udział w „mycie”.

Dobrze naoliwiony mechanizm zgrzytał jednak czasem, gdy strażnik niemiecki postanowił zarobić więcej. Wtedy dostrzegał niespodziewanie pechowego podróżnika, bił go, kopał, ale dawał się na ogół ubłagać jakimś grubszym banknotem. Sprawy przebiegały mniej pomyślnie, gdy niespodziewanie, chyba również dla wartownika, przechodził patrol. Wtedy, od strony żydowskiej na

gwałt dziurę zakładano cegłami, ale ci, których złapano za murem kończyli swą drogę w Gestapo. Rzadko stamtąd wracali. Gdy patrol zjawiał się w getcie — szli do Gestapo wszyscy, którzy nawinęli się pod rękę — również regulujący ruch żydowski policjant.

Stefan i ja przedostaliśmy się na aryjskie Stawki bez kłopotów. Nie oglądając się na Niemca, który z karabinem na ramieniu zawrócił właśnie w naszą stronę, poszliśmy w kierunku małego, nie dalego stojącego domku. Czekał tam na nas „Paweł”.

Jakież było moje zdziwienie, gdy ów Paweł, o którym sporo już słyszałem w związku z naszymi kontaktami z KC PS, okazał się starym znajomym. Był to Jan Moszkowski, zresztą daleki krewny Moszkowskich z getta, tyle, że należał do gałęzi „rodu” dawno już ochrzczonej. Przed wojną był w kontakcie z tzw. lewicą sanacyjną. Parokrotnie zapraszał mnie też na dyskusje do klubu, założonego przez Krzeczковского. Ostatni raz odwiedziłem ten klub w czasie zebrania, odbytego na czwartym piętrze oficyny domu przy ulicy Nowy Świat 37*. Na pierwszym piętrze mieszkałem przez wiele lat wraz z moimi rodzicami. Jeszcze pamiętam temat dyskusji: chodziło o reformę rolną. Moi gospodarze bronili tezy parcelacji całej wielkiej własności, ale po jej uprzednim przymusowym wykupieniu przez państwo, za cenę przez nie ustaloną. Ja z poglądem tym polemizowałem, wypowiadając się za parcelacją bez odszkodowania.

Przypomniat mi się ten wieczór dyskusyjny, gdy zobaczyłem „Pawła”, który był uprzedzony o mojej wizycie. Oddał mi ukłony od „Stefana” — Chudoby. Znow mieliśmy współpracować, ale w jak różnych warunkach aniżeli przed wojną.

„Paweł” miał dla nas informację o poglądach KC PS na treść pisma, które mieliśmy wydawać. „Drugiej stronie” chodziło o zwrócenie czytelnikom w getcie uwagi na ścisłą więź jaka zachodzi pomiędzy ich losem, a losem całej ludności Polski. Chodziło również o przekonanie mieszkańców getta, że nie ma jakiegokolwiek szansy na w miarę spokojne przeżycie wojny za murami — na co wielu liczyło. Ten swój punkt widzenia KC PS ilustrował sprawdzonymi faktami wyjątkowo okrutnego traktowania Żydów przez okupanta. Ostatnią wiadomością jaka dotarła do KC było „eksperymentalne” mordowanie Żydów przy użyciu gazów spalinowych. Do samochodów ciężarowych, ze specjalnie uszczelnioną budą — pakowano tylu ludzi ilu się dało tam

* Klub Krzeczковского — o ile się nie mylę — nazywał się „Klubem Nowy Świat 47”. Skąd więc zebranie w lokalu o kilka bram bliżej ul. Chmielnej? Może został tam przeniesiony, a może mieszkanie w domu nr 37 zostało wynajęte dodatkowo. Nie umiem na to odpowiedzieć.

pomieścić, następnie puszczano motor w ruch. Gazy spalinowe docierały do wnętrza samochodu przez rurę wydechową, przedłużoną i skierowaną wylotem do wnętrza karoserii. Śmierć następowała po kilkunastu minutach, gazy spalinowe działały wolno. Cyklon, którego Niemcy używali później, w Oświęcimiu — był więc „humanitarniejszym” środkiem uśmiercania niewinnych ofiar. Działał bowiem szybciej.

Domek „Pawła”, jak już wspominałem, miał i tę dla nas zaletę, że Zarząd Miejski zaopatrzył go w telefon. Mogliśmy więc stąd porozumiewać się z kim tylko chcieliśmy. Mogliśmy też, w razie koniecznej potrzeby, dzwonić do „Pawła” z getta. Nie było to jednak, ani łatwe, ani pozbawione ryzyka. W getcie bowiem telefony miały tylko urzędy — były więc pod stałą kontrolą. Niemcy nie przerywali telefonicznej łączności „dzielnicy” ze światem zewnętrznym. Nawet w pierwszych dniach powstania w getcie, kiedy byłem już po drugiej stronie muru, rozmawiałem z przyjaciółmi, którzy tam pozostali. To był ostatni raz kiedy słyszałem ich głos. Wkrótce potem Niemcy poprzecinali kable telefoniczne, a owym przyjaciołom nie udało się już dostać z bombardowanej i wysadzanej systematycznie w powietrze „żydowskiej dzielnicy mieszkaniowej”.

Z poglądem KC na treść pisma gettowego zarówno Warszawski jak i ja zgadzaliśmy się, tym łatwiej, że dano nam pełną swobodę działania i przystosowywania się do mogących wyniknąć, szczególnych, „żydowskich” — sytuacji. Nawet artykułu wstępnego, który „Paweł” nam wręczył, nie mieliśmy obowiązku umieścić: jak wam będzie wygodnie — powiedział. Było to tym słuszniejsze, że jeszcze nie wiedzieliśmy dokładnie kiedy pierwszy numer naszego pisma się ukaże, powielacz mógł nam w każdej chwili spłatać figla. Takie nieprzyjemne figle zdarzały się zresztą i potem parokrotnie, opóźniając ukazanie się kolejnego numeru, lub ograniczając jego nakład.

Nasza wizyta po aryjskiej stronie trwała do późnego popołudnia. Nie mieliśmy bowiem wyboru godziny powrotu. Z góry ją określił żydowski policjant, kierujący „ruchem”. Tak manewrował, aby nie powstawały korki przy dziurze. My mieliśmy się stawić o godzinie czwartej.

Następnego dnia rano — jak już o tym wspominałem powyżej — załatwiłem swoje sprawy meldunkowe, wręczając okup agentowi. Nie przeciągnęło się to długo. Wprost więc z kawiarni, w której spotkałem się z moimi „kontrahentami”, pobiegłem do zakrystii „Tomasza”. Czekają już tam na mnie całe nasze kierownictwo. Stefan i ja złożyliśmy sprawozdanie z wypadu za mur.

Następnie dość długo zastanawialiśmy się nad nazwą pisma, które już wkrótce miało ujrzeć światło dzienne. Tytuł „Getto podziemne” brzmiał w naszych uszach najlepiej. Ale jak pisać owo „Getto”? Według dawnej pisowni — „Ghetto”, czy według nowszej — „getto”?

Z perspektywy lat ta dyskusja, w miarę zacięta, wydawać się może nawet komiczna, ale nam przecież zależało na tym, aby tytuł oddawał plastycznie naszą ówczesną sytuację. Średniowieczne ghetto, z literą *h* w środku odzierciedlało ją najwłaściwiej. I tak więc w tytule naszego biuletynu zachowaliśmy starą ortografię.

Ustaliliśmy też, że pierwszy numer ukaże się w ciągu paru najbliższych dni. Był już początek grudnia.

Objętość tego numeru nie była wielka. O ile dobrze pamiętam wydaliśmy osiem stron formatu podaniowego. Maszyna do pisania, której używaliśmy miała duże trzcionki, był to stary Underwood. „Ruda” przepisywała teksty na interlinię więc — mówiąc językiem mniej fachowo-drukarskim — z odstępem podwójnym.

Biuletyn zawierał ów wstępny artykuł, który nam wręczył przed paru dniami „Paweł”. Były to uaktualnione politycznie pozdrowienia, życzenia pomyślności i zapewnienia o solidarności tych, którzy walczą po drugiej stronie muru.

Sam napisałem o powstaniu, zadaniach i założeniach ideologicznych PS w getcie. Szkic sytuacji wojskowej po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej dał „Maks”. O getcie, jego problemach społecznych, napisał „Ania”. Numer zawierał prócz tego trochę materiału informacyjnego z obu stron muru. Nacisk w tych informacjach położony był na kompromitowaniu — zarówno żydowskiej służby porządkowej, jak i policji granatowej, zarówno żydowskich gestapowców, jak i ich polskich kolegów, w ten lub inny sposób pomagających hitlerowcom w tępieniu tak Żydów jak i Polaków. Ostrzegaliśmy też Żydów, przechodzących na drugą stronę muru, przed „szmalcownikami”. W następnych numerach naszego biuletynu udało nam się nawet parokrotnie podać nazwiska „szmalcowników” szczególnie zasłużonych. Wiadomości o nich otrzymywaliśmy od przyjaciół z aryjskiej strony. Tych którzy nie wiedzą co to takiego ów „szmalcownik” — informuję, że byli to ludzie, zajmujący się procederem wyłapywania Żydów, którzy ukryli się poza murami, albo znaleźli się tam dla załatwienia jakichś swoich spraw.

Pamiętam też, że w tym pierwszym numerze „Ghetta podziemnego” zamieściliśmy krótki, syntetyczny artykuł o sytuacji gospodarczej dzielnicy na tle takiejże sytuacji pozostałej części Warszawy i całej Generalnej Guberni. Ten temat wracał następ-

nie we wszystkich chyba numerach pisma, które udało nam się wydać. Autor był zawsze ten sam. Nie pamiętam niestety, kto nim był. Może zresztą wcale go nie znałem. Niektóre artykuły dostarczali mi anonimowo — Szczygielski, Oppenheim, Neuding lub Warszawski. Sami pisali raczej rzadko. Znaleźliśmy też współpracownika, którego nigdy nie widziałem, a który zajmował się polemiką z niektórymi tezami pism, wydawanych w języku żydowskim. W naszym, dzielnicowym kierownictwie PS nikt nie znał tego języka. Ów anonimowy współpracownik posługiwał się nim natomiast świetnie. Dostarczał nam też stale przegląd prasy żydowskiej, jak i tłumaczeń ważniejszych publikacji. Służyły nam dla własnej informacji, przekazywaliśmy je też do KC PS za murem.

Po przepisaniu na woskówkach wszystkich materiałów, odbiliśmy ok. 300 egzemplarzy biuletynu, pracując w nocy u „Tomasza”. Graficznie numer nie był dobry. Nigdy zresztą nie udało nam się — patrząc na to ze strony estetycznej — wydać lepszego. Była to wina zarówno kiepskiego powielacza, jak i bardzo marnej farby.

Kolportażem pisma zajmowali się wszyscy. Wrzucaliśmy poszczególne egzemplarze do skrzynek pocztowych, należących do ludzi wybranych przez nas uprzednio. Kilka egzemplarzy pozostawiliśmy też w różnych urzędach gminnych.

Po numerze grudniowym staraliśmy się wydawać naszą gazetkę w miarę punktualnie, raz na dwa tygodnie, mając nadzieję, że po pewnym czasie przejdziemy na wydanie tygodniowe. Okazało się jednak, że nawet terminu dwutygodniowego nie potrafiliśmy dotrzymać. Nie były to trudności redakcyjne. Materiału mieliśmy pod dostatkiem. Chodziło — jak już wspominałem — o często psujący się powielacz. A także o papier. „Rudej” wciąż trudniej było wynosić go z biura. Zaczęto tam zwracać uwagę na nadmierne jego zużycie. Nie my jedni korzystaliśmy zapewne z tego źródła zaopatrzenia w materiały piśmienne. Ryzyko było więc duże. Papier można było kupić bez większych trudności nawet w getcie, ale na to brak nam było gotówki. Wszyscy borykaliśmy się z trudnościami finansowymi. Nikomu z nas nie przyszło do głowy, że pieniądze można zdobyć metodą ekspriacji, stosowaną — w późniejszym co prawda czasie — przez żydowskie organizacje bojowe. Mimo wszystkich tych trudności — „Ghetto podziemne” docierało do czytelników, choć coraz nieregularniej i we wciąż mniejszym nakładzie. Do ostatniego numeru głosiliśmy, że Żydom nie pozostawiono żadnego innego wyboru oprócz walki.

Czy samoobrona zbrojna była w ogóle możliwa? Spędziliśmy wiele godzin, zastanawiając się nad tym, tak ważnym dla nas problemem. Dziś, po wielu latach, gdy znamy fakty, które wtedy były dla nas często tajemnicą — łatwiej na to pytanie odpowiedzieć.

Oczywiście krytyka bierności mas, zamkniętych w różnych gettach była zgodna z linią polityczną, którą wtedy przyjęliśmy. Chcieliśmy przekonać owe masy żydowskiego proletariatu i drobnomieszczaństwa, że muszą, że mogą stawiać opór. Rzecz nie była jednak wcale prosta. Dopiero w ostatnich niemal miesiącach istnienia getta warszawskiego zaczęły doń napływać niewielkie ilości broni, tak od AK, jak i od AL. Z broni tej — jak dziś wiadomo — potrafili bojownicy gettowi zrobić dobry użytek. Ale zanim do tego doszło — sytuacja w żydowskich dzielnicach mieszkaniowych — wcale nie sprzyjała walce zbrojnej. W przeciwieństwie do współobywateli zza muru, Żydzi nie mieli możliwości stosunkowo swobodnego poruszania się po miastach i pomiędzy miastami, na wsi. Trudno więc było się porozumiewać, ustalić jakiś wspólny plan działania dla wszystkich gett w kraju. Śtłoczeni w gettach, ich mieszkańcy, znajdowali się też pod wyjątkowo silną presją psychiczną. Głód, tyfus plamisty dziesiątkowały ich. Nie wolno niestety zapominać i o tym, że tzw. żyły wygląd (czyli wygląd semicki), często kiepska polszczyzna, ułatwiała robotę policji niemieckiej i granatowej, a także „szmalcownikom”, polującym na Żydów, którzy znaleźli się po „aryjskiej” stronie*.

Wszystko to stanowiło dodatkowe obciążenie: strach otoczenia przed wchodzeniem do getta, strach jego mieszkańców przed wyjściem. Dodajmy drakońskie kary za ukrywanie, w ogóle za kontakty z Żydami. Trzeba było wielkiej odwagi, nieomal bohaterstwa, aby te kontakty utrzymywać. A bohaterów jest w końcu zawsze mniej aniżeli wystraszonych lub obojętnych na niedolę obcych ludzi. No, i wreszcie należy pamiętać, że znaczna, chyba przeważająca część społeczności gettowej to byli Żydzi religijni, nie przyzwyczajeni do używania broni, mający tradycyjny, wpajany przez pokolenia wstręt do wszelkiego gwałtu, nawet jeśli ten gwałt miał być zadany przeciwnikowi w obronie własnego życia.

Przypomina mi się w związku z tym obraz, który widziałem w jakiś świąteczny dzień żydowski, w roku 1943. Było to

* Nawet wyroki śmierci na tych ludzi, ferowane i wykonywane przez polskie podziemie, — nie wszystkich potrafiły odstraszyć od brudnej roboty.

w tzw. szopie szczotkarzy*. Mieszkańcy bloku przy ulicy Święto-jerskiej, gdzie mieścił się ów szop (mieszkałem tam wówczas z rodziną), zostali zaalarmowani, że idą Niemcy. Miała to być kolejna łapanka na wyjazd do Trawniki lub Poniatowa, gdzie obiecywano Żydom pracę i spokojne życie. ŻOB (Żydowska Organizacja Bojowa) wydała polecenie ukrywania się, a nawet przeciwstawiania się siłą próbom deportacji. Wiadomo wtedy było już dość powszechnie, że z Trawniki i Poniatowa droga wiedzie do hitlerowskich obozów zagłady. Kto żyw śpieszył się do specjalnie w tym celu pobudowanych, przemysłowych bunkrów, które później, w czasie powstania, służyły za punkty oporu. Nie ukryła się tylko grupka dziesięciu, starszych Żydów, którzy ubrani w rytualne szaty — odprawiali modły. Dla nich to był święty dzień, którego nie chcieli zakłócić — dobrowolnie — oderwaniem się od kontemplacji i swej rozmowy z Bogiem, choćby w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Obserwowałem, przez wąziutką szparkę, pomiędzy ceglami zamurowanej suteryny, jak szli otoczeni śmiejącymi się niemieckimi żołnierzami. Brudną robotę w getcie wykonywali nie rzadko wehrmachtowcy, rekonwalescenci, którzy w ten sposób odkładali, albo unikali wysłania na front.

Dla takich ludzi jak ci Żydzi, skazani przecież na śmierć — wszelki opór, nawet tylko bierny, nie mieścił się w ich systemie myślenia. Iluż to pomordowanych wierzyło do końca — bardziej w siłę modlitwy, aniżeli broni? Czy tylko Żydzi religijni? Przypomnijmy sobie, że wcale nie mała część ludności Warszawy, w czasie powstania z roku 1944, również próbowała szukać pomocy w modlitwie — przy na przykładzie zbudowanych kapliczek podwórzowych lub piwnicznych. Tyle może tylko, że ci ludzie z powstańczej Warszawy nie byli, aż tak fanatyczni, aby zastępować modlitwą możliwość schronienia się przed wrogiem.

A zresztą czy żydowskich uczestników ruchu oporu było rzeczywiście tak bardzo mało? Nikt nigdy nie obliczał ich, ani nie próbował porównać ich ilości z ilością np. francuskich

* Szop w terminologii gettowo-okupacyjnej oznaczał coś w rodzaju przed-industrialnej manufaktury. Przedsiębiorca niemiecki otrzymawszy odpowiednią koncesję od władz, gromadził na jakimś terenie większe, lub mniejsze grupy Żydów, którzy za nędzne wyżywienie, ale z nadzieją na przeżycie — pracowali dłońmi bezpłatnie, wyrabiając np. szczotki, szyjąc bieliznę, czy konfekcję. Sprzęt Żydzi musieli mieć własny. Posiadanie np. maszyny do szycia wydawało się wtedy gwarancją — jakżeż zawodną — doczekania końca wojny.

maquisarów* (oczywiście w stosunku do ogólnej liczby Żydów w Polsce, w czasie wojny i liczby Francuzów).

Zimą 1943 roku mówiono w getcie, że Niemcy przestraszyli się tyfusu plamistego i że właśnie tyfus jest — wobec tego — najlepszą gwarancją spokoju w obrębie murów. Przechodzenie natomiast owych murów stało się niebezpieczniejsze. Wciąż używano — choć z większymi aniżeli dotąd przeszkodami — otworów „zalegalizowanych”, a więc takich, z których niemieccy strażnicy ciągnęli bezpośrednie zyski. Natomiast wciąż trudniej było wydostać się na aryjską stronę przez otwory wydrążone siłami — jakby to dziś w Polsce powiedziano — prywatnej inicjatywy. Przede wszystkim dzieci-żebracy, które wtedy szły po kawałek chleba dla siebie i rodziny, ciężko odczuły zaostrożną kontrolę przy murze. Zgęstniały też patrole w głębi miasta. Wzrosła ilość szmalcowników, proporcjonalnie do ilości Żydów, którzy próbowali pozostać na aryjskiej stronie, zaopatrujący się w aryjskie dokumenty.

Rzekomy spokój w żydowskiej dzielnicy był oczywiście zwodniczy. Nigdy na dłużej nie ustały wypadki gestapo, czyniącego swoją robotę.

Zimą, nie pamiętam już dokładnie kiedy, zaaresztowano „Tomasza” Oppenheima. Z tą wiadomością przyszła do mnie Janka Moszkowska. Gestapo — jak opowiadała później żona „Tomasza” — zrobiło dość pobieżną rewizję. Zdawało jej się, że skoro nie znaleźli niczego obciążającego — pojadą skąd przyjechali. Pojechali, zabierając jednak ze sobą jej męża.

Bez zwłoki „Maks” i chyba „Ania”, wraz z żoną „Tomasza” przeprowadzili sami bardzo skrupulatną rewizję papierów i dużej biblioteki Oppenheimów. To co było „trefne” wynieśli, na razie do mieszkania Neudingów. Również powielacz. Przewoziliśmy go odtąd z miejsca na miejsce co kilka dni.

Gestapo przyjeżdżało do zakrystii kościoła Najświętszej Marii Panny jeszcze parę razy. Parokrotnie przywozili ze sobą „Tomasza”. Szukali czegoś, on miał im w tych poszukiwaniach pomóc, ale — jak się wydaje — niczego nie znaleźli.

Niedługo po tym aresztowano żonę „Tomasza”. Po paru miesiącach pobytu na Pawiaku została jednak zwolniona i wróciła do małego synka. Oppenheim nie wrócił już nigdy. Został rozstrzelany.

W parę tygodni po tym „nalocie” gestapo przyszedłem do Moszkowskich. Było już koło południa. Jakież było moje zdziwienie, gdy zobaczyłem Jankę, leżącą jeszcze w łóżku. Jak mi

* Partyzantów, nazwa pochodzi od słowa maquis, teren zarosły krzakami.

wyjaśniła jej siostra, Irena, Janka spała, gdyż całą noc przesiedziała w piwnicy ich domu (tam gdzie było ukryte nasze archiwum organizacyjne), gdyż w mieszkaniu-stajni gestapo przeprowadzało rewizję. Niczego jednak nie znaleźli.

Obudziłem natychmiast Jankę, zwymyślałem ją za nieostrożność, namawiając, aby zaraz poszukała sobie jakieś pewnej „meliny”. Zgodziła się wyjść z domu, ale oświadczyła mi z uśmiechem, że dziś musi jednak... zdawać egzamin na pielęgniarkę, ukrywać się więc może tylko do południa, kiedy to ten egzamin miał się odbyć, w którymś z żydowskich szpitali. Próbowiałem jej wytłumaczyć niebezpieczeństwo na jakie naraża siebie i pośrednio nas wszystkich. Odpowiedziała, obrażona, że — mogę być spokojny — nikogo nie sypnie. Pobiegłem natychmiast do „Maksa”, aby powiadomić go o sytuacji. Neuding poszedł do Moszkowskich. Zaprowadził Jankę do swoich znajomych, u których miała przeczekać czas pewien i ewentualnie przejść następnie na drugą stronę muru, gdzie towarzysze z KC PS mogli jej wynaleźć odpowiednie schronienie.

Wieczorem gestapo zabrało Jankę z sali egzaminacyjnej. Nie posłuchała rad, ani nawet rozkazu. Zdawała podobno spokojnie i dobrze.

Znaleźliśmy się w stanie alarmu. Tej samej nocy archiwum z piwnicy u Moszkowskich zostało przeniesione w bezpieczniejsze miejsce. Niestety nie pamiętam dokąd. Nie pamiętał też tego ani Stefan Warszawski, ani siostra Janki. Nie można więc było nawet podjąć prób odkopania ukrytych dokumentów.

Nasze archiwum było z całą pewnością dużo skromniejsze od znanego archiwum Ringelbojma, ale dotyczyło problematyki przezeń nie zanotowanej: polskiego ruchu socjalistycznego w getcie. Przechowywaliśmy sporo dokumentów, mówiących o naszych kontaktach z KC PS, mieliśmy tam komplet „Ghetta podziemnego”. Nie zachował się chyba ani jeden egzemplarz tego pisma. Jeszcze przed samym wyjazdem z Polski próbowałem odnaleźć jakiś ślad po nim w warszawskich archiwach i bibliotekach, ale bez skutku.

Aresztowanie Janki zmusiło mnie do zmiany „lokalu redakcyjnego”. Odtąd pisałem w domu, dalsze ukrywanie mojej działalności przed matką i tak już nie miało sensu, dość dawno domyślała się wszystkiego. Zresztą niewiele było do pisania. „Ruda” z trudem tylko dostarczała nam niewielkie ilości papieru. Powielacz wciąż reperowany działał źle. Wydaliśmy też w tym czasie jeden tylko numer „Ghetta”, w kilkudziesięciu egzemplarzach.

Tymczasem w getcie atmosfera niepokoju narastała. Krążyły plotki o zbliżającym się niemieckim uderzeniu. Ludzie, mający takie czy inne kontakty z tzw. „13” (owa filia gestapo w dzielnicy żydowskiej mieściła się na Lesznie pod nr. 13 — stąd nazwa), z Abramem Gancgeweichem, który z polecenia Niemców założył prowokacyjną organizację pod nazwą „Żagiew”, lub z Izraelem Firstem, wtyczką gestapo w Radzie Żydowskiej — plotki te potwierdzali. I może dla tego nie bardzo w nie wierzyliśmy, podejrzewając, że Niemcy chcą wywołać panikę w getcie. PS-owcy zza muru nie umieli tych plotek ani potwierdzić, ani im zaprzeczyć.

Niestety informacje, jak się wkrótce okazało, były prawdziwe. Ale my, członkowie PS zostaliśmy zaalarmowani dodatkowo grypem, który Janka przesłała nam z Pawiaka. Niech „Ania” się ukryje — pisała. „Mąż Elzuni” może być na razie przynajmniej spokojny.

Janka dotrzymała więc swego zapewnienia — nie sypnęła nikogo, ostrzegła nas natomiast, że sypie kto inny. Kto? Tego żeśmy się nigdy nie dowiedzieli. Janka już więcej kontaktu z nami nie nawiązała.

Szczygielskiego trzeba było długo namawiać, aby zmienić adres. Zrobił to w końcu — w ostatniej chwili. Ledwie przeprowadził się, jego osobą zaczęła się interesować żydowska sekcja Urzędu Pracy, a następnie żydowska policja. Nie mogli go znaleźć. Sam się im jednak oddał w ręce. Przeczytawszy kolejne wezwanie, w którym Arbeitsamt zawiadamiał go, że chodzi o sprostowanie ewidencji, poszedł prostować ową ewidencję. Nikomu o tym uprzednio nie powiedziawszy. Zastawiono nań pułapkę*. O jego losie dowiedzieliśmy się od jednego z urzędników Urzędu Pracy, który należał do PS. Następne informacje o „Ani” mieliśmy już z Pawiaka. Po paru miesiącach został tam zapewne — tak, jak i „Tomasz” — rozstrzelany.

Wczesnym rankiem, 17 kwietnia, przybiegł do mnie zdyszany Stefan Warszawski, ze straszną wiadomością, w nocy został zabity przez gestapo „Maks”. Niemcy przeprowadzili u niego rewizję, już po godzinie policyjnej. Następnie zabrali go ze sobą. Przed świtem dozorca domu przy ulicy Białej 8 zawiadomił żonę Neudinga, że jej mąż leży we krwi, na ulicy. Przebieg wypadków, których ona już nie widziała, ale które zaobserwowało kilka osób, obudzonych warkotem motorów i niemieckimi głosami — miał być następujący: Gestapowcy kazali wsiąść „Maksowi” do

* Szczygielski został aresztowany już po wypadkach z 17 kwietnia, o których piszę poniżej.

samochodu. Przejechawszy paręset metrów zatrzymali wóz. Coś mówili do Jerzego podniesionymi głosami. On im spokojnie odpowiadał. Wyszedł następnie z samochodu i szybkim krokiem zaczął iść w stronę domu. Niemcy powiedzieli mu zapewne, że jest wolny. Gdy już był blisko swego mieszkania padł celny strzał, który zakończył jego życie. O Neudingu, który był na pewno duszą i motorem działania PS w getcie, przez wiele lat po wojnie mówiono — z sentymentem i szacunkiem — tylko w kołach przyjaciół. A miał ich wielu. Dopiero po „polskim październiku” przypominano sobie o nim oficjalnie. Został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Walecznych. Jego fotografia zawisła w muzeum Żydowskiej Komisji Historycznej. Komisja ta nie próbowała jednak nawet odtworzyć dziejów organizacji, którą „Maks” kierował. Nie postarał się też oto Zakład Historii Partii. Nigdzie wzmianki o PS w getcie. Ani słowa o tej organizacji nie ma też w licznych pracach historyka dziejów żydowskich w latach wojny, B. Marka. Milczą o PS w getcie autorzy książki, wydanej jeszcze w 1964 roku, pt. „Polski ruch robotniczy w okresie wojny i okupacji hitlerowskiej” (Książka i Wiedza). W tym miejscu trzeba się jednak uderzyć w piersi. Wielokrotnie za życia jeszcze Stefana Warszawskiego, który po wojnie przybrał nazwisko Kurowski* mówiliśmy o potrzebie napisania czegoś o historii organizacji, z którą byliśmy związani w getcie. Nigdy do tego jednak nie doszło. Szkoda, w ciągu tych lat, które minęły od zniszczenia getta wiele szczegółów wyłeciało z mojej pamięci. Nie ma zresztą wątpliwości, że Stefan wiedział więcej aniżeli ja o działalności PS w żydowskiej dzielnicy mieszkaniowej.

Owej nocy, 17 kwietnia, Niemcy zebrali w getcie krwawe żniwo. Ogółem zabitych zostało ponad 50 osób, w tym wielu aktywnych działaczy politycznych z różnych ugrupowań. Zginęło też kilku działaczy gospodarczych i społecznych, kilku kupców i przemysłowców, a dla niepoznaki, a może zamknięcia ust już zużytych agentom — rozstrzelano też kilku notorycznych kolaborantów.

Warszawski śmierci uniknął wtedy tylko przypadkiem. Tuż przed „nalotem” hitlerowskim na getto — otrzymał posadę do-

* Kurowskiemu należy się tu krótka nota biograficzna. Po polskim październiku był zaangażowanym obrońcą ofiar terroru stalinowskiego. Przyczynił się do niejednej rehabilitacji. Następnie został prezesem Izby Karnej Sądu Najwyższego. Cieszył się powszechnym mirem i szacunkiem za odwagę i bezkompromisowość. Jego ostatnim czynem, wartym zanotowania, przed śmiercią (1959) na gruźlicę, było zrzeczenie się stanowiska w Sądzie Najwyższym. Nie chciał pogodzić się z wciąż większym uzależnieniem Sądów od czynnika politycznego.

zorcy domu. Jego poprzednik — z nieznanых powodów — wyrzekł się tego wygodnego i w „dzielnicy” dość lukratywnego zajęcia. Ale jeszcze nie przekazał swych funkcji Stefanowi. Niemcy byli już poinformowani o nowym dozorcy i przyszli po niego wprost do tzw. dozorcówki. Jej stary lokator potrafił — co było w warunkach getta dość niezwykle — wytłumaczyć gestapowcom, że to nie o niego chodzi. Zapytany o Warszawskiego powiedział, że nie wie gdzie się podziewa, choć wiedział doskonale. Niemcy nie sprawdzili jego informacji.

Powiadomiwszy mnie o sytuacji i poradziwszy, abym się na wszelki przypadek ukrył — Stefan sam poszedł szukać bezpiecznego schronienia. Ja — na kilka dni przeprowadziłem się do siostry żony, a raczej do mieszkania jej teścia w tym samym domu. Nie była to nazbyt pewna kryjówka.

Ze Stefanem kontaktowałem się w tym czasie — przez „Rudą”, która utrzymywała też łączność ze Szczygielskim do chwili jego aresztowania.

Zbliżał się koniec działalności PS w getcie. Jeszcze tylko raz wydaliśmy jednokartkowe „Ghetto”, w kilkudziesięciu egzemplarzach. Staraliśmy się — po raz ostatni — zaalarmować tych, którzy je przeczytają. Tłumaczyliśmy, że po krwawym 17 kwietnia przyjdą następne — jeszcze krwawsze dni.

Wystraszeni ludzie nie chcieli jednak wciąż jeszcze wierzyć, że tak spełnia się ich los, zadekretowany w Berlinie. Nic przecież o berlińskich postanowieniach oficjalnie nie wiedzieli. A Niemcy zawsze tłumaczyli Radzie Żydowskiej, i kazali przekazywać to innym, że kto wiernie i starannie pracuje dla interesów wojennych Rzeszy, ten ma najlepsze szanse przeżycia.

Jednakże rację mieli ci, którzy w żadne niemieckie obietnice nie wierzyli. W dniu 3 lipca rozstrzelano 110 mieszkańców getta, w tym 10 policjantów żydowskich. Obwieszczenia niemieckie wyjaśniły, że to kara za nieposłuszeństwo wobec władz. 22 lipca getto zostało otoczone przez oddziały Ukraińców na służbie niemieckiej. Uspokoić opinię publiczną miały obwieszczenia, z których wynikało, że chodzi o wysyłkę na wschód elementów nieproduktywnych (np. żebraków i chorych), aby je tam uaktywnić. Inni mieli pozostać na miejscu i pracować. Samobójstwo prezesa Rady Żydowskiej, inżyniera Adama Czerniakowa świadczyło jednak o tym, że Niemcy mają jakieś groźniejsze wobec Żydów plany. Poinformowali go o nich, a on nie chcąc firmować swoim nazwiskiem ludobójstwa — wolał odebrać sobie życie. Czy nie powinien był raczej poinformować społeczeństwa gettowego o tym co je czeka? Za późno dziś rozważać co by się stało gdyby tak uczynił, ani dla czego wolał odejść w milczeniu. W ten

sposób rozpoczął się akt likwidacji warszawskiego getta — wywózka do Treblinki*.

Owa operacja wysiedlania wprowadziła w ruch wszystkich mieszkańców dzielnicy. Ludzie próbowali się ukrywać, szukali miejsc na pozór bezpiecznych. Starali się też o tzw. Ausweisy, potwierdzające, że są zatrudnieni w jakimś przedsiębiorstwie niemieckim, produkującym na potrzeby armii (tych przedsiębiorstw powstawać zaczęło nagle dziesiątki, ale aż do zupełnej likwidacji getta przetrwało tylko kilka, największych).

Następnym etapem *Endlösung* była likwidacja małego getta i znacznej części dużego. Pozostały tylko tereny szopów i tzw. getta dzikiego, w którym „legalnie” nikt właściwie nie miał prawa mieszkać. Faktycznie mieszkało tam jednak kilka, a może nawet kilkadziesiąt tysięcy ludzi.

W tej sytuacji niedobitki PS w getcie straciły wszelki kontakt. Jeszcze parę razy — raczej przypadkowo — spotkałem Warszawskiego. Rozważaliśmy możliwość przeniesienia naszego archiwum na „aryjską stronę”. Ale była to już czysta fantazja. Pomijając to, że przejście przez mur stało się nadzwyczaj trudne, choć prawie do końca istnienia getta było ono możliwe, nie mieliśmy już łączności z KC PS. Do Sądów, które były m.in. naszym miejscem spotkań — dostać się nie było można. Telefon w domku „Pawła”-Moszkowskiego nie odzywał się. Później, gdy sam znalazłem się w „aryjskiej” Warszawie dowiedziałem się, że „Paweł” wpadł w ręce gestapo i nikt go nigdy więcej nie widział.

Na tym można by skończyć historię „Ghetta podziemnego”. I właściwie również PS w „dzielnicy”. Warszawskiego, żony Oppenheima i Neudinga, siostrę Janki Moszkowskiej — Irkę i paru jeszcze członków PS zobaczyłem dopiero po wojnie. Od czasu do czasu spotykałem, w przelocie, jakiegoś znajomego członka organizacji, ale do zebrania, z moim udziałem doszło tylko raz jeden. Było to w styczniu 1943 roku.

Mieszkałem wtedy wraz z żoną w wielkim bloku domów przy ulicy Świętojerskiej, w szopie szczotkarzy. Owi szczotkarze przytulili do siebie, za niemiecką zgodą, małą fabryczkę mydła, „Toron”, założyła ją grupa dawnych pracowników firmy „Majde”, wraz z jej właścicielem i jego rodziną. Pracowaliśmy tam z moją żoną (matka moja już wtedy nie żyła, szwagierka z dzieckiem została wywieziona do Treblinki, a teściowa pracowała w innym

* W ciągu 20 miesięcy, pomiędzy listopadem 1940 a lipcem 1942 roku zginęło w getcie warszawskim 100 tys. ludzi. W ciągu 2 miesięcy, od dnia 22 lipca 1942 roku do dnia 15 września 1942 roku wysłano z Warszawy do Treblinki, a więc na śmierć — 300 tys. Żydów.

szopie). Któregoś dnia podszedł do mnie na ulicy, znany mi z widzenia i paru rozmów, ale nie znany z nazwiska — PSowiec, spytał czy chciałbym spotkać się z kilku innymi członkami organizacji, z którymi ma kontakt. Zgodziłem się bez większego zastanowienia, do stracenia nie było wiele. W jakimś mieszkaniu, w owym bloku przy ul. Świętojerskiej zeszliśmy się w kilka osób. Większości nigdy w życiu nie widziałem. Nie było mowy o restytucji pisma, to już — w naszej sytuacji — nie mogło przydać się na cokolwiek. Mowa była o broni, o możliwości przedostania się na drugą stronę, o jakichś tam kryjówkach, kontaktach... Podjąłem się próby nawiązania takiego kontaktu. I tak miałem zamiar zorientować się w szansach ukrycia się na „aryjskich papierach”. Wiedziałem, że mój kolega, dziennikarz, dziś już nie żyjący, Samuel Grynstein (pseudonim dziennikarski — Tross) porozumiewa się czasem ze znajdującym się od dość dawna po drugiej stronie muru — Ignacym Robem (pseudonim dziennikarski i literacki — Ignacy Narbutt), dobrze mi znanym z PPS. Kontaktu z nim nie udało się jednak nawiązać. Narbutt był już wtedy w partyzantce. Grynstein skomunikował się więc z Januszem Minkiewiczem, z którym był w bliskich i przyjaznych stosunkach. Minkiewicz zobowiązał się zorganizować mi spotkanie ze Zbigniewem Mitznerem (ps. Szela). Mitznera znałem dobrze z prasy socjalistycznej. Wkrótce dostałem wiadomość, że Mitzner gotów jest się ze mną spotkać w dniu, który mu wyznaczę.

Przejsć na drugą stronę można wtedy było, przylączając się do grupy żydowskich robotników, pracujących poza murem. Za kilkadziesiąt złotych dostałem miejsce w takiej grupie. Grynstein powiadomił Minkiewicza. Miał na mnie czekać przy lokalu, w którym rozdawano robotnikom narzędzia i z którego, po zdjęciu opaski z gwiazdą Dawida i opłaceniu niemieckiego strażnika, można się było „urwać”.

Wczesnym rankiem znalazłem się — po raz pierwszy od dawna — poza „dzielnicą”. Minkiewicz zjawił się punktualnie. Podał mi adres kawiarni przy ulicy — chyba Mokotowskiej, do której koło 10 miał przyjść Szela. Szedłem ulicami, których od lat już nie widziałem. Czułem się trochę obco w tłumie ludzi bez opasek, dość dobrze ubranych, spieszących do swoich zajęć, tak jakby nie było Niemców, wojny, getta.

W kawiarni było jeszcze prawie pusto. Parę obojętnych osób, pochylonych nad kawą. Po jakichś 15 minutach przyszedł oczekiwany. Rozmowa nasza trwała dość krótko. Broni nie mógł dostarczyć. Sądzę zresztą, że nie miał do niej dostępu, ale powiedział — „odpisaaliśmy was na straty”.

Ale — na szczęście — nie wszyscy byli tego zdania co Mitzner. A może mówił on nie we własnym imieniu? Jak wiadomo broń, choć w nie dużych ilościach, dostawała się do getta różnymi drogami. Działalność „Żegoty”, z którą się później zetknąłem, osób prywatnych, i różnych grup — również o „odpisaniu nas na straty” nie świadczyła. Mój rozmówca nie odniósł się też nazbyt pozytywnie do mojej prośby zorganizowania jakiejś większej ilości „lewych” metryk. Oświadczył, że ewentualnie dla mnie, mojej żony i teściowej, ale będzie to drogo kosztowało.

Po paru tygodniach owe „lewe” dokumenty wyrobił mi bezpłatnie adwokat Karol Winawer (krewny Bruno Winawera). Można go było spotkać w małej czytelni przy ulicy Koszykowej, skąd też po kilku miesiącach zabrało go gestapo.

Mój wypad na aryjską stronę nie dał więc żadnych wyników. Sprawozdania ze swych niepowodzeń nikomu nie złożyłem. Na umówione miejsce u „szczotkarzy” nikt bowiem nie przyszedł. Ostatni znani mi członkowie PS, zostali zapewne zagarnięci przez którąś kolejną łapankę niemiecką. Niczego się o nich dowiedzieć nie mogłem. Nazwisk ich nie znałem, ani tym bardziej — adresów.

W pierwszych dniach kwietnia przeszedłem na aryjską stronę, gdzie już od kilku miesięcy znajdowała się moja żona, a od paru tygodni — teściowa. Zamieszkaliśmy na facjatce domu przy ulicy Pańskiej 51, „wyrzutowanej”, a przedtem wynajętej dla nas przez przyjaciół, Bronisławę Sokołowską i jej męża Feliksa, majstra murarskiego. Służyli nam wierną i bezinteresowną pomocą zawsze, gdy była nam potrzebna. Dziś już nie żyją.

Lucjan SZULKIN

OKRUCHY HISTORII

Kazimierz IRANEK-OSMECKI

AFERA MIKICIŃSKIEGO

Z aferą Mikicińskiego spotkałem się na kilku etapach służby: w Bukareszcie na placówce O. II., w Paryżu i w Londynie jako referent w sztabie gen. Sosnkowskiego, w Polsce jako emisariusz z Londynu do gen. „Rakonia” i w Palestynie w drodze powrotnej z Warszawy do Londynu.

W Rumunii

Od połowy października 1939 do połowy maja 1940 pełniłem funkcję zastępcy szefa Ekspozytury „R” O. II. sztabu N.W. w Bukareszcie ppłk. dypl. Tadeusza Skindera.

W grudniu 1939 przyjechał z Paryża do Bukaresztu płk. dypl. Stanisław Rostworowski i rozpoczął organizowanie Bazy Łączności z Krajem kryptonim „Bolek”. Była ona podporządkowana gen. Sosnkowskiemu. Otrzymaliśmy rozkaz współpracy z Bazą, a przed płk. Rostworowskim i przybyłym wraz z nim z Paryża naszym szefem płk. dypl. Tadeuszem Wasilewskim obaj z ppłk. Skinderem, w dniu 13 grudnia 1939, złożyliśmy przysięgę obowiązującą w ZWZ. Staliśmy się tym samym żołnierzami ZWZ poza granicami kraju.

Z płk. Rostworowskim przyjechał szczupły zespół pracowników Bazy; miała ona skompletować personel ze znajdujących się w Rumunii oficerów. Zanim Baza mogła rozpocząć normalne funkcjonowanie nasza Ekspozytura miała udzielać jej pomocy. Zostałem wyznaczony na oficera łącznikowego do Bazy i m.in.

zostało mi powierzone zadanie zapewnienia bezpieczeństwa jej szlaków łączności z krajem. Zadanie to miał spełniać referat wywiadu obronnego naszej Ekspozytury.

Z początkiem lutego 1940 z centrali z Paryża otrzymaliśmy w Ekspozyturze zawiadomienie, że do Bukaresztu ma przyjechać konsul chilijski Samson Mikiciński, ma podjąć z ambasady polskiej znaczne sumy w złotych polskich, przewieźć je do Polski i wypłacić według dyspozycji ministra dla spraw kraju prof. Kota.

Tegoż dnia płk. Rostworowski powiadomił mnie, że otrzymał z Paryża podobne zawiadomienie o przyjeździe Mikicińskiego i wyraził zaniepokojenie, jakiego użyje on sposobu dla przewiezienia do Polski tak znacznych sum. Po omówieniu zamierzonej ryzykownej operacji płk. Rostworowski polecił mi przedsięwzięcie niezbędnych kroków dla upewnienia się czy przesyłka będzie miała warunki bezpiecznego dotarcia do adresatów w Polsce. Ważne były: kwestia bezpieczeństwa przesyłki w drodze, a następnie osób względnie organizacji w Polsce, dla których przekazy były przeznaczone.

U radcy finansowego ambasady Stanisława Sadkowskiego stwierdziłem, że ten sam kurier, który przywiózł zawiadomienie dla Ekspozytury i dla Bazy, dostarczył również Sadkowskiemu zarządzenie ministra skarbu wypłacenia Mikicińskiemu 7 milionów zł. pol. Odbiorca miał się wylegitymować częścią rozdartego banknotu dolarowego, którego drugą część otrzymał w liście Sadkowski. Umówiłem się z Sadkowskim by powiadomił mnie, gdy Mikiciński zjawi się u niego. Chciałem bowiem poznać go osobiście.

Wszystko to działo się na przestrzeni dwóch dni i w tym czasie prosił nas obu z ppłk. Skinderem o rychłe spotkanie oficer brytyjski kpt. Ernest Carlton, z którym mieliśmy służbowy kontakt. Był on zorientowany w sprawach polskich. Odwiedził nas w naszym mieszkaniu przy 20 Blvd Lascar Catargiu i zakomunikował nam o ostrzeżeniu przez jego władze w Paryżu, że wyjeżdża stamtąd do Bukaresztu niejaki konsul chilijski Mikiciński. Ma on powierzoną przez Rząd R.P. jakąś misję urzędową. U władz polskich cieszy się zaufaniem, ale u angielskich czynników bezpieczeństwa nie jest dobrze notowany; w szczególności podejrzane są jego kontakty z Niemcami.

Mikiciński zjawił się wkrótce w Bukareszcie i doszło do mojego spotkania z nim, gdy w gabinecie Sadkowskiego omawiał sprawę pobrania przeznaczonych dla kraju pieniędzy. Mikiciński był rostry, barczysty, miał grube rysy, wyłupiaste oczy i obwisłe wargi; robił odpychające wrażenie.

Mikiciński odwiedził płk. Rostworowskiego i powiadomił

o swej finansowej misji do kraju. Wątpliwości, jakiego sposobu użyje dla przewiezienia tej olbrzymiej sumy gotówki, rozwiązał wyjaśnieniem, że ułatwi mu to jego dyplomatyczny status. Wzbraśniał się przed przyjęciem jakiegokolwiek pomocy od płk. Rostworowskiego. Zwolniło mnie to z otrzymanego zlecenia omawiania z Mikicińskim kwestii bezpieczeństwa przesyłki. Niemniej nie zmniejszyło zainteresowania postacią tego niezwyklego emisariusza do kraju.

Oświadczenie o ważności jego statusu dyplomatycznego wobec niemieckich władz okupacyjnych w Polsce wzbudzało zastrzeżenia. Wkrótce po opanowaniu Warszawy władze niemieckie odebrały statusy wszystkim przedstawicielstwom dyplomatycznym akredytowanym przy rządzie polskim, gdyż Niemcy przestały uznawać państwo polskie. Członkom tych placówek zlecieli opuszczenie Polski. Pozostał w Warszawie tylko szcztakowy organ włoskiej ambasady i przez niego inne placówki dyplomatyczne załatwiały swe likwidacyjne sprawy. Zastanawiające było wyłączenie „z czystki” mało ważnego konsula i to z odległego południowo-amerykańskiego państwa. Mikiciński był więc Niemcom dla jakichś celów potrzebny; chodziło o rozpoznanie dla jakiego celu i jakiemu organowi władz. Nie była to potrzeba błaha, jeśli mimo żydowskiego pochodzenia Niemcy, tępiąc Żydów w bestialski sposób, Mikicińskiemu pozostawili tak dużą swobodę.

Posmaku dodawał jeszcze fakt, że Mikiciński rozwinął — za pośrednictwem kilku znajomych rodaków — w Bukareszcie oraz w innych miastach i obozach gdzie byli internowani Polacy, ożywioną i bardzo głośną akcję zbierania gotówki celem wypłacania jej rodzinom w kraju za 15 % prowizją. Dziwne było, że mimo wnikliwej penetracji przez wywiad niemiecki polskiego życia w Rumunii, Mikiciński nie obawiał się zdemaskowania przed Niemcami i zebrał wiele gotówki.

Ekspozytura „R” miała w tym czasie zacieśnione stosunki z rumuńskimi władzami bezpieczeństwa i przy ich pomocy można było pogłębić obserwację bez wystawiania na sztych własnej siatki.

Ustalono, że Mikiciński zamieszkał w hotelu Ambasador, rozpoznano kontakty, które nawiązał z rodakami dla dostarczenia gotówki ich rodzinom w kraju, spotkania z przybyłym z Berlina niemieckim kpt. Erichem Nobisem z Abwehry oraz kilkoma dyplomatami bułgarskimi. Nie zdołano tylko ustalić gdzie Mikiciński przechowywał podjęte od Sadkowskiego 7 worków z 7 milionami zł. pol., przeznaczonych dla kraju. W każdym razie nie znajdowały się one w „sejfie” hotelu Ambasador.

Ustalono, że Mikiciński odlatuje do Berlina samolotem. W dniu odlotu zaostrzono obserwację na lotnisku, na którym zjawiał się Mikiciński wraz z kpt. Nobisem. Temu ostatniemu, jako kurierowi dyplomatycznemu przepuszczono przez cło jego pocztę dyplomatyczną — nie otwierając 10 worków — i co ciekawe, że było między nimi 7 worków podjętych przez Mikicińskiego od Sadkowskiego. Nie pofatygowano się nawet by te worki w jakiś sposób zamaskować.

Gdyby wykorzystanie oficera niemieckich władz bezpieczeństwa dla przewożenia pieniędzy, przeznaczonych w Polsce na cele sprzeczne z interesami III Rzeszy, było aktem czystym z punktu widzenia służenia sprawie polskiej, byłby to — oczywiście — wyczyn wielkiej klasy. Czy zachodził tutaj wypadek nieświadomości oficera niemieckiego, nieznającego zawartości worków które przewoził, wyręczając Mikicińskiego? Czy też Niemiec został przez Mikicińskiego przekupiony? Czy też wreszcie pieniądze te — za wiedzą Niemca — miały być dla Mikicińskiego maską, by przy ich pomocy wniknąć w podziemne życie kraju? A więc wymierzone były przeciwko sprawie polskiej. Oto takie nasuwały się hipotezy, a każda z nich miała mniej lub więcej cech prawdopodobieństwa. Dalsza obserwacja miała dodawać argumentów i przemawiać za trafnością jednej z nich.

Sztab N.W. i sztab gen. Sosnkowskiego w Paryżu zostały powiadomione o sposobie przewiezienia pieniędzy do Polski przez kpt. Nobisa.

W Paryżu

W połowie maja 1940 zostałem wezwany z Rumunii do Paryża, dokąd przyjechałem w pierwszych dniach czerwca. Zostałem przydzielony do Komendy Głównej ZWZ z przeznaczeniem zorganizowania i objęcia kierownictwa — nieistniejącego dotąd w tym sztabie — referatu informacyjno-wywiadowczego. Po otrzymaniu wytycznych jak mam prowadzić powierzony mi dział, przystąpiłem m.in. do zorientowania się w kontaktach z krajem również z punktu widzenia bezpieczeństwa. Od oficerów sztabu Komendy Głównej ZWZ zebrałem m.in. informacje na temat działalności Mikicińskiego. Dodały one nieco elementów do tych, które zebraliśmy w Bukareszcie.

Aby zachować najwierniejszą ścisłość uzyskanych informacji, zamiast rekonstruować je z pamięci, przytaczam poniżej wyciąg z listu L. dz. 73/os. gen. Sosnkowskiego do Prezydenta R.P. Władysława Raczkiewicza:

„W końcu listopada 1939 roku ówczesny mój adiutant por. Paweł Sapięha polecił mi Mikicińskiego, konsula chilijskiego w Warszawie, jako tego — który udaje się do Warszawy celem likwidacji Poselstwa Chilijskiego i który przy tej sposobności podejmuje się ewakuować rodziny oficerskie”... „ewakuacja rodzin, przesłanie prywatnych listów i pieniędzy może być mu powierzona bez zastrzeżeń. Natomiast por. Sapięha nie jest w stanie zagwarantować czy można Mikicińskiemu powierzyć do załatwienia sprawy o charakterze polityczno-państwowym”... „Postanowiliśmy wówczas z gen. Sikorskim skorzystać z tej okazji celem ewakuacji rodzin, a gen. Sikorski zdecydował ponadto wysłanie przez Mikicińskiego pieniędzy do kraju. W kilka dni później, niestety już po wyjeździe Mikicińskiego, pojawili się u mnie oficerowie II Oddziału, mjr Zarębski i mjr Nowiński, którzy przynieśli ze sobą notatkę ostrzegającą przed Mikicińskim, jako b. konfidentem Oddz. II, którego już w kraju podejrzewano o pracę na dwie ręce. Zawiadomiłem o tym z miejsca gen. Sikorskiego, zabierając ze sobą do niego obu tych oficerów i tam odbyliśmy we czterech konferencję na temat tego co należy zrobić. Była rozważana alternatywa zatrzymania Mikicińskiego w drodze, za pośrednictwem władz francuskich lub belgijskich, ostatecznie zapadło postanowienie odpowiedniego ostrzeżenia wszystkich zainteresowanych osób w kraju”... „Od chwili otrzymania ostrzeżenia co do Mikicińskiego nakazałem zerwać z nim wszelki kontakt. Wiem natomiast, że przez dłuższy czas używał go Oddział Polityczny, na czele którego stał prof. Kot. Mikiciński jeździł do Kraju po raz drugi w lutym 1940 roku zaopatrzony w większe sumy pieniędzy dla organizacji politycznych i wtedy prof. Kot zwrócił się do mnie z naleganiem, bym przy tej okazji wysłał pieniądze również dla Organizacji Wojskowej w Kraju”¹.

Fonogramem z Paryża do Angers w dniu 9 lutego 1940 roku generał Sosnkowski odmówił skorzystania z tej okazji¹.

Uzyskane informacje od oficerów ZWZ wskazywały, że poza usługami wyświadczanymi prof. Kotowi, Mikiciński ma również zacieśnione stosunki z niektórymi resortami MSZ, w szczególności z szefem protokołu dyplomatycznego Morstinem, co zresztą wynikało z pełnionej przez Mikicińskiego funkcji. Dla skompletowania obrazu działalności Mikicińskiego trzeba było sięgnąć i do źródeł w MSZ.

W oficjalnym wydawnictwie MSZ, zawierającym wszystkie kraje, mające swe placówki dyplomatyczne wraz z konsulatami, akredytowanymi przy Rządzie R.P., nie figurowała w tym czasie Republika Chile².

Pierwszym śladem nawiązania kontaktu dyplomatycznego z Polską była kopia „Note Verbale” z 9. 10. 1939 bez podpisu z załączonym odpisem depeszy do naszego MSZ, datowanej w Brukseli 7. 9. 1939 z nazwiskiem wypisanym na maszynie „H. Hector Briones Luco”. Był on chargé d'affaires chilijskim przy rządzie belgijskim. Depesza ta podpisana była za zgodność

1. Archiwum Kancelarii Cywilnej Prezydenta R.P.

2. Liste du Corps Diplomatique à Varsovie. Juin 1939. Oficjalne wydawnictwo MSZ.

przez „Le Chef de Chancellerie: S. Mikiciński, Paris 9 octobre 1939”³. Treścią depeszy było zawiadomienie, że w zapoczątkowanym 1 września europejskim konflikcie zbrojnym Republika Chile zajmuje stanowisko neutralne.

W takim to dwuosobowym składzie Hectora Briones Luco i Samsona Mikicińskiego zostały nawiązane stosunki dyplomatyczne Republiki Chile z Polską, o czym dokumentem „Note Verbale” z 14. 2. 1940 Mikiciński powiadomił nasze MSZ.

Zadziwiające jest, jaki mógł być cel nawiązywania stosunków dyplomatycznych odległego, południowo-amerykańskiego państwa z Polską, wchodzącą w konflikt zbrojny z potężnymi Niemcami. Jest to tym dziwniejsze, że tej potrzeby Chile nie odczuwało przez 20 lat okresu pokojowego. Jeszcze dziwniejsze było, że kontakt ten nawiązuje obywatel polski, pochodzenia żydowskiego, który dotąd niczym, żadnymi stosunkami, nie był związany ani z dyplomacją ani z państwem, w którego imieniu występował. Natomiast notowany był w kartotekach placówek wywiadowczych różnych państw.

Dalszy bieg tej sprawy wskazywał na jakąś podejrzaną mistyfikację. Gdy bowiem w wyniku tej niezwykle chilijskiej inicjatywy został akredytowany przy rządzie Republiki Chile w dniu 1. 4. 1940 nasz Poseł Władysław Mazurkiewicz z siedzibą w Buenos Aires, w Argentynie i gdy badał grunt, czy Chile jest skłonne akredytować przy Rządzie R.P. swego Ministra Pełnomocnego, spotkał się z odmową i sugestią, że:

„... działalność informacyjna, do której sprowadzałaby się rola specjalnego Posła przy Rządzie R.P. w Angers może być wykonywana przez Poselstwo (chilijskie) w Paryżu przy rządzie francuskim”⁴.

W rozmowach tych, m.in. Podsekretarz Stanu chilijskiego MSZ oświadczył Mazurkiewiczowi, że p. Briones’a Luco już wysłano do Turcji, ogłaćając w ten sposób chilijską placówkę przy Rządzie R.P. Było zaś wiadome w Paryżu, że również i Mikiciński został przeniesiony do Turcji na jakieś stanowisko przy poselstwie chilijskim.

Z akt MSZ dotyczących placówki chilijskiej przy Rządzie R.P. można było wyłowić pewną oziębłość do niej władz francuskich. Starania Mikicińskiego o zezwolenie na kursowanie samochodu jego i Brionesa Luco oraz prośby o wydanie kartek na benzynę, były odsyłane od Annasza do Kajfasza i zadośćuczynienie tym prośbom trwało kilka miesięcy.

Ale bo też były i powody po temu. Władze francuskie miały

3. Akta MSZ. Chile. Teczka PD. 423/b. 1939/1945.

4. Akta MSZ. Chile. Teczka PD. 423/a. Chile. 1940/45.

bowiem z przedstawicielami Chile przy Rządzie R.P. sporo kłopotów. Przykładem tego był następujący raport z 6 maja naszego Chargé d'Affaires Feliksa Frankowskiego do ministra Augusta Zaleskiego⁵.

„Z polecenia Pana Ministra złożyłem wizytę Posłowi chilijskiemu p. Gabrielowi Gonzalesowi, by poruszyć z nim sprawę p. Mikicińskiego i incydentu, który zaszedł na granicy francuskiej. Poseł Gonzales przedstawił mi sytuację w sposób następujący: Chargé d'Affaires Bonieres⁶ i p. Mikiciński zwrócili na siebie uwagę władz francuskich stałym (prawie co tydzień) przejazdem przez granicę belgijską. W rezultacie narazili się na poważne przykrości ze strony francuskich władz granicznych, które ich zatrzymały i żądały przeprowadzenia osobistej rewizji oraz rewizji ich bagażu. Na skutek interwencji Posła Gonzalesa na Quai d'Orsay, władze francuskie odstąpiły od przeprowadzenia rewizji osobistej, jednak rewizji bagażu dokonały... stałe przejazdy Chargé d'Affaires chilijskiego przy Rządzie Polskim i jego attaché wydają się podejrzane i władze francuskie odnoszą się do nich ze znacznym niedowierzaniem... Dodał, że jest osobiście wielkim przyjacielem Polski, że jednak uważa, że p. Mikiciński, nie będąc obywatelem chilijskim, nie powinien mieć paszportu dyplomatycznego chilijskiego i że, o ile wkrótce razem z Chargé d'Affaires Bonierem⁶ nie wyjedzie do Turcji, to on, Gonzales, będzie musiał jednakże wystąpić o odebranie p. Mikicińskiemu niesłusznie używanego paszportu dyplomatycznego chilijskiego... kładł nacisk na konieczność zaprzestania ze strony p. Mikicińskiego wszelkiej akcji, mogącej Poselstwo Chilijskie kompromitować w oczach Francuzów, oraz sprzecznej z neutralnością Chili”.

Nic dziwnego, że po takich incydentach, po meldunku o działalności w Rumunii i w Polsce, Mikiciński musiał zniknąć z terenu Francji. Przeniesienie się naszych władz naczelnych do Wielkiej Brytanii po klęsce Francji odsunęło zainteresowanie sprawą Mikicińskiego na dalszy plan.

W Polsce

W listopadzie 1940 zostałem wysłany przez gen. Sosnkowskiego jako emisariusz do Komendanta Głównego ZWZ gen. „Rakonia” do Warszawy. Między wielu tematami, które miałem omówić z gen. „Rakoniem”, były też sprawy wywiadu i bezpieczeństwa. Podczas kilku odpraw ze mną gen. „Rakon” w bardzo zdecydowanej formie postawił sprawę dobierania niewłaściwych emisariuszy przybywających z Zachodu do kraju. Chodziło głównie o emisariuszy politycznych, wysyłanych przez ministra dla spraw kraju. Konkretnie wymienił generał emisariuszkę Gawrońską oraz emisariusza o specjalnym charakterze Samsona Mikiciń-

5. Akta MSZ. Chile. PD 453/Chi.

6. Pomyłka maszynowa, chodziło o Brionesa Luco.

skiego. Przywiózł on parokrotnie z Zachodu duże kwoty, które miał wypłacić wskazanym osobom i organizacjom w Warszawie i w Krakowie. Zachowanie jego było bardzo niekonspiracyjne. Zainteresowane osoby poszukiwał telefonicznie, wzywał do siebie, lub wyznaczał im miejsca spotkania w lokalach publicznych. Wiele osób zrezygnowało wskutek tego z zaofiarowanych kwot, inne czując się zagrożone zmieniały mieszkania i przechodziły do konspiracji.

Wszystko to wskazywało, że Mikiciński nie czuł się przez Niemców zagrożony i że poszukując kontaktu z osobami z podziemia nie obawiał się konsekwencji dla siebie. Generał zlecił poddanie Mikicińskiego ścisłej obserwacji. W jej wyniku zostały stwierdzone jego podejrzane kontakty z Niemcami. Generał zastrzegł się stanowczo przed używaniem tego typu emisariuszy. Poinformował mnie, że zlecił szefowi wywiadu ZWZ udzielenie mi szczegółowych wyjaśnień, które miałem przedstawić po powrocie do Londynu⁷.

Z szefem wywiadu Komendy głównej ZWZ ppłk. „Brodowiczem”⁸ odbyłem na ten temat kilka konferencji. Uzyskałem od niego następujące informacje: Mikiciński podczas przyjazdów do Polski był pod ścisłą kontrolą Abwehry chociaż odwiedzał też biura Gestapo przy Al. Szucha. Jego stałymi „aniołami stróżami” byli dwaj oficerowie Abwehry z placówki we Wrocławiu. Zostało stwierdzone, że oficerowie ci towarzyszyli Mikicińskiemu w jego podróżach przez Polskę w samochodzie ze znakami obowiązującymi w Rzeszy. Podczas pobytu Mikicińskiego w Warszawie zjawiał się czasem niemiecki kpt. Erich Nobis i kontaktowali się ze sobą. Kpt. Nobis należał do centrali Abwehry w Berlinie lub do placówki we Wrocławiu.

Zachowanie Mikicińskiego w Polsce, jego kontaktowanie się z osobami z politycznego podziemia, rozdawnictwo przywożonych pieniędzy doręczanych kilkunastu odbiorcom, co w sumie dawało milionowe kwoty, nie mogło odbywać się bez wiedzy niemieckich władz bezpieczeństwa. Ścisłe kontakty Mikicińskiego z Abwehrą i jej wyraźna nad nim opieka wskazywały, że to właśnie ten organ władz niemieckich był zainteresowany jego podróżami do Polski i podejmowaniem tutaj kontaktów z Polakami. Znamienne było, że żadna z osób mających z Mikicińskim bezpośredni kontakt nie wpadła z jego powodu. Spotykanie się z nim pomimo początkowych obaw stało się jakby „glejtem bezpieczeństwa”. Abwehrze mogło chyba chodzić o to by nie był on

7. Sprawozdanie emisariusza Antoniego O. VI. L. dz. 1820/41, Studium Polski Podziemnej, Londyn.

8. Ppłk dypl. Wacław Berka.

powodem aresztowań, co mogłoby go skompromitować w oczach Polaków.

Jednym z ubocznych zajęć Mikicińskiego było wywożenie z Polski do Paryża dla niektórych rodzin arystokratycznych, za wysokim okupem, różnych wartościowych przedmiotów, biżuterii, obrazów etc. Co oczywiście też nie działo się bez wiedzy Niemców i zapewne za okupem wobec nich. Wyjeżdżał przecież z Warszawy w towarzystwie oficerów z Abwehry ich samochodami.

Były też wypadki, że Mikiciński ułatwiał wyjazdy na Zachód członkom rodzin osób spełniających w Paryżu czołowe role w polskim życiu państwowym, wywożąc ich czasem jako członków swej rodziny.

Najbardziej jednak znamienne dla względów, jakimi cieszył się Mikiciński u Niemców, były wypadki ułatwiania przez niego Żydom wyjazdu na Zachód. To oczywiście możliwe było tylko za niesłychanie wysokim okupem, ale wobec surowych restrykcji w stosunku do Żydów wskazywało jak mocną pozycję u Niemców ma Mikiciński, jeśli uchodziły mu gładko takie operacje.

Od upadku Francji do mego przyjazdu do Warszawy Mikiciński nie pokazał się w Polsce.

W rozmowach moich z Brodowiczem brał również udział jego zastępca ppłk „Dzięcioł”⁹. Był on znanym kawalarzem i nawet poważne tematy ujmował z humorem. Gdy Brodowicz wspominał o tym, że Mikiciński przestał pokazywać się w Polsce, Dzięcioł dał swoje oświecenie. Już on więcej do Warszawy nie przyjedzie — mówił Dzięcioł — bo widocznie nie jest Niemcom tutaj potrzebny. Na co wskazuje następujące wydarzenie. Mikiciński musiał bodaj poskarżyć się swoim mocodawcom, iż po naszych meldunkach wysyłanych do Paryża tracą do niego na Zachodzie zaufanie i zaczynają go tyrpać, a może prosił o jakiś akt rehabilitacji, by wybielić go w opinii rodaków. Niemcy, którym brak dobrego pomyślnku, a nas mają chyba za durniów, zrobili to tak po partacku, że gorzej nie można. Latem ubiegłego roku przeprowadzili w mieszkaniu Mikicińskiego rewizję z wielkim „hallo”. Rozpytywali sąsiadów o niego, o jego zachowanie, przyjazdy, kontakty, czym handlował etc. Wypomnieli mu jego żydowskie pochodzenie, udając że i to jest powodem poszukiwania. Nazajutrz po rewizji ukazało się to wszystko w ich szmatławcu *Warschauer Zeitung* i to na widocznym miejscu tłustym drukiem. Był to fakt „w publicystyce” okupacyjnej dotąd nie spotykany. Chyba po to, aby warszawiaczy i władze podzie-

9. Ppłk dypl. Marian Drobik.

nia, a przez nie i władze polskie na Zachodzie dowiedziały się za jakiego to ptaszka uważają Niemcy Mikicińskiego i jak na niego polują. Odniosło to skutek wręcz odwrotny od zamierzonego. Rewizję robił patrol Abwehry tylko w asyście policji. Abwehra nigdy podobnych czynności nie spełniała, a nie kto inny tylko właśnie ona miała Mikicińskiego na swym sznurku i skrzętnie się nim opiekowała. Cała ta wyreżyserowana demonstracja była szyta tak grubymi nićmi i tak spartaczona, że aż wstyd za niemieckich kolegów po fachu. Cel był oczywisty, tylko nie daliśmy wziąć się na ten kawał.

Z kolei przedstawiłem rozmówcom szczegóły działalności Mikicińskiego na Zachodzie, okoliczności wywiezienia z Bukaresztu do Warszawy 7 milionów zł. pol. przez kpt. Nobisa, dane uzyskane od Anglików i zachowanie się Mikicińskiego we Francji. Na podaną przeze mnie wersję dyplomatycznego statusu Mikicińskiego Dzięcioł zrobił następującą uwagę. Zastanawiający jest cel bezprawnego wydania Mikicińskiemu chilijskiego paszportu dyplomatycznego; przecież władzom chilijskim nie tylko na tym nie zależało, lecz stawiało się uciążliwe. Najbardziej była w tym zainteresowana placówka wrocławskiej Abwehry. Z nią to łączyły Mikicińskiego najbardziej zażyłe stosunki. Mimo przepędzenia przez Niemców wszystkich prawdziwych dyplomatów, jedyny Mikiciński, o wątpliwym statusie dyplomatycznym, przywilej pozostania w Warszawie uzyskał. Zagmatwaną aferę jego można by za jednym zamachem rozwikłać po stwierdzeniu do jakiego stopnia Abwehra wrocławska uczestniczyła w nabyciu tego paszportu. Handel paszportami dla celów wywiadowczych jest przecież znanym procederem. A może paszport ten został wykonany w warsztatach legalizacyjno-technicznych wrocławskiej Abwehry?

Zestawienie działalności Mikicińskiego w kraju i za granicą, jego podróże do Warszawy wraz z opiniami o nim francuskich i angielskich władz bezpieczeństwa oraz analiza tych wszystkich informacji doprowadziła nas do nieodpartego wniosku, że Mikiciński jest na usługach Abwehry z przeznaczeniem obserwowania życia polskiego. Tę uzgodnioną z Brodowiczem i Dzięciołem ocenę miałem — według zlecenia gen. Rakonia — przekazać w Londynie.

W Palestynie

W drodze powrotnej z Warszawy do Londynu przyjechałem 1 lutego 1941 do Stambułu. W Bazie Łączności z krajem, która

po przeniesieniu się z Bukaresztu miała tam swe miejsce postoj, dowiedziałem się o tajemniczym zniknięciu Mikicińskiego. Szczegółów nie umiano mi jednak wyjaśnić, okazano tylko miejscową prasę w językach niemieckim i francuskim, która w kilku artykułach o tym donosiła.

Oto notatka z *Journal d'Orient* z 25 stycznia 1941:

„Zniknięcie MIKICIŃSKIEGO. Wciąż brak wiadomości o losie Mikicińskiego, szefa kancelarii poselstwa chilijskiego. W zainteresowanych kołach przeważa przekonanie, że nie chodzi tutaj o jakiś zamach. Mikiciński miałby według tych wersji opuścić miasto, albo też miałby się ukrywać w samym mieście dla takich lub innych celów. W każdym razie uważa się, że na jego ślad natrafi się w najbliższych dniach. Policja prowadzi poszukiwania opierając się na przesłankach, że Mikiciński może ukrywać się w pobliskich wioskach. W przeciwieństwie do tego co podano do wiadomości, policja nie przeprowadziła rewizji w mieszkaniu Mikicińskiego. Wiadomo, że cieszy się on nietykalnością dyplomatyczną. Policja udała się tam tylko w celu zdobycia pewnych wyjaśnień potrzebnych w celach dochodzenia”.

O bliższe informacje zwróciłem się do oficera łącznikowego Ekspozytury „R” O. II mjr. Bolesława Piłeckiego, będącego ogniwem pośredniczącym między Ekspozyturą „R”, stacjonującą w Palestynie, a jej siatką na Bałkanach. Mjr PiłECKI poinformował mnie, że Mikiciński został uprowadzony przez oficerów Ekspozytury „R” samolotem ze Stambułu do Palestyny. Obecnie jest on przesłuchiwany; po przybyciu tam będę mógł zaznajomić się ze szczegółami.

Po przyjeździe do Palestyny spotkałem się z szefem Ekspozytury „R” mjr. dypl. Józefem Bienkowskim i referentem sprawy ppor. Edwardem Szarkiewiczem. Potwierdzili fakt uprowadzenia Mikicińskiego w dniu 16 stycznia 1941. Dokonał tego ppor. Szarkiewicz z ekipą pracowników Ekspozytury. Mikicińskiego sprowadzono podstępem do upatrzonego lokalu, obezwładniono, uspioło zastrzykiem i po przewiezieniu na lotnisko wojskowe odtransportowano samolotem angielskim do Palestyny. W sprawnym przeprowadzeniu tej operacji dostarczenia na lotnisko, ułatwienia odlotu i wykonania innych niezbędnych czynności pomocny był turecki wywiad wojskowy, który uznał działalność Mikicińskiego za szkodliwą również dla interesów tureckich. Drogę do Palestyny przebyto z pewnymi przygodami, gdyż mały turystyczny samolot nie mógł pokonać niesprzyjających wiatrów i trzeba było lądować przymusowo na Cyprze. Podczas przelotu Mikiciński odzyskał przytomność, próbował wprzód przekupić eskortującego go Szarkiewicza, a gdy się to nie powiodło, starał się uwolnić z więzów. Gdy mu się to częściowo udało zamierzał

obezwładnić słabego fizycznie Szarkiewicza. Trzeba było ciosami kolby pistoletu uspokoić niesfornego pasażera.

Z mjr. Bienkowskim i ppor. Szarkiewiczem wymieniliśmy zebrane informacje. Powtórzyłem to co usłyszałem o działalności Mikicińskiego w Warszawie i opinię o nim Brodowicza i Dzieciola. Mnie udostępniono protokoły przesłuchań dla porównania z tym co o nim wiedzano w Warszawie¹⁰.

Mikiciński nie zatajał w zeznaniach roztaczanej nad nim opieki przez Abwehrę. Wymienił nazwisko Scholtza, szefa Abwehry w Wrocławiu. Scholtz jest dużą figurą w sztabie 8 Armii we Wrocławiu. Poznali się z Mikicińskim w Pradze Czeskiej na przełomie 1938/39 w hotelu Alcron za pośrednictwem „białego” Rosjanina, Bobajewskiego. Scholtz skontaktował Mikicińskiego z kpt. Erichem Nobisem i „Arturem”, którego nazwiska nie podano.

Z Scholtzem spotykał się Mikiciński we Wrocławiu za każdym przejazdem z Paryża do Warszawy; przeważnie w lokalu przeznaczonym na spotkania przy ul. Post Strasse; uczestniczyła w tych spotkaniach sekretarka Scholtza „Elsa”.

Artura przydzielił Mikicińskiemu do pomocy Scholtz zaraz po przyjeździe z Paryża do Wrocławia, skąd Artur swoim samochodem przewiózł Mikicińskiego do Warszawy. Towarzyszył im w drodze „Fritz”. Obaj oni, Artur i Fritz, zawsze już później towarzyszyli w drodze z Wrocławia i byli pomocni Mikicińskiemu w Warszawie. Za drugim pobylem Mikicińskiego w Warszawie zjawił się kpt. Nobis. Pieniądze, które kpt. Nobis zabrał samolotem z Bukaresztu stanowiły własność Rządu R.P. i miały być rozdzielone przez Mikicińskiego tajnym organizacjom w Warszawie¹¹.

Zeznania te zgodne były z tym, co wywiady obronne ZWZ i Ekspozytury „R” O. II. zebrały o Mikicińskim w Warszawie i w Bukareszcie. Nie przyznawał się, że był agentem Abwehry. Twierdził, że za udzielanie Scholtzowi nieistotnych wiadomości o życiu polskim we Francji korzystał z pomocy niemieckiej.

Zainterpelowałem też mjr. Bienkowskiego i ppor. Szarkiewicza jak w zeznaniach Mikicińskiego przedstawiała się jego przeszłość i skąd się wziął związek z dyplomacją Chilijską.

Mikiciński urodził się 21 lutego 1895 w gminie Boćki w powiecie Bielsk Podlaski. Studiował na wydziale prawa na uni-

10. Studium Polski Podziemnej, Londyn. Depozyt 39.

11. Studium Polski Podziemnej, Londyn. Depozyt 39.

wersytecie petersburskim. Podczas I-ej wojny światowej służył w armii rosyjskiej. Podczas rewolucji dołączył do armii Denikina i doszedł do stopnia kapitana artylerii.

Do roku 1928 przebywał w różnych krajach Europy: we Francji, Belgii, Niemczech, pracując doraźnie zarobkowo. Głównym źródłem utrzymania były pieniądze otrzymywane od matki z Nowego Jorku. Do Polski przyjechał Mikiciński w 1928 lub 1929; zamieszkał w Łodzi. Utrzymywał się podobnie jak poprzednio z pieniędzy przesyłanych mu przez matkę. Zarobkowo zaczął pracować w firmie przemysłowo-włókienniczej u swych wujów, braci Kleckich. Za pieniądze otrzymane od matki założył własną firmę „Klemik”. W 1934 firma zbankrutowała. Mikiciński zaczął pracować w różnych firmach w Warszawie, m.in.: w „Argos”, w biurze podróży „Poltur”, w którym miał 50 % udziałów.

O swej karierze dyplomatycznej zeznał, że na 3-4 tygodnie przed wybuchem wojny został urzędnikiem poselstwa Chile w Warszawie. Wobec wybuchu wojny nie zdążono ustalić jego pensji. Twierdzenie to jest oczywistą nieprawdą, gdyż Republika Chile nie miała w tym czasie swego dyplomatycznego przedstawicielstwa przy Rządzie R.P.

Podczas innego przesłuchania Mikiciński zeznał, że przed wojną nie był akredytowany przy Rządzie R.P. jako członek korpusu dyplomatycznego; nastąpiło to dopiero w październiku 1939 po przyjeździe do Paryża, co było zgodne ze wzmiankowaną wyżej korespondencją Brionesa Luco z naszym MSZ¹².

Mjr Bieńkowski i ppor. Szarkiewicz przytoczyli i inne jeszcze sprzeczności w zeznaniach o pełnym przygód życiorysie Mikicińskiego. Dla mnie ważne były próby i metody penetracji podziemia w Polsce dla której podstawą był zagadkowy status dyplomatyczny Mikicińskiego.

Podobnie jak z Brodowiczem i Dzieciąłem również i z mjr Bieńkowskim i ppor. Szarkiewiczem, po szczegółowej analizie, ustaliliśmy zgodną ocenę, że Samson Mikiciński jest na usługach Abwehry.

Po przeanalizowaniu z obu rozmówcami, jakie mogą wypływać konsekwencje z uprowadzenia Mikicińskiego przez wywiad polski, uznaliśmy, że jednym z aktów odwetu Abwehry za pozabawienie agenta mogą być represje i aresztowania działaczy podziemia w Polsce, rozpoznanych przez kontakty z Mikicińskim. Dla

12. Studium Polski Podziemnej, Londyn. Depozyt 39.

tego też uznaliśmy za konieczne natychmiastowe telegraficzne powiadomienie kraju o tej groźbie.

Po powrocie do Londynu, dopiero w kilka miesięcy później dowiedziałem się o śmierci Mikicińskiego. Według nadesłanych z Palestyny informacji, podczas przewożenia go na przesłuchanie podjął próbę ucieczki i został przez eskortę zastrzelony. Wyglądało to tajemniczo, ale biorąc pod uwagę zuchwałość i skłonność do ryzyka Mikicińskiego, wersja ta miała cechy prawdopodobieństwa.



W książce „Operation Haifa” autor¹³ Władysław Michniewicz kreował Mikicińskiego na bezinteresownego, ofiarnego polskiego patriotę, narażającego swe życie dla sprawy polskiej. „Zginął w wyniku intrygi dyletanckich pracowników polskiego wywiadu”. Na poparcie tego twierdzenia Michniewicz — poza naiwnymi relacjami prof. Stanisława Kota i amb. Józefa Potockiego — nie powołuje się na żadne dokumenty.

Po mojej krytycznej recenzji książki „Operation Haifa” w *Zeszytach Historycznym* Nr 18, Michniewicz w *Zeszytach Historycznym* Nr 20, wytykając moje dyletanctwo, podtrzymał swą opinię o niewinności Mikicińskiego.



Z uprowadzeniem do Palestyny zamknął się krąg działalności Mikicińskiego znaczonego punktami Paryż - Warszawa - Bukareszt - Stambuł. Zebrane w nim informacje dały wyraźną odpowiedź, która z trzech hipotez postawionych przy wywożeniu przez Nobisa 7 milionów zł. pol. z Bukaresztu do Warszawy jest trafna. Świadczenia na rzecz prof. Kota i przewożenie pieniędzy do Polski były maską dla usług oddawanych Abwehrze. Mikiciński był podwójnym agentem i w myśl zasady z żelazną konsekwencją przez ten typ agentów stosowanej, lojalność i wierność zachowywał dla jednej tylko strony — tej silniejszej.



Niechaj na temat słuszności tej opinii przemówią przytoczone fakty i dokumenty.

Kazimierz IRANEK-OSMECKI

13. *Operation Haifa*. Ladislaus Michniewicz, Adaptation de Jacques Helle, Casterman, 1969.

MOCZAR W ROLI HISTORYKA

W warszawskim *Miesięczniku Literackim* (Nr 2/1975) ukazał się artykuł Mieczysława Moczara. Zamieszczamy fragment tego opracowania, bez komentarzy — *Redakcja*.

Otóż bezpośrednio po zakończeniu wojny, kiedy społeczeństwo nasze zaledwie zdążyło odetchnąć z ulgą, rozpoczęła się nowa wojna — wojna wewnętrzna. Ta wojna domowa trwała blisko pięć lat. W innych krajach europejskich panował już w tym czasie spokój, chociaż walka polityczna toczyła się przecież na całym naszym kontynencie. Warto też dodać, że nie spodziewaliśmy się wojny domowej o takich rozmiarach. A była ona wojną krwawą.

Dość wskazać, iż w czasie wojny domowej po stronie władzy ludowej w naszym kraju zginęło 11.866 osób. Większość poległych stanowili aktywiści Polskiej Partii Robotniczej, członkowie partii i stronnictw bloku demokratycznego. Z dokumentów wynika, że zginęło 2.403 oficerów i żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego oraz 1.500 żołnierzy Armii Radzieckiej. Zginęło także 4.028 funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej oraz 390 ormowców.

Wśród poległych, rzecz jasna, najliczniejszą grupę stanowią ludzie młodzi, którzy nie przekroczyli 25 roku życia.

Mówiąc o stratach narodu w wojnie domowej, odwołam się ponownie do dokumentów. W latach 1945-1948 ugrupowania reakcyjne dokonały 32.455 napadów. Obiektem tych napadów byli nie tylko przedstawiciele organów władzy ludowej lub ludzie z nową władzą związani. Często bywały nimi także szkoły, środki transportu, instytucje użyteczności publicznej.

Organizatorzy wojny domowej przebywający w Londynie nie brali, jak widać, pod uwagę zniszczeń i strat poniesionych przez nasz kraj w latach 1939-1945. Nie liczyli się z tym, że kraj trzeba jak najszybciej odbudować, że konieczna jest twórcza praca rąk i umysłów dla ojczyzny. Przeciwnie — stawiali na perspektywę trzeciej wojny światowej, zachęcali do morderstw. Nieraz przy tym wykorzystywali nasze błędy i potknięcia, od których przecież nikt nie jest wolny. W tych warunkach władza ludowa musiała podjąć rzuconą rękawicę i bronić swego istnienia.

Skalę i natężenie walk podziemia z młodą władzą ludową ilustrują także inne fakty. Otóż w latach 1945-48 organa represyjne zatrzymały w areszcie 155.586 osób, natomiast w latach 1949-50 jeszcze 79.202 osoby, w tym wielu recydywistów. Są to liczby wymowne. We wspomnianym okresie, w różnych okolicznościach, służba bezpieczeństwa oraz wojsko odebrały lub zdobyły 102.671 sztuk broni. W latach 1949-1952 — następne 93.533 sztuki broni. Oczywiście, z tej liczby znaczna część została zdana dobrowolnie. Było to zjawisko niezmiernie pozytywne, wynika-

jące z przychylnej lub neutralnej postawy różnych osób wobec nowej rzeczywistości społecznej. Mówiąc o tym trzeba dodać, że nie zawsze należycie potrafiliśmy uwzględnić ten fakt. Nie będę tu wspominał dlaczego. To już zupełnie inny rozdział naszej przeszłości, do którego wypadnie jeszcze powrócić.

We wspomnianych wyżej napadach i innych akcjach zbrojnych po stronie walującego podziemia zginęło 5.890 osób. Wśród nich było bardzo wielu groźnych wrogów i bezwzględnych morderców, którzy mieli na sumieniu wiele ofiar. Piszac o tej grozie należy jednak pamiętać, że nie wszyscy, którzy walczyli z władzą ludową, byli świadomymi i bezwzględnymi jej wrogami. Wśród przeciwników władzy ludowej znajdowało się niewątpliwie wielu ludzi, którzy trafili do reakcyjnego podziemia przypadkowo. Było wielu ludzi zagubionych lub otumanionych przez reakcyjną propagandę. Nieraz po prostu zbieg okoliczności spowodował, że znaleźli się po tamtej, a nie po naszej stronie barykady.

Od tego czasu minęło już wiele lat, możemy dziś bez subiektywnych emocji i namiętności zastanawiać się nad tym okresem. Zwycięstwo nie przyszło nam łatwo. Jednak podołaliśmy najtrudniejszym zadaniom i znajdujemy się obecnie w nowym wyższym stadium rozwojowym, żyjemy w zupełnie nowych warunkach. Głębokie przeobrażenia społeczne i szybki rozwój zmieniły gruntownie oblicze kraju.

Kiedy wracam myślami do przeszłości, nie mogę się obronić przed wspomnianiem dość często powtarzającej się w latach wojny sytuacji. Otóż kiedy zdarzało się, że człowiek nie mógł czy raczej nie powinien z różnych powodów spać, mawialiśmy wówczas między sobą, że jak przeżyjemy wojnę, to odeśpiemy wszystkie nie przespane noce. Ot, wejdzie każdy z nas pod kołdrę i będzie spał, spał, spał. Okazało się jednak, że były to najbardziej utopijne marzenia okresu wojny. Kiedy wojna skończyła się i kiedy inne narody przystąpiły do pracy, u nas — z inspiracji Londynu — reakcja wszczęła ponownie krwawą walkę. I nie do snu nam było w tym nowym, trudnym okresie. Znowu towarzyszyły nam bezsenne noce i wielkie napięcie codziennej pracy.

Taka to jest zawiła nasza historia, którą trzeba rozumieć integrując naród w wielkim i wciąż postępującym procesie socjalistycznego budownictwa.

RECENZJE

Wiktor SUKIENNICKI

ARCHIWUM POLITYCZNE IGNACEGO PADEREWSKIEGO

W połowie 1973 roku, pisząc wstęp do ogłoszonego w 26-ym *Zeszytach Historycznym* „Amerykańskiego Memoriału Paderewskiego”, stwierdzałem, że „spuścizna polityczna po 'Prezydencie' pozostaje wciąż nieopracowana i nieznana”, nie przypuszczając, że spore grono osób było już wówczas od lat zatrudnione przy przygotowywaniu do druku wydawnictwa, które nazwano „Archiwum Polityczne I. Paderewskiego”. Wiadome mi było, że pewna ilość pozostałych do Paderewskim dokumentów znalazła się w Warszawie, sądziłem jednak, że ze względu na ich notorycznie „trefną” z pewnego punktu widzenia treść, długo jeszcze pozostaną one niedostępne dla obiektywnych badań. Ukazanie się omawianego wydawnictwa wydawało się stwierdzać, że byłam w błędzie.

Ponieważ spodziewałem się znaleźć w archiwum Paderewskiego wyjaśnienie kilku interesujących mnie kwestii, z dużym zaciekawieniem zabrałem się do studiowania czterech pokaźnych tomów, jakie w latach 1973-74 ukazały się w Polsce pod podwójną egidą Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk oraz Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich — OSSOLINEUM. Na pierwszy rzut oka wyglądały one solidnie i obiecująco: w twardej płóciennej oprawie, na lepszym niż zazwyczaj papierze; druk „czysty”, sporo ilustracji (przeważnie podobizny Paderewskiego z różnych okresów życia), stosunkowo nieduża ilość „ważniejszych dostrzeżonych błędów druku”, podanych na dołączonych do każdego tomu wklejkach. Poza „tekstami źródłowymi” każdy tom zaopatrzony jest w indeksy nazwisk oraz nazw geograficz-

nych oraz spisy dokumentów i ilustracji. Otwierające tom pierwszy „uwagi wstępne” do całości wydawnictwa wyjaśniały, że podział na tomy uzasadniony był „nie tylko przyczynami technicznymi, lecz przede wszystkim względami natury merytorycznej”. Każdy dotyczył odrębnego okresu „w życiu i działalności Paderewskiego, a także w pewnym stopniu w dziejach Polski”, stąd ich nierówna objętość:

- Tom I obejmował 29 lat od 1890 do 1918 i zawierał 402 dokumenty i 597 stron;
- Tom II obejmował 2½ lat od 1919 do połowy 1921 i zawierał 500 dokumentów i 703 strony;
- Tom III obejmował 13½ lat od 1921 do 1934 i zawierał 177 dokumentów i 263 strony;
- Tom IV obejmował 6 lat od 1935 do 1940 i zawierał 351 dokumenty i 420 stron.

W sumie, 1430 dokumentów na 1983 stronach; cena za całość 750 zł. wskazywała na charakter wydawnictwa; dla porównania zauważmy, że trzy części 3-go tomu *Historii Polski* zawierające 2589 stron kosztowały w sumie tylko 270 zł. Wysokości nakładu „Archiwum” nie ujawniono.

Jako „Zespół redakcyjny” „Archiwum” podani byli: Halina Janowska, Tadeusz Jędruszcak, Czesław Madajczyk i Witold Stankiewicz, faktycznie jednak nad redakcją wydawnictwa pracowało znacznie więcej osób. Z nich ujawniono nazwiska: Andrzeja Pibera, Artura Leiwanda, Katarzyny Kołodziejczyk, Romana Polkowskiego, Hanny Jędruszcak, Marka Windygi, Bronisławy Skrzyszewskiej, Leona Grosfelda, Jana Molendy, Jadwigi Laszkiewicz, Teresy Wąsowicz i Adama Przybylskiego.

Podpisane przez H. Janowską, T. Jędruszcaka i W. Stankiewicza „Uwagi wstępne” podawały po krótkce historię Archiwum oraz metody pracy przy realizacji wydawnictwa, które „okazało się przedsięwzięciem trudnym i długotrwałym”. Dowiadujemy się z nich, że w rezultacie postępowania spadkowego we wrześniu 1951 przywieziono do Warszawy 82 skrzynie, zawierające wyposażenie willi i archiwum Paderewskiego. „Zbiór dokumentów przekazano głównie Archiwum MSZ, w niewielkiej ilości zaś Archiwum b. MBP (*Bezpieki!* — W.S.) oraz Archiwum ZHP (Zakład Historii Partii? — W.S.) przy KC PZPR”. Dopiero w latach 1956-1960 „instytucje te przekazały papiery Paderewskiego do Archiwum Akt Nowych, gdzie po uporządkowaniu udostępniono *te materiały* (podkreślenie moje — W.S.) badaczom w 1962 roku”. Jak z tego wynika, w ciągu 5-10 lat nad politycznym archiwum Paderewskiego pracowały osoby, których nazwiska ujawnione nie zostały, a których praca musiała odbić się, co najmniej pośrednio, na ostatecznej redakcji wydawnictwa. Jeszcze dłużej pracowali nad Archiwum (głównie nad dokumentami Sikorskiego ale także i Paderewskiego) fachowcy „starszego brata”. Stwierdzają to wyraźnie „Uwagi wstępne”, mówiąc, że wchodzące pierwotnie

w skład „Archiwum Paderewskiego” „materiały Sikorskiego rewindykowano w 1964 roku z ZSRR” i wydzielono je wtedy w oddzielne Archiwum Sikorskiego.

Z dalszego ciągu „Uwag” dowiadujemy się, że „w *obecnym stanie*” (podkreślenie moje — W.S.) archiwum Paderewskiego obejmuje 4.513 teczek. Nad tym „obecnym stanem”, który nie był identyczny ze „stanem pierwotnym”, pracowali z trudem i długo oficjalni redaktorzy wydawnictwa. Usprawiedliwiają się, że nie mogli ze względów chociażby technicznych wydrukować całej pozostałej zawartości 4.513 teczek, i, podając zasady dokonanej selekcji, piszą, że „z korespondencji grzecznościowej, okolicznościowej (imieniny, urodziny) itp. „można było zrezygnować bez większego uszczerbku”, aby móc wydrukować „dokumenty, które wydawały się ważne dla historii Polski interesującego nas okresu”. Teoretycznie zasada jak najbardziej słuszna, a w praktyce... W praktyce wśród wydrukowanych „tekstów źródłowych” znalazło się wiele „okolicznościowych” życzeń noworocznych czy świątecznych oraz „grzecznościowych” próśb o zasiłki. Może dlatego, że wielu „ważnych dla historii Polski” dokumentów w teczkach już nie było. „Z pustego i Salomon nie naleje”. Przysłówie to przyszło mi na myśl, gdy zacząłem szukać dokumentów w sprawach mnie szczególnie interesujących. Jedna z nich dotyczyła okresu amerykańskiego, dwie okresu, gdy Paderewski był „Prezydentem Rady Ministrów”; o wszystkich trzech miałem okazję wypowiedzenia się w druku i chodziło mi o sprawdzenie, czy i w jakim stopniu miałem wówczas rację.

I. W wydrukowanym w 17-ym *Zeszycie Historycznym* w 1970 r. artykule „Balfour a Polska” pisałem o inicjatywie Lansinga utworzenia latem 1917 w Stanach Zjednoczonych uznanego formalnie przez Państwa Sprzymierzone i Stowarzyszone Tymczasowego Rządu Polskiego. Inicjatywa, ta, zręcznie utracona przez Balfoura, została Lansingowi podsunęta przez niejakiego Jerzego Jana Sosnowskiego, który miał wówczas duże szanse zostania Premierem owego „rządu” i nawet przygotował i przesłał Lansingowi projekt „Deklaracji Niepodległości Rzplitej Polskiej”, wyjątki z której ogłosiłem w swoim artykule.

O ile fakt inicjatywy Lansinga był stwierdzony przez cytowane we wspomnianym artykule oficjalne dokumenty amerykańskie, szczegóły dotyczące roli Sosnowskiego miałem tylko z jego publikacji *Prawda Dziejowa* (Warszawa, 1925), która zresztą nie zrobiła na mnie najlepszego wrażenia. Zawierała jednak wiele dokumentów, zaś od czasów Oxenstierny wiemy, że intelektualne kwalifikacje do „rządzenia światem” czy zajmowania stanowisk premierów i prezydentów nie muszą być bardzo wysokie.

Wśród ogłoszonej przez Sosnowskiego — niezawsze jednostronnej — korespondencji z Wilsonem, Lansingiem i innymi dygnitarzami, była również korespondencja z Paderewskim i o Paderewskim. W liście z 28 czerwca 1917 do „Kochanego Prezesa” Wydziału Narodowego Polskiego Centralnego Komitetu Ra-

tunkowego w Chicago, Jana Smulskiego, Sosnowski pisał, że „pertraktacje ogłoszenia niepodległości Zjednoczonej Rzplitej Polskiej przy pomocy Aliantów są na ukończeniu” i trzeba być przygotowanym do wysunięcia kandydata Polonii amerykańskiej na jednego z członków przyszłego rządu polskiego „w najbliższych dniach. Przypuszczam, że wybór wasz padnie na Paderewskiego...” (str. 695).

Po otrzymaniu „z polecenia p. Smulskiego” oficjalnego pisma z 14 lipca, że:

„Komitet Wykonawczy Wydziału Narodowego za jedynego reprezentanta zorganizowanego wychodźstwa polskiego we wszelkich sprawach politycznych, a zatem i w ewentualnie proklamować się mającym Rządzie Zjednoczonej i Niepodległej Polski, uznaje p. I. J. Paderewskiego i wystosował już odpowiednie pisemne pełnomocnictwo” (str. 713).

W depeszy z Nowego Jorku do Paderewskiego w Paso Robles w Kalifornii 16 lipca 1917 Sosnowski pisał:

„Uprzejmie proszę o zadepeszowanie swej decyzji i poglądów w sprawie Ligi Niepodległej Polski. Muszę wiedzieć w jak najkrótszym czasie, czy mogę istotnie liczyć na współpracę Pana i Wydziału Narodowego. Wypadki i czas naglą do podjęcia przygotowawczej pracy i organizacji” (str. 713).

Depeszą z 25 lipca Paderewski odpowiedział:

„List wyjaśniający szczegółowo sytuację dawno wysłany. Projekt Ligi nie przemawia do naszych przyjaciół, proszę więc wykreślić moje nazwisko. Szczerze życzę Panu powodzenia w najdonioślejszych poczynaniach, jakkolwiek wyznaję, iż pomysłne załatwienie sprawy wojska byłoby bardziej do życzenia w tej chwili. Pozdrowienia” (str. 714).

Dalszy los owych „nieprzymawiających do naszych przyjaciół” chociaż „najdonioślejszych” planów i poczynañ Sosnowskiego jest dość niejasny. *Prawda Dziejowa* urywa się niespodziewanie na końcu lipca 1917; depesza Paderewskiego jest przedostatnim z ogłoszonych w niej dokumentów. A właśnie w następnych tygodniach sierpnia i września miały miejsce liczne, polskie i niepolskie, inicjatywy i poczynania w stosunku do akcji Sosnowskiego konkurencyjne:

a) W pierwszym tygodniu sierpnia przyjeżdża do Ameryki „delegowany przez Polaków z Litwy i Rusi” Stanisław Gutowski z inicjatywą stworzenia w Szwajcarii „Komisji Wykonawczej Polskiej” złożonej z 1) realistów, 2) endeków, 3) tzw. bezpartyjnych, 4) lewicowych demokratów i 5) polskich socjalistów, oraz 6) przedstawicieli Polaków z Litwy i Rusi i 7) Polaków amerykańskich, w celu kierowania „akcją polityczną polską na terenie międzynarodowym”. Po rozmowach z nim w Paso Robles, Paderewski „myśl tę najgoręcej popiera”, co 27 sierpnia Komitet Wykonawczy Wydziału Narodowego w Chicago przyjmuje do wiadomości.

b) Po tzw. Ogólno-Polskim Zjeździe w Moskwie w sierpniu, powstaje tam Rada Polska Zjednoczenia Międzypartyjnego ze Stanisławem Wojcie-

chowskim na czele. Uważając się za naczelny organ kierowniczy polskiej polityki narodowej, Rada tworzy wydziały: wojskowy, spraw zagranicznych, spraw wewnętrznych i skarbu oraz zwraca się do Dmowskiego, Piltza, Maur. Zamoyskiego i Paderewskiego by objęli jej reprezentację w Londynie, Paryżu, Rzymie i Ameryce.

c) Na odbytej w połowie sierpnia konferencji w Lozannie zapada decyzja wznowienia powołanego w listopadzie 1914 w Warszawie Komitetu Narodowego Polskiego z Dmowskim na czele, w celu „prowadzenia poza terytorium Polski i państw rozbiorczych akcji politycznej zmierzającej do przywrócenia zjednoczonego i niepodległego państwa polskiego”. Z rozpoczęciem tej akcji KNP wstrzymuje się do czasu otrzymania odpowiedzi na powiadomienia o tej decyzji rządów państw sprzymierzonych oraz organizacji polskich w Rosji i Ameryce.

d) W konsekwencji dekretu Prezydenta Francji o utworzeniu Armii Polskiej, w ostatnim tygodniu sierpnia przybywa do Ameryki Polsko-Francuska Misja Wojskowa z Wacławem Gąsiorowskim na czele.

e) Po uzyskaniu zgody Prezydenta Wilsona, 27 sierpnia Lansing zleca ambasadorom amerykańskim w Europie powiadomienie sprzymierzonych rządów o amerykańskiej inicjatywie i ewentualne uzyskanie ich zgody na utworzenie Tymczasowego Rządu Polskiego w Stanach Zjednoczonych.

f) Zanim ambasador w Londynie zdążył nadesłać 5 września swój raport o wykonaniu zlecenia, ambasador brytyjski w Waszyngtonie 3 września wysunął kontrpropozycję, aby „zamiast niedawnej sugestii by rząd brytyjski uznał Polski Rząd Tymczasowy w Stanach Zjednoczonych”, Stany Zjednoczone uznały „już istniejący” KNP.

g) Jednocześnie tegoż 3 września osobiście zaprzyjaźniony z płk. House Sir William Wiseman, określony następnie przez George'a Kennana jako „kluczowa postać brytyjskiego wywiadu... i nieoficjalny łącznik pomiędzy Prez. Wilsonem i brytyjskim Gabinetem Wojennym”, wysłał z Londynu kablówką depeszę do House'a zapowiadając swój natychmiastowy przyjazd do Ameryki i prosząc by „w nabierającej coraz większego znaczenia sprawie polskiej” rząd amerykański wstrzymał się ze wszelką decyzją do czasu zaznajomienia się z przywożonym przez niego materiałem informacyjnym.

O ile wszystkie wymienione wyżej poczynania nie mogły pozostać bez wpływu na plany i poczynania Sosnowskiego, ostatnie mogło zagrażać mu osobiście. Wraz z Wisemanem przyjechał bowiem do Ameryki jego bliski współpracownik, a jednocześnie jakiś kuzyn Paderewskiego oraz uczestnik polskiej konferencji w Lozannie, Jan Horodyski. Przed wyjazdem z Londynu, 31 sierpnia złożył on brytyjskiemu kontr-wywiadowi notatkę, że kierownik londyńskiego Polish Information Committee, August Zaleski, jest tajnym agentem państw centralnych.

Na skutek tej notatki władze brytyjskie zamierzały skierować Zaleskiego do obozu dla internowanych lub też — raczej — deportować do Rosji, jako tam przynależnego „rosyjskiego poddanego”. Dopiero w grudniu zapobiegła temu opinia Balfoura, że byłoby to sprzeczne z brytyjskimi interesami, gdyż mogłoby być interpretowane jako popieranie polskich porachunków partyjnych. Przywożony przez Wisemana i Horodyskiego „materiał informacyjny” mógł spowodować próbę zastosowania podobnych

metod w Ameryce, co by tłumaczyło nagłe urwanie *Prawdy Dziejowej*. Wyjaśnienie tej sprawy oraz okoliczności w jakich doszło do utracenia przez Brytyjczyków amerykańskiej inicjatywy i spowodowało, po prawie półrocznych dąsach i bolszewickim przewrocie, ostateczne uznanie KNP w grudniu 1917, spodziewałem się znaleźć w „Archiwum”. Spotkał mnie jednak zawód. Były tam wprowadzie materiały o Gutowskim, o Gąsiorowskim, o Wisemanie i Horodyskim* oraz, oczywiście, o KNP i moskiewskiej Radzie Zjedn. Międzypartyjnego, ale ani słowa o planowanym w Ameryce Rządzie Polskim. Było to tym dziwniejsze, że nader wpływowy w swoim czasie profesor i „dyplomata polski” K. Lapter ogłosił o takim „planie” artykuł w *Sprawach Międzynarodowych*, zeszyt 3 (23) z 1953.

O Sosnowskim znalazło się jednak w tomie 1-szym „Archiwum” pięć niezbyt co prawda istotnych ani interesujących „tekstów źródłowych”. Omówmy je po kolei:

Pierwszym (267-69) jest list skierowany do Sosnowskiego po wieczery wigilijnej u Paderewskich w 1917 roku. Autor listu uważa, że jako „współgość wigilijny i gość Paderewskiego” nie powinien „w próbach wystąpień politycznych” działać „przeciwko dobrej sławie gospodarza”, gdyż przez to kopie świadomie grób „dla swej przyszłej reputacji”, i podpisał: „Łączę wyrazy życzliwości Kaz. Prószyński”. Jak i dlaczego ów list trafił do archiwum Paderewskiego oraz kim był jego autor, nie wiemy. W nagłówkach wydrukowanych „tekstów źródłowych” dość często jest mowa o „osobach nieznanych”, nie mniej częste też są nieznane nazwiska, podawane bez żadnych wyjaśnień redaktorów wydawnictwa.

Drugim (483-4) jest list z 18 września 1918 Sosnowskiego do Paderewskiego, z krytyką tzw. „Sejmu Polskiego” w Detroit. Przemówienia Paderewskiego na tym „Sejmie” miały „ostatecznie przekonać „autora listu, że „ukochany Mistrz”, którego „Bóg wyróżnił spośród milionów, pozwalając urodzić się geniuszem muzyki,... do prowadzenia polityki realnej, dążącej do zapewnienia największych korzyści Polsce... się nie nadaje”, zaś pozostawienie mu nadal dominującej roli „w sprawach polskich poza granicami kraju równałoby się zdradzie wobec Ojczyzny”. List wzywał do międzypartyjnego porozumienia „dla ujednolajnienia polityki

* Już w marcu 1915 Paderewski wysuwał Horodyskiego jako „*mon jeune ami*” na swego zastępcę w jakimś Komitecie pomocy dla Polski pod patronatem Izwołskiego (t. I, str. 66); w liście z grudnia 1917 Horodyski zwracał się do państwa Paderewskich przez „*Moi Najdrożsi*” i kończył: „*Ręce Wasze całuję najczulej Wasz zawsze ten sam Jan*” (t. I, str. 242/3); w związku z robionymi przez Horodyskiego w listopadzie i grudniu 1919 w Anglii i Ameryce jakimis „*interesami*” (t. II, str. 362 i 398), Jędrzej Moraczewski zarzucał mu, że „*z ramienia MSZ*”, na czele którego stał wówczas Paderewski, zakupił w Ameryce stare parowozy „*po cenie 10 razy wyższej od nowych, zamówionych i dostarczonych z Europy*” (t. II, str. 395).

polskiej na zewnątrz” oraz stworzenia „jednolitego frontu polskiego”.

Aczkolwiek zdanie to było wówczas podzielane przez sporo osób, nie wszyscy dawali mu wyraz w sposób tak drastyczny, toteż wyraźnie zirytowany listem Paderewski zadepeszował do Smulskiego (492) iż konieczne jest „położenie kresu działalności Sosnowskiego”, sugerując aby „jako obywatel amerykański” przedsięwziął „niezbędne kroki” w celu uzyskania satysfakcji i ukarania osoby zarzucającej nielojalność „mnie, panu i naszym przyjaciółom”.

W wykonaniu tego zlecenia, jeden z urzędników Wydziału Narodowego, Lewental, otrzymał polecenie zebrania potrzebnych materiałów. 10 października 1918, po „ostatnio udzielonych wiadomościach o panu S.”, donosił w obszernym raporcie Paderewskiemu (492-5), że „w ostatnich dniach” zajmował się „wyłącznie panem S. i jego współpracownikami” i nawet 9 października zjadł z nim śniadanie „podczas którego p. S. wiele ciekawych rzeczy mi mówił”. Wśród nich były m.in. że to:

„on osobiście zawiadomił odnośnie władze w Waszyngtonie o nieporządkach w Polish Relief... (która) nie może być prowadzona stosunkami familijnymi ale podlegać winna kontroli ogółu polskiego” tak aby pobierane „wysokie wynagrodzenia” uwidoczniane były w księgach. Natomiast o założonym przez panią Paderewską Białym Krzyżu nic nie chciał mówić „mimo iż powracałem do tego tematu umyślnie”;

że:

„kilkakrotnie zwracał się i listownie i telefonicznie” zarówno do Paderewskiego „jak i ostatnio do p. Dmowskiego, by się osobiście zobaczyć i wiele rzeczy ‘pierwszorzędnej wagi przedyskutować’, ale zawsze spotkał się z odpowiedzią odmowną”;

że:

Dmowski, który ma z nim „jakieś tajemne porachunki z 1904 z Warszawy” — jakie nie chciał powiedzieć — nie przyjął go u siebie w hotelu i niegrzecznie obszedł się z nim przez telefon;

że:

„pohiera \$ 500 miesięcznej pensji od firmy chicagowskiej amerykańskiej, którą na Wall Street w Nowym Jorku reprezentuje”;

że:

„nie boi się żadnych denuncjacji i oszczerstw, gdyż, gdy „doszły do niego wiadomości, że Waszyngton otrzymał na niego denuncjacje”, udał się sam do właściwych instytucji, gdzie mu powiedziano, że „na razie sprawa jego została zatuszowana, ponieważ zainteresowani są w niej oficjalni reprezentanci Anglii i Francji”;

że:

„dni Komitetu Narodowego i Wydziału Narodowego w Ameryce są policzone”, gdyż KNP wprowadzał „w błąd władze angielskie” włączając kolejno

do swego grona osoby przedstawiane za postępowca, radykała czy socjalistę, „podczas gdy w samej rzeczy byli to wszystko tylko narodowi demokraci”. „Mówił dalej, iż posiada dowody bardzo poważne z Waszyngtonu... (że) jest to 'początek końca wydziałowców i narodowców'”;

że:

gdy „aby zbić go z tropu” podczas trzygodzinnej rozmowy przy śniadaniu, Lewental mu powiedział, „że chodzą słuchy, iż wpływowi ludzie w Szwajcarii mieli wystarać się o uwolnienie Piłsudskiego i że podobno Piłsudski jest w drodze do Ameryki, zrobiło to na p. S. piorunujące wrażenie i kilkakrotnie powracał on do tej sprawy później”;

że:

gdy, również kłamliwie, Lewental powiedział, że „w tej chwili jest bez zajęcia określonego, a żyje z pieniędzy... żony po części,... p. S. zdawał się być bardzo wzruszony tym i prosił, abym z nim częściej się widywał 'dla swego dobra własnego', jak mi mówił”.

Te zebrane przez inwigilację „materiały” nie wystarczały dla „unieszkodliwienia” Sosnowskiego, który w ostatnim go dotyczącym wydrukowanym „tekście źródłowym” — liście do Paderewskiego z 14 listopada 1918 (str. 539, a nie jak podano w indeksie 537) raz jeszcze pisał o konieczności „jednolitego frontu na zewnątrz”, twierdząc, iż „warunki zawieszenia broni są najlepszym dowodem, jak zabójczą jest dla sprawy ojczystej polska niezgoda na obczyźnie”.

Zakładając, że Zespół redakcyjny wydrukowanego „Archiwum” składał się z ludzi dobrej woli, którzy istotnie wybierali do druku wszystkie „dokumenty, które wydawały się być ważne dla historii Polski”, dojść należy do wniosku, że widocznie w „obecnym stanie” archiwum Paderewskiego innych dokumentów o planowanym przez Sosnowskiego utworzeniu Tymczasowego Rządu Polskiego w Ameryce już nie było.

II. Drugą interesującą mnie sprawą była rola i wpływy Czesława Świrskiego, zaufanego adiutanta Piłsudskiego, przydzielonego przezeń do Paderewskiego w Paryżu. Pisałem o nim w artykule „Mademoiselle Piłsudskiego” w 3-im *Zeszyście Historycznym* w 1963, przytaczając niektóre dokumenty, które zostały następnie zacytowane w warszawskim wydawnictwie Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych *Sprawy polskie na konferencji pokojowej w Paryżu w 1919 roku, dokumenty i materiały*, t. 2 (1967), str. 408 i 414. Będąc w starszym wieku i w dodatku niewidomy, Świrski najwyraźniej nie zrozumiał mego w zasadzie pozytywnego do jego osoby nastawienia i w swoich dość cierpkich w stosunku do mnie „Wyjaśnieniach”, wydrukowanych w 7-ym *Z.H.* w 1965, podał „wiele sprostowań i dopełnień”, z którymi następnie nie polemizowałem. Wyjaśniał m.in. genezę użytego przeze mnie „frywolnego a niedowcipnego tytułu” oraz przyta-

czał wyciągi ze swoich „Szkiców do pamiętnika”, gdzie mówił, iż „nie na próżno endecy w Paryżu” nazywali go „okiem i uchem Belwederu”, podkreślając jednocześnie, że oboje Paderewscy traktowali go „jakby syna, bardzo serdecznie”. Ciekaw byłem w jaki sposób taka sytuacja Świrskiego odbiła się w „Archiwum politycznym Ignacego Paderewskiego”?

W indeksie nazwisk 2-go tomu Czesław Świrski figuruje tylko raz jeden: jest wzmiankowany w wystanej z Paryża „po 23 kwietnia 1919” depeszy Wład. Skrzyńskiego do MSZ w Warszawie, aby zawiadomić Naczelnika Państwa, przebywającego wówczas w dopiero co zdobytym Wilnie, o złożonym Prezydentowi Konferencji Pokojowej proteście przedstawicieli Taryby i zapowiedzi walk „siłą zbrojną i wszelkimi innymi środkami i donosząc, że walki już się rozpoczęły”. Depesza kończy się zdaniem następującym: „Ewentualnie mógłby to telegrafować p. adiutant Świrski” (s. 104).

W przechowywanych w nowojorskim Instytucie J. Piłsudskiego „Aktach Adiutantury Generalnej” znajduje się wiele dokumentów dotyczących pobytu Świrskiego w Paryżu; niektóre z nich przytaczałem lub cytowałem w swym artykule. „W obecnym stanie” archiwum Paderewskiego w Warszawie widocznie nie ma już żadnych „tekstów źródłowych”, dotyczących „Made-moiselle Piłsudskiego” i „Oka i ucha Belwederu” traktowanego przez Paderewskich „jak syna”!!

III. W wydrukowanej w amerykańskim *The Russian Review*, Nr 2 z 1970, recenzji z książki profesora Piotra S. Wandycz *Soviet-Polish Relations 1917-1921*, wydanej w 1969 przez Harvard University Press, zakwalifikowałem twierdzenie o wymianie bezpośredniej korespondencji pomiędzy Leninem i Paderewskim w 1919 jako „pure fantasy”, pomimo powołania się autora na konkretne źródło, na jakim się opierał. Była to kompilacja wydana w 1959 przez Ministerstwo Obrony Narodowej pt. *Białowieża i Mikaszewicze. Mity i prawdy do genezy wojny pomiędzy Polską a RSFRR w 1920 roku*. Jej, zmarły w 1960 roku autor, przed wojną nauczyciel w Wilnie Adolf Hirsberg, po wojnie zaś warszawski profesor Józef Sieradzki, przytaczał *in extenso* list z 5 października 1958 byłego adiutanta Józefa Hallera oraz poety i pisarza Edwarda Ligockiego, potwierdzający ustną relację w Związku Literatów w Warszawie o rzekomej rozmowie, jaką miał mieć z Paderewskim w Paryżu w maju 1932. W rozmowie tej, która miała trwać od południa do 1 w nocy, Paderewski miał powiedzieć Ligockiemu, że mniej więcej w marcu 1919 zgłosił się do niego do hotelu Bristol w Warszawie jakiś nieznajomy, który:

„Zrobił dobre wrażenie. Powiedział, że nazywa się Wróblewski i że przywozi list od Lenina. Lenin pisał (po polsku), że jego zdaniem wielki już czas by oba nasze bratnie narody porozumiały się...”.

W dalszym ciągu Ligocki pisał do Sieradzkiego, że:

„IJP odpisał od razu, w obecności emisariusza, że najzupełniej zgadza się by bratnie narody doszły do porozumienia, że gotów jest wysłać delegatów... Gość, który przedstawił się jako Wróblewski, list zabrał i na szereg miesięcy sprawa ucichła. Dopiero późną jesienią emisariusz zjawił się znowu i przywiózł drugi list od Lenina, wyrażający zgodę na założenia sformułowane przez IJP. Delegat otrzymał wtedy drugi list IJP do Lenina z zawiadomieniem, że sprawa będzie omówiona ... i nadany jej będzie właściwy bieg. Zaraz po otrzymaniu drugiego listu od Lenina IJP nie zwlekając udał się do Belwederu. Oświadczył on Piłsudskiemu, że ma możliwość zawarcia traktatu pokojowego pomiędzy Warszawą a Moskwą... Na to Piłsudski się wściekł, walił pięścią w stół i krzyczał:

— Panie Ignacy, radzę panu nie mieszać się pan w nie swoje rzeczy. O tym czy będzie wojna, czy nie, decyduję ja.

Nastąpiła burzliwa wymiana zdań... Witos (zdaje się nazajutrz) poszedł Piłsudskiemu na rękę i votum zaufania (dla Prezydenta Rady Ministrów) zabrakło. IJP podał się do dymisji, wyjechał z kraju i więcej nie wrócił do Polski”.

Cała ta historia wydała mi się w najlepszym razie tworem poetyckiej czy literackiej fantazji, sensacyjną, choć nie najlepszą, nowelką, pomimo iż Ligocki miał w dalszym ciągu listu pisać, a Sieradzki drukować: „Wspomniał mi IJP, że listy Lenina miał w swoim archiwum prywatnym w Morges”. Potwierdzić to miał również nieżyjący już Marian Turski, który, w obecności swej żony, Ewy Bandrowskiej-Turskiej, miał Ligockiemu oświadczyć:

„że listy Lenina widział u Paderewskiego w Morges. Było tam całe archiwum w wielkim porządku — skrzynki podłużne, obite szarym zamsem, a w nich wiele kopert zamiszowych zawierających dokumenty”.

Jedynie wzmianka przy końcu listu Ligockiego:

„Nasuwa się tu pytanie czy to archiwum... może zdewastowane, może nietknięte. Może usunięto z niego pewne dokumenty jeszcze w Szwajcarii?”.

wyglądała na rodzaj asekuracji i uzasadniała mój sceptycyzm. Tylko bowiem nietknięte, „niezdewastowane” archiwum Paderewskiego mogło definitywnie rozstrzygnąć czy ogłoszona przez Sieradzkiego relacja Ligockiego odpowiadała prawdzie, czy też była płodem literackiej fantazji. Udowodnienie zaś, że żadne dokumenty nie zostały w okresie lat przeszło 50 z archiwów Paderewskiego „usunięte” możliwe nie było.

W indeksach wszystkich czterech tomów wydrukowanego „Archiwum” nazwisko „Lenin” znajduje się tylko w jednym tomie trzecim. Indeks wskazuje tam stronę 20, na której jest część wydrukowanego na stronach 18-21 listu wysłanego do Paderewskiego 31 lipca 1921 przez Stefana Dąbrowskiego, byłego wiceministra spraw zagranicznych następnie zaś profesora uniwersytetu w Poznaniu. Dodany przez wydawców nagłówek tego

„tekstu źródłowego” mówi, że list ów omawia „rozłam w Narodowym Zjednoczeniu Ludowym, sprawę organizacji Uniwersytetu Poznańskiego oraz sprawę pomocy żywnościowej dla Rosji Radzieckiej jako jednego z elementów akcji antykomunistycznej”. Słowo „Lenin” wydrukowane jest dwa razy u dołu strony 20-jej w następującym kontekście:

„Pisma doniosły o odpowiedzi Hoovera na wołanie Lenina: obiecuje ratować 1 mln dzieci, ale stawia warunki. Lenin podobno nie chce przystać, lecz lawina nieszczęść może zmienić jego nastrój”.

Nie ma to zatem żadnego związku z ewentualną korespondencją pomiędzy Leninem a Paderewskim. Jednakże w górnej połowie strony 20-jej znajduje się kilka kropek w kwadratowym nawiasie — oznaka opuszczonego tekstu, zaś umieszczony w tym miejscu odsyłacz „b” mówi:

„Pominięto 6 wierszy tekstu dotyczących bliżej nieokreślonego odpisu listu Lenina”.

Może właśnie chodzi o jeden z owych mitycznych listów do Paderewskiego? Jest to mało prawdopodobne, gdyż w tekście listu poprzedzającym cięcie jest mowa o wypowiedziach Dąbrowskiego na łamach *Rzeczypospolitej* w czerwcu 1921, o których autor listu pisze:

„Mając wolniejszą rękę mogłem wypowiedzieć mój pogląd na ewolucję bolszewizmu, czynniki, kt(óre) go podtrzymują i kt(óre) go łamią. (...).

Z tego wynika, że ustęp skreślony przez cenzurę, dotyczący „bliżej nie określonego odpisu listu Lenina”, pozostawał w związku raczej ze sprawami ideologicznymi bolszewizmu, a nie stosunków rosyjsko-polskich, jednakże cięć wątpliwości pozostaje.

Dokonane na stronie 20 tomu 3-go wycięcie części „tekstu źródłowego” nie jest w wydrukowanym „Archiwum” jedyne. W tomie 4-ym na stronach 328-9 znajdujemy obszerny „dodatkowy komentarz wyjaśniający”, że:

„Wbrew zapowiedzi we Wstępie do całej edycji (tom pierwszy s. XIII) wydawcy zdecydowali się w tomie niniejszym na opuszczenie w siedmiu publikowanych dokumentach poszczególnych sformułowań, a w jednym wypadku obszerniejszego fragmentu. Dotyczy to dokumentów... w większości z lat 1939-1940... Dokumenty (te)... obciążone emocjami tamtych dni, pełne są obraźliwych sformułowań antyradzieckich, starają się obciążyć Związek Radziecki niemalże wyłączną odpowiedzialnością za rozwój wypadków i za trudną sytuację, w której znalazło się społeczeństwo polskie po 1939 roku... Studiującemu te źródła rzucić się musi w oczy, że przedmiotem napastliwej krytyki był nie tylko ZSRR, lecz również międzynarodowy ruch komunistyczny, co jeszcze mocniej uwydatnia reakcyjny i wybitnie klasowy charakter tej dokumentacji...”.

Ten „komentarz wyjaśniający” wyraźnie stwierdza, że wydrukowane „Archiwum” jest nie tylko niepełne, lecz też w specyficzny sposób spreparowane. Być może nie jest to subiektywną winą formalnych redaktorów wydawnictwa, lecz obiektywnych warunków ich pracy. Mieli archiwa „w obecnym stanie”; większość znajdujących się w nim dokumentów pochodziła nie od samego Paderewskiego lecz od innych osób*, toteż badacz „spuszczony politycznej po Prezydencie” znajdzie w wydawnictwie stosunkowo niewiele dla siebie materiałów, bo przecież list przedśmiertny Eligiusza Niewiadomskiego (III-65) lub informacje, że córeczka gen. Sikorskiego robi postępy w nauce a równocześnie dużo „pracuje na koniu” (III-156) interesować go nie będą.

O tym, że oficjalni redaktorzy wydawnictwa nie byli złej woli i chętnie czerpali wiadomości z „reakcyjnej i wybitnie klasowej” dokumentacji świadczy że, dowiedziawszy się jak istotnie wyglądał memoriał złożony przez Paderewskiego Wilsonowi w styczniu 1918, w ostatniej dosłownie chwili starali się naprawić błąd, popełniony przy jego druku. Umieściwszy już w tomie I-szym na str. 109-113 część IV memoriału jako oddzielny „tekst źródłowy” Nr 82 przy ostatniej rewizji zdążyli zaopatrzyć go w odnośnik:

„Memoriał opracowany był podobnie jak poprzedni (dok. nr 81), dla prezydenta W. Wilsona. Według informacji otrzymanych ostatnio przez autorów oba te dokumenty stanowią jedną całość”.

Użycie niewłaściwego słowa „autorzy” (czego?) zamiast „redaktorzy” czy „wydawcy” świadczy o działaniu w pośpiechu. Brak podania źródła „otrzymanych ostatnio” informacji wynika, być może, z braku miejsca u dołu strony: redaktorzy z Instytutu Spraw Międzynarodowych w 1967 zacytowali dokładnie paryskie *Zeszyty Historyczne*. W każdym razie dobrze, że pracownicy naukowi w kraju nie odrzucają w czambuł wiadomości, których nie mogą otrzymać od sieradzkich i lapterów. Tylko w ten sposób można uniknąć zabawnych niekiedy lapsusów, jak np. następujący: w indeksie tomu I-go figuruje nazwisko Augusta Zaleskiego z odesłaniem do strony 380. Na stronie tej wydrukowany jest list Horodyskiego z 14 czerwca 1918, zawiadamiający Paderew-

* Charakterystycznym przykładem jest wspomniana tylko w tomie 4-ym „Archiwum” w przypisie na str. 122 odezwa Paderewskiego z 26 sierpnia 1937 w sprawie ówczesnych stosunków w Polsce, z postulatem wydania amnestii, utworzenia rządu zaufania narodowego i przeprowadzenia uczciwych wyborów. Wydrukowana 1 września 1937 tylko w dwóch pismach polskich, była ona skonfiskowana i jest prawie nieznaną. Pomimo to nie ma jej tekstu w wydrukowanym „Archiwum”, choć są liczne o niej wypowiedzi i opinie osób trzecich — Sikorskiego (Nr. 123 i 124); Drohojowskiego (Nr 127); Kukiela (Nr 130); R. Fabre-Luce (Nr 132); Korfantego (Nr 134); E. Bovet (Nr 144).

skiego o wypłaceniu Zaleskiemu 9.000 lirów za odprawianie mszy świętych m.in. na intencję „aby Duch Święty oświecał Polaków pracujących dla sprawy polskiej”. Ponieważ o Auguście Zaleskim mówiono, że był masonem wysokiego stopnia, pomówienie go o odprawianie mszy świętych mogłoby być niezbyt wybrednym kawałem; było jednak ignoracją osoby która nic nie wiedziała o Władysławie Michale Zaleskim, Patriarsze Antiochii.

Wiktor SUKIENNICKI

Marzec 1975

Stefan MICHNIK

JESZCZE O ROZMOWACH BENESZA NA KREMLU

Zaprezentowane przez Stanisława Kirkora (*Zeszyty Historyczne* nr 26/1973) fragmenty rozmów prezydenta Czechosłowacji Edwarda Benesza z przywódcami sowieckimi w grudniu 1943 roku ograniczają się do spraw polskich. Istotnie, problematyka polska zajęła w tych rozmowach sporo miejsca. Czy jednak była ona w polityce Benesza najistotniejsza? Oczywiście, dla Polaka najbardziej jaskrawy był negatywny stosunek przywódcy czechosłowackiego do nas. Ale — jak się możemy dalej przekonać — negatywny stosunek Benesza nie dotyczył przede wszystkim Polski, z jego wypowiedzi wynikałoby raczej, że do Węgier był on niemal tak wrogo ustosunkowany jak do Niemiec.

To co najbardziej się rzuca w oczy — to stosunek Benesza do Rosji, stosunek niemal bałwochwalczy, przy czym — rzecz charakterystyczna — jego rosyjscy rozmówcy nie wydają się potwierdzać beneszowskich deklaracji miłości. Nie miejsce tu na szersze omawianie owego czeskiego rusofilstwa, warto jednak zaznaczyć, że osoba Benesza — wobec którego w latach sześćdziesiątych usiłowano stworzyć nimb nieomyślności i wzoru dla wszystkich demokratów (dla przeciwstawienia go władcóm stalinowskim) jest przedmiotem wnikliwej krytyki (np. V. Mastny) właśnie za jego bezkrytyczny stosunek do Rosji. Benesz pragnie być najlojalniejszym z najlojalniejszych. Coraz to powtarza sowieckim rozmówcom, że wskazane jest, by rząd sowiecki informował o swych zamierzeniach rząd czechosłowacki, by z kolei ten ostatni mógł się dostosować do linii sowieckiej. Nie trzeba

chyba tłumaczyć, że Rosjanie w ogóle nie zareagowali na tego rodzaju postulaty.

Ciekawy jest również inny moment: rozmowy miały miejsce w związku z podpisaniem paktu czechosłowacko-sowieckiego. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że odbywały się one *przed* podpisaniem paktu, że raczej prowadziły do jego podpisania. Nic podobnego. Sam pakt nie był poprzedzony rozmowami na najwyższym szczeblu. Tu wypada powtórzyć za Mastnym, że de Gaulle — również emigrant — potrafił walczyć z sojusznikami o prawa swego kraju i paktu przed przeprowadzeniem rozmów nie podpisał.

Zajmijmy się jednak sami rozmowami. Na wstępie pierwszej rozmowy z Mołotowem Benesz zaznacza, iż do sprawy samego układu nie ma potrzeby wracać, skoro podpisy wszystko rozwiązują. Wyraża jedynie — jak wyżej — chęć dostosowania polityki czechosłowackiej do sowieckiej. Jako punkt pierwszy Benesz wysuwa sprawę Niemiec i Węgier. Co do Niemiec — stanowisko jest jasne: rozbić.

„Rozmawiałem w tej sprawie z Churchillem. On także powiedział zupełnie wyraźnie: 'rozbić'. Ja jednak nie wyłożyłem mu swego zdania wyraźnie, bo nie znałem Waszego stanowiska. To samo było w Ameryce. Mówiłem o tym z Rooseveltem, Wendel Willkie'm, Hopkinsem, S. Wellesem, Hullem...”

Jeśli idzie o pokój — Benesz jest pesymistyczny. Nie wierzy ani w „trwały”, ani w „sprawiedliwy” pokój. Pokój wersalski, jego zdaniem, nie był taki zły, nikt go jednak nie chciał bronić. Wniosek z tego:

„zgadzam się z Wami, dostosujemy naszą politykę do Waszej, damy wszystkim naszym przedstawicielstwom dyplomatycznym odpowiednie wytyczne...”

W kwestii ukarania zbrodniarzy wojennych Benesz jest stanowczy. Przewiduje pewne trudności z Anglikami i Amerykanami co do zakresu odpowiedzialności. Rozróżnia odpowiedzialność za Monachium (Niemcy z terenu Czechosłowacji) oraz za późniejsze czyny, przede wszystkim jednak chodzi mu o ukaranie „właśnych” Niemców, których niemal wyłącznie uważa za zbrodniarzy.

„... Pośród Czechów zbrodniarzy jest mało, pośród Słowaków — więcej, ale pośród naszych Niemców z pewnością 90 %...”

Następna sprawa to Węgry. Tu właśnie ujawnia się zdecydowana niechęć Benesza do południowego sąsiada Czechosłowacji. Wprawdzie nie wysuwa tu hasła „rozbić”, ale...

„... Na Węgrzech musi nastąpić wewnętrzna rewolucja i zniszczenie feudalizmu. W Anglii i Ameryce zaczynają już to rozumieć. Boją się tylko,

aby rewolucja na Węgrzech nie była taka jak po minionej wojnie, z Belą Kuhnem etc. Dlatego istotną jest sprawa okupacji Węgier. Uważam za rzecz pierwszej wagi, aby w okupacji wzięli udział nie tylko Anglicy i Amerykanie, ale także Wy. Wyobrażam sobie, co by się stało, gdyby tam byli tylko Anglicy. Arystokraci węgierscy urządzaliby polowania, tłumaczyliby że są najstarszą demokracją w Europie... My chcemy mieć naszą granicę z Węgrami sprzed Monachium. Ani Roosevelt, ani Churchill nie zajęli w tej sprawie wyraźnego stanowiska... Ja chcę, aby w postanowieniach traktatu pokojowego było zaznaczone, że mamy prawo zająć przedmonachijskie granice”.

Duży nacisk kładzie Benesz na sprawę transferu ludności. Powołuje się przy tym na swe rozmowy z Anglikami, którzy jednak nie chcieli zawczasu ogłaszać swego stanowiska, aczkolwiek nie wyrażali sprzeciwów co do zasady. Powrót do stanu sprzed roku 1938 uważa za niemożliwy, przewidując pewne trudności z Anglikami w tej kwestii uderza w ton „postępowca”:

„Problem transferu łączy ze sprawą społeczną. Wśród naszych Niemców 70 procent to ludzie bogaci — ci muszą wynieść się najwcześniej. Wszyscy oni to faszyci. Czesi to demokraci. Są wśród nas także ludzie bogaci, reprezentowane są wszystkie kierunki polityczne, ale można stanowczo stwierdzić, że naród jako całość jest demokratyczny. Problem postawiłem tak: wojnę rozpoczęli Niemcy z CSR, oni ponoszą największą winę i należy ich ukarać...”

Przy okazji Benesz nadmienia, iż otrzymał depezę od swego ministra spraw zagranicznych, z której wynika iż na wniosek Grecji szereg małych państw zamierza wystąpić do wielkich mocarstw z postulatem, aby w postanowieniach traktatu pokojowego znalazły się wytyczne co do transferu mniejszości. Ponieważ jednak stanowisko rządu sowieckiego nie jest mu znane, wstrzymał się od zajęcia stanowiska w tej sprawie. Co do transferu Niemców uważa, że najlepiej byłoby przesiedlić wszystkich, a przynajmniej dwa miliony (na ogólną ilość 2.800.000).

Wracając do społecznego aspektu transferu Benesz zwraca uwagę na konieczność uznania wywłaszczeń ludności niemieckiej za zabezpieczenie przyszłych reparacji.

„Chcę jednak by wywłaszczenia przeprowadzono tak, aby majątek niemiecki przeszedł na własność rządu CSR. Niemcy dostaną pokwitowanie, z którym będą się mogli zwrócić do rządu niemieckiego o odszkodowanie. Nie chcę takich reparacji jak po minionej wojnie (Uśmiechy). Jest to forma prosta, lecz radykalna. Będziemy konfiskowali ziemię i fabryki, kopalnie, huty, banki niemieckie. Nie mogą tego oddać jednostkom — wynikiłoby niesamowite zatargi. Wszystko to przejmie państwo... Gdy jednak postąpię tak z majątkiem niemieckim, zmuszony będę tego samego żądać od Czechów”. (Tu replika Mołotowa powątpiewającego w aprobatę takich posunięć przez Czechów).

Benesz: „Oczywiście, że będzie walka, ale musimy ją wygrać”.

Dalsza dyskusja dotyczyła reformy rolnej. Na pytanie swych rozmówców wyjaśnia Benesz szczegóły dotyczące reformy rolnej (górną granicę 500 ha ziemi, 250 ha lasu i 250 ha ziemi ornej). Obecnie chce ustalić maksimum na 25 ha). Dodaje, iż błędem starej reformy było powierzenie jej realizacji jednej partii — partii agrariuszy — obecnie Benesz pragnie, aby realizacją zajęły się cały naród. Wywody te nie wywołały jednak żadnej reakcji ze strony Mołotowa.

Snując rozważania na temat współpracy po wojnie, Benesz podkreśla konieczność reorientacji Czechosłowacji, która przed wojną opierała się na Francji. Przedkłada w związku z tym odpowiednie memorandum.

Wracając do sprawy ukarania zbrodniarzy wojennych, Benesz zwraca się do przedstawicieli sowieckich z apelem, by rząd sowiecki w oficjalnej nocie do rządu CSR domagał się ukarania słowackich zbrodniarzy wojennych. Krok ten nawet u sowieckich rozmówców wywołał pewne zdziwienie, skoro Mołotow uznał za stosowne zapytać, czy Benesz traktuje Słowaków na równi z Niemcami i Węgrami. Benesz podkreślił, iż nie życzy sobie umiędzynarodowienia sprawy słowackiej, nie chce aby ta sprawa wyglądała na zemstę Czechów. Niemniej jednak jego negatywny stosunek do Słowaków ujawnia się również w wypowiedziach na temat przyszłej struktury państwowej Czechosłowacji. Benesz, jak wiadomo, był przeciwny autonomii słowackiej, opowiadał się jedynie za decentralizacją (Czechy, Morawy, Słowacja, Ukraina Zakarpacka). Przy okazji przyznawał, iż przed wojną prowadzono niewłaściwą politykę względem Ukraińców; nie wywołało to żadnej reakcji u Mołotowa.

Benesz jest za niepodległością Austrii, przeciwny jednak planom federacji z tym krajem. Uważa, że mogłoby to być wykorzystane przeciw Czechom. Popiera Rumunów przeciwko Węgrom zaznaczając jednak, iż w sprawie Besarabii nigdy „nie zhańbił imienia Czechosłowacji”. Benesz popiera gorąco sprawę uznania komitetu de Gaulle'a jako rządu Francji. Zależy mu na tym, by Francja przed zakończeniem wojny znalazła się w obozie sojuszników.

Tak w skrócie przedstawia się sprawa rozmów Benesza na Kremlu. Widzimy tu zdecydowaną chęć przypodobania się gospodarzom, lecz także pewne próby uchodzenia za polityka, z którym należy się liczyć, które to próby wyglądają dość groteskowo, jeśli porówna się je z replikami sowieckich przywódców. Benesz chciał uchodzić za postępowca, być może to by mu się powiodło, gdyby nie jego pragnienie „reorientacji”, która skończyła się zgubnie zarówno dla niego samego jak i dla kraju, który reprezentował.

Stefan MICHNIK

1859 DNI WARSZAWY

Ci z nas, którzy zajmują się historią podziemia w Polsce w czasie ubiegłej wojny, często spotykają się z zarzutem, że zbyt wiele uwagi poświęca się Warszawie z pominięciem innych miast i dzielnic okupowanego kraju. Stwarza to obraz niekompletny, wypaczony i pozbawiony proporcji. Obraz ten jest także historycznie błędny i niesprawiedliwy.

Zarzuty te są na pewno słuszne, ale istnieje jeden poważny argument, który je osłabia. Niezależnie od posiadanej dokumentacji, która wybitnie faworyzuje Warszawę, stolica przerosła w swej działalności wszystko to, co działo się w innych częściach kraju i w innych miastach.

W Warszawie mieszcili się polskie podziemne władze, polityczne i wojskowe, w Warszawie skupiały się wszystkie nici kierownictwa oporu, stawianego okupantom, do Warszawy podążał każdy kurier, wysłany z Paryża czy z Londynu, w Warszawie miał się meldować każdy skoczek zrzucony z Zachodu. Rzecz znamienna: nawet Niemcy uznali milcząco ten stan faktyczny. W Krakowie umieścili okupacyjne władze, z Frankiem na czele, i starali się szybko zgermanizować miasto, a Warszawie pozwolili żyć własnym, polskim życiem i zachować swój polski charakter, mimo że i tam nie zrezygnowali z forsowania niemieczyny. Ich plany zamienienia stolicy na prowincjonalne miasto nie zmieniają faktu, że nie próbowali zdławić jej za wszelką cenę w okresie okupacji. Dopiero po powstaniu furia Hitlera kazała zmieść Warszawę z powierzchni ziemi.

Władysław Bartoszewski, najwybitniejszy dziś w kraju znawca okresu niemieckiej okupacji, którego pisarski i tematyczny zasięg wprowadza w podziw, jest w gruncie rzeczy także przede wszystkim historykiem stołecznego miasta. W nim, poza kilkunastu miesiącami spędzonymi w Oświęcimiu, przeżył wojnę, w nim działał konspiracyjnie, w nim jako młody bardzo człowiek, jeszcze w czasie wojny rozpoczął swe pierwsze pisarskie kroki na łamach podziemnych pism, jemu poświęcił najlepsze lata swego życia, z nim jest związany pamięcią, pracą, myślą i uczuciem.

Z tych przesłanek musiała się zrodzić praca, która zaczęła się w pierwszych okupacyjnych latach a zakończyła dopiero teraz i otrzymała nazwę, *1858 dni Warszawy*.

Jest to kronika stołecznego miasta, spisana prawie dzień po

* Władysław Bartoszewski, *1859 dni Warszawy*, Wydawnictwo „Znak”, Kraków, 1974, str. 834, ilustracji 77, sztywna okładka, obwoluta.

dniu i obejmująca cały wrzesień 1939 roku, okres niemieckiej okupacji do 31 lipca 1944 roku i 63 dni powstania.



Forma kroniki ma już za sobą kilka tysięcy lat tradycji. Korzystano z niej wielokrotnie, bądź przez kolegialne zbieranie i szeregowanie faktów i wydarzeń, bądź przez pisanie pamiętnika, bądź przez zapiski, prowadzone dzień po dniu, często bardzo lakoniczne, składające się czasem z jednego tylko zdania lub wprost z pojedynczego słowa.

Pozornie jest to forma łatwa, nie wymaga bowiem komentarza, wniosków i syntezy, nie należy jednak zbyt pochopnie „łatwości” tej akceptować.

Po pierwsze wiele zależy od tego w jakim okresie historycznym zbierano szczegóły do powstającej przez lata kroniki. Gdy życie jest łatwe, gdy można swobodnie korzystać ze świadectw współczesnych i ze środków przekazu, jakie w danym okresie istniały, kronikarz musi być tylko człowiekiem sumiennym, by zebrać wszystko to, czego potrzebuje. Gorzej, gdy czasy są niespokojne, wojenne, zaborcze i okrutne. Bartoszewski podjął trud skompletowania swej kroniki, a przynajmniej pewnej jej części, w okresie nazistowskiej okupacji, gdy wolne drukowane słowo było zabronione, gdy pozamykano polskie księgarnie, drukarnie, czytelnie i stacje radiowe, gdy nikt prawie nie prowadził zapisów, bo mogłyby być wykorzystane przez wroga, gdy za gromadzenie wojennej, obiektywnej dokumentacji groziło aresztowanie, śledztwo i Oświęcim. Jest zdumiewające jak wiele jednak zachowało się materiałów dowodowych, które mimo pożogi wojennej i cyklonu Warszawskiego Powstania jakoś się uratowały. Trzeba tu podkreślić, że Bartoszewski nie tylko wykorzystał po wojnie to wszystko, co inni przechowali, ale jakiś cudem uchronił od zagłady własne wojenne zbiory, które zaczął kolekcjonować zaraz po wkroczeniu niemieckich wojsk.

Na samym zgromadzeniu surowego materiału nie kończy się jednak rola kronikarza i tu dochodziły do drugiej trudności, która sprawia, że ta forma prezentacji historycznego okresu wcale nie jest łatwa.

Zebrany materiał trzeba przepracować, trzeba wyselekcjonować to, co ważne, i całą resztę odrzucić, choć serce się kraje i bardzo wszystkiego szkoda. Przez tę selekcję i przez odpowiedni dobór wybranych wydarzeń, szczegółów i drobnych przyczynków, kronikarz-historyk nadaje kierunek swemu dziełu, wyraża własne poglądy polityczne, kulturalne i społeczne, daje milcząc swój komentarz i sugeruje wnioski, choć sam ich nie wypowiada.

Władysław Bartoszewski w pracy swej pokazał, że dobrze wie co jest ważne, konieczne i potrzebne, by utworzony z faktów

i przyczynków obraz stał się plastyczny, wierny i drgający emocjami tamtych dni, by zastanawiał, wstrząsał i wzruszał tak samo, jak wypadki sprzed wielu lat, które się na ten obraz złożyły.

Oczywiście ocenić to możemy przede wszystkim my, którzy przeżyliśmy jakiś okres w okupowanej Warszawie, którzy pamiętamy tamte dni, dla których hasło Małego Sabotażu, niemiecki plakat, cena słoniny, uliczny żart — nie są tylko rekwizytami przeszłości, ale powrotną emocją, odczuwaną prawie tak samo gorąco dziś, jak wówczas, w dniach grozy i walki.

Nie znaczy to jednak wcale, że książka Bartoszewskiego interesować może tylko tych, którzy pamiętają okupacyjną Warszawę. Jej kronikarska wartość będzie wysoko ceniona przez przyszłego historyka, który znajdzie w niej nie tylko potrzebne mu fakty i szczegóły, ale także ówczesny klimat i specyficzny nastrój stołecznego miasta, broniącego się przed okupacyjną rzeczywistością nie tylko pistoletem i granatem, ale także humorem, uliczną piosenką i antyniemieckim żartem.

Forma kroniki jest wąska, ale jednocześnie pozwala na objęcie, choćby w największym skrócie, wszystkich przejawów życia w danym okresie. Bartoszewski sięgnął jak najszerzej i pokazał Warszawę całą, nie zapomniał o dzielnicy żydowskiej i jej straszliwej tragedii, nie pominął bohaterskiego zrywu żydowskich bojowców, gdy Niemcy przystąpili do ostatecznej likwidacji tej części miasta, której ludność skazali na zagładę.

Wiele stron poświęcono walce a przede wszystkim Warszawskiemu Powstaniu, podjętemu przez Armię Krajową w ostatecznym rozrachunku z niemieckimi okupantami i w finałowej próbie ocalenia polskiej niezawisłości. Dobór faktów, dokumentów, wyjątków z prasy podziemnej i ilustracji wyraźnie wskazuje jak Bartoszewski ocenia tę walkę i jaki ma do niej rozumowy i uczuciowy stosunek. Jest on miarą jego polskich i patriotycznych uczuć.



W czasie kilku ostatnich lat, studiując ruch podziemny w oświęcimskim obozie, zetknęłam się z inną kronikarską pracą, którą bardzo wysoko cenię i którą chciałbym porównać z osiągnięciem Bartoszewskiego. Jest to „Kalendarz wydarzeń w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka” opracowany przez Danutę Czech (*Zeszyty Oświęcimskie*, nr. 2-7, 1959-64).

Oczywiście życie w okupowanej Warszawie i życie w Oświęcimiu to mimo wszystko dwa odrębne światy, niemniej porównanie jest możliwe. I tu i tam byli ci sami Naziści, którzy wpłynęli na rzeczywistość, i tu i tam toczyła się walka o przetrwanie i zachowanie godności ludzkiej, i tu i tam sabotowało

się niemieckie zarządzenia, zdobywało żywność i odczuwało ciężary zmian klimatycznych.

Danuta Czech poszła po linii odnotowywania spraw najważniejszych, jak ruch transportów i ich numeracja, selekcje do komór gazowych, egzekucje, ucieczki i niektóre szczegóły podziemnych poczynąń. Tylko wyjątkowo jej Kalendarz uwzględniła pogodę w danym dniu, jakoś wydanej żywności czy inny, podobny szczegół. Korzystając z jej pracy przez szereg lat i znając ją na wylot, podzielam pogląd autorki, że tak właśnie należało ją przygotować. Pomijając już fakt, że zdobycie dodatkowych szczegółów mogłoby się okazać niemożliwe, przeładowałyby one bezcenną kronikę obozowego życia, która zyskuje na wartości przez swą jednorodność i surowość. Takie było nasze oświecimskie życie, malowane nieledwie jedną tylko barwą.

Co innego praca Bartoszewskiego. Jego kronika przedstawia obraz milionowego miasta, okupowanego wprawdzie, ale nie złamanego i pełnego życia. Po ulicach krążyli Niemcy, na murach i ścianach panoszyły się ich rozporządzenia, groźby i plakaty, ale po tych samych ulicach przesuwiał się tłum Polaków, z których prawie każdy związany był jakąś podziemną tajemnicą, niósł w kieszeni pistolet, granat, numer tajnego pisma lub zakazaną ulotkę, a już na pewno wszyscy nienawisć w sercu do okupantów. Nic dziwnego, że życie toczyło się na dwóch płaszczyznach. Jedna, oficjalna, ograniczała się do niemieckich zarządzeń, policyjnych mundurów, łapanek, nocnych aresztowań, kartkowych produktów, kasyna gry i podkasanych teatrzyków; druga, czysto polska, podziemna, konspiracyjna, stanowiła prawdziwą pełnię życia. Na tej drugiej płaszczyźnie działało Polskie Państwo Podziemne; polityczne, wojskowe, kulturalne, wychowawcze, propagandowe.

Obydwa nurty stanowią podstawę pracy Bartoszewskiego i przeplatają się w niej nieustannie, a dodatkową barwę stanowią drobne wiadomości o temperaturze dnia, o cenach, o zgubionych dokumentach, o pożarach, o nowych liniach tramwajowych, o wypadkach na jezdni. Harmonijne zestawienie całości stwarza obraz ówczesnej Warszawy, tej okupowanej i walczącej, i tej zwyczajnej, żyjącej z handlu, wożącej węgiel, posilającej się w przygodnej kawiarence, podążającej za pogrzebem.

Kronikarz wywiązał się ze swego zadania bardzo dobrze. Trzeba podkreślić szerokość zasięgu, upór w poszukiwaniu potrzebnych szczegółów, umiejętność selekcji, tego właśnie co jest potrzebne i ważne, i kierunek ideowy, który wyłania się z kart książki.

O Warszawie ubiegłej wojny napisano już bardzo wiele, ale ta nowa pozycja wdrze się bez żadnego trudu w głębokie szeregi dotychczasowych publikacji, rozepchnie je i zajmie wśród nich miejsce poczesne.

Nie obejdzie się bez niej historyk, nie obejdzie się uczestnik tamtych lat i zmagañ, nie ominie jej młody czytelnik, który chce

wiedzieć jak wówczas było. Będzie z niej także korzystać pisarz, bo sugeruje ona i wprost narzuca wiele tematów zupełnie odrębnych i przynosi materiał anegdotyczny, oparty na rzeczywistości, tak bardzo potrzebny przy odtwarzaniu życia tamtych lat.

Józef GARLIŃSKI

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

„POD POWAGĄ WIELKIEGO WSCHODU POLSKIEGO”

(„Księga Budownicza” Protokoły obrad Spraw [★] i Dusk ^{★★} Łoży Wolnomularskiej „Przesąd zwyciężony” na Wsch[odzie] Krakowa za okres od dnia 6 czerwca 1820 roku do dnia 7 października 1822 roku wraz ze spisem członków Łoży w okresie Rzeczypospolitej Krakowskiej. (Wierna odbitka odnalezonego oryginału) z 2 odbitkami zdjęć gmachu Łoży i przedmową Stefana Łaniewskiego. Paryż, 1974, Wydawnictwo Społeczności Wolnomularzy Polskich, kart 305 + 15. (Drukowano jako rękopis). (Odbitka powielaczowa).

Z przedmowy wynika, iż Społeczność Wolnomularzy Polskich uznała za celowe opublikowanie *in extenso* tekstu książki protokołów krakowskiej loży „Przesąd zwyciężony” z kilku względów. Rękopiśmienny oryginał książki został odnaleziony i z trudno czytelnego skryptu z wielkim mozołem odszyfrowany przez dra Kazimierza Szwarcenberga-Czernego, który — jak trafnie ujmuje przedmowa — uratował od zapomnienia cenne źródło historyczne do dziejów Wolnomularstwa Polskiego po rozbiorach. Objęty protokołami kres zbiega się z kresem działalności Łoży, „uśpionej” w roku 1822 na skutek ukazu Aleksandra I, który w roku poprzednim rozwiązał wszystkie loże na obszarze Rosji i Królestwa Polskiego. Łoża krakowska, aczkolwiek działająca w pozornie autonomicznej Rzeczypospolitej Krakowskiej, podlegała Wielkiemu Wschodowi Polskiemu, którego siedzibą była Warszawa. Świadectwem tego związku są sprawozdania z obchodu imienia Wielkiego Mistrza Stanisława hr. Potockiego i zawiadomienie członków o objęciu urzędu przez jego następcę, gen. Aleksandra Różnieckiego w dn. 3 marca 1821, na krótko przed kasatą. Wartość „Księgi Budowniczej” podnosi fakt, iż ukazuje ona nagłość owej katastrofy. Łoża pracowała normalnie do ostatniego dnia a na ostatnim zaprotokołowanym posiedzeniu balotowano kandydaturę nowego członka. Inną formą związków z Królestwem był stosunkowo liczny udział członków z kordonu, „obywateli rosyjskich”.

Łoża „Przesąd zwyciężony” działała w Krakowie przez 36 lat od 13 grudnia 1786, gdy została zatwierdzona przez Wielki Wschód pod którego powagą działała, co stale przypominają nagłówki protokołów. Po formalnej przerwie w działalności, trwającej od roku 1794 do 1810, członkami jej było 385 głównie Polaków, z małą domieszką przedstawicieli innych narodowości lub spolszczonych cudzoziemców, których reprezentuje wymownie Jakub Midleton-Miętuszewski, pisarz sądowy. Językiem Łoży był polski; raz tylko pojawiła się francuszczyzna z okazji przyjęcia do Łoży kpt. kawalerii Ferdynanda Bossari’ego, adiutanta księcia Modeny.

Siedzibą Łoży był obszerny jednopiętrowy dworek przy ul. Kopernika 7, który po ustaniu działalności przekazany został uniwersyteckiej klinice lekarskiej, w której posiadaniu znajduje się do dziś. W okresie oddawania wymagał poważnego remontu, bo, jak świadczą protokoły, dach zaciekał a swąd z pieców zmuszał do skracania zebrań. Uczęszczanie na nie było obowiązkiem „czasochłonnym”, bo odbywały się co tydzień (np. w poniedziałki o godz. 5-ej pp.), — a także kosztownym, gdyż poza opłatami rocznymi, ściągawanymi skrupulatnie, na każdym posiedzeniu krążyła „puszka ubogich” zasilana nie tylko ofiarami obecnych ale i datkami składanymi w imieniu nieobecnych, co skrupulatnie odnotowywano.

Z protokołów wynika, iż działalność Łoży miała charakter zbliżony do typowych prac dzisiejszych łóż angielskich, to znaczy dominowały w niej akcje charytatywne. Łoża miała więc studentów stypendystów, otrzymujących stałe zapomogi pieniężne a nadto wspomagała sporadycznie akademików, mogących się wykazać dobrymi obyczajami i charakterem „moralnym”. W toku dyskusji nad propozycją przyznania zasiłku na kupno odzieży wyrażono np. obawę, aby nowy przyodziewek „nie stał się powodem ożywienia płochości”. Wpływy z „puszki ubogich” i zbiórki specjalnych zużywano na pomoc dla pogrzelców, ofiar powodzi, wdów i sierot, a w wyjątkowych wypadkach na cele takie, jak „wsparcie rodziny szwajcarskiej w podróży będącej”. W rozdawnictwie pomocy pośredniczyło niekiedy Towarzystwo Dobroczynności, które Łoża popierała, wzywając np. członków do kupowania biletów na przedstawienia teatralne na dochód Towarzystwa.

Posiedzenia dzieliły się na „instrukcyjne”, „obrzędowe”, „elekcyjne” i „receptyjne”. Na „św. Jana Letniego” (w ostatnich dniach czerwca w sąsiedztwie 24. VI) i w jesieni odbywały się „łoże receptyjne” połączone z bankietami. Te ostatnie urządzano także z okazji imienin Wielkiego Mistrza Stanisława hr. Potockiego, i lokalnych dostojników krakowskich. Na specjalną uwagę zasługują „łoże pogrzebowe” poświęcone „rozpamiętywaniu znikomości życia a wielkości przyszłości”.

Przyczynkiem dużej wagi, nie tylko do historii łoży „Przesąd zwyciężony” jest zapis z dnia 19 marca 1821. Na odbywającej się ze szczególną pompą „łóży instrukcyjnej i bankietowej” z okazji

imienin Józefa Wodzickiego, „Prezesa Kapituły Niższej na Dolinie Krakowa pod szczególnym nazwiskiem Góra Wawelu” obecni na uroczystości Bracia (w liczbie 80) postanowili ofiarować z kasy Łoży 500 zł. polskich „na wybudowanie pomnika Tadeusza Kościuszki”, „w niemylnym przekonaniu, dzieląc uczucia należne sławie Braters [★] Tadeusza Kościuszki, której przy tym był Bratem we względzie WL-skim”. Sumę tę złożono z myślą o uznaniu zasług Solenizanta, tj. Józefa Wodzickiego.

Od niepamiętnych czasów toczy się spór o stosunek Kościuszki do masonerii i poszukiwania śladów jego przynależności do konkretnej loży w Stanach Zjednoczonych czy też w Kraju. Poszukiwania te nie dały dotąd definitywnych wyników, choć np. na terenie amerykańskim prowadzone były z ogromnym nakładem pracy i cierpliwości, jak świadczy artykuł na ten temat Bohdana Berendta w „Tekach Historycznych” (t. XVI, 1969-1971) i bibliografia zagadnienia opublikowana w „Biuletynie Społeczności Wolnomularzy Polskich”, Paryż, 1972, nr 2. Informacja zawarta w protokołach loży krakowskiej a związana z osobami zajmującymi wysokie stanowiska w hierarchii wolnomularstwa polskiego jest poważnym argumentem dla zwolenników tezy przynależności Kościuszki do „Zakonu WM”.

Skład Łoży jest typowy dla instytucji tego typu w ówczesnej Europie. Obywatele miasta Krakowa i obywatele ziemscy sąsiadują z lekarzami, adwokatami, urzędnikami administracyjnymi i wojskowymi. Uderza stosunkowo wysoki procent burmistrzów, wójtów i urzędników pocztowych z okolic Krakowa.

Lektura 102 protokołów zebrzań, odbywanych w oparciu o porządek dzienny powtarzany niemal bez zmian, jest zajęciem wymagającym dużego wkładu cierpliwości. To się jednak opłaca, bo spod uroczystego słownictwa specjalnego przeładowanego terminologią wolnomularską wyłaniają się ciekawe świadectwa obyczajów epoki. Tak np. na wiadomość o ciężkiej chorobie jednego z Braci przesłano mu „pożegnanie braterskie na przypadek przejścia z wyroków Najwyższego Budownika Świata do wieczności” a Bracia „pozostali w oznakach smutku”. W czasie odbywania prób obowiązującego „Światowych”, kandydujących do Łoży, czekały ich „próby moralne i trzy podróże”. Jeden z kandydatów miał darowane próby „dla podeszłego wieku”. Liczył — lat 50 (słownie: pięćdziesiąt). To znów wkracza nuta polityczna: „Brat Wilhelm Żeleński 'ze względów stosunków światowych z Rządem Galicyjskim zniewolony został się przykryć' i, jako dar pożegnalny, złożył 200 zł pol.”.

Publikację przygotowano bardzo starannie. Poprzedza ją rzeczowa przedmowa pióra Stefana Łaniewskiego przynosząca wnikliwą analizę wytycznych i wyników prac Łoży.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

LISTY I POLEMIKI

Londyn, 3 kwietnia 1975.

Szanowny Panie Redaktorze!

W roku ubiegłym ukazał się staraniem Instytutu Pamięci Męczenników i Bohaterów „Yad Vashem” w Jerozolimie angielski przekład książki Emanuela Ringelbluma „Stosunki polsko-żydowskie w czasie II wojny światowej”. Tytuł przekładu: „Polish-Jewish Relations during the Second World War”. Książkę zredagowali i zaopatrzyli przypisami Joseph Kermish i Shmuel Krakowski, wstęp i postscriptum napisał Joseph Kermish. Przed niedawnym czasem otrzymałem egzemplarz tej książki i po zapoznaniu się z nią widzę potrzebę zabrania głosu w sprawie, dotyczącej mej osoby i mej pracy.

Przypis na str. 172-173 dotyczy zaopatrzenia Żydowskiej Organizacji Bojowej w broń i polemizuje „z niektórymi historykami polskimi”, którzy utrzymują, że duże ilości broni wykazanej jako posiadane po kampanii wrześniowej z końcem roku 1941 stały się w roku 1943 niezdatne do użytku, gdyż uległy całkowitemu uszkodzeniu w niewłaściwych warunkach przechowywania w tajnych arsenałach. „Wedle owych historyków — czytamy — wyjaśnia to znikomą ilość broni, przydzielonej Żydowskiej Organizacji Bojowej, ilości nie pozostającej w żadnym stosunku do ilości broni dostępnej w arsenałach Armii Krajowej”. Jako przykład, przytaczają Kermish i Krakowski artykuł Adama Ciołkosza w *Zeszytach Historycznych*, Nr 15/1969. „Ze argumentacja ta jest fałszywa — czytamy w dalszym ciągu — wynika pomiędzy innymi z memoriału o możliwościach działania Armii Krajowej, przedstawionego przez polskiego attaché wojskowego w Waszyngtonie płk. Mitkiewicza w imieniu premiera polskiego rządu emigracyjnego gen. Sikorskiego na posiedzeniu plenarnym Najwyższego Dowództwa Aliantów w dniu 2 lipca 1943 roku”. Wedle tego memoriału, wiosną 1943, tj. w czasie powstania getta warszawskiego, w posiadaniu Armii Krajowej znajdowało się 600 ciężkich karabinów maszynowych, 1.000 lekkich karabinów maszynowych, 25.000 karabinów, 6.000 pistoletów, 30.000 granatów ręcznych. Jako źródło podana jest praca Leona Mitkiewicza „Powstanie warszawskie — z mojego notatnika w Waszyngtonie” w *Zeszytach Historycznych*, Nr 1/1962, str. 113.

Cytat jest ścisły, ale liczby są fantastyczne i od razu budzą wątpliwości. Następne zdanie w memoriale Mitkiewicza brzmiąco bowiem: „Stanowi to ilość uzbrojenia, wystarczającego na alarmowe wyposażenie 10 batalionów”.

Proste działania rachunkowe prowadzą do wniosku, że w rozumieniu płk. Mitkiewicza alarmowe wyposażenie batalionu piechoty wynosiło w owym czasie 2.500 karabinów, 60 ckm, 100 lkm, 600 pistoletów i 3.000 granatów ręcznych. Przy całym respektcie dla pułkownika, późniejszego generała Mitkiewicza, pozwalam sobie określić liczby powyższe jako nonsensowne. Lecz nie winimy zanedo Mitkiewicza. Oparł się on na meldunku organizacyjnym gen. Roweckiego Nr 79 z dnia 1 października 1941, zaokrąglając przy tym liczby i zaliczając mylnie ręczne karabiny maszynowe do kategorii lekkich karabinów maszynowych. W tym miejscu wypada też sprostować pomyłkę, jaka zasła albo przy przepisywaniu oryginalnego memoriału z dnia 2 lipca 1943 albo też w drukarni, a mianowicie zamiast liczby 200.000 szeregowych, którą znajdujemy w tekście przytoczonym w *Zeszytach Historycznych*, Nr 1/1962, str. 113, należy wstawić liczbę 300.000, taką liczbę bowiem znajdujemy w oryginalnym memoriale, przechowywanym w archiwach Instytutu Polskiego i Muzeum im. Generała Sikorskiego w Londynie, kolekcja rtm. Zamoyskiego, korespondencja 1943-1944, Lp. 12, Copy No 42. Liczba 300.000 była grubo przesadzona, toteż po otrzymaniu odpisu memoriału Sztab Naczelny Wodza w Londynie udzielił Mitkiewiczowi „wymówki czy... nagany za podanie przesadnych cyfr”, na co Mitkiewicz w liście do zastępcy szefa Sztabu NW w Londynie płk. Sulisławskiego przyznał się do pomyłki co do stanu liczebnego naszych sił zbrojnych, którą już sprostował, natomiast nie przyznał się „w żadnym wypadku do świadomej przesady w określaniu naszych sił” (zob. Leon Mitkiewicz „W Najwyższym Sztabie Zachodnich Aliantów 1943-1945”, Londyn 1971, str. 38-40, pod datą 26 lipca 1943).

Liczby dokładne znalazły się w meldunku organizacyjnym gen. Roweckiego Nr 190 za czas od 1 września 1942 do 1 marca 1943, wysłanym z Warszawy w dniu 1 marca 1943 i otrzymanym w Sztabie Naczelnego Wodza w Londynie w dniu 1 października 1943. W czasie, gdy pisał swe memorandum, płk Mitkiewicz nie miał fizycznej możliwości wykorzystania meldunku Nr 190. Załączony do tego meldunku *Ordre de Bataille* wykazuje w dniu 1 marca 1943, a więc na krótko przed powstaniem warszawskiego getta, 1.906 plutonów pełnych i 1.715 plutonów szkieletowych, co razem daje 148.660 szeregowych, a po rozwinięciu plutonów szkieletowych w plutony pełne powinno być 217.260 szeregowych. Stan uzbrojenia AK w tym samym czasie wynosił 607 ckm, 1.067 rkm (nie lkm!), 24.028 kb, 7.946 pistoletów, 81 pistolety maszynowe, 2 działa, 8 armat ppanc., 34 kb ppanc., 35.403 granaty ręczne. Liczby te z grubsza biorąc były zgodne z wykazanymi w memoriale płk. Mikiewicza, z tym, że pozycję „ręczne karabiny maszynowe” przerobił Mitkiewicz na „lekkie karabiny maszynowe”. Niestety, Mitkiewicz przecoczył uwagę, jaką generał Rowecki dodał do meldunku Nr 118, z której przytoczę tu dwa najważniejsze zdania: „Gros broni jest w posiadaniu indywidualnym i tylko mała część jest przechowywana w magazynach zbiorowych i zakonserwowana. Należy przyjąć, że gros broni, zwłaszcza maszynowej, znajdującej się w ziemi, nie dość starannie konserwowanej jest już obecnie, w trzecim roku, niezdadne do użytku”. Natomiast płk Mitkiewicz nie mógł znać uwag, którymi gen. Rowecki zaopatrzył swój meldunek organizacyjny Nr 190, a które 1) określały podane w tabeli ilości broni jako nieścisłe, gdyż skontrolowanie w terenie posiadanego stanu broni jest bardzo trudne, a czasem niemożliwe, 2) ostrzegały, że z wykazanej broni zaledwie 30 % jest należycie przechowywane i konserwowane, z pozostałej ilości znaczna część jest niezdadną do użytku i że 3) wartość prowadzonej ewidencji amunicji po kilkoletnim przechowywaniu — przewidzianej w warunkach nieodpowiednich — może okazać się problematyczna. Meldunek Nr 190 dotarł do Londynu dopiero dnia 1 października 1943, nie mógł go więc znać Mitkiewicz, gdy wyjeżdżał z Londynu do Waszyngtonu

i gdy tam opracowywał swój memoriał. Tym samym brzmienie memoriału płk. Mitkiewicza, złożonego w Waszyngtonie w dniu 2 lipca 1943, nie może mieć większej mocy dowodowej od brzmienia uwag gen. Roweckiego przy meldunku Nr 190, doręczonym w Londynie dnia 1 października 1943, odwrotnie, meldunek gen. Roweckiego ma większą moc dowodową. Uwagi gen. Roweckiego, przytoczone w III tomie „Polskich Sił Zbrojnych w Drugiej Wojnie Światowej”, Londyn 1950, str. 325-326, były natomiast znane mnie, gdy pisałem swą pracę dla *Zeszytów Historycznych*, Nr 15/1969, więc je przytoczyłem dosłownie. Kermish i Krakowski zarzucają mi fałszywą argumentację, lecz z brzmienia przypisu na str. 173 wyedytowanej przez nich książki Ringelbluma widoczne jest, że w ogóle nie widzieli i nie czytali ani III tomu „Polskich Sił Zbrojnych”, ani też mej pracy „Broń dla getta Warszawy” w *Zeszytach Historycznych* Nr 15/169, chociaż się na jedną i drugą powołują. Tego rodzaju metoda polemiki wydaje mi się niezgodna nie tylko z regułami pracy historyczno-naukowej, ale nawet z rzetelnością pisarską i z respektem dla czytelników.

Kończąc, podtrzymuję wszystko, co napisałem w mej pracy „Broń dla getta Warszawy”, każde słowo i każdą literę. Prostuje tylko omyłkę drukarską: na str. 38 wydrukowano nazwisko ministra spraw wewnętrznych jako Bańczyk, w rzeczywistości brzmiało ono Banaczyk.

Łączę wyrazy uszanowania,

Adam CIOŁKOSZ

Ottawa, 2 kwietnia 1975.

Szanowny Panie Redaktorze!

W odpowiedzi na listy p. Mieczysława Biesiekierskiego i Dr. Witolda Langroda biję się w piersi i przyznaję, że tu pamięć mnie zawiodła. Decyzja zlikwidowania Urzędu Emigracyjnego istotnie zapadła już w roku 1932, ale wykonanie tej decyzji zabrało około 2 lat.

W odpowiedzi na szereg zarzutów jakie mi stawia Stefan Benedykt (Kijowskie „poprawki historyczne”, *Zeszyty Historyczne* nr 31) muszę jeszcze raz powtórzyć to co napisałem we wstępie do moich „Wspomnień” (*Zeszyty* nr 27):

„Wspomnienia moje nie pretendują do tego by być historią, lecz mogą stać się przyczynkami historycznymi dla zrozumienia minionych czasów”.

Piszę o wypadkach i o ludziach z którymi zetknąłem się bezpośrednio. Schematy organizacyjne frontu i szczegóły częstych zmian personalnych w sztabach zostawiam historykom.

Benedykt ma rację w paru szczegółach, na które zwraca uwagę, w innych myli się na pewno, tak więc:

I. „... *Smigły nie był nigdy w 1918 roku w Kijowie*”.

Zgadzam się, choć w czasie kiedy byłem sekretarzem Komisji Stronictw Niepodległościowych nie wiedziałem o tym. Powinienem był napisać: „... *Smigły, jak nas wtedy informowano, przebywający w jakiejś misji politycznej na Ukrainie*”.

II. „14 listopada Beselera nie było w Warszawie”. Zgoda.

III. „I wydaje mi się, że pertraktował (z szefem sztabu Beselera) nie Filipowicz a kpt. Boerner”. O pertraktacjach kpt. Boernera nie wiem. Filipowicz, mój kilkuletni sąsiad (był posłem w Helsinkach a ja attaché militaire w Tallinie) mówił mi kilkakrotnie o swoich pertraktacjach z Niemcami na temat ewakuacji niemieckich sił zbrojnych z Polski i Ukrainy, kolejną via Grajewo, by minąć centralną Polskę. Na granicy mieli zostawiać broń i amunicję. Czy pertraktacje były prowadzone z Beselerem lub jego zastępcą, czy też z Radą Żołnierską (*Soldaten Rad*) nie pamiętam.

IV. „Marian Zyndram-Kościałkowski nie był nigdy szefem czy dowódcą żandarmerii P.O.W. — był jednym z inspektorów tej organizacji na okupację niemiecką”. Ob. Zyndram-Kościałkowski był mi przedstawiony jako szef żandarmerii P.O.W. Byłem, jak już pisałem, od początku do końca w P.O.W. i nigdy o takiej funkcji czy szarzy jak „inspektor” nie słyszałem.

V. „Walery Sławek miał powierzoną całość kontaktu z Ukrainą, specjalnie z Petlurą. Chyba trzykrotnie przyjeżdżał w związku z tą 'misją ukraińską' do Równego, gdzie konferował, a raczej dawał zlecenia wyłącznie mnie. Nigdy nie był wzywany do niego kpt. Zagłoba i nigdy o nim nawet nie wspominał”.

„Z całą stanowczością muszę dobitnie podkreślić, że przypuszczenia Drymmera o fakcie 'że były to jakieś rozmowy z Machno'... są absolutnie nieuzasadnione. Kpt. Sławek zarówno informował mnie jak i instruował dokładnie w sprawach ukraińskich”.

Otóż powtarzam jeszcze raz, że Walery Sławek dwukrotnie na moim odcinku chodził na Ukrainę w towarzystwie por. Zagłoby-Mazurkiewicza. Dostałem dwukrotnie listowne polecenie od płk. Matuszewskiego, że mam dać por. Zagłobę Sławkowi do dyspozycji, co wykonałem. Nie Zagłoba jeździł do Sławka, lecz Sławek przyjeżdżał do mego, często zmieniającego się m.p. i stąd razem z Zagłobą znikał. Nie pytałem ani jednego ani drugiego do kogo na Ukrainę chodzili. Przypuszczałem, że do Machno, ale były to tylko moje domysły. Kpt. Benedykt mógł oczywiście o tych wyprawach Sławka nic nie wiedzieć. Sławek, „stary” konspirator i działacz, z natury raczej powściągliwy, nie miał powodu wtajemniczać młodego kpt. Benedykta we wszystkie swoje ruchy i pociągnięcia. Dalej jeszcze Benedykt pisze „zapewne Dyr. Drymmer miał na myśli atamana ukraińskiego Kurowskiego...”. Otóż nie, dyr. Drymmer miał na myśli Machno.

VI. Nie mogę zrozumieć więcej niż niechęci Benedykta do Zagłoby. Jestem wprost przeciwnego zdania, ceniłem Zagłobę za odwagę, przedsiębiorczość i ścisłe wykonywanie rozkazów.

VII. Nigdy żadnego wywiadu na gen. Lisowskiego ani na żadnego z oficerów z jego sztabu nie prowadziłem i nie wiem skąd się wzięła ta obraźliwa insynuacja Stefana Benedykta.

VIII. Aresztowanego w Równem doktora „w złotych okularach” istotnie zwolniłem na 2-3 dni, po czym po uzyskaniu dodatkowych materiałów aresztowałem ponownie i internowałem w Poznaniu. Jak już pisałem był jednym z pierwszych na liście do wymiany i po wojnie przyjechał w składzie pierwszej sowieckiej delegacji do Polski. O tym Benedykt mógł nie wiedzieć gdyż od 6 lipca 1920 leżał w szpitalu.

IX. Benedykt kwestionuje moje „opisywanie odwrotu” spod Kijowa. Tylko że ja nie opisywałem odwrotu, bowiem odwrót armii Śmigłego odbywał się w kierunku Korostenia a nie Żytomierza. Ten zaś tabor, którego szczątki widziałem na sosie Kijów-Żytomierz uległ niezawodnie panice. Żadnych śladów walk, od wyjścia z Kijowa aż do skrócenia z szosy żytomierskiej w kierunku północnym, tj. do Korostenia nie widziałem.

X. Na zakończenie swego artykułu Stefan Benedykt sugeruje, że to co napisałem o przejściach Halszki Trzcińskiej w ogóle nie mało miejsca. Gdzie indziej w tym samym artykule doradza mi sprawdzanie wspomnień „choćby u współuczestników relacjonowanych wydarzeń”. Otóż sama Halszka czytała tę część moich „Wspomnień” w grudniu 1974. Kwestionowała tylko niektóre szczegóły, np. w lesie przesiadzała dwie noce a nie jedną.



W odpowiedzi na list dr. Andrzeja Ruszkowskiego:

1. M.S.Z. wystawiało tylko paszporty służbowe i dyplomatyczne. W przeciwieństwie do krajów anglo-saskich gdzie ministerstwa spraw zagranicznych wystawiają wszystkie paszporty, w Polsce wystawiały je starostwa. A więc trudności paszportowe p. Jana Pożaryskiego nie były spowodowane przez M.S.Z.

2. Jakoś bardzo trudno mi uwierzyć w ów donos o którym Pan pisze. W M.S.Z. za donosy, jak za każde inne przestępstwo, stawiałem wniosek ministrowi na karne usunięcie urzędnika ze służby. Tak było po objęciu przeze mnie „Personalii” w M.S.Z. Pomijam już treść owego donosu. Takie powiedzenie usłyszałem po raz pierwszy dopiero na emigracji.

Łączę wyrazy szacunku i pozdrowienia,

Wiktor TOMIR DRYMMER



Wimbledon, 21 listopada 1974.

Szanowny Panie Redaktorze!

W dwudziestym ósmym *Zeszyte Historycznym*, w artykule p. K. Okulicza „Opowieści nobliwe i sentymentalne” na str. 120 przeczytałem wzmiankę o Oddziale Wileńskim. Zostałem niemile zdziwiony, że p. Okulicz, jeden z seniorów polskich emigracyjnych publicystów stawia tak ostre zarzuty Oddz. Wileńskiemu i Jerzemu Dąmbrowskiemu.

Służyłem w Oddz. Ułanów Wileńskich i w późniejszym 13 Pułku Uł. Wileńskich od 1918 do 1928 roku. Dziś jestem najstarszy stopniem wśród żyjących żołnierzy byłego Oddz. Ułanów Wileńskich, a przez 26 lat byłem prezesem Koła Ułanów Wileńskich w Londynie. Nie mogę więc pozostawić postawionych zarzutów bez naświetlenia jak moi Koledzy pułkowi i ja te sprawy pamiętamy.

Nie znam dokumentu władz wojskowych, który mówi o Oddz. Wil., że był złożony przeważnie z „paniczów i rabusiów”. Byłbym wdzięczny p. Okuliczowi za podanie mi pełnej treści tego dokumentu oraz gdzie mógłbym się z nim zapoznać, by się przekonać o autentyczności dokumentu. Na razie pozostaje mi tylko dziwić się, że mógł zaistnieć dokument o podobnej treści w stosunku do podległego oddziału. Wszak władze wojskowe miały pełną egzekutywę do odszukania i ukarania winnych, zamiast używania ubliżających określeń w stosunku do ogółu żołnierzy oddziału.

Jeżeli miały miejsce przestępstwa — to były to tylko wypadki odosobnione. Nie przypuszczam, by przeciętna przestępczość była wyższa od przeciętnej innych oddziałów, operujących w tych samych warunkach. Wypadki przestępstwa były ścigane nie tylko przez dowódców, ale i przez kolegów.

W Oddziale Wileńskim było dwóch braci Dąmbrowskich: Jerzy i starszy

stopniem od Jerzego — Władysław Dąmbrowski. Władysław Dąmbrowski był dowódcą całości Oddziału Wileńskiego.

Myli się p. Okulicz, że Jerzy Dąmbrowski zszedł z widowni po odejściu z Wileńskiego pułku. Jerzy Dąmbrowski odszedł z 13-go Pułku Ułanów Wileńskich, gdzie pełnił funkcję zastępcy dowódcy pułku, na początku 1920 roku i wkrótce został wyznaczony na dowódcę 211-go Pułku Ułanów, a więc na stanowisko wyższe niż zajmował w 13-tym Pułku Ułanów. Zorganizował 211 pułk Ułanów i dowodził tym pułkiem aż do końca wojny, a po wojnie pozostawał w wojskowej służbie czynnej przez wiele lat.

Oddział Wileński na początku 1919 roku przeszedł z Wilna aż po Brześć nad Bugiem, w bardzo ciężkich warunkach, walcząc z bolszewikami. Określenia bolszewicy nie rozciągał na ludność białoruską i żydowską — jak pisze p. Okulicz — ale tylko na tych, którzy z bolszewikami współdziałali. Oddział Wileński po zajęciu Brześcia n/B połączył się z oddziałami Macierzy.

Ocena działalności oddz. Wileńskiego przez p. Okulicza, a szczególnie jego końcowe wnioski, sprzeczne są z oceną ówczesnych czynników oficjalnych w Warszawie. Po zajęciu Brześcia n/B sześcioposobowa delegacja Ułanów Wileńskich była serdecznie przyjmowana przez społeczeństwo w Warszawie. Była przyjęta przez ówczesnego premiera. A i w sejmie podana wiadomość o przedarciu się Oddziału Wileńskiego z Wilna i o zdobyciu przez ten oddział Brześcia wywołała entuzjazm.

Pamiętam, jak już na emigracji, na święcie pułkowym w Londynie w 1950 roku śp. prof. Adam Żółtowski w przemówieniu wypowiedział takie zdanie: „nie doceniacie panowie, jak ważnych argumentów dla dyplomacji polskiej dostarczały wasze działania na Kresach Wschodnich w momencie, kiedy o te Kresy toczyła się rozgrywka dyplomatyczna”.

Do Oddziału Wileńskiego szła młodzież wiedzona patriotyzmem, wpajającym nam od dzieciństwa przez nasze matki i przez naszych ojców. Wśród licznej inteligencji pułkowej było dużo korporantów z „Arkonii”, „Polonii”, przypuszczam, że wśród nich byli znajomi, a może i przyjaciele p. Okulicza. Wielu żołnierzy pułku pracowało później w dyplomacji, w administracji i w innych resortach i dochodzili do wysokich stanowisk.

Dziś większość żołnierzy z tamtego okresu już nie żyje. Piszę ten list w obronie ich pamięci, jak również w obronie tych, którzy jeszcze żyją i uważają, że dobrze spełnili swój obowiązek wobec Ojczyzny.

Z poważaniem,

Wacław KAMIONKO

W odpowiedzi na list p. W. Kamionko, p. Kazimierz Okulicz nadesłał Redakcji „Zeszytów Historycznych” następujące uwagi:

Opinię o Jerzym Dąmbrowskim, podówczas, zdaje się, rotmistrzu z armii rosyjskiej, przybyłym do Wilna z korpusu gen. Dowbor-Muśnickiego po jego kapitulacji, urobiłem sobie już w czasie jego najgłośniejszych wyczynów w roku 1919. Pracując wtedy kolejno w Depart. Lit.-Białor. Min. Spr. Zagr., a następnie w Komisariacie Gen. Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich, miałem możliwość zapoznawać się z napływającymi raportami lokalnych urzędów Zarządu Cyw. o sytuacji ogólnej i nastrojach ludności na tych obszarach. Wiadomości te zostały następnie uzupełnione relacjami paru moich kolegów, będących w wojsku, jak również kilku osób spośród miejscowego społeczeństwa polskiego.

Po zakończeniu wojny i zawarciu pokoju, nie słyszałem już, jak mi się zdaje, nie o Jerzym Dąmbrowskim. Był już pokój, a w wojsku była dyscyplina. O jego partyzanckiej walce z Niemcami, o niewoli sowieckiej i męczeńskiej śmierci doszły mnie wiadomości już po II wojnie światowej. Okazało się też, że w archiwach warszawskich i w prywatnym posiadaniu zachowały się dzienniki lub pamiętniki ludzi, odpowiedzialnych w latach 1919/20 za politykę państwa polskiego na terenach Ziem Wschodnich: Komisarza Generalnego Zarz. Cyw. Z.W. Jerzego Osmołowskiego, jego zastępcy Edmunda Iwaszkiewicza i delegata Kom. Gen. w Wilnie Michała Stan. hr. Kossakowskiego. Dotąd nie zostały one wydane, ale są dostępne dla historyków polskich w PRL i amerykańskich. Znam tylko fragmenty tych prac. Jest tam obfity materiał dla oceny ludzi, cywilnych i wojskowych, działających wówczas na obszarze późniejszych Ziem Wschodnich Rzpltej. W roku 1919 ma tam swoje miejsce również Jerzy Dąmbrowski.

Trzeba tu nadmienić, że już wiosną 1919 roku Sejm Polski, zaalarmowany napływającymi ze wschodu skargami ludności, utworzył specjalną komisję dla zbadania sytuacji na miejscu. 3 kwietnia 1919 odbyła się w Sejmie debata nad sprawozdaniem tej Komisji, podczas której Mieczysław Niedziałkowski, członek Klubu PPS w Sejmie, Wilnianin, powiedział o Jerzym Dąmbrowskim: „ten nowy Kmicie nie uznaje żadnego prawa międzynarodowego i żadnego prawa ludzkiego, które istnieje w każdym cywilizowanym społeczeństwie”.

Nie wiem z jakimi ocenami i jakich „czynników oficjalnych” w Warszawie moja opinia o Jerzym Dąmbrowskim jest sprzeczna. Być może, była to ocena ściśle wojskowa, której kryterium są odwaga, duch ofensywny, inicjatywa itd. Moja ocena jest polityczna i humanitarna. Wiem dobrze z historii, że często odwaga i impet wojskowy łączą się u pewnych ludzi z okrucieństwem, samowolą i brakiem uczuć humanitarnych, a w takich wypadkach utrwała się w pamięci współczesnych tylko ta bojowa, brawurowa i bezwzględna strona czynów ludzkich. Największą przysługę pamięci Jerzego Dąmbrowskiego, jako obywatela, można chyba oddać przez przemilczenie — tak jak to uczynił Słownik Biograficzny — który dając w tomie V życiorys płk. Władysława Dąmbrowskiego, brata Jerzego, pominął tego ostatniego zupełnie. Myli się zresztą płk Kamionko co do przebiegu służby wojskowej Jerzego Dąmbrowskiego, który żadnym pułkiem ułanów nie dowodził, lecz tylko krótko „kombinowanym pułkiem kawalerii”, czyli — jak pisze X. W. Meysztowicz — stał „na czele jakichś nieregularnych formacji — przydatnych, ale właściwie niemożliwych do wzięcia przez przyzwoite dowództwo”. 211-y pułkiem ułanów, równie jak przedtem 13-y pułkiem ułanów, dowodził jego brat, płk Władysław Dąmbrowski.

W końcu, szczypta soli. Pyta mnie płk Kamionko z jakiego dokumentu zacytowałem słowa, że pułk (wileński) był złożony z „paniczów i rabusiów”. Czyżby p. płk Kamionko, przed wytoczeniem przeciwko mnie ciężkiej artyllerii, nie przeczytał książki, *ex re* której mnie atakuje? Jeżeli tak, to zacytuje parę zdań z obszernego rozdziału o Jerzym Dąmbrowskim w książce X. Meysztowicza „Poszło z dymem”. Wysuwając na pierwszy plan cnoty wojskowe Jerzego Dąmbrowskiego — odwagę i bezwzględność w walce — pisze autor na stronie 222: „Został przeniesiony — nie wiem dokąd. Pamiętam tylko, że oskarżono go o brak dyscypliny w pułku 'złożonym z paniczów i rabusiów’”. Nie mam powodu wątpić, że słowa „składał się z paniczów i rabusiów” zaczerpnął autor z jakiegoś dokumentu, który, być może, stał się powodem tego przeniesienia.

Kazimierz OKULICZ

Nowy Jork, 1 kwietnia 1975.

Szanowny Panie Redaktorze!

W poprzednim numerze *Zeszytów Historycznych* znalazł się w tłumaczeniu E. Żagiella artykuł płk. V. Sliogerisa, który ukazał się w tygodniku litewskim *Teviskės Žiburiai* pt. „Polacy. Ultimatum. Kulisy”.

Zaraz w pierwszych zdaniach Sliogeris powiada, że wielu jego rodaków nie wiedziało i dzisiaj nie wie „o prowadzonych przez nasz rząd w latach 1935-37 rozmowach z Polską w sprawie normalnych stosunków”. Ponieważ przez pewien czas autor pełnił funkcje adiutanta i sekretarza prezydenta Smetony była mu — jak pisze — „częściowo znana ta zakulisowa działalność”.

Treść artykułu potwierdza, że istotnie, jedynie częściowo. Tajne rozmowy polsko-litewskie prowadzone były od 1918 do marca 1938 roku. Było ich więcej niż o nich pisze autor. Najciekawsze informacje którymi się dzieli dotyczą propozycji, jakie przywiózł Smetonie z Warszawy wysłannik litewski M. Yczas. Wspominał mi o nich Yczas, gdyśmy się w czasie wojny spotkali w Lizbonie. Yczas towarzyszył Smetonie w drodze do Ameryki. O szczegółach relacji Yczasa zapomniałem, przypomniał mi je dopiero artykuł ogłoszony w *Zeszytach*. Zawiera on interesujące uwagi o stosunku Smetony do spraw polsko-litewskich oraz o zachowaniu się armii litewskiej.

Wielu wysłanników litewskich rzeczywiście już zmarło i — jak pisze autor — o całej sprawie nic nie napisali. „Pozostali jeszcze przy życiu — zwłaszcza urzędnicy ministerstwa spraw zagranicznych — milczą”. I dodaje, że „słaba nadzieja, by tajemnicę rozmów ujawnili”. Dlaczego, niestety, nie wyjaśnia. A szkoda, gdyż wątplię czy jakiś polski naukowiec — jak pociesza się pułkownik — pogrzebie w archiwach przedwojennego polskiego MSZ-tu i odkryje tajemnicę jaka wciąż otacza tajne rokowania polsko-litewskie. W Polsce jest paru znawców międzywojennych dziejów niepodległej Litwy. Przypuszczam, że gdyby w tych archiwach coś na ten temat znaleźli, dawno by napisali. Wiadomo, że część archiwów MSZ-tu spłonęła w czasie walk z Niemcami o Warszawę.

Spędziłem w Kownie kilka lat jako wysłannik polski. Zamierzam obszerniej napisać o mojej misji. Postaram się w moim artykule uzupełnić wiadomości o tajnych rozmowach polsko-litewskich, prowadzonych w okresie dwudziestolecia naszej niepodległości.

Łączę najlepsze wyrazy,

Tadeusz KATELBACH



Londyn, 16 stycznia 1975.

Szanowny Panie Redaktorze,

W 1973 roku płk M. W. Żebrowski wydał w Londynie list gen. Kazimierza Sosnkowskiego w formie broszury pt. „Przyczynki do sprawy zbrojeń polskich w okresie 1935-1939”. Broszura ta wzbudziła duże zainteresowanie a recenzje o niej podkreśliły znaczenie listu gen. Sosnkowskiego jako dokumentu historycznego. Dokument ten mówi także o usiłowaniach gen. Sosnkowskiego, by zapobiec militarnej reokupacji Nadrenii przez Hitlera. W tym celu po swych rozmowach w Paryżu, w marcu 1936 roku, udał się do ministra Becka i zażądał, aby niezwłocznie wysłał do Paryża notę, potwierdzającą

gotowość jednoczesnego z Francją zmobilizowania polskich sił zbrojnych celem niedopuszczenia do reokupacji Nadrenii. Z następnych zdań w liście gen. Sosnkowskiego nie wynika jasno, czy takie oświadczenie polskie zostało wysłane *przed* czy *po* reokupacji Nadrenii. Tę wątpliwość wyjaśnia załącznik, który gen. Sosnkowski dodał do swego listu, a który nie został opublikowany razem z listem. Treść jego jest następująca:

„NOTATKA UZUPEŁNIAJĄCA DO STRONY 13 MASZYNOPISU

W uzupełnieniu zdania:

„Uważając ze swej strony sytuację za niezmiernie poważną i zgoda dla naszej przyszłości węzłową, użyłem w rozmowie z Beckiem argumentów bardzo mocnych, zapowiadając ze swej strony wysnuć wszelkich konsekwencji...”.

Jako: „wysnuć wszelkich konsekwencji”, oświadczyłem Beckowi, że podam się do dymisji ze wszystkich pełnionych przeze mnie funkcji, jednocześnie podając do wiadomości publicznej motywy, skłaniające mnie do uczynienia tego decydującego kroku.

Beck dał mi wówczas słowo honoru, że natychmiast wyśle oświadczenie Rządu Polskiego do Rządu Francuskiego co do jednoczesnej mobilizacji Polskich Sił Zbrojnych w razie próby reokupacji Nadrenii ze strony Niemiec.

Mało tego, zatelefonował do mnie *tegoż samego dnia* po południu informując mnie, że „oświadczenie Rządu Polskiego do Rządu Francuskiego *już zostało wysłane*”.

Teraz, ze względu na obowiązek przekazania prawdy historycznej, można, niestety, stwierdzić, że danego mi słowa honoru nie dotrzymał. Oświadczenie Rządu Polskiego zostało wysłane w dzień *po* zajęciu przez Hitlera Nadrenii”.

Ponieważ treść tego załącznika była mi znana, zatem w mej recenzji ująłem tę sprawę zgodnie z tą treścią. Adam Ciołkosz, nie znający tej treści, ujął to odmiennie. Dlatego uważam za konieczne, by zgodnie z troską gen. Sosnkowskiego o prawdę historyczną ogłosić obecnie w pełni treść załącznika.

Z poważaniem,

Stanisław KIRKOR



Bel Air, styczeń 1975.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pragnę dorzucić parę danych do szkicu Marcina Wyziębły „Losy Polaków” w 30-tym numerze *Zeszytów Historycznych*.

W raporcie Komisji Kongresu USA pod tytułem: „The Crimes of Khrushchev Part 2”, US Government Printing Office, Washington 1959, znajdujemy na stronie 18 takie zeznanie (w tłumaczeniu na polski):

„Pan Pawłowicz: W lecie 1937 i na wiosnę 1938 roku NKWD aresztowało w Winnicy wielu obywateli. Wielu ludzi z którymi pracowałem, jak na przykład dyrektor mojej szkoły (Pawłowicz był nauczycielem), było aresztowanych. Mój teść i wielu wielu innych ludzi było aresztowanych bez żadnego powodu.

Komuniści przysłali NKWD, które aresztowało tysiące i tysiące ludzi. Moja teściowa i moja żona wysłały wiele listów do przedstawicieli rządu dlatego nasz mąż i ojciec był aresztowany. Odpowiedź była zwyczajną w takich wypadkach pokrywką: został aresztowany bo jest wrogiem ludu.

W 1938 roku ostatni list został wysłany do Centralnego Komitetu, to znaczy do Nikity Chruszczowa. Odpowiedź była ta sama.

W tym czasie ludzie nie rozumieli co się dzieje. Nie rozumieli dlaczego tylu było aresztowanych, szczególnie **UKRAINCÓW POLSKIEGO POCHODZENIA, PÓŁ UKRAINCÓW PÓŁ POLAKÓW** i wielu Żydów, których aresztowano w naszym mieście i w innych miastach prowincji Winnicy.

W maju 1943 roku dowiedzieliśmy się prawdy, co zdarzyło się w naszym mieście (znaleziono masowe groby). Ludzie zostali deportowani na Syberię i wielu ludzi z naszego miasta zostało zamordowanych.

— — — — —
Pan Arens: W sumie ile ciał zamordowanych znaleziono?

Pan Pawłowicz: 9.439.

Pan Arens: Ile było masowych grobów?

Pan Pawłowicz: 95 grobów".

Z poważaniem i pozdrowieniem,

Tadeusz LESER

Londyn, 27 lutego 1975.

Szanowny Panie Redaktorze,

W ciekawych „Wspomnieniach z Drugiej Wojny Światowej, 1939-1943” płk Z. Borkowski (*Zeszyty Historyczne* Nr 31) porusza m.in. sprawę powołania J.H. Retingera do służby w Ambasadzie R.P. w Londynie.

Zasła tu pewna omyłka z pewnością przez płk. Borkowskiego niezamierzona. Sprawa w istocie miała inny przebieg. Retinger jeszcze przed upadkiem Francji starał się o względy gen. Sikorskiego.

W porozumieniu z korespondentem PAT'a w Londynie Stefanem Litauerem zwrócił się do mnie z prośbą o wyrobienie mu wizy i przelotu do Francji. Z Angiers powrócił niebawem przywożąc odręczne pismo, w którym generał powierzał mu stanowisko politycznego przedstawiciela w Londynie, a Litauerowi stanowisko naczelnego szefa propagandy. Oba te stanowiska z wysokim uposażeniem.

Ponieważ ta decyzja pozbawiła w istocie Ambasadora R.P. w Londynie najważniejszych funkcji zgłosiłem sprzeciw, a następnie w czasie własnej wizyty w Angers uzyskałem od generała unieważnienie tej decyzji.

Ambasada nie miała w tym czasie wpływów pieniężnych poza kredytem udzielonym przez rząd brytyjski. Na poczet tego kredytu przyznałem korespondentom naszych pism, przebywającym w Londynie, kwotę po £ 60 miesięcznie i na tę listę wciągnąłem także i J.H. Retingera, a o ile pamiętam, i S. Litauera. Ten ostatni, jak się potem okazało, na opiekę Rządu R.P. nie zasługiwał.

Dr Retinger natomiast, jak pisze Z. Borkowski, oddał swoje usługi bez reszty generałowi. Odwiedził mnie wtedy w Ambasadzie i powiedział: „Pan Ambasadore mnie nie zna, zapewniam, że może Pan liczyć na całkowitą moją lojalność”. Trochę się nie o lojalność dr. Retingera wobec mnie oświadczył, ale wobec sprawy publicznej.

Stosunek jego do mnie pozostał przez wiele lat bez zarzutu. Nastąpiły potem nieporozumienia dla których tu nie ma miejsca.

Wyrazy poważania łączę,

Edward RACZYŃSKI

Do Redakcji Zeszytów Historycznych

W książce „Polska Piechota, Zarys Historyczny 1974” ukazał się artykuł gen. Bohusza-Szyszki, który pisze:

„Wojenne użycie Korpusu Ochrony Pogranicza było przykładem nie-wykorzystania tak wspaniałej jednostki wojska. Tylko dwa pułki „Karpaty” po dwa bataliony każdy, wystąpiły jako zwarte jednostki taktyczne, reszta brygad i batalionów została rozproszona pojedynczymi batalionami po różnych odcinkach frontu w różnych armiach i dywizjach”.

Otóż to jest wręcz niezgodne z rzeczywistością. Korpus Ochrony Pogranicza w latach 1938-1939 zorganizował i wysłał w Karpaty dwa pułki i trzy brygady piechoty, które weszły w skład armii „Karpaty”. Niezależnie od tego w roku 1939 K.O.P. zorganizował i zmobilizował pułk piechoty, pułk kawalerii i trzy dywizje rezerwowe piechoty: 33 d.p.r., 35 d.p.r. i 38 d.p.r. W składzie armii „Karpaty” walczyła 38 d.p.r., również na południowy odcinek frontu została skierowana 35 d.p.r. opóźniona w mobilizacji, która opierała się na brygadzie K.O.P. Czortków. Gros sił południowego skrzydła frontu stanowiły zwarte jednostki Korpusu Ochrony Pogranicza.

A zatem „nie pojedynczymi batalionami” rozrzuconymi po różnych odcinkach frontu.

Również grubą przesadą jest twierdzenie, że obecność K.O.P. przyczyniła się do „dobrobytu miejscowych mieszkańców”. Istniał Fundusz Społeczny, którego środki były niesłychanie skromne i nie mogły się przyczynić do podniesienia dobrobytu ludności miejscowej.

T. WALLICH, ppłk dypl.
Szef Sztabu K.O.P.

SPROSTOWANIE

W numerze 31 *Zeszytów Historycznych* na str. 113 mylnie zostało podane, że Jur-Gorzechowski jest pochowany w El Kantarze, podczas gdy zmarł on w 1949 roku i jest pochowany na Woking Brook Cemetery w Londynie.

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU

IM. JÓZEFA WYRWY

Na Konkurs im. Józefa Wyrwy na prace o tematyce partyzanckiej ogłoszony w 27-ym nrze *Zeszytów Historycznych* w 1974 roku, wpłynęło 6 prac. Redaktor *Zeszytów Historycznych* wraz z p. Tadeuszem Wyrwą nie zakwalifikowali żadnej z tych prac. Jedynie praca oznaczona godłem „797” zasługuje na wyróżnienie. Autorką okazała się p. Krystyna Modrzewska, zamieszkała w Szwecji.

Rezultaty Konkursu okazały się tak słabe zapewne na skutek gwałtownej kampanii prasy krajowej z redakcją *Polityki* na czele. Ze względu jednak na ważność tematyki Konkurs zostaje przedłużony do połowy 1976 roku na tych samych warunkach (1. nagroda — £ 250; 2. — £ 150; 3. — £ 100.

Redaktor *Zeszytów Historycznych*
Tadeusz Wyrwa

SPIS TREŚCI

Gustaw Herling-Grudziński (opracował): <i>Świadek o Smrkowskiego</i>	3
Józef Lewandowski: <i>Podróż za miedzę</i>	21
Bogusław Miedziński: <i>Wspominając Sawinkowa</i>	39
W. Masłowski: <i>Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa (PKKP)</i>	50
Piotr Wandycz: <i>O dwóch historykach</i>	61

WRZESIEŃ 1939

Antoni Szylling, gen. dyw.: <i>O kampanii wrześniowej (Fragmenty)</i>	66
<i>Nota biograficzna gen. Szyllinga</i>	103
W. M. Drzewieniecki: <i>Mobilizacja marcowa, 1939, widziana oczyma dowódcy kompanii 84-go pułku strzelców Poleskich</i>	104
Piotr Mohortyński: <i>Moje przeżycia w 1939 roku</i>	125

DOKUMENTY

Piotr Wandycz: <i>MSZ widziane oczami amerykańskiego dyplomaty</i>	153
--	-----

WSPOMNIENIA

Lucjan Szulkin: <i>O powstaniu i upadku „Ghetta podziemnego”</i>	158
--	-----

OKRUCHY HISTORII

Kazimierz Iranek-Osmecki: <i>Afera Mikicińskiego</i>	187
--	-----

RECENZJE

Wiktor Sukiennicki: <i>Archiwum polityczne Ignacego Paderewskiego</i>	203
Stefan Michnik: <i>Jeszcze o rozmowach Benesza na Kremlu</i>	215
Józef Garliński: <i>1859 Dni Warszawy</i>	219
Maria Danilewicz Zielińska: <i>„Pod powagą Wielkiego Wschodu Polskiego”</i>	223

LISTY I POLEMIKI

Adam Ciołkosz: <i>List do Redakcji</i> prostujący fałszywe wnioski wyciągnięte z jego artykułu w <i>Zeszytach Historycznych</i> Nr 15 (1969) przez redaktorów książki „Polish-Jewish Relations during the Second World War”	226
Wiktor Tomir Drymmer: <i>List do Redakcji</i> w odpowiedzi Stefanowi Benedyktowi i Antoniemu Ruszkowskiemu, krytykującym jego „Wspomnienia” w <i>Zeszytach Historycznych</i> Nr 31	228
Wacław Kamionko: <i>List do Redakcji</i> w związku z artykułem Kazimierza Okulicza w 28-ym <i>Zeszytach Historycznych</i> pt. „Opowieści nobliwe i sentymentalne	230
Kazimierz Okulicz: <i>Odpowiedź Wacławowi Kamionko</i> ..	231
Tadeusz Katelbach: <i>List do Redakcji</i> na marginesie artykułu płk. V. Sliogerisa w <i>Zeszytach Historycznych</i> Nr 31	233

Stanisław Kirkor: <i>List do Redakcji</i> w związku z usiłowaniami gen. K. Sosnkowskiego zmierzającymi do zapobieżenia militarnej reokupacji Nadrenii przez Hitlera	233
Tadeusz Leser: <i>List do Redakcji</i> na marginesie artykułu M. Wyziembły pt.: „Losy Polaków”, zamieszczonego w <i>Zeszytach Historycznym</i> Nr 30	234
Edward Raczyński: <i>List do Redakcji</i> , polemizujący ze „Wspomnieniami” płk. Z. Borkowskiego w <i>Zeszytach Historycznym</i> Nr 31	235
T. Wallich, ppłk dypl. Szef Sztabu K.O.P.'u: <i>List do Redakcji</i> polemizujący z oceną wojennego użycia K.O.P.'u w książce pt. „Polska Piechota. Zarys Historyczny”, w artykule gen. Bohusza-Szyszki	235



<i>Sprostowanie</i>	237
<i>Rozstrzygnięcie Konkursu im. Józefa Wyrwy</i>	237

„ZESZYTY HISTORYCZNE” UKAZUJĄ SIĘ CO
KWARTAŁ NA POZATKU LUTEGO, MAJA,
SIERPŃIA I LISTOPADA KAZDEGO ROKU.

PRENUMERATA ROCZNA — F. 95,00.

PRENUMERATA ROCZNA DLA
PRENUMERATORÓW „KULTURY” — F. 80,00.

F. 25. (doł. 6,50)